

Pamiętnik o znalezieniu prawdziwej miłości. W końcu!



Romans to moja praca

Patience Bloom



Patience Bloom

Romans to moja praca

Przełożyła Marzenna Reyher



Tytuł oryginału: *Romance Is My Day Job*

Copyright © 2014 by Patience Bloom

Photographs © 2014 by Sam Bloom, Patrick Smith, and Chris Cozzone

All rights reserved including the right of reproduction in whole or in part in any form.

This edition published by arrangement with Dutton, a member of Penguin Group (USA) LLC, a Penguin

Random House Company

Copyright © for the Polish translation by Marzenna Reyher, MMXIV

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIV

Wydanie I

Warszawa

Spis treści

Dedykacja

Preludium do romansu

Część pierwsza

Rozdział pierwszy. Tańce szkolne nie kończą się tak jak książkowe romanse (chyba że w grę wchodzi ciąża)

Rozdział drugi. Tragiczni bohaterowie są romantyczni tylko w powieściach, w prawdziwym życiu są żałośni

Rozdział trzeci. Na kryzys najlepsza zabawa w Paryżu

Rozdział czwarty. Harrison Ford nie przyjedzie do Cleveland

Rozdział piąty. Gdy mówi, że nie odwzajemnia twoich uczuć, uwierz mu i uciekaj

Część druga

Rozdział szósty. Papierowy romans pomaga dziewczynie w czasie długiej posuchy i nie jest tak kłopotliwy jak prawdziwy

Rozdział siódmy. Bohater na każdą porę roku

Rozdział ósmy. Nigdy nie lekceważ mocy życzenia urodzinowego

Rozdział dziewiąty. Głos odległy o pięć tysięcy mil i dwadzieścia sześć lat

Rozdział dziesiąty. Czy chodzi o romans, czy raczej o osobliwą przyjaźń, która prowadzi donikąd?

Część trzecia

Rozdział jedenasty. Scena na lotnisku

Rozdział dwunasty. Jedz, módl się, zamieszkaj wspólnie na pierwszej randce

Rozdział trzynasty. Gdy w grę wchodzi pierścionek

Rozdział czternasty. Planowanie ślubu i wyjście z honorem

Rozdział piętnasty. Szczęśliwie poślubieni na zawsze (ale ktoś to odchoruje)

Podziękowania

Przypisy

Dla Cookie

Preludium do romansu

Wiem, że istnieje powód, dla którego znalazłam się na pokładzie pociągu Amtraka, nadąsana i ponura, pędząca z powrotem do Nowego Jorku. Musi jakiś być. Mamy jeden z pierwszych pięknych dni wiosny 2009 roku, lecz nie jestem w stanie docenić go tak, jak powinnam. W głowie mam mętlik. Jeżeli ironia mojego nieudanego życia miłosnego i mojego zawodu (redaktor romansów) to kosmiczny wypadek, to życie jest naprawdę absurdalne. Dlatego zanim wsiadłam do pociągu, kupiłam czekoladowego pączka.

Facet, którego nazwałam Supermanem, siedzi obok mnie i jest zniewalająco przystojny. Należy do gatunku nieuchwytnych samców alfa, z którymi zawsze chciałam się spotykać, jest bohaterem, który wypełnia strony wielu romansów i przez pięć miesięcy należał do mnie. Teraz ze sobą nie rozmawiamy. Weekend w jego domu na wsi okazał się katastrofą. Nie mogę się doczekać powrotu do domu.

Nie mam pojęcia, co robić. Z czterdziestką na karku już powinnam ogarnąć tę stronę życia. Ze wszystkich ludzi to właśnie ja powinnam wiedzieć lepiej, zgadza się? Od ponad szesnastu lat jestem redaktorem romansów w Harlequinie. Jako domniemany ekspert w tej dziedzinie poznałam mechanizmy miłości. Czytałam książki o randkowaniu (w połączeniu z zawrotną liczbą romansów), a prawdziwym romansom poświęciłam całą swoją uwagę w ciągu dwudziestu pięciu lat z hakiem. Choć nigdy się nie łudziłam, że mój wybraniec będzie Jamesem Bondem lub Heathcliffem (który notabene był świrem), to można by oczekiwać, że zbliżę się do ideału. Posiadam rozległą wiedzę o romansie książkowym, dysponuję olbrzymią pulą randkowiczów w Nowym Jorku i nie wyglądam jak Quasimodo. Chyba należy zrobić sobie przerwę.

Nie przerwę od czytania opowieści miłosnych. Redagowanie romansów nadal niesie ze sobą powiew nowości: czytuję je w ciężkich chwilach i zawsze poprawiają mi samopoczucie. Codziennie pracuję z przyjaznymi, mądrymi ludźmi. Poznają autorów, którzy uwielbiają pisanie o miłości. Sprawiają, że kocham miłość nawet wtedy, gdy jej nienawidzę. Dzięki tym książkom wierzę, że każdą z nas – nie tylko mnie – czeka zakończenie w rodzaju „i odtąd żyli długo i szczęśliwie”. I to nie dlatego, że autorzy przesyłają mi czekoladki na walentynki, zawsze dopytują o moje życie

osobiste, dostarczają maszynopisy, aby zaspokoić moją obsesję czytania, i są ciekawymi ludźmi. Kto nie chciałby choć na chwilę uciec od rzeczywistości? To naprawdę chore, że mi jeszcze za to płacą.

Wyobraź sobie agonię, przez którą codziennie przechodzę: Nieuprzejmy agent FBI – nazwijmy go Jake Hunter – musi odnaleźć seryjnego zabójcę, który terroryzuje niewielką społeczność. Mimo że przeszedł przez piekło – albo jego żona zginęła w wypadku samochodowym, albo partner został zamordowany przez kartel narkotykowy – do szaleństwa oczarowuje go właścicielka lokalnego sklepiku dziewiarskiego o imieniu, powiedzmy, Cassie, która skądinąd jest dziewczyną. Panna Dziewiarka nie zdaje sobie sprawy, że ma prześladowcę – prawdopodobnie w osobie byłego chłopaka lub zazdrosnego przyjaciela ze szkoły – który chce jej głowy, bo nie może o niej zapomnieć. Dlaczego agent FBI w ogóle pojawia się w tym sklepiku? Jest zdecydowanie seksowny i sporo wody upłynęło od chwili, gdy były chłopak Cassie McBride, prawdziwe ładaco, ją opuścił.

Tak jest. Właśnie o tym chcę czytać przez większość czasu. Mój przeciętny dzień jest niezły. Rano słońce całuje mnie w szyję, pijam kawę i zanurzam się w opowieści o bohaterach przezwyciężających przeszkody, doświadczających zdumiewających, jednoczesnych orgazmów i odkrywających, że są sobie przeznaczeni. Ponura przejażdżka Amtrakiem nie może się z tym równać.

Naprawdę przykładałam się do chodzenia na randki. Robiłam wszystko, jak należy: byłam dostępna, ale bez przesady, umawiałam się tak, jakbym szła na zakupy, zaistniałam na kilku serwisach randkowych, chodziłam na spotkania, byłam radosna, nie rozmawiałam o moich byłych i nie biadoliłam. Spędziłam sporo czasu nad włosami, ubiorem i makijażem. Łapałam każdą okazję. Jednak upłynęły lata – ba! dekady – a ja nadal jestem w tym samym miejscu. Tyle przeczytałam, tak bardzo się starałam, więc widocznie jestem skazana na szczęście bez prawdziwego romansu. W porządku, mogę być samotna. W istocie moje życie nawet w niewielkim stopniu nie przypomina tego, o którym czytam w książkach.

Albo niewykluczone, że prawdziwy romans czai się tuż za rogiem...

Część pierwsza

„Wyobraźnia kobiety jest wartka jak strumień, w mgnieniu oka przeskakuje z podziwu do miłości, zaś z miłości do ołtarza”.

Jane Austen, *Duma i uprzedzenie*¹

Rozdział pierwszy

Tańce szkolne nie kończą się tak jak książkowe romanse (chyba że w grę wchodzi ciąża)

1984

Dzień balu. 25 lutego 1984 roku w Taft School, w sielankowym miasteczku Waterfront w stanie Connecticut, odbywają się wieczorne tańce. Ta niewielka szkoła średnia z internatem, posadowiona wśród łagodnych wzgórz i zielonych drzew, z perfekcyjnie utrzymanym otoczeniem i czarującymi budynkami, jest rajem. Podjeżdżając do głównego budynku, możesz odnieść wrażenie, że jest stara i elitarna. Wewnątrz stajesz się częścią żywiołowego tłumu uczniów, legendarnych profesorów i tworzącej się historii. Do Taft School chodzą dzieci korporacyjnych szefów i polityków.

Nazywam się Patience Smith, jestem uczennicą drugiej klasy, córką dwójki historyków. Jako stypendystka wiem wszystko o oszczędnym życiu (albo prawie wszystko). To, że nie jestem bogata, w Taft School oddziałuje na mnie w mniejszym stopniu, niż powinno. Wszyscy mieszkamy w tych pokojach, jemy to samo, spędzamy dwie godziny dziennie na nauce w tym samym pomieszczeniu i chodzimy na te same zajęcia. Przyznaję, zamiast wełnianych swetrów z Fair Isle noszę welurowe, a moja fryzura wyróżnia się w morzu równo przyciętych na boba włosów. Na szesnaste urodziny nie dostanę bmw, nie mam szykownych ciuchów, ale i tak wydaję tatusiowe pieniądze. Co prawda na ogół na rzeczy mniej kosztowne, jak orzeszki w polewie jogurtowej.

Ostatnio głodziłam się, aby wbić się w balową sukienkę. Trudno to jednak nazwać torturą. Stałam się tak nerwowa, że waniliowe koktajle i frytki, tradycyjny dodatek do każdego posiłku, nie były mi w głowie. Nadszedł czas wielkiego zimowego balu, a moim partnerem jest przystojniak rodem z powieści Harlequina, który – mam taką nadzieję – zostanie moim chłopakiem. Randkowanie z nim automatycznie wyniesie mnie na orbitę dziewcząt popularnych, choć nie jestem karierowiczką. Po prostu taki wniosek mi się nasunął.

Przeglądałam się w lustrze w swoim pokoju w internacie. Wyglądałam zdumiewająco. Suknia jest ciemnoniebieska, koronkowa, ściśle przylega do

mojego ciała w kształcie klepsydry. Podkreśla kobiece zaokrąglenia. Chyba niepotrzebnie noszę luźne spodnie i obszerne koszule spięte paskiem w stylu Madonny. W tej sukni mogę pójść na ceremonię wręczenia Oscarów. Ludzie będą zszokowani, gdy zobaczą mnie we wcieleniu gwiazdy filmowej.

Teraz tylko muszę przekonać Kenta, jaka jestem niezwykła. Moje długie rude włosy są ułożone w perfekcyjne loki, oczy ekspercko oprowadzone mascarą, czarną kreską i błękitnym błyszczącym cieniem. Pomadka koniecznie w kolorze zmrożonego rózu, bo taki teraz się nosi. Nie koralowa, jak w romansach, po prostu różowa. Twarz wygląda doskonale.

W internacie zwanym MacHouse'em powietrze aż drży w oczekiwaniu na bal. Dziewczeta z pierwszych i drugich klas podziwiają nawzajem swoje fryzury i swoje tafty. Czekam jak inne w holu, przestępując z obcasa na obcas na wysłużonym czerwonym dywanie. Nagle pojawia się moje marzenie.

Kent niespiesznie wchodzi głównym wejściem.

– Ładnie wyglądasz – mówi w odpowiedzi na moje powitanie.

Od tego komplementu cała promienieję. Mimo podenerwowania zauważam, że w białym smokingu Kent wygląda bardzo stylowo. Nigdy wcześniej nie widziałam białego smokingu. Może to popularny strój w takich modnych miasteczkach w stanie Connecticut jak New Canaan, Greenwich czy Darien. Czuję się trochę nie na miejscu, jakbym należała do innego klubu. Moi rodzice – rozwiedli się i ponownie weszli w związki małżeńskie z nauczycielami akademickimi – są typowymi molami książkowymi, nie urodziłam się ze srebrną łyżeczką w ustach. Niemniej jednak dzięki nim mieszkałam przez kilka lat w Paryżu, co dodaje szczyptę wyrafinowania do mojej biografii. Jestem dwujęzyczna, niestety, tylko dorośli uznają to za wartość. Wielu moich szkolnych kolegów zna się od urodzenia. Mimo różnic w pochodzeniu i statusie materialnym nie czuję się wyalienowana. Z wyjątkiem tych chwil, kiedy rozmyślam, co mnie ominęło: przyjęcia koktajlowe, zakupy w Talbots, krokiet i koszulki marki Izod. Na szczęście moja współlokatorka Nici wie wszystko na temat przyjęć koktajlowych, bo jest ode mnie zamożniejsza. Jesteśmy dwiema chichoczącymi, nierozłącznymi idiotkami.

Nici to ładna, przyjemnie zaokrąglona dziewczyna o jasnobrązowych włosach, jasnej karnacji i uśmiechu, który rozświetla pokój, młodsza wersja Lady Di i dziewczyna z sąsiedztwa w jednym, lekko zakręcona (ale w pozytywny sposób). Dzięki wielkiemu sercu przyciąga szerokie grono przyjaciół, którzy przewracają oczami, słuchając o jej obsesji na punkcie

chłopaków. Z mojego punktu widzenia jest idealną przyjaciółką – też mam hopla na punkcie chłopaków. Nici jest „nieuleczalną romantyczką”. Nie wiem, gdzie usłyszała to określenie, ale właśnie tak o sobie mówi, jakby to było coś pozytywnego. Zastanawiam się, co by się stało, gdyby rzeczywiście złapała tego chłopaka, którego sobie upatrzyła. Zanim to nastąpi, mogę podziwiać inwencję, z jaką opracowuje romantyczne scenki. Kradnie chłopakowi but, biegnie do stawu z nadzieją, że chłopak pobiegnie za nią, co też on czyni, ponieważ chce odzyskać but. Takie plany zazwyczaj odnoszą efekt odwrotny do zamierzonego i w konsekwencji Nici wypłakuje sobie oczy w pokoju.

Nie można jej zarzucić, że się nie stara. Stara się, i to bardzo. Te cechy i wiele innych czynią z Nici uroczą osobę i dlatego spędzam z nią większość czasu. Należy dodać, że to ona zainspirowała historię z Kentem. Przekonała mnie, że zaproszenie go na tańce to dobry pomysł, tak jak rok wcześniej namówiła mnie na czytanie romansów. A przecież już mam potężną, graniczącą z chorobą, obsesję na punkcie Duran Duran. Czy w swoim życiu potrzebowałam więcej wyimaginowanego romantyzmu? Prawdopodobnie nie.

Ostatniej wiosny, gdy Nici po raz pierwszy dała mi do ręki romans Harlequina, udawałam, że mnie to nie interesuje. Oczywiście pożarłam tę książkę – rankiem, tuż przed egzaminem z łaciny, z którego i tak dostałam piątkę. Kto nie wzruszyłby się historią przeciętnej Jane, która spotyka na swej drodze ciacho w postaci milionera, a on najpierw traktuje ją podle, aby na koniec wyszeptać: „Kocham cię”? Ponadto było tam trochę sprośności – według mnie akurat tyle, ile trzeba.

Chciałabym przenieść ten romans do prawdziwego życia. Miłość na stronach książek spiętych pikantnymi okładkami wydaje się taka łatwa.

W tajemnicy usycham z tęsknoty za prawdziwym chłopakiem. Wszyscy wokół twierdzą, że uprawiali seks, a ja nawet się nie całowałam. To na tyle kłopotliwe, że wymyślam jakichś chłopaków z przeszłości także na użytek Nici. Można by pomyśleć, że mieszkanie z rówieśnikami stwarza nieograniczone możliwości romansowania, lecz nie dla takiej wstydliwej dziewczyny jak ja. Zadurzam się w chłopakach do ogłupienia, ale na razie prowadzi to donikąd.

Z drugiej strony lubię być zakochana. Uwielbiam ten zawrót głowy, gdy nie mogę doczekać się, aż go zobaczę. W szkole przejście od zakochania do randkowania odbywa się zbyt szybko. Gdzie miejsce na trzymanie się za rękę, co wydaje się takie fajne, czy długie konwersacje o bolesnych

problemach dzieciństwa? Gdzie pocałunki, które ogląda się w filmach? Moi koledzy rozmawiają o innych sprawach, o stosunku, który odbyli w szatni, na cmentarzu, w cudzym pokoju i – ze szczegółami – o roli różnych części ciała w akcie miłosnym.

Romans powinien przypominać to, co pokazują w moim ulubionym serialu *Statek miłości*. W zasadzie ten serial jest edukacyjny, ponieważ uczy, jak poznawać nowych ludzi i jak w ciągu zaledwie trzech dni może zakiełkować prawdziwa miłość. Najpierw odwzajemniasz błysk zainteresowania nadchodzący z przeciwnej strony pokoju. Potem mężczyzna prosi cię do tańca, wreszcie wychodzicie, kierując się na pokład Lido, gdzie uprawiacie seks. Nie jestem pewna, co dzieje się później, ale zawsze pokazują dużo szlafroków i wizyt u lekarza. Byłoby okrutne, gdyby romans miał coś wspólnego z tymi idiotyzmami, które opisują w książce *Our Bodies, Ourselves*.²

Koleżanki z internatu często opowiadają, co robią z chłopakami. To przerażające. Jedną prawie zgwałcono na boisku do piłki nożnej, gdzie poszli po zmroku. Gdy chłopak stał się zbyt brutalny, kopnęła go w to czułe miejsce. Umarłabym, gdyby mi się to przytrafiło. Inna wspominała o robieniu lodu, co zaledwie kilka miesięcy wcześniej kojarzyło mi się z kręceniem lodów w domu. Nadal nie jestem pewna, o co w tym chodzi.

W powieściach i w *Statku miłości* takie ohydne detale nie występują. Zbliżenie seksualne wieńczy głęboka ekstaza (i wszystko odbywa się za obopólną zgodą), ale nacisk jest położony na emocje, na miłosny konflikt. Bohaterka – nazwijmy ją Faun, ponieważ to lata osiemdziesiąte, a wtedy nadawano tego rodzaju imiona – nie ma pojęcia, co się jej przydarzy. Nie szuka miłości. Jej beztroska jest urocza. Dopiero stawia pierwsze kroki. Ledwo potrafi sama nałożyć sobie cheerios, a co dopiero pokazać komuś zmysłową bieliznę (majtki i stanik zawsze pasują do siebie, żadnych babcynych gaci).

Nieuchronnie na jej drodze staje mężczyzna, który ją w przyszłości rozdziewiczy, prawdziwy ogier alias Boss. Dajmy mu na imię Devlin, bo ma wiele wspólnego z diabłem, a ponadto natura wspaniale go wyposażyła dokładnie tam, gdzie trzeba. Nie wiem, jakie korzyści wynikają z wielkości przyrodzenia, ale w tych książkach zawsze pojawiają się odniesienia do konia.

Gdy Devlin zobaczył Faun, poczuł, że robi mu się ciasno w spodniach. Uwolniony z rozporka zrównałby z ziemią drapacze chmur. Taką ma moc. A jednak biedny ten Devlin. Owszem, jest draniem (muszę sobie zanotować:

drańskie zachowanie oznacza prawdziwą miłość). W pełnej tajemnic przeszłości miłość dała mu ostro popalić, może nawet bił go ojciec pijak, który na dodatek przespał się z jego narzeczoną w przeddzień ślubu. Faun nie rozumie, skąd bierze się jego podłość, unika go, ale rumieni się na jego widok, świadoma swojej seksualności. On, ciemny i posępny (czyli atrakcyjny), zjadliwy, ciągle pojawia się na jej drodze. Nadchodzi moment, gdy Faun rzuca okiem na jego podbrzusze (i perfekcyjny kaloryfer powyżej). Ubrania fruwią na wszystkie strony. Z początku trochę boli, lecz po chwili Faun uwielbia się z nim kochać. Wydaje się jej to takie naturalne, że przez całą noc kopulują jak króliki. Zасыpiają przytuleni, co Devlinowi zdarza się po raz pierwszy.

Rano jest wściekły bez powodu i odchodzi, a ona myśli, że ją znienawidził. Czas rozłąki, która kończy się, gdy ona po każdym śniadaniu wymiotuje w łazience. Cięża. Małżeństwo. Ona uważa, że to ze względu na dziecko, bo przecież został zbyt mocno zraniony, by ją pokochać, ale myli się, on ją rzeczywiście kocha i żyją długo i szczęśliwie.

Jak łatwo uzależnić się od tych książek.

Czytałam o różnych przeznaczonych sobie parach – księciu, który pokochał dziewczynę z ludu, znikowanym milionerze łączącym się duchowo i fizycznie z siostrą swojej zmarłej żony, sekretarce, która poślubia nie tego pana młodego... lista jest długa. Te romantyczne historie dały mi odwagę, by marzyć. Któregoś dnia spotkam swojego męża – może na smaganej wiatrem plaży w Malibu – i będzie to John Taylor, gitarzysta z Duran Duran. J.T. ze swoim bezwłosym, młodzieńczym torsem, w czerwonym, błyszczącym garniturze, który nosi w teledysku *Rio*³, jest moim ideałem mężczyzny. Jest ode mnie o osiem lat starszy, ale na tyle nie wygląda. Ja mam lat piętnaście, on dwadzieścia trzy: zdecydowanie moglibyśmy się umawiać. Kocham go szalenie, do tego stopnia, że sprawdziłam, co znaczy słowo *prawns*⁴, ponieważ to jego ulubiona potrawa (jak podaje dziewczęcy magazyn „Tiger Beat”).

No cóż, pora znaleźć prawdziwego chłopaka, a wspólne wyjście na bal wydaje się pierwszym logicznym krokiem. Bycie nieśmiałą i pilną przestało już być zabawne. Czy kolejny rok zamierzam obserwować, jak wszyscy moi przyjaciele chodzą na randki? Nici i ja jesteśmy w tej samej sytuacji.

Z początkiem roku sporządziłyśmy listę nowych uczniów, przy każdym nazwisku odnotowałyśmy, z kim są związani, i nadałyśmy im sekretne przezwiska. Nici jest zakochana w Obiecującym Aktorze i w Seniorze, Który Nie Wie, że Ona Istnieje. Poświęciła im stopy wierszy, namalowała

niezliczone róże z wplecionymi inicjałami, które przybierze po ślubie z którymś z nich. Kenta zauważyłam natychmiast, bo jest bardzo wysoki i roztacza wokół siebie aurę łatwego i przyjemnego życia – styl, który kocham. Nie jestem pewna, jakiego koloru są jego oczy, ponieważ przesłania je opadająca blond czupryna. Gdy wchodzi do pokoju, czuję motylki w brzuchu.

Przekonuję Nici, że moja reakcja na niego i relacje z nim przypominają romans Harlequina, i wyjaśniam dlaczego: Kent wydaje się obojętny w stosunku do mnie, tak jakby w ogóle się nie przejmował, podobnie jak Devlin, gdy Faun zostaje jego sekretarką. Atmosfera jest niemalże wroga. Podejrzewam, że Kent po cichu kocha się we mnie, ale udaje, że nie wie, kim jestem. Czy to możliwe, że on nie wie, kim jestem? Szkoła jest przecież mała. Ostatni dowód to fakt, że jestem w nim bezgranicznie zakochana, co mnie przeraża, bo on jest taki piękny. To przeznaczenie, że będziemy razem. Nici zgadza się z moim wywodem, a przecież jest ekspertem w tych sprawach.

– Może powinnaś go zaprosić na bal – zasugerowała Nici miesiąc temu, zaciągając się papierosem.

Siedziałyśmy w „pet-pokoju”, miejscu wyznaczonym dla palaczy w internacie, gdzie przeprowadzamy nasze rozmowy na szczycie. Pokój jest maleńki, ciemny jak zapyziała więzienna cela, zaśmiecony petami – idealne miejsce do omówienia naszego nowego problemu. Moja przyjaciółka Diana również była z nami. Intrygująca, inteligentna i bezpośrednia jak Rizzo z musicalu *Grease*, marzy o bzykaniu ze Stingiem i Billym Idolem. Wyznaje zasadę: „Idź na całość!”. Wiedziałam, że dyskutując z nimi na temat Kenta, proszę się o kłopoty, bo będą mnie do tego zachęcać.

Bal zbliżał się wielkimi krokami i zamierzałam znaleźć sobie chłopaka. I nie chodziło o platonicznego przyjaciela, ale takiego z prawdziwego zdarzenia. Najgorsze, że to ja będę musiała kogoś poprosić, aby ze mną poszedł.

– No dobra, poproszę Kenta. – Przełknęłam wielki łyk napoju gazowanego Tab i zaciągnęłam się papierosem.

– Trzymam cię za słowo. – Nici wypuściła olbrzymi kłęb dymu.

– Zrobię to, naprawdę.

– Zrób to! – powiedziała donośnie Diana, ponaglając mnie.

Wtedy właśnie narodził się ten kiepski pomysł.

Najbardziej martwił nas napływ nowych drugoklasistek nazywanych półlaskami. W Taft School „pół” oznaczało drugą klasę, a „laski” dodawało

się z automatu, bo rzeczywiście dziewczyny były świeże, takie młode ziemniaczki w worku ze starymi. Wkroczyły do internatu, kołysząc biodrami, piszcząc coś o koncertach, na których były, spędzonych wakacjach i przyjęciach. Przyćmiły nas minispódniczkami i długimi opalonymi nogami. W ich wykonaniu wszystko wydawało się łatwe, jakby dopiero co przebudziły się z orzeźwiającej drzemki. Chłopcy natychmiast zwrócili na nie uwagę. Były ekscytujące i piękne jak seksbomby. Ale najgorsze, że w większości były również miłe. Musiałyśmy je znienawidzić, skoro kradły nam szanse na przeżycie romansu jak z powieści. W moim wszechświecie te dziewczyny zjawily się nie bez powodu – musiałam mocniej powalczyć o fajnego chłopaka. Pomimo tych komplikacji nadal jednak mogłam złapać chłopaka swoich marzeń.

Faun znajduje odwagę nawet wtedy, gdy jest w beznadziejnej sytuacji, pod warunkiem że naprawdę warto. Potrzebuje kogoś, kto zawiezie ją do psychicznie nie zrównoważonego brata przebywającego w więzieniu (później ten spróbuje ją zabić). Faun nie potrafi obsługiwać żadnych maszyn oprócz maszyny do pisania. Najpierw zamierza przebyć osiemnaście kilometrów pieszo, choć przez to przegapi wyznaczoną porę wizyty (czasami logika zawodzi). Widząc Devlina w opływowym jaguarze, wyniośle prosi go o podwiezienie. Devlin ze względu na jej postawę w zasadzie powinien odmówić.

Tak bardzo przypominam Faun. Zależy mi na towarzystwie na bal. Zaproszenie Kenta na tańce to moje przeznaczenie, desperacka próba, aby przestać podpierać ściany. Kent i ja będziemy razem na dobre i na złe. Potem ślub.

Czy nie tak jest w powieściach?

Tygodniami dręczyłam się tym, czy zaprosić Kenta i jak go poznać, skoro nigdy nie zamieniliśmy ze sobą słowa. Nawet cześć. Niewiele o nim było wiadomo, co wykluczało przeprowadzenie śledztwa bez wzbudzenia podejrzeń. Nasi znajomi należeli do innych kręgów. Wyznanie Nici i Dianie, że się w nim bujam, było wystarczająco trudne, jak więc poprosić go o pójście ze mną na bal? Sam pomysł wydawał się szalony. Znalezienie platformy porozumienia pomiędzy Kentem a mną wymagało sporego nakładu pracy, szczególnie że chciałam, aby w przyszłości został moim mężem.

Jak każda zakochana dziewczyna spędzałam całe godziny, obserwując

go, choć zdawał się tego nieświadomy. W określonym czasie pojawiałam się na korytarzu, zwlekałam z wyjściem z jadalni po kolacji, zachodziłam do baru z przekąskami po odrobieniu pracy domowej, kręciłam się wokół jego przyjaciół. Żadna z tych strategii nie przyniosła rezultatów, ale się nie zniechęciłam. W moim pamiętniku romantyczny konflikt pomiędzy Kentem a mną zajął poczesne miejsce. Kent chodził na hiszpański, ja na łacinę i francuski. On lubił muzykę Dead, ja gustowałam w Duran Duran, Wham! i Culture Club. On mieszkał w internacie dla chłopców, ja – dla dziewcząt (oczywiście). Oboje zaliczaliśmy się do spokojnych uczniów. Tylko cud mógł sprawić, że będziemy razem.

W doskonałych opowieściach miłosnych cuda się jednak zdarzają, więc obmyśliłam plan natarcia. Na stopniowe pogłębianie znajomości zostało za mało czasu, zdecydowałam się na skok na głęboką wodę, gotowa na poniesienie konsekwencji.

Raz w tygodniu w audytorium odbywały się wykłady wygłaszane przez dyrektora szkoły, jakiegoś nauczyciela lub innego luminarza z dziedziny edukacji. W galowych garniturach, sukienkach i spódniczkach stawialiśmy się tam obowiązkowo całą szkołą. Te dwadzieścia minut poświęcone refleksji lub wzbogaceniu kulturalnemu spędzaliśmy na wierceniu się, drzemkach i flirtowaniu z najbliższymi sąsiadami. Raz Nici w ramach eksperymentu tak długo naciskała żyłę na szyi, że zemdląca.

Gdy nadszedł dzień kolejnego wykładu, nie mogłam spokojnie usiedzieć, próbując zebrać w sobie wystarczająco dużo odwagi, aby wprowadzić w życie swój plan. Najlepszą okazję stwarzała przerwa między wykładem a kolacją.

Po zakończeniu wykładu wybiegłam z audytorium i zaczęłam się, czekając, aż Kent wyjdzie. Zamierałam przeprowadzić ten szaleńczy plan zupełnie nie w moim stylu, tak jakby moje ciało opanował jakiś obcy element. Ale tak właśnie zaczynają się historie miłosne – inspiracją (Kent) i zrobieniem pierwszego kroku przez jedną z osób. Słodka Faun nagle pojawia się przed szkołą i śpiewa, wydzierając się wniebogłosy. Z kolei Devlin ląduje w szpitalu – biedny facet spadł ze schodów, goniąc porywacza Faun. Przez kilka dni był nieprzytomny. Tylko Faun może wybudzić go ze śpiączki, co też czyni, stosując niezawodną metodę nowoczesnej medycyny – pocałunek. I wtedy Devlin wyciąga pierścionek z brylantem.

Jeżeli zrobię z siebie głupka, poczuję się upokorzona, ale nie na długo. Schowałabym się w pet-pokoju, dopóki to uczucie nie minie. Mój wymyślony chłopak Jason mógłby się zmaterializować. Gdyby Kent odrzucił

moją propozycję, mogłabym beczelnie skłamać: „Och, zapomniałam, Jason może przyjechać z odległego Cape Cod na tańce”. Zawsze mogłabym zrejterować, ale gdy już raz zdecydowałam się go zaprosić, to muszę iść za ciosem.

Kent (Devlin) właśnie wyszedł z audytorium, jak zwykle niedbale szurając butami, z włosami opadającymi zawadiacko na twarz. Nie mam pojęcia, czy widzi więcej niż pół metra przed sobą, ale jestem gotowa prowadzić go w życiu, kształtować jego przyszłość.

Rzuciłam się w jego kierunku. Gwałtownie.

– Cześć. Mogę cię o coś spytać?

Spojrzał na mnie bezmyślnie, bez wątpienia dlatego, że moja tożsamość stanowiła dla niego tajemnicę. Czy to jakiś żart?

– Czy poszedłbyś ze mną na bal?

Wyrzuciłam to z siebie, a wokół kłębił się tłum nieświadomych niczego studentów, bo przecież nikt by nie podejrzewał mnie o taką śmiałość.

Przez sekundę lub dwie zdawał się rozważać moje pytanie.

– Pewnie – powiedział w końcu Devlin, wzruszając ramionami, chyba trochę rozbawiony.

– O Boże. Naprawdę? – Świetnie.

Okazało się to takie proste, a moje życie towarzyskie weszło w nową fazę. Następny krok to romantyczny piknik na łące, gdzie trzymamy się za ręce i uśmiechamy się do siebie. Przyniosę koszyk z pieczonym kurczakiem, sałatką ziemniaczaną i plackiem – typowe menu w powieściach o miłości. Nie mam pojęcia, gdzie zdobędę te wiktuały, ale kto by się tym przejmował?

Kent waha się.

– A jak ci na imię?

To kłopotliwe pytanie zupełnie się nie liczy. Ot, taka sympatyczna anegdotka, którą babcie opowiadają potem wnukom.

Cały następny tydzień myślałam o tym, jak się zachowywać, która sukienka będzie najlepsza, czy on na pewno ze mną pójdzie. Nie mogłam spać. Razem z Nici spędziłyśmy wiele godzin w pet-pokoju, naradzając się.

– Co włożysz?

– Nie wiem. Sukienkę.

– Upewnij się, aby na tobie nie wisała.

– Co mam zrobić, gdy on coś do mnie powie?

– Po prostu odpowiesz. To się nazywa konwersacja.

– Ale co mam powiedzieć?

– Nie wiem, że dorastałaś we Francji?

To na pewno zrobiłoby na nim wrażenie, ale w tygodniach przed balem Kent i ja rzadko rozmawialiśmy. Powiedzieliśmy sobie „cześć” w barze i to wszystko. Czy wielka miłość może się narodzić od samego patrzenia?

Powinniśmy mieć kontakt na innym poziomie – rozmowy albo wspólnych zainteresowań. Choć w powieściach romantycznych zbyt wiele się nie rozmawia, a wspólne zainteresowania też nie są konieczne. To nie do końca prawda. Devlin demonstruje Faun swoją olbrzymią wiedzę, rozprawiając o gargulcach na europejskich katedrach, gdy przechadzają się wzdłuż Sekwany, dowodząc tym samym, że jest intelektualistą, a ponadto właścicielem imponującego dodatku w spodniach (wcale nie chciałabym go oglądać tak od razu). Niewykluczone, że Devlin oprócz MBA⁵ ma również doktorat z archeologii, ale Faun nie ma o tym pojęcia, dopóki jakaś dobra wróżka nie wyjawi o nim całej prawdy – że obok wyrzeźbionych rysów ma także głębię. W rzeczywistości Devlin jest bardziej niż zagadkowy. Dlatego pomyślałam, że Kent może być dla mnie idealny, bo ja też o nim nic nie wiem.

W głębi ducha zaczęłam obawiać się tego balu i miałam przecucie, że okaże się porażką. W jaki sposób Kent zupełnie zniecka może zostać moim chłopakiem? Przemyślałam to wszystko ponownie. Miłość Kenta i moja istnieje tylko w mojej wyobraźni.

No cóż, już za późno, ten moment nadszedł. Nie ma odwrotu. Mam randkę z Kentem. Gdy idziemy w kierunku szkolnej stołówki, czuję się jak Kopciuszek, mam tremę i opadają mnie wątpliwości. Może pocałuje mnie, gdy noc dobiegnie końca, choć nie wydaje się to dobrym pomysłem. Idąc u boku tego wielkiego blond chłopaka, nie wyobrażam sobie nas jako prawdziwej pary.

Wchodzimy do stołówki, gdzie odbywa się bal, z tej okazji specjalnie oświetlonej, obwieszanej serpentynami i mnóstwem plakatów. Przed wejściem długa kolejka par w tforcie i smokingach czeka na zrobienie pamiątkowego zdjęcia. Z jakiegoś powodu prześlizgujemy się obok fotografów, być może dlatego, że kolejka jest zbyt długa, poncz wygląda zachęcająco lub dlatego, że grają *Rock Lobster*⁶. Nie będzie dowodu, że na ten bal przyszliśmy razem.

Jestem pewna, że powinniśmy o czymś rozmawiać, ale milczymy. Ludzie zostawiają nas samym sobie, omijają nas obojętnie, jakbyśmy byli eksponatem muzealnym. W *Statku miłości* konwersacja toczy się bez wysiłku. Julie McCoy, dyrektor rejsu, bez problemu uwiodłaby

szesnastoletniego chłopaka. Jestem rozczarowana, że nie należymy do tych par, które posiadły umiejętność niezobowiązującej rozmowy o niczym. Nie umiem znieść zakłopotania wynikającego po części z tego, że nic o sobie nie wiemy, a po części z mojego rozumienia pojęcia „flirt”. Tańce wcale nie są zabawne, skoro sprowadzają się do paniki z byle powodu i przygnębiającego powrotu do domu nad ranem.

Powoli staje się dla mnie jasne, że nasza miłość jest na ostrym, ale nie śmiertelnym zakręcie. Pewnie nie będziemy zbyt entuzjastyczną parą. Już to wiem. Nie będzie mnie całował w blasku księżycy i nie zostanie ojcem mojego dziecka w wyniku wpadki na boisku do piłki nożnej. Gdy muzyka gra, a wystrojone pary tańczą, pomiędzy nami nie ma fajerwerków. Przyznaję, choć jednocześnie czuję pustkę – w kim mam się teraz zabujać? Czuję też ulgę, bo na myślenie o Kencie zużywałam dużo energii. Widać nie jesteśmy dla siebie stworzeni, zawsze mogę wrócić do obsesji na punkcie Johna Taylora, który jest doskonały (a tabloidy donoszą, że jest prawiczkim!).

Zaczynam przytomnieć i dostrzegam, w jaki sposób przemodelowano stołówkę, aby mógł się w niej odbyć bal naszych marzeń, z kiczowatymi dekoracjami, napojami i morzem par na parkiecie. Choć moi rówieśnicy stroją się także na inne okazje, to widok wspaniałych balowych kreacji zapiera mi dech. Koledzy wyglądają świetnie. Ten bal to przygotowanie do późniejszego życia, z przyjęciami, weselami, balami dobroczynnymi. Ci uczniowie to nadzieja na przyszłość.

Trochę tańczę z Kentem. Muzyka lat 80. zwykle na parkiecie wyzwała we mnie bestię. Tym razem powstrzymuję się od dzikich ruchów, bo Kent jest spokojnym tancerzem – dwa na jeden. Gdy inni skaczą i wirują, uśmiechamy się do siebie od czasu do czasu, ale nie uczestniczymy w pełni w tym święcie. Czuję się winna, że nie zostawiłam go w spokoju, aby mógł się dobrze bawić ze swoimi kumplami. Nie nienawidzę go za to, że jest taki spokojny. Jest miłym chłopakiem, ale nie mógłby być moim partnerem na prawdziwym *Statku miłości*.

Po godzinie zostaję sama.

Wiem, że na balach zdarza się to często. Rok wcześniej sama kogoś porzuciłam, uciekłam i schowałam się pod schodami, i wiem, że on cierpiał. Teraz los odpłaca mi za wzgardę okazaną delikatnemu sercu. Kent nie jest moim Devlinem. Jest sympatycznym fanem zespołu Grateful Dead, ma wspaniałe włosy i właśnie zniknął. Nie jestem pewna jak i kiedy, może gdy odszedł na chwilę do grupy kolegów. Spodziewałam się tego i nie próbuję

go szukać. Jak to możliwe, że pomyliłam go z Devlinem?

A jednak jestem smutna. I wpadam w paranoję, wyobrażając sobie, że uknuł sekretny plan, aby uciec z moich objęć. Jeżeli to nawet prawda, to nie pozwolę, aby mnie to przybiło. Mogę się wkręcić w tłum i udawać, że wszystko w porządku. Nikt nie dostrzeże mojego rozczarowania. Zresztą dlaczego ten bal ma być taki wyjątkowy?

Z czterema wymieszanymi i roztańczonymi rocznikami jest jak każdy inny bal. Rozglądam się po sali i widzę, jak Nici szczęśliwie traci rozum – i serce – tańcząc z Prescottem, wysokim, nowym chłopakiem z drugiej klasy, z akcentem z Południa. Jako doświadczony uwodziciel, otoczony kółkiem wielbicielek, Prescott z łatwością zadowala Nici – też przecież kobietę – na wielu poziomach, przyciąga uwagę i prawi jej te najwłaściwsze komplementy (jesteś taka ładna, jesteś miła, jesteś ekscytująca; jestem pewien, że on cię lubi, byłby głupi, gdyby nie; pieprzyć go, zasługujesz na coś lepszego). Sądząc po tym, jak promienieje, Prescott może stać się kolejnym obiektem jej westchnień, co oznacza godzinne obrady i planowanie romantycznych scenariuszy w pet-pokoju.

Podziwiając kolory i błyski wirujących sukien, obserwuję tańczące i obejmujące się na oczach wszystkich pary, a także grupki tej samej płci tańczące w kręgu. Na tym parkiecie kiełkują pierwsze prawdziwe miłości. Potem pary wychodzą na taras. Siadają na kamiennym murku, rozmawiają i całują się, dopóki nie nadejdzie godzina policyjna. Lub też idą w kierunku pobliskiego cmentarza...

Każdy bal budzi nowe oczekiwanie na zmianę w życiu – że pojawi się ktoś i zadeklaruje, że zechce tę rudą dziewczynę siedzącą na widowni. Nie stanie się to jednak w czasie tego balu i nie będzie to Kent.

Z całych sił próbuję tańczyć w szpilkach i napić mięśnie w obcisłej niebieskiej sukni, ale kończę na obrzeżach parkietu, rozsmakowana w zbyt słodkim ponczu. Za godzinę będę mogła po cichu się wymknąć i zaliczyć tę noc do porażek. Ale przynajmniej próbowałam coś zdziałać. Zawsze próbuję.

Łzy zbierają mi się w oczach, ale je powstrzymuję.

Wiem, że jestem na straconej pozycji, gdy nagle staje się rzecz nie do pomyślenia.

– Zatańczysz?

Odwracam się i widzę Sama, popularnego czwartoklasistę, znanego z zabawnego zachowania i szalonych pomysłów. Zaskoczona patrzę na jego ożywioną twarz i łobuzerskie zielone oczy. Kiedyś wyrzucił przez okno łóżko

jakiegoś chłopaka. Słynie z wariackich wyczynów, jak wtedy, gdy z rozpędu uderzył w ścianę, aby przetestować wytrzymałość kasku. Sam bez wahania niszczy szkolną własność, z upodobaniem nęka nauczycieli i ze względu na częste uszkodzenia ciała stał się stałym rezydentem uczelnianej kliniki. Powinni go wyrzucić ze szkoły, jednak zawsze balansuje na krawędzi. Jest nietykalny, ale nikt go za to nienawidzi, może poza trenerem futbolu, odkąd rozgrzewkę obrócił w występ Chippendales.

Zawsze uważałam, że Sam rządzi w szkole. Teraz patrzy na mnie z uśmiechem.

Potakuję odruchowo. Kto by z nim nie zatańczył?

Jego ręka chwyta moją i śmigamy na parkiet, poruszając się w rytmie jakiejś piosenki, chyba *In a Big Country*, ale dokładnie nie pamiętam. Jestem zbyt oszołomiona. Jak to się stało, że Sam poprosił mnie do tańca? Nawet nie wie, że istnieję, a tu nagle pojawia się, uśmiecha, jego ręka obejmuje mnie w talii. Chyba nie zdaje sobie sprawy, jak to na mnie działa. Bawimy się dobrze i mój nastrój natychmiast się zmienia.

Sam jest jednym z tych tancerzy eksperymentalnych, którzy wyskakują wysoko jak David Lee Roth⁷, a potem w ułamku sekundy opadają. Roześmiana, dziwię się, ile w nim szaleństwa. Jego śmiech mi wtóruje. Patrzy na mnie ciepło i zastanawiam się, jaki jest, gdy poważnieje. Wyczuwam, że mnie przejrzał, lecz nie przejmuję się tym, mając na uwadze, że to właśnie ten chłopak obrzucał z okna szkolnych gości mokrymi kulkami papieru toaletowego. Złośliwy skrzat, którego nie można wykiwać, bo odda z nawiązką.

Nie nazwałabym go playboyem, choć jest piekielnie uroczy. Klasowy klaun na ogół nie przyciąga stada dziewczyn, poznają się na nim później. Z drugiej strony jego nieustraszony charakter zasługuje na podziw, gdy Sam w czasie gry w futbol rzuca się na większego chłopaka. Niedawno nasz srogi dyrektor w obecności wszystkich uczniów i nauczycieli poprosił Sama, aby potarł jego łysą głowę na szczęście, co miało pomóc przełamać złą passę naszej drużyny futbolowej. Na tym właśnie polega siła Sama.

Jestem podekscytowana, że zwrócił na mnie uwagę. Szaleńczo szczęśliwa, a jednocześnie gotowa na to, że jak w filmie *Carrie* na moją głowę spadnie wiadro pełne krwi. Ta noc była katastrofą... aż do tej chwili.

Sam kręci mną na parkiecie, zachęcając mnie, abym wyluzowała. Lubię go obejmować. Jest lekko spocony, ale to czyni go jeszcze bardziej pociągającym. Czy to możliwe, że on też się denerwuje, czy po prostu poci się, gdy jest w ruchu? Trzyma mnie jak porcelanową lalkę, by zaraz

poprowadzić z furją do szybkiego tańca z piekła rodem. Im dłużej przyglądam się jego twarzy, tym bardziej mi się podoba. Dotąd nie zauważyłam, że z tymi błyszczącymi oczami i szerokim uśmiechem wygląda zabójczo. Lekko zapiera mi dech w piersiach.

Obcisła sukienka ogranicza mi ruchy, ale staram się nie zwracać na to uwagi. Przede wszystkim doskonale się bawię i cieszę tą wyjątkową chwilą. Naprawdę tańczę ze szkolną legendą.

Każdy facet, który na balu ratuje porzuconą przez partnera dziewczynę, musi być najmiłą osobą na świecie. Po beznadziejnej nocy pojawia się znikąd jak księżę na białym koniu. Nie miałam pojęcia, że coś takiego przydarzy się mnie, że taki przystojniak zwróci na mnie uwagę. Nagle do mnie dociera, jaki jest seksowny, jakby żywcem wyjęty z powieści romantycznych. Kluczowy jest tu element zaskoczenia.

Gdy muzyka cichnie, daję sygnał do wyjścia, ale Sam ma inne plany i chwyta mnie za rękę. Faun nigdy nie sprzeciwiłaby się takiemu śmiałemu gestowi i ja również nie mam zamiaru. Sam prowadzi mnie do swoich przyjaciół na pogawędkę, wszyscy to gwiazdy najstarszej klasy. Jeden z nich jest bratankiem wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych, tego, który później został prezydentem. Chłopcy są dla mnie bardzo mili, tak jakbyśmy znali się od dawna.

– Zróbmy sobie zdjęcie – nalega Sam, kierując nas do fotografa i przyciągając mnie do siebie. Nawet jeśli nie jest czuły, to jest grzeczny, co poprawia mi humor. Wiem, że na bal przyszedł z inną dziewczyną i po prostu stara się być miły. Nie zazdroszczę tej dziewczynie, którą wybrał. Jak mogłabym, skoro ta noc i tak była stracona? Pewnie zobaczył, że cierpię, i przyszedł z pomocą. Cel zrealizowany.

Jestem tak oszołomiona propozycją Sama, że szczęka mi opada, akurat gdy błyska światło flesza. Zdjęcie jest oficjalne, takie jakie powinnam mieć z Kentem. Przez kilka minut cieszę się z tego, że zostałam czyjąś księżniczką, że miałam prawdziwą randkę.

Światła zapalają się zbyt wcześnie, Sam powraca do swojej super-paczki, a Kent zjawia się, aby powiedzieć mi dobranoc. Czuję w powietrzu, że chce mnie odprawić, więc uprzedzam go, tłumacząc, że wszystko w porządku, nie zależy mi na randkowaniu, bo to by zmartwiło mojego chłopaka Jasona z Cape Cod. Wszystko dobrze się składa. Po cichu jestem wdzięczna Kentowi, że zgodził się przyjść ze mną na ten bal. Wracam do swojego

pokoju i wymazuję z pamięci tę noc, poza jednym cennym momentem, gdy popularny chłopak zawrócił mi w głowie i powalił na kolana.

Po balu każdy rusza dalej swoją drogą. Kent nadal jest uroczy i przyjacielski, ale poza moją sferą, i już nigdy nie wcieli się w rolę Devlina. Mimo że zabrakło między nami miłości, jestem mu wdzięczna, bo dzięki niemu zdobyłam się na śmiałość, dążenie do tego, czego chcę. Każdy powinien mieć swojego Kenta. Może odpowiedzieć tak, a odmowę da się przeboleć.

Razem z Nici marzymy o doskonałym chłopaku, zaczytując się romansami. Moją pokrewną duszą będzie ktoś inny, może John Taylor, który w końcu przez trzydzieści sekund jest świadomy mojego istnienia, gdy moja przyjaciółka spotyka go wiele lat później na przyjęciu. „Podoba mi się jej imię” – powiedział, choć oczywiście cała ta opowiadka może być wyszana z palca. W drugiej klasie piszę wypracowanie z angielskiego na pięćdziesiąt stron na temat Duran Duran, ale nawet wtedy nie mogę znaleźć chłopaka w Taft. Niemniej jednak ta praca cementuje moją pozycję jako fana Duran Duran numer jeden w całej szkole. Gruntownie prześledziłam funkowe początki zespołu, dążenie, aby tworzyć muzykę taneczną i radosną, niesłychany wzrost popularności dzięki zmysłowym klipom w MTV, i wreszcie dokonałam przekrojowej analizy tekstów piosenek autorstwa Simona Le Bona, porównując je z poezją T.S. Eliota (nigdy nie czytałam żadnego Eliota, nawet nie wiem, kim on jest).

Poza wymianą kilku uśmiechów na korytarzu nie mam żadnego kontaktu z moim balowym wybawcą, Samem. Kłopoty go nie omijają. Nie udaje mu się ustanowić rekordu w zjedzeniu największej liczby kwadratowych ravioli w ciągu godziny, a próba pokazania światu obnażonego tyłka przez okno kończy się założeniem trzydziestu siedmiu szwów, co sprawia, że do końca semestru Sam nie może siedzieć na zajęciach. Jak dla mnie jest nieosiągalnym bohaterem, o którym nie mogę nawet marzyć.

Może jest gdzieś ktoś stworzony dla mnie.



Rozdział drugi

Tragiczni bohaterowie są romantyczni tylko w powieściach, w prawdziwym życiu są żałośni

Lato 1987

Błędem było przeczytanie *Ptaków ciernistych krzewów*⁸ lata po tym, gdy wszyscy inni szaleli na punkcie serialu telewizyjnego i książki. Nie o ptaki tu chodzi, ale o zakazaną, świętą miłość. Tytułowe ptaki ciernistych krzewów to ludzie, którzy nadziewają się na kolec nieujarzmionej namiętności, w tym wypadku zakochani w sobie Meggie i ksiądz Ralph wpadają w pułapkę zaślepiającego seksu (może trochę upraszcam). Obecnie nie boję się już seksu, ale wciąż Kocham romanse. W rzeczywistości jest gorzej, niż było. Po co komu Faun i Devlin, gdy gorliwi katolicy Meggie i Ralph przeżywają męki namiętności? Ci dwoje sprawiają, że tęsknię za żarliwą miłością, która wykracza poza religię i czas. Źle, że tak bardzo lubię czytać. W czasie długiego upalnego lata, gdy czeka się na początek drugiego roku studiów, nie ma nic innego do roboty.

Pierwszy rok w Oberlin⁹ był bardzo pouczający – rozgrzewka przed ekstazą, którą – wiem na pewno – niedługo przeżyję. Czy może być lepsze miejsce do tego celu niż kompaktowa intymność Oberlin? W tym maleńkim mieście w Ohio nie ma zbyt wiele do roboty, więc trzeba skupić się na studiach i życiu towarzyskim. Uniwersytet jest konglomeratem majestatycznych budynków, starych i nowych, i przyciąga tak zróżnicowanych studentów, jak tylko to sobie można wyobrazić: hipisów, konserwatystów, muzyków poważnych, ludzi głośnych i cichych, aktywistów, pacyfistów, nudystów, fashionistów, gotów, ludzi teatru, intelektualistów oraz – właśnie tak – zapalonych sportowców. Szkoła z internatem dobrze przygotowała mnie do życia bez rodziców, więc szybko zadamawiam się w college'u i przebiegle rozglądam się za swoją miłością.

Na pierwszym roku musiałam przejść kilka rytuałów, zanim wzniosę się na wyżyny Prawdziwej Miłości – utratę dziewictwa i upicie się. Aby rozwiązać pierwszy problem, skorzystałam z usługi słodkiego Danny'ego, który kochał się w mojej współlokatorce. Gdy po tygodniu wreszcie

wyplakał się na moim ramieniu (psychiatria sprawdza się jako metoda uwiedzenia, pod warunkiem że chce ci się czekać), nasz związek przekształcił się w romans. Student dwóch kierunków – muzyki i nauk ścisłych – Danny roztaczał łagodną zmysłowość – zaspane brązowe oczy, spokojna natura – miał więc idealne predyspozycje, aby zająć się tym potencjalnie żenującym, jedynym w życiu rodzajem penetracji. Po tym wydarzeniu chciałam rozłożyć skrzydła gdzie indziej i w akcie lekkomyślności godnym *Dynastii* sparowałam się z jego przyjacielem. Danny z kolei związał się z jedną z moich koleżanek. A potem nasi przyjaciele, ci, z którymi się związaliśmy, zakochali się w sobie. W czasie tego dramatycznego cyklu odkryłam piwo. Na pierwszym roku patrzyłam na świat głównie przez piwne okulary i jechałam na emocjonalnej karuzeli zapożyczonych z *Dynastii*, nic więc dziwnego, że w końcu wylądowałam z Benem Buddystą z trzeciego roku.

Teraz jest lato i siedzę samotnie w domu mojej mamy w Rochester w stanie Nowy Jork, gdzie mam własny duży pokój na tyłach domu wyposażony w najważniejszy sprzęt: telewizor. Ktoś mógłby powiedzieć, że ta sytuacja sprzyja refleksji, co czynię przy lampce lub dwóch wytrawnego sherry mojej mamy. Wprowadziłyśmy zwyczaj, że pod koniec dnia siadamy na werandzie i kilka łyków sherry Tio Pepe mieszamy z babską gadką. Kto by przypuszczał, że z rodzicem można tak miło spędzać czas? Wystarczyło, że trochę podrosłam i już mogę cieszyć się tymi niezwykłymi momentami siostrzanej bliskości, o których pisała Jane Austen.

Gdy mamy nie ma w pobliżu, węszę po całym domu w poszukiwaniu książek w miękkiej okładce. Im bardziej dekadencje, tym lepiej. Nie wiem, gdzie znalazłam *Ptaki ciernistych krzewów*, ale wydaje mi się, że to własność Dona, mojego ojczyma, nauczyciela akademickiego, który w sekrecie czytuje bestsellery.

Lekturę rozpoczynam w swoim łóżku i czytam, aż zasnę. Po wyjściu mamy i Dona do pracy na uniwersytecie w Rochester przenoszę się na ich łóżko, większe i lepiej doświetlone dzięki światłu wpadającemu przez okno. Ponadto mam wrażenie, że robię coś zakazanego i złośliwego. Pod wieczór czytam na kanapie w salonie, ulokowanej blisko wejścia do kuchni. Mama budzi mnie na kolację.

Niestety, mama, Don, sherry, książki to ograniczony pakiet rozrywek dla dziewiętnastolatki przebywającej w domu, szczególnie jeśli nie potrafi ona wnieść nic istotnego do dyskusji na temat historii myśli intelektualnej lub wczesnego modernizmu. Mama i Don są poważnymi historykami, którzy nie

mają czasu, aby poćwiczyć z Jane Fondą, pooglądać MTV lub przedyskutować filmy z Johnem Travoltą, choć podsuwają mi klasyki, które ich zdaniem mi się spodobają.

Mama, wschodząca gwiazda w dziedzinie historii Europy i studiów na temat kobiet, wiecznie ślęczy nad maszyną do pisania, notatkami i stosami książek z biblioteki. Jej biuro przypomina miejsce katastrofy. Mój ojczym jest taki sam, tyle że również wygląda jak typowy historyk: niechlujny, zrzedliwy, ubrany jak nie z tej epoki, ma fatalnie obcięte włosy (mama go strzyże). Mama jest atrakcyjna, ma piękną twarz, ciepłe brązowe oczy, ładnie zarysowane kości policzkowe, ciemne, modnie uczesane włosy i modne ubrania. Ci dwoje to Piękna i Bestia. Miłość jest szalona.

Mój brat Patrick i syn Dona John, który od dziesięciu lat z rzadka pojawia się w moim życiu, już się usamodzielnili. Patrick mieszka w Nowym Jorku, gdzie podąża za swoim marzeniem o karierze aktorskiej. To przystojny rudzielec, całe życie związany z teatrem, był nawet drugi, tuż za Timothyem Huttonem, w castingu do filmu *Zwyczajni ludzie*. John jest muzykiem i studiuje w Miami.

Kilka lat temu spędziliśmy tu we trójkę letnie wakacje. Rodzice pojechali do Europy, a my zajmowaliśmy się głównie leniuchowaniem, choć podejmowaliśmy się również różnych poniżających zajęć. Patrick mocno przytył, więc stwierdził, że to dobry moment, aby zrobić trwałą. John naśmiewał się z niego tygodniami, ale sam nosił skórzaną kamizelkę na gołe ciało, udając, że jest Bretem Michaelsem¹⁰. Uwielbiałam się im przyglądać, skąpana w braterskiej miłości, której tego roku mi brakuje.

Moi przyjaciele porozeżdżali się po całym kraju, a ja – by przetrwać w Oberlin bez pomocy finansowej i bez pracy – muszę teraz zasuwać, a nie wzdychać do nieobecnych. Ludzie tak właśnie dorastają – zdani na samych siebie. W ciągu dnia zaliczam dwunastogodzinną zmianę w pralni chemicznej za rogiem, wieczorem znajduję azyl, objadając się kanapkami Dagwood, oglądając MTV, czytając gorące romanse i marząc godzinami o moim przyszłym chłopaku.

Nie powinnam myśleć o romansach, choćby dlatego, że w Rochester brak odpowiednich kandydatów. Ben, wkrótce student czwartego roku, w którym się zakochałam – mój ojciec Ralph, świątobliwe ciacho – jest buddystą. W Oberlin nie brakuje przedstawicieli cywilizacji zachodniej, którzy przyswajają filozofię Wschodu, lecz Ben wprowadza ją także w życie. Pojechał nawet do Indii, wrócił zakutany w prześcieradła i palił cuchnące papierosy. Miłość nie jest dla niego najważniejsza, co w moich oczach czyni

go jeszcze bardziej godnym pożądaniam. Nie jesteśmy parą pełną gębą, ale to się zmieni, gdy skończy się lato.

Z jego powodu zagłębiłam się w literaturę buddyjską, wybierając wspaniałe historie miłosne, ponieważ zakładają, że wszyscy wrażliwi ludzie zasługują na dobro. Z kolei ci, którzy czynią dobro, zasługują na miłość, co sprawia, że staram się być miłsza w stosunku do ludzi i mniej małostkowa (ale nadal trochę jestem, bo jeśli ta bezzębna, pijana baba, z którą pracuję na co dzień w pralni, jeszcze raz zniszczy ubrania i obwini o to mnie, to wyleję na nią ten koktajl z wódki Tang, którym się ciągle raczy).

Buddyzm pomaga mi znieść pracę w pralni: nieustannie kaszlącą amatorkę wódki Tang, nieprzyjemnych klientów i niesamowitą gorączkę, która tam panuje. Składanie i spinanie ciuchów przez cały dzień pozwala mi myśleć: „Benowi Buddyście spodoba się, że poświęciłam się pracy fizycznej, rąbaniu drewna, noszeniu wody”. Buduję swój charakter, nawet gdy lokalny prezenter pogody z telewizji, totalny dupek, drze się na mnie, że zgubiłam guzik od koszuli, którą podarowała mu mamusia. Przekleństwa, którymi ciskam w łazience, z buddyzmem nie mają wiele wspólnego, ale pomagają rozładować stres.

Gdy wszystko zaczęło układać mi się w głowie, dorwałam *Ptaki ciernistych krzewów* i cały trud poszedł na marne. Czy naprawdę sądziłam, że przez trzy miesiące mogę udawać, że nie mam pragnień i ego? W swoich nauczaniach buddyzm widocznie nigdy nie wziął pod uwagę Richarda Chamberlaina bez koszuli. Nie mogę się doczekać spotkania z moim księdzem. Nigdy nie wyraził chęci chodzenia ze mną, ale teraz będzie inaczej, spojrzy na mnie i dozna oświecenia, a potem zadeklaruje miłość.

Wreszcie nadchodzi dzień powrotu do Oberlin. W akademiku dzielę pokój z ubiegłoroczną współlokatorką Laurą. Obie jesteśmy wyluzowane, nawet wyglądamy podobnie, więc decydujemy się na wynajęcie apartamentu z dwiema sypialniami i wspólnym wejściem, choć bez saloniku. Nie mamy wspólnej przestrzeni, za to mamy prywatność. Jeżeli któraś z nas sprowadzi gościa, druga nie będzie narażona na traumatyczne odgłosy i figle, które płata wyobraźnia.

Z jakiegoś powodu (Ben) jestem bardziej niż zwykle lekkomyślna, jeśli chodzi o studia. Mam na swoim koncie kilku zaliczonych chłopaków, w Benie znalazłam swój ideał i dobrze wiem, że college oferuje bardziej ekscytujące rzeczy niż edukacja. Choć z łatwością zaliczam zajęcia

obowiązkowe na filologii klasycznej i zamierzam dodać drugą – francuską, nawet mi przez myśl nie przejdzie, że jestem tu po to, aby się uczyć. Chodzi o ważniejsze sprawy – litry piwa i długie spacery po kampusie z kimś, kogo adoruję. Stopnie nie są zbyt ważne. Czym jest ocena w porównaniu z kontaktem z istotą ludzką? Tym odkryciem nie mogę podzielić się z mamą, która płaci dziewięćdziesiąt pięć procent rachunku za studia. Nie zrozumiałaby.

Spryskuję się ulubionymi perfumami Femme i psychicznie nastawiam się na spotkanie z Benem w Tap House, spelunce, w której piją najfajniejsi ludzie z Oberlin. Jestem gotowa emocjonalnie, fizycznie i duchowo na przyjęcie Bena. Moje włosy też wystarczająco podrosły.

Czas na miłość!

Sytuacja przypomina tę, gdy piękna jak łania Meggie schodzi po schodach, a ojciec Ralph po raz pierwszy widzi ją dorosłą. Dręczy go jej uroda. Ben na pewno dostrzeże, że wzniosłam się na wyższy szczebel świadomości Buddy.

W głębi duszy czuję, że ustawiczne myślenie o nim nie może w żadnym wypadku prowadzić do szczęśliwego wspólnego życia. Nigdy nawet się nie całowaliśmy. Nic z tych rzeczy. W książkach, które kupuję w supermarketach, bohaterki nie marzą tak obsesyjnie o facetach. Pewnie, że Faun myśli o Devlinie, ale zawsze jest zdumiona, gdy zjawia się tam, gdzie ona. Ben nigdy nie szuka mojego towarzystwa. To ja chodzę za nim krok w krok, co zupełnie nie jest w stylu harlequina. Dlaczego moje szare komórki skupiły się na Benie, a nie na moich własnych ambicjach? To nienormalne. Ponieważ uwolnienie się od związku emocjonalnego jest jedną z zasad buddyzmu, staram się myśleć pozytywnie. Ben może mnie tyle nauczyć. Jestem chętna do nauki (i zaplątania się w jego prześcieradła na łóżku, choć nie mam wcale pewności, czy on to robi).

Serce mi kołacze, gdy pojawia się w drzwiach. Wraz z nim wchodzi jego przyjaciele i nowa dziewczyna, która wygląda jak Stevie Nicks. Stevie emanuje łagodnością, ma długie zwiewne włosy i słodkie brązowe oczy. Wymieniamy uścisk dłoni. Dopada mnie dziwne przecucie, ale tłamszę je i jak zwykle udaję, że nie widzę Bena, choć jest tuż przede mną. Romantyczne bohaterki zawsze są zaskoczone obecnością bohatera. Mężczyźni chyba przechodzą trening SEAL¹¹ i pojawiają się w pokoju niezauważenie. Oczywiście, ja też przeszłam szkolenie SEAL obok bogatego

doświadczenia zdobytego dzięki czytaniu i oglądaniu romansów. Udaję zachwyconą wszystkim, co widzę. W końcu Ben i ja przyjmujemy do wiadomości swoją obecność, ale mnie interesuje wszystko oprócz niego.

Nasi przyjaciele cieszą się z rozpoczęcia nowego roku, pijąc i gadając godzinami. Gdy Ben zamierza odprowadzić mnie do domu, budzi się we mnie nadzieja. Może mój chłopak jest trochę wstydlivy, ale troszczy się o mnie.

Balsamiczne powietrze tego pięknego wieczoru pieści nas, gdy idziemy. Moje wåtpliwoći ustępują miejsca miłosci. On się we mnie potajemnie kocha, ale jak ojciec Ralph nie może ulec tej miłosci.

– Czy dostałeś moje listy latem? – pytam.

Potakuje. Cisza.

O Boże. Pewnie nie powinnam posyłać mu stosów listów. Dlaczego dziewczyny robią takie rzeczy? Jestem zakłopotana. Tony papieru.

Faceci nie pisują listów, robili to sto lat temu. Musiałam jakoś uzasadnić to, że Ben mi nie odpisywał, więc przypisałam to jego męskosci. Od natłoku myśli kręci mi się w głowie.

– Nie mogę z tobą biec – mówi, gdy dochodzimy do akademika.

Nawet odprawia mnie poetycko, jakbyśmy byli końmi galopującymi przez pola.

– Wiem, że nie możesz.

Myślę: „A to niespodzianka”. Ale serce mi krwawi.

– Wiesz? – Spogląda na mnie, oczy mu błyszczą, choć nie wiem, jaki mają kolor, nawet w dzień.

– Wiedziałam od dawna.

– A więc jesteś czarownicą.

Dotyka moich policzków. Mówi to w najmiłszym znaczeniu tego słowa. Jest taki czuły, że chce mi się płakać. Na ogół, gdy facet cię rzuca, od razu szuka kryjówki. Traktuje cię, jakbyś miała dzumę. Ben jest kochany, choć bardzo dobrze wie, że mnie zranił.

– W porządku – mówię, bardzo starając się być silna.

Tłumię wulkan kłębiących się emocji. Daje mi do zrozumienia, że nie chce całować się ze mną na naszych podwójnych poduszkach do medytacji (moja pupa nie mieści się na jednej, a jego – tak, co wydaje się podejrzane), a to naprawdę jest bolesne.

Ben całuje mnie, przyrzeka dozgonną przyjaźń i odchodzi. Podobnie było, gdy Meggie i ojciec Ralph pierwszy raz się przytulili, tyle że w moim przypadku nie ma namiętnosci. Wiem, że Ben nie zmieni zdania.

W rzeczywistości między nami nie ma nic, co przypominałoby ten wir pożądania, który ogarnia Meggie i ojca Ralpa, gdy pierwszy raz łączą usta.

Dzień lub dwa później odkrywam, że Ben widuje się ze Stevie Nicks już od tej pierwszej nocy. Nie mogę się złościć, bo uwielbiam Stevie Nicks. Jest cudowna i zrobiłabym to samo. Nie mogę mieć pretensji do Bena.

Najgorsze jest to, że Ben jest taki grzeczny. Mówi mi prawdę, całuje mnie i obiecuje przyjaźń. Nie sądzę, aby kłamał. W gruncie rzeczy wciąż czuję się spowita w jego miłość.

Ben nie znika z mojego życia po tej nocy. Mimo że mam złamane serce wszystko, co zrobiłam – medytacje, czytanie, życie dla jednej chwili – było pozytywne. Ben nigdy nie miał zostać moim chłopakiem.

Pieprzyć to. Teraz muszę poszukać nowego obiektu miłości, bo studia są po to, aby chodzić na randki. Gdzieś tutaj się kręci mój przyszły mąż. Mówią, że na uniwersytecie spotyka się swoją pokrewną duszę i nawiązuje znajomości na całe życie. Zostały mi trzy lata – muszę działać szybko!

Kieruje mną jakaś zdumiewająca desperacja. Wszyscy – rodzina, przyjaciele, terapeuci – tłumaczą mi, że emocjonalny chaos jest efektem rozwodu rodziców, więc przychyliłam się do tej teorii. Może jest to kulminacja tych chwil, które spędziłam w książkach i przed telewizorem, zamiast podjąć jakieś działania. Chciałabym komuś pokazać, jaka jestem niezwykła, ale nie bardzo wiem, jak to zrobić. Im bardziej on się oddala, tym bardziej jestem wściekła... na siebie, na niego, za to, że nie poznał się na mojej wspianiałości.

Właśnie wtedy do Oberlin trafia *Fatalne zauroczenie* i wywołuje falę olbrzymiego zainteresowania. Choć poszłam do kina z grupą przyjaciół, odnoszę wrażenie, że siedzę tu sama, gdyż jestem jedyną osobą, która współczuje Glenn Close. Mimo że jest taka ładna i wytrwała, widownia cieszy się, gdy na końcu zostaje zastrzelona. Dlaczego wszyscy pragną, aby zginęła? No cóż, ugotowała królika i zagroziła rodzinie Michaela Douglasa, ale on też brał w tym udział. Przecież chciała tylko, aby ktoś ją pokochał, aby dał jej to, czego potrzebowała. Czuję, że czeka mnie taki sam marny los.

Po utracie mojego ojca Ralpa i celu siedzę na stopniach głównego budynku i przyglądam się ludziom, kaskadzie studentów wokół mnie. Znajduję się w centralnej części kompleksu uniwersyteckiego, na środku jest dziedziniec otoczony kołem budynków: biblioteka, stołówka, sale wykładowe, administracja.

Gdy pierwszy raz dostrzegam Craiga, który opuścił jeden semestr, mamy piękny dzień babiego lata. Mimo że nadal czuję smutek z powodu Bena, ożywiam się na widok tego chłopaka. Craig ma reputację króla balang, takiego gościa, który zawsze przychodzi po ostatnim dzwonku. Zaczyna właśnie swój czwarty rok z sześcioletniego programu studiów. Pamiętam, że na pierwszym roku moja współlokatorka miała z nim krótkotrwałą przygodę.

– Cześć, Schuntzie – mówi do mnie, śmiejąc się, gdy zmierza na pocztę.

Najczęściej ludzie używają mojego pełnego imienia Patience albo skrótów Pay, Paysh, Payshie. Craig zmodyfikował ostatnią część mojego imienia na swój własny sposób.

– Cześć!

Sądzę, że po wyjściu z poczty wróci do mnie, więc czekam.

Oto jak przedstawia się historia błyskawicznego odbicia się od dna: rozmarzona patrzę, gdy wraca, wypisz wymaluj Michael Paré z *Eddie and the Cruisers*¹². Wraz z Nicki, moją najlepszą przyjaciółką ze szkoły średniej, spędziłyśmy godziny, rozprawiając o bicepsach Paré, a teraz tenże Eddie jest tu, w Oberlin. Podobieństwo jest niesamowite: ciemnoblonde włosy, które opadają jak trzeba, jasnobłękitne oczy, wygląd muzyka rockowego. Craig gra w zespole i oczywiście jest głównym wokalistą.

Nagle lekko się w nim zadurzam i jestem gotowa na odmianę. Jeżeli Ben był ojcem Ralphem, to Craig jest moim Frankiem, bratem Meggie w *Ptakach ciernistych krzewów*. Frank to nic dobrego, wybuchowy, wyznawca koniaku, a jednak pragniesz jego towarzystwa. W kanonie romantycznej powieści Frank byłby Złym Chłopcem. Jest może zbyt szorstki (och, i kocha się we własnej matce, ale pomnę to). Kierują nim impulsy, pakuje się w niebezpieczeństwa i tak jakby popełnia morderstwo, ale podobają mi się jego cechy (przecież to fikcja). Na razie zapomnę, że Frank i Meggie są rodzeństwem. W *Ptakach ciernistych krzewów* granice moralne to mętlik.

Craig dołącza do mnie na schodach. Nadrabiamy wakacyjne zaległości, uwalniamy nasze smutki. On opłakuje swoją nordycką, blond eksdziewczynę, która zaczęła widywać się z kimś innym. Ja zawodzę o Benie, który uciekł ze Stevie Nicks.

Dobry z niego chłopak, skoro nadal kocha swoją byłą nordycką dziewczynę. Samodestrukcyjne zachowanie Craiga jest pochodną zawodu w miłości, a to przecież nie jego wina. Jak to możliwe, że ta dziewczyna nie dostrzegła jego troski? Przebywanie ze mną uleczy go. W trakcie naszych leczniczych interludów Craig dostrzeże, że jestem dla niego najlepszą

dziewczyną.

– Chcesz się przejechać? – pyta, mając na myśli swój nowy motocykl Yamaha.

Craig nie powinien mieć motoru. Nawet ja to wiem. A ja zdecydowanie nie powinnam z nim na niego wsiadać. Niektórzy ludzie sprawiają, że chcesz robić złe rzeczy, *naprawdę* złe. Wiesz, że one są złe, ale i tak je robisz. Mniej więcej tak jak ojciec Ralph i Meggie. Pomaga ją wychowywać, uświadamia ją o miesiączkach, a potem rzuca wyzwanie Bogu, pieprząc ją. On, który był dla niej jak ojciec! Czy może być coś bardziej skandalicznego? No i co z tego, że będę chodzić z najbardziej złym chłopakiem z kampusu i wsiadę na jego motocykl? Craig nigdy nie skrzywdziłby mnie celowo.

Skoro ostatnio byłam taka cnotliwa w związku z buddyzmem, należy mi się jakaś zakazana przygoda. Nie weźmie w niej udziału świątobliwy mężczyzna, ale i tak przyjmę ją z ochotą. Chcę intensywności, konwersacji, chcę krzyczeć na ulicy o każdej porze dnia i nocy. Chcę pić piwo, tańczyć w dyskotecce, grać w gry wideo, zrobić gwiazdę na dziedzińcu i pójść na kacu na zajęcia z psychologii.

Zasługuję na to. Pewnie, że pojedę z nim yamahą.

Oberlin to idealne miejsce, gdzie dziewczyna może się wyluzować. Wszyscy to robią. Paczula, niezliczone bary, eksperymenty z tą samą płcią, ideały liberalne, długie kwieciste spódnice, festiwale piersi, wspaniałe cheeseburgery, żadnych hamulców seksualnych i religijnych, koedukacyjne akademiki, muzycy i, rzecz jasna, wspaniałe programy akademickie (jestem tego prawie pewna).

Jazda na motorze przeraża mnie, ale co złego może mi się przytrafić? On wsiada na swojego krążownika szos i wzrokiem daje mi znać, że mam usiąść za nim i mocno się trzymać. Ma na sobie szarą koszulę w paski, ale za chwilę nałoży na nią nieodłączny rekwizyt wszystkich złych chłopców – skórzaną kurtkę.

Jeździmy wokół rynku, chowam twarz na jego plecach, śmieję się. Craig prowadzi pewnie. Wiem, że jestem bezpieczna.

Wystarczyło kilka dni, abym wpadła po uszy. Miłość do alkoholika wymaga samozaparcia i ciężkiej pracy. Spędzamy razem zbyt dużo czasu. Nasz związek bliski jest nienawiści, ale nie możemy wytrzymać bez siebie. Godziny bez niego – gdy jestem na zajęciach – są torturą. Moi rodzice nie mogą się dowiedzieć, jak marnuję ich pieniądze w kolejnej instytucji edukacyjnej. Tyle że tym razem nie chodzi o orzeszki w polewie jogurtowej, koktajle waniliowe i frytki. Grozi mi oblanie dwóch przedmiotów. Ale czym

są pieniądze wobec miłości? Bardzo troszczę się o znękaną duszę Craiga.

Nasz związek zaczyna się jak rockandrollowa historia miłosna, uniwersalna saga o zakazanej miłości, a dryfuje w kierunku powieści rosyjskiej, w której ktoś rzuci się pod pociąg. W drugim wariacie zmieniam się w Mary Carson, szaloną właścicielkę ziemską o białych włosach, która czyni z ojca Ralpa i Meggie zakładników, dręcząc ich z powodu seksualnej frustracji. Jej bogactwo uzależnia ich od niej. Ale nawet wtedy, gdy jej nie potrzebują, nie zostawia ich w spokoju. Craig na pewno mnie nie potrzebuje. Wystarczy, że pomacham mu przed oczami flaszką bourbona, a przybiega do mojego boku. Powinnam szybko uciec, ale nie mam siły. Jestem tą starą kobietą, która patrzy zachłannie, jak ojciec Ralph zdejmuje zmoczone deszczem ubranie. Jej miłość rośnie jak kiełkujące ziarno, moja też. Craig ma nieodparty surowy wdzięk, porażającą inteligencję i szorstkie maniery.

Podobnie jak Mary nie mam nad Craigiem żadnej władzy. Wręcz odwrotnie. To zauroczenie jest dziesięciokrotnie gorsze niż Buddystą. Craig jest całym moim światem oprócz tych momentów, gdy opowiada o teoriach Trockiego, Hegla i Marksa. Nie wiem, o co w nich chodzi.

Tej nocy, bardzo wietrznej wrześnie nocy, gdy oficjalnie zostajemy parą, godzinami czekam, aż przestanie gadać i zabierze się do rzeczy. W powieściach romantycznych bohaterka nigdy nie czeka. Devlin raczy Faun gwałtownym pocałunkiem, zanim ona skończy ostrzyć ołówki. Nie ma monologów, rozmów, tylko instynkt. Pożąda jej i ją dostaje.

Zastanawiam się, czy inne kobiety też przez to przechodzą, słuchają godzinami, starają się być interesujące i czekają, aż wydarzą się te dobre rzeczy. Meggie długo musiała trącać ojca, zanim jego „mały księżulek” wreszcie się poddał. Dotrzymanie kroku mojemu nowemu mężczyźnie wymaga wiele wysiłku. Ani *Statek miłości*, ani romanse, które przeczytałam, nie przygotowały mnie na takiego gadułę.

Siedzę, słucham i czekam.

Siedzimy w barze długo po tym, jak minęła happy hour. On ma na sobie bordową koszulę w paski i džinsy, pali jednego marlboro za drugim. W efekcie zaczynam palić czerwone marlboro i staję się nałogowym palaczem. Któż by zgadł, że po czterdziestu wypalonych papierosach mój głos zabrzmiał jak głos Kathleen Turner? Uśmiecham się i potakuję, gdy ona wygłasza niewarte zapamiętania komentarze. Więcej o Marksie. No cóż, nie miałam pojęcia. Kręcę kciukami.

Wreszcie o czwartej nad ranem, gdy w barze zapalają się światła, on

mówi:

– Wynośmy się stąd.

Później takie zwroty słyszę w filmach, co sygnalizuje odwrót do pokoju, aby uprawiać seks. W końcu! Idziemy do jego małego pokoju nad barem, ciemnego, bez okien, ale za to z materacem i kocami rozrzuconymi na podłodze. Miejsce typowe dla chłopaka, ale on przecież pochodzi z bogatej rodziny, a przynajmniej tak wywnioskowałam po motorze, ładnym samochodzie, podróżach i przyjęciach. Czy nie wolałby lepszego miejsca do wypoczynku? Wszędzie panuje bałagan, więc siadam z godnością na materacu. Przynosi sześciopak i siada obok.

Nie wiem, co się właściwie dzieje, ale częstując się kolejnym piwem, obliczam, że to moje czwarte tego wieczoru. Czuję się lekko wymęczona.

Przez dwie godziny siedzę, sączę letnie piwo i podziwiam go. Jestem zagubiona, słuchając jego monologu, bo nie rozumiem, dlaczego bogaty facet chodzi do Oberlin i rozprawia o komunizmie. Coś o proletariacie. Muszę to sprawdzić w słowniku.

O szóstej rano, na dwie godziny przed moimi zajęciami, całuje mnie. Natychmiast uderza we mnie kwaśny odór jego oddechu, ale nie dopuszczam tej dokuczliwości do głosu. Przecież to jest legendarny Craig, ten wesoły pijaczek, główny wokalista w zespole, bywały w świecie, intelektualista... i jest ze mną, dziewczyną, która jeszcze miesiąc temu nie wsiadłaby na motocykl. Która sądzi, że Karol Marks to facet o fajnym imieniu.

Craig całuje wspaniale, gdy tylko uda mi się zapomnieć o tym kwaśnym oddechu. W rzeczywistości wiele rzeczy wygląda lepiej, gdy pomija się detale. Craig jest dla mnie gwiazdą filmową. Nasza wspólna przyszłość jakoś się poskłada. On skończy studia, ja również, prawdopodobnie w tym samym czasie. Nie miałabym nic przeciwko temu, aby nas utrzymywać, pod warunkiem że on będzie zapewniał nowe przygody. Uderzyło to we mnie jak trąba powietrzna.

Po kolejnej długodystansowej randce – która jest dokładną repliką poprzednich – dowiaduję się, jak Craig chciałby umrzeć. Jestem w szoku, że osoba przy zdrowych zmysłach rozważa samobójstwo. On się do tego przyznaje.

– Przecież na końcu jest tylko śmierć.

– Nie pozwolę ci umrzeć.

– Nie możesz mnie powstrzymać.

Bohater z myślami samobójczymi? To się nie zdarza z wyjątkiem filmów

i programów policyjnych. W moich powieściach romantycznych nadąsani bohaterowie wypijają kilka kolejek whiskey od czasu do czasu, ale żaden nie rozważa stryczka.

Gdy miałam dziewięć lat, usłyszałam szamotaninę, wyjrzałam przez okno i zobaczyłam ojca pomagającego młodej kobiecie z sąsiedztwa, która podcięła sobie żyły. Przyszła do mojego ojca, gdyż można było na nim polegać. Jak ten dobry harcerz, którym zresztą był, uspokoił ją, zatamował krwawienie i sprowadził pomoc. Nie mogłam pojąć, co się stało, dopóki nie wyjaśnił mi, że niektórzy ludzie mają problemy i chcą opuścić ten świat. Biedna kobieta. Warto żyć, świat ma tyle do zaoferowania.

Mam szansę na uratowanie życia. Mogę sprawić, że Craig będzie lepszy. Kieruję całą energię na uleczenie go.

– Nigdy nie mam dosyć picia – oznajmia Craig, gdy opowiadam mu o swoim planie.

Jesteśmy w trakcie naszej regularnej nocnej nasiadówki, ale tym razem on z trudem wstrzymuje łzy, a wokół walają się puste puszkę po piwie. Jak to możliwe, że mając miłą dziewczynę u boku, jest taki nieszczęśliwy? Na to nie ma miejsca w moim romantycznym scenariuszu.

Łażę za nim przez kilka kolejnych dni. Widzę, jak dziewczyny, starsze dziewczyny, rzucają ku niemu znaczące spojrzenia. Ta piękna Latynoamerykanka. Blondynka, która przypomina Marilyn. Ciemnoblond mózgowiec, która przygotowuje swoje jedzenie tak uważnie, że zastanawiam się, czy sama nie jest uzależniona. Niska brunetka o brzoskwiniowokremowej cerze.

Jak się okazuje, miał je wszystkie.

Smutny, brudny seks na materacu i alkohol. Wymiotowanie z balkonów. Brak okna w pokoju. Niekończące się gadki o rządzie. O przewrotach. O zamachach. Rosja. Nasz romans jest żywcem wyjęty z tragicznego filmu, w którym gwiazda rocka umiera przy mikrofonie, krztusząc się wymiocinami. I tak jest to romantyczne. Jako bohaterka muszę znaleźć sposób na oswojenie niedobrego chłopca.

Gdy chcę uciec od tej ponurej rutyny, chronię się w piwnicy biblioteki Oberlin. Zabieram ze sobą Owidiusza, podręcznik do ekonomii (ten przedmiot obleję), notatki, papierosy, zestaw ołówków – i mój pamiętnik. Niektórzy palący znajomi też tam pracują, siedzimy w dużym pokoju, palimy, a w przerwach gapimy się na siebie. To miejsce sprzyja pracy, czasem rozmawiam ze starszymi chłopakami. Ostrzegają mnie, że obniżam poprzeczkę, zadając się z facetem na straconej pozycji. Biorę sobie ich

opinie do serca, dopóki Craig nie wchodzi do pokoju, wtedy znowu staje się zła – dla niego.

Opuszczamy razem zajęcia, leżymy na murawie na dziedzińcu, palimy papierosa za papierosem, rozmawiamy o niczym. Obserwujemy niebo, zmieniające się konfiguracje obłoków, aż kiedyś wskazuje na promień słońca przebijający się przez masę sztormowych chmur.

– Widzisz to? – pyta.

– Tak. – Dostrzegam przepiękne zestawienie słońca i burzy.

– To niezwykle – mówi.

– Od tej pory będę to nazywała Craig.

Jest zachwycony. To tak bardzo w stylu *Ptaków ciernistych krzewów*. Nie pamiętam jednak, jakie gramy w tej chwili role. Nie ma znaczenia, wiem, że miłość równa się torturze emocjonalnej. Być może nie jest nam pisane bycie razem: on chce opuścić ten świat, ja chcę... cóż, nie wiem jeszcze, czego chcę. Na razie jestem z własnej nieprzymuszonej woli obsesyjnie od niego uzależniona: od jego niesamowitej prezencji, aury rockmana, którą roztacza wokół siebie, od jego intelektu i postawy, gdzie czułość przenika się z gwałtownością. Nasze długie wspólne dni rozciągają się w jeszcze dłuższe noce. Męczy mnie ta rutyna, ale nie mogę z nią zerwać. Wszystko, czego pragnę, to jego obecność, leniwe pieszczoty w trawie i ciepło pod jego kołdrą. Wiem, że to się skończy. Otaczająca go ciemność ociera się i o mnie. Przemykam z miejsca w miejsce, palę marlboro, czuję się podle. Wiem, że musi się to skończyć, ale nic nie robię w tym kierunku.

Pewnej nocy Craig jest dla mnie wyjątkowo miły, patrzy tak, jakbym była najwspanialszą osobą pod słońcem. Co to znaczy? Na ogół nie zwraca na mnie uwagi, chyba że go prowokuję. Teraz przyciąga mnie mocno do siebie, zagląda mi głęboko w oczy.

– Kocham cię, Schuntzie. Ale jesteś dla mnie jak... siostra.

Czy można sobie wyobrazić lepszy afrodyzjak? Wkrótce potem porzuca mnie dla niskiej brunetki o brzoskwiniowokremowej cerze.

Czuję się głęboko urażona przez epizod z „siostrą”. Scenariusz z *Ptaków ciernistych krzewów* nieomal przewidział takie wypadnięcie z łask, tę niewłaściwą miłość pomiędzy rodzeństwem. Odczuwam ulgę, że nie muszę już uczestniczyć w tym galimatiasie gorącej namiętności. Mogę się wyspać, nie muszę Craiga chronić przed nim samym. Nadal jednak czuję się z nim mocno związana.

Tęsknię za jego słodką twarzą, przyjaźnią, siedzeniem razem w stołówce. On wydaje się nawet bardziej samotny niż ja, pod koniec dnia wpadamy na siebie i kończymy w barze lub bibliotece. Serce mi pęka, gdy widzę jego mękę, szczególnie gdy jednego dnia wchodzi do stołówki z krwawiącym rozcięciem na policzku po niefortunnym upadku na motorze.

Jego przyjaciele przekonują mnie, że nie jest alkoholikiem. To przecież uniwersytet, ludzie tu piją. Fakt, że piję maksymalnie cztery piwa, a Craig minimum dwanaście, wzmocnione kilkoma kieliszkami bourbona, nie oznacza, że ma problem. Wszyscy myślą, że przesadzam.

Próbuję to przeczekać, wiedząc, że do mnie wróci.

Kilka tygodni później dowiaduję się, że zerwał z brunetką o kremowobrzoskwiniowej cerze. Znajduję go w barze przekąskowym, bezmyślnie patrzącego przed siebie. Uśmiecha się, gdy mnie widzi. Wiem, że chce czmychnąć.

– Chcesz się wybrać na przejażdżkę? – pyta.

Widzę, że jest pijany. Na dworze zima. Drogi są zamarznęte, nie uśmiecha mi się przejażdżka z pijakiem. Jeżeli wsiadę na motor, to zasługuję na każdą katastrofę, która może mnie spotkać. Nie ma nic głupszego niż prowadzenie po pijaku z wyjątkiem chętnego, trzeźwego współpasażera.

Oczywiście jadę. Nienawidzę siebie, gdy siadam na siodełku. Kocham go, nienawidzę tej siły, która nagina mnie do jego woli. Jediną wspólną cechą, która łączy mnie z Meggie, Mary, Frankiem i ojcem Ralphem, jest uczucie bezsilności. Prawdziwa tragiczna miłość, której nie mogę powstrzymać.

Zapala motor i jeździmy po lokalnych drogach. Wiatr wyje, widzę, że Craig jest podпиты, bo gwałtownie odchyła się na zakrętach. Zwykle spokojna, teraz wrzeszczę z przerażenia, w jego plecy, w powietrze, licząc, że przestanie, że weźmie pod uwagę moje życie. Ale jemu jest wszystko jedno, nie myśli o moim bezpieczeństwie.

Żałuję swojej lekkomyślności, desperacji, która sprawia, że wsiadam na motor pijanego faceta, tego, że tyle przytyłam od picia piwa. Że oblewam dwa przedmioty. Ten osobnik życzący sobie śmierci ciągnie mnie za sobą. Mam przecież tyle do zrobienia. Przysięgam sobie, że nie zmarnuję ani sekundy.

Dopóki nie zwalnia i bezpiecznie się zatrzymuje.

Gdy stoimy koło jego mieszkania, zaprasza mnie na górę. Nadszedł czas decyzji. Albo pójdę do domu i wyleczę się z tego chorego związku, albo podtrzymam tę destrukcyjną rutynę. Idę na górę, nienawidząc siebie

i jednocześnie przyrównując do bohaterów tragicznych. Craig zapada w sen, a ja schodzę na dół, obserwuję ludzi wracających o czwartej rano i myślę: „Nie mogę tego ciągnąć”.

Następnego dnia znowu idę do mojej jaskini w bibliotecznej piwnicy, zaczynam się uczyć, wracam do domu o przyzwoitej godzinie. Zdarza mi się jeszcze przespać kilka razy z Craigem, ale nie czerpiemy z tego przyjemności. Sytuacja przypomina głód narkotyczny – gdy go widzę, moje pragnienia ponownie się budzą i raczej umrę, niż z niego zrezygnuję.

Sama chyba życzę sobie śmierci, przechodząc przez trudne okresy pijaństwa i wysiadywania w barach do wczesnych godzin rannych z nadzieją, że go spotkam. Potem znowu zbieram się w sobie i zaczynam się uczyć. Gdy go widzę, wywołuję złośliwe kłótnie lub – dosłownie – biegnę za nim, przejawiając agresywne zachowania, których nigdy nie miałam w swoim repertuarze.

Co się ze mną stało?

Pewnej nocy, gdy Craig mnie ignoruje, dochodzę do wniosku, że to koniec. Prześladowają mnie obrazy śmierci: kobieta pod naszym domem z ojcem, nieprzytomny Craig na łóżku, dziewczyna w szkole średniej, która wzięła za dużo tabletek, a potem zmieniła zdanie. Smutni ludzie, którzy stracili sens życia, to nie kolorowi bohaterowie z filmów i książek. Może jestem smutna, bo nie mogę go w żaden sposób odzyskać – i niby po co miałabym to robić? Zdając sobie sprawę, że moja misja spaliła na panewce, wychodzę z baru i siadam na środku jezdni.

Trzy rzeczy, które warto zapamiętać: 1/ O trzeciej rano na drodze jest nikły ruch. 2/ Mam świetny refleks i na widok świateł zbliżającego się samochodu z łatwością uskakuję na pobocze. 3/ Nie jestem Sylwią Plath. Jestem za to naprawdę zdesperowana. Chcę, aby Craig zobaczył, jak nisko upadłam, gotowa zginąć pod kołami samochodu (choć wcale nie jestem na to gotowa).

W przeszłości tylko raz myślałam o samobójstwie w wieku lat piętnastu i myślę, że miało to związek z zatruciem pokarmowym. Leżałam chora w łóżku i dumałam o podcięciu żył na nadgarstkach nożyczkami. Wtedy byłam przerażona, że w ogóle pomyślałam o czymś takim. Teraz chcę zatrzymać czas, pozbyć się tej słabej, patetycznej osoby, która we mnie zamieszkała. Czuję się jak idiotka, łażąc za kimś, kto mnie nie chce. Ojciec Ralph przynajmniej odwzajemniał miłość Meggie, troszczył się o nią. Do diabła z *Ptakami ciernistych krzewów!*

Światło zmienia się na zielone, ale ani śladu samochodu. Odwracam się

i spoglądam w kierunku baru, aby sprawdzić, czy ktoś mnie zauważył, gdy jak wariatka siedzę sobie na środku drogi. Na pewno nie Craig. On mnie w ogóle nie dostrzega. Jedyne osoba spoglądająca z okna to Ben, a w jego spojrzeniu jest tyle współczucia, że czym prędzej zrywam się na równe nogi.

Nie ma w tym nic romantycznego.

Po tym wydarzeniu szybko dochodzę do siebie aż do momentu, gdy zdaję sobie sprawę, że mój okres spóźnia się o dwa tygodnie. W moich ukochanych powieściach to zawsze moment radości, po którym następuje propozycja małżeństwa. Nie czuję żadnego szczęścia, zbieram w sobie tony odwagi, aby podejść do Craiga i powiedzieć mu o naszym dziecku. Pragnę tego dziecka. Jeśli nie mogę mieć Craiga – a nie powinnam go mieć – to mogę wychować jego dziecko.

– Chyba jestem w ciąży – oznajmiam, gdy łapię go siedzącego samotnie w barze.

– Z pewnością mam sporo dzieciaków na tym świecie – odpowiada zdawkowo, jego oczy pozostają zimne.

Jak łatwo odejść od niego. Po co niby miałabym zostać? Craig nie jest okrutny. On po prostu żyje na innej planecie. Kilka dni później dostaję okres i zdaję sobie sprawę, że nie oczekuję dziecka – na szczęście. Utrzymuję dystans wobec Craiga, ale jeszcze raz ulegam słabości, jak narkoman, i błagam go, aby do mnie wrócił, wrzeszcząc do niego na dziedzińcu (wyszło to całkiem ciekawie). On odwraca się i odchodzi na zawsze. Co jeszcze mogę zrobić? Wylać kwas na jego motocykl czy też siedzieć na schodach i czekać na jego powrót?

Syndrom *Fatalnego zauroczenia* błędnie, bo nie jestem w stanie tak gonić dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Pewnego wiosennego poranka siedzę pod łukiem na dziedzińcu, pochłonięta tłumaczeniem Owidiusza. Przetrwałam ten rok prawie w jednym kawałku, jeszcze kilka tygodni i będę mogła wrócić do długich godzin pracy w pralni chemicznej, zarabiania pieniędzy na następny rok, z czystym kontem. Przecież każdemu może się trafić kiepski rok, prawda?

Nagle słyszę warkot motoru i czuję zimno. Motor jedzie wokół dziedzińca, widzę Craiga z jedną z moich dobrych znajomych za jego plecami. Jest godzina dziewiąta rano. Na pewno nie uczyli się tak wcześnie. Spędzili tę noc razem, nawet nie zmrużywszy oka.

Łzy płyną mi po policzkach, na kolanach niedokończona praca z łaciny.

Właśnie wtedy decyduję, że muszę odejść ze szkoły i uciec od Craiga. W ciągu kilku dni zapisuję się na roczne studia w Paryżu, gdzie spędziłam dzieciństwo. W mieście deserów i Rodina dziewczyna na pewno się wykuruje.

Wiele lat później, gdy zafundowałam sobie torturę w postaci googlowania swoich byłych, sprawdziłam Craiga w księdze absolwentów i zauważyłam wokół jego zdjęcia czarną wstążkę, oznaczającą śmierć. Byłam zaszokowana i smutna. Pisał do mnie listy o chęci odejścia z tego świata, ale uważałam, że przejdą mu te czarne myśli i zostanie takim bohaterem, o jakim marzyłam.

Wracam do niego myślami od czasu do czasu. Gdy widzę na niebie ciemne chmury z prześwitującym promieniem słońca, myślę: „Też cię pozdrawiam, Craig!”.

Rozdział trzeci

Na kryzys najlepsza zabawa w Paryżu

1988, trzeci rok studiów, za granicą

Paryż jest trochę lepszy niż inne miejsca. Cukierki są smaczniejsze. Możesz kupić całą rybę i wypatroszyć ją samodzielnie, zamiast wybierać z tych pakowanych bryłek nie wiadomo czego w supermarkecie. Produkty smakują świeżo. Rozrywkę i kulturę możesz znaleźć na każdej uliczce, nawet jeśli to tylko ty z przyjacielem gracie w klasy. W pobliżu Paryża mieszkali królowie. Produkowano tu wspaniałe filmy. Króluje tu prosta i wyrafinowana moda, a ciastka wyglądają jak dzieła sztuki.

Muszę znowu zobaczyć Francję. Dzięki temu, że mój ojciec wprowadził program wymiany akademickiej między swoim uniwersytetem a paryskim, Paryż był moim domem, gdy miałam pięć lat. Mieszkałam tu wtedy dwa lata. Nieco czasu spędziłam tu także, gdy miałam dwa, trzy i osiem lat. Jadłam i mówiłam jak Francuzka, zwiedzałam zamki, muzea, jeździłam w góry. Nie były to łatwe wycieczki.

Teraz znalazłam w sobie wystarczająco dużo zdrowego rozsądku, aby studiować cały rok – a jest to znacznie tańsze niż w Oberlin. Wyjeżdżam. W mgnieniu oka jestem w swoim starym domu w Dwunastej Dzielnicy, koło Bastylli, która kiedyś była więzieniem (gilotyna mnie fascynuje).

Szybko ogarniam życie paryskie, brukowane uliczki, wąskie chodniki, ciche pogaduszki Francuzów w metrze. Najlepsze na świecie pieczywo, czyli bagietkę, którą zjadam do połowy, zanim doniosę do domu. Francuski majonez jest nie z tego świata. Kupuje się go w tubie, wyciska przez otwór w kształcie gwiazdy, jak ozdobę na ciastkach. Mogłabym go jeść cały dzień. Pomidory, których na ogół nie lubię, są okazałe i pyszne. Jadam kanapki z majonezem i pomidorem.

Za jaką amerykańską rzeczą tęsknię? Serialem *Pełna chata* z Johnem Stamosem. I jeszcze za miłymi pracownikami poczty. Francuscy urzędnicy pocztowi zachowują się obraźliwie w stosunku do nas – zagraniczników. Gdy prosisz o znaczki, mówiąc płynnie po francusku, odpowiadają po angielsku z grymasem niezadowolenia. Ale i tak wszystko tu kocham.

Nie jestem już tą usychającą z miłości dziewczyną z drugiego roku, która

myśli wyłącznie o znalezieniu nowego chłopaka. Jestem studentką trzeciego roku w Paryżu w ramach programu prowadzonego przez uniwersytet SUNY¹³ w Brockport. Zajęcia odbywają się w Dzielnicy Łacińskiej, w której najbardziej lubię się bawić. Moimi opiekunami są Chevalierowie, przyjaciele rodziców, a jeden ze starszych członków rodu jest spokrewniony z francuskim premierem. Chevalierowie dysponują wolnym pokojem w mieszkaniu swojej córki. Starsza ode mnie o prawie dwadzieścia lat wydaje się rozbawiona moimi dziewczęcymi wygłupami. Jestem szczęśliwa, że mam tu własne miejsce i przyjaznych ludzi wokół siebie.

Bycie Amerykanką i rudzielcem w Paryżu to pewne wyzwania. Ciągle jestem zaczepiana w metrze. Nie uważam się za supermodelkę. Myślę, że bardziej chodzi o moje wystraszone spojrzenie, karnację Howdy Doody'ego¹⁴ i białe tenisówki. Jeżeli w wagonie znajduje się jakiś szaleniec, to na pewno podejdzie do mnie i będzie wrzeszczał pomiędzy jednym a drugim przystankiem. Zaczepiają mnie do tego stopnia, że kupuję złotopodobną obrączkę i udaję, że jestem mężatką. Właśnie, mężatką w dwudziestym roku życia.

Niestety, przyciągam jeszcze więcej wariatów, więc wyciągam jakieś obszerne ciuchy i udaję, że jestem w szóstym miesiącu ciąży. Wypinam brzuch – zaokrąglony od nadmiernej ilości *panache* (piwo zmieszane z 7Up lub sprite'em) i migdałowych croissantów – chodzę jak kaczką i siadam ostrożniej niż zwykle. Czuję się trochę winna, gdy ludzie ustępują mi miejsca, ale przecież staram się chronić cnotę. Jestem przerażona wizją padnięcia ofiarą pobicia, oszustwa, napadu czy gwałtu w obcym kraju.

Należy zaznaczyć, że dla dwudziestolatki Francuzi są zarówno przerażający, jak i nieodparci. Mają reputację czarujących łajdaków. Mimo to jestem urzeczona ich pięknem. Sposobem, w jaki rozmawiają, strzygą włosy, wielkimi uduchowionymi oczami i tym, jak godzinami potrafią mówić o niczym. Poważnie, na przykład trzygodzinna konwersacja na temat jakiegoś zioła rosnącego w odległym zakątku Francji albo abstrakcyjnego sześciokąta wystawionego przez nieznanego artystę, wstążki, którą żona dyplomaty nosiła pięćdziesiąt lat temu. Jestem Amerykanką, mówię ogólnikami: o miłości, polityce, kanapowych dowcipach, książkach, celebrytach. Teraz jednak zaczynam dostrzegać różne szczególiki i je omawiać.

Płynność we francuskim powraca w ciągu pięciu minut. Moje francuskie ja odradza się szybko na równi z paryską manierą mówienia w tempie karabinu maszynowego. Kto nie pokochałby tych ślicznych uliczek, tej

architektury, sensu historii, oszałamiającego wyboru tortów, poświęcenia sztuce, kultury kafejkowej i biegania w górę i w dół po schodach metra? Kobiety noszą pończochy we wzorki, coś, na co bym się nigdy nie odważyła w domu.

Wkrótce kupuję pończochy w kropki, w tureckie wzory i w paski. Rozmiary francuskie nie faworyzują kobiecych zaokrągleń, więc nie mogę kupić zbyt wiele ciuchów. Zaopatruję się natomiast w dodatki.

Zamawiam kanapki *au jambon*¹⁵ jak Francuzka, choć demaskują mnie białe tenisówki. W moim ulubionym barze Monaco, gdzie pijam poranną kawę i jadam popołudniowe *panache*, jestem *l'Americaine*. Czytuję Sartre'a i Camusa, palę ciągiem i kontestuję moje miejsce w świecie.

Zauważam, że Francuzi są delikatniejszej budowy, na ogół mają świetne nogi i wyrefinowanie, do którego nam, Amerykanom, bardzo daleko. Z drugiej strony brakuje mi naszej amerykańskiej naiwności, szczerości, tendencji do melodramatyzmu i „wyrzucenia z siebie”. Czy mogę kochać oba kraje?

Zajęcia na uniwersytecie rozpoczną się we wrześniu, wtedy to będę oficjalnie uczęszczać do paryskiej filii SUNY Brockport. Program jest przewidziany na semestr i prowadzony dwa razy w roku, ale zamierzam zostać na cały rok. Dwadzieścia lat temu ten projekt wprowadził w życie mój ojciec. Obecnie pilotują go bliscy przyjaciele rodziny, Wallace'owie. Eric Wallace, wysoki, o siwej brodzie, zawsze nosi zieloną marynarkę i pali fajkę, z miłością wiedzie nas przez wszystkie miejsca godne uwagi, zabiera na wycieczki po Francji i prowadzi zajęcia. Jego żona, Eloise, symbol francuskiej elegancji i *joie de vivre*, uczy języków.

Znam ich przez większość swojego życia. Traktuję jak drugich rodziców. Zaiste, gdy byłam jeszcze bardzo mała, wspinałam się po długich nogach Erica, jednocześnie trzymając go za ręce, i przekręcałam się, wywijając koziołka. Eloise zaspokajała moje kaprysy, śmiała się z moich błazeństw, zawsze pięknie umalowana, z włosami spiętymi w gładziutki, francuski kok. Teraz, gdy jestem piętnaście lat starsza, Wallace'owie karmią mnie kulturą, opowiadają o książkach i upijają czerwonym winem. Nie zliczę tych razy, gdy podpita wsiadałam do metra i budziłam się w domu z lekkim kacem.

Zwiedzamy Dolinę Loary, oglądamy miejsca, które widziałam już wiele razy w czasie, gdy mój ojciec wykładał na tym uniwersytecie, w tym wspaniałe zamki w Chambord i Chenonceau. Jako dwudziestolatka jestem

zafascynowana szerokimi kamiennymi ścieżkami wiodącymi do spektakularnych zamków królewskich i dobrze utrzymaną zielenią. Gdy zwiedzamy wnętrza, te olbrzymie pokoje, podziwiamy zmysłną tapicerkę, aksamity, hafty, krótkie łóżka, sztucce, zastanawiam się, jak samotni musieli być mieszkańcy takiej olbrzymiej przestrzeni, ale też jak niezwykli! Twoja prawdziwa miłość mogła mieszkać w drugim końcu budynku. Dumam o francuskim przeciwieństwie naszego harlequinowego Devlina. Prawdopodobnie jest europejskim księciem, jakimś Ludwikiem, ze skołataną duszą, lecz w pięknych szatach, noszonych z wrodzoną elegancją, tak jak często potrafią robić to Francuzi. Może przysposabiają go do ważnej funkcji i musi się ożenić z jakąś ohydną damą dworu. Choć w rzeczywistości ona wcale nie jest ohydna. Pod postrzępionymi włosami kryje się gorąca laska. Gdy poszczypiesz jej policzki, wykwitną na nich urocze rumieńce. Po francusku Faun brzmi *Faune*.

W nocy, po kolacji, razem z kolegami z zajęć, urzędujemy w pokojach, czasem do trzeciej rano, nawijając i paląc papierosy, dopóki nie padniemy. Tak się żyje we Francji. Spędzanie czasu ze studentami z różnych uniwersytetów, których zbliża wspólny program akademicki, sprawia, że dużo się dzieje. Szalone rzeczy. Fajne rzeczy. Przyjechałam jednak do Francji, aby ożywić moją duszę, a nie po to, aby przeżyć przygodę z amerykańskim chłopakiem. Dlaczego miałabym nie spotykać się z jakimś egzotycznym Francuzem, moim Ludwikiem? Cóż, może najpierw muszę poduczyć się na znanym materiale. Chęć do życia powraca pod koniec pierwszego semestru. Czuję tyle energii, że wybaczam wszystkie występki i chcę przytulić cały świat.

Oto Hal, ten obrzydliwie przystojny chłopak z naszego programu, który myśli, że jest następnym Gordonem Gekko. Nienawidzę go od pierwszego dnia za drobiazgowo strojenie się w krawat i koszule zapinane z góry na dół na guziki. Jest arogancki i uważa, że Ronald Reagan jest bogiem. Za plecami nazywam go „Reaganite”. Dlaczego Hal zapisał się na ten program z francuskiego? Czyżby po to, aby nieco urozmaicić swoje nudne CV? Nienawidzę jego perfekcyjnie zaczesanych, nażelowanych włosów. Nienawidzę jego krystalicznie błękitnych oczu i opalonej skóry faceta, który w czasie przerwy wiosennej jedzie do Fort Lauderdale i rechoce w czasie konkursu mokrego podkoszulka. Hal prezentuje żaloszny poziom podrywu, co wskazuje – przynajmniej według mnie – na wewnętrzną słabość. Odgrywa rolę skrzydłowego w stosunku do swojego znacznie przystojniejszego przyjaciela Billa. Reaganite czai się na przyjęciach,

wypatrując ludzi, którym może zaimponować. Moja odraza do niego pogłębia się przez kolejne trzy miesiące.

Dopóki się nie poślizgnę.

Pewnej grudniowej nocy czuję się świetnie – lekka jak piórko, szczęśliwa, oświecona. Ludzie mają świąteczne nastroje w związku ze zmianą pory roku, lampkami na drzewach, początkiem okresu świątecznego, choć Paryż różni się w tym, jak obchodzi święta, od amerykańskich miast – nie ma tandetnych plastikowych mikołajów na dachach. Widać tylko radosne światła.

Euforia buzuje mi w piersi i rozprzestrzenia się po całym ciele. Kto by się przejmował Craigiem i całym tym smutkiem w Oberlin? Zamiast tego każda moja komórka drży z radości nad ludzką naturą. Na Ziemi jesteśmy po to, aby żyć i kochać (i jeść ciastka). To jest to. Na tym muszę się skupić i sprawić, aby moje życie było ważne. Pławię się w tym odnalezionym poczuciu celu. Do tego stopnia, że kupuję te niezwykle francuskie cygara i w ciągu jednej nocy wypalam dziesięć.

Wychodząc z mieszkania, mam świadomość, że wyglądam fantastycznie – bujne włosy, ładny uśmiech, skórzana brązowa kurtka i nieustający entuzjazm. Przelatuję nad chodnikami, nad rówieśnikami, markizami, dzieciakami z lodami w rożkach i myślę, jak pięknie jest żyć.

Gdy idę na przyjęcie dla studentów z naszego programu, męczą mnie jakieś dziwne myśli. Chcę znowu być zła, jak wtedy z Craigiem, nieustraszona, odważna (minus jazda na motorze po pijaku). Więcej, prześpię się z kimś. Jestem tego pewna nie dlatego, że tak postanowiłam, ale dzięki boskiemu olśnieniu.

Przyjęcie odbywa się w mieszkaniu Billa i Hala z okazji ostatniego weekendu przed zakończeniem programu wymiany. W mniej więcej dwadzieścia osób spędziliśmy wspólnie trzy miesiące i staliśmy się rodziną. Otwieram drzwi do ich mieszkania, w którym jest rojno jak w ulu. Moi przyjaciele tłoczą się na stojąco w salonie, siedzą na piankowych kanapach i piją wino.

Wreszcie, po raz pierwszy, naprawdę dostrzegam Hala. W białej koszuli zapinanej na guziki i wyprasowanych spodniach jest – jak zwykle – przesadnie wystrojony, jakby gotowy wygłosić przemówienie w sali konferencyjnej. Nasze oczy spotykają się i podchodzi do mnie.

– Cześć – mówi.

– Cześć – odpowiadam.

Konwersacja mistrzów.

– Ładnie wyglądasz.

„Wiem” – chciałabym odpowiedzieć, ale zamiast tego dziękuję mu. Siadamy na kanapie i rozmawiamy godzinami. Kto by pomyślał, że mamy tyle wspólnych tematów?

Raz przynajmniej nie wnikam w bagno, którym jest dysfunkcyjność mojej rodziny. Przez dziesięć lat rodzice żyli osobno, a pięć minut po podpisaniu papierów rozwodowych zawarli ponownie małżeństwa. Moi przybrani rodzice to stały element wyposażenia, który akceptuję, i nawet od czasu do czasu okazuję im uczucia, z wyjątkiem chwil, gdy muszę chodzić na palcach wokół łatwo irytującej się żony mojego ojca. Do tego trzeba dodać wymagającą matkę, oddalającego się ojca i tęsknotę za bratem. O żadnej z tych rzeczy nie wspominam. Utrzymuję lekki i miły nastrój.

W czasie przerw przyłączamy się do konwersacji z innymi znajomymi, ale rzadko spuszczałyśmy z siebie oczy. Po północy ludzie wychodzą i wkrótce Reaganite i ja jesteśmy sami na jego materacu.

„Jesteś mój” – myślę. Jak mogłam go nienawidzić?

Atmosfera robi się gęsta, serce mi zamiera, gdy gasi światło. Podchodzi do materaca i całuje mnie. Czuję jego zarost na twarzy. Dzięki Bogu, to weekend, bo na pewno pozostawi okropną wysypkę na skórze. Jednak mam nadzieję, że ślad utrzyma się przez chwilę jako dowód mojej rozpusty, który będę mogła zademonstrować przyjacielom.

W ciągu kilku sekund zdejmuję mu ubranie, ale przez cały czas mam na sobie swoje buty. Świta mi, że to moja pierwsza jednonocna przygoda, bez żadnej nadziei na związek, ponieważ semestr za chwilę się kończy. Nawet go nie lubię. Chociaż to może się zmienić. W końcu jestem dziewczyną. Noc pełna pasji, bez zdejmowania butów, oznacza prawdziwą miłość.

Około piątej rano ubieram się – zauważam, że buty nadal mam na sobie – i opuszczam mieszkanie. Ten zwycięski pośpiech, aby wyjść bez poproszenia mnie o to, dodaje mi energii. Jestem silną, niezależną kobietą, która nie musi przeciągać sprawy. Nie mogę zmarnować ani sekundy, wszyscy dzisiaj muszą dowiedzieć się o moim kurestwie. Chciałabym wykrzyknąć z Ile Saint-Louise: „Właśnie miałam swoją pierwszą przelotną przygodę!”. Powstrzymuję się jednak, bo jest piąta rano, a paryżanie obdarzyliby mnie jedynie zde gustowanymi spojrzeniami, jako że przelotne przygody to dla nich codzienność. „O co ten hałas?”.

W moich fantazjach Hal chciałby, abym została na śniadaniu. Cały dzień

będzie o mnie myślał. W ciągu kilku godzin, które zajmuje przejazd od jego stacji kolejowej do mojego mieszkania, obmyślam historię miłosną z Halem w roli głównej. Odległość nie ma znaczenia. On pewnie kochał się we mnie cały semestr. Kobiety to straszne kreatury, moja inteligencja mogła go onieśmielić. Ten związek może przetrwać; on wróci na uniwersytet, ja spędzę trzy kolejne miesiące we Francji, usychając z tęsknoty za nim. Ponieważ studiuje finanse i roztacza aurę bogactwa, któregoś dnia na pewno zgromadzi fortunę. Będę mu z radością kibicować, gdy będzie spełniał swoje marzenia.

Wiem, że nie powinnam do niego dzwonić (tym bardziej że nie mam jego numeru). Zjawienie się w jego domu kilka godzin po wyjściu byłoby chore, nawet z mojego punktu widzenia. Nie, pozwolę tej miłości kiełkować od niedzieli do poniedziałku, dopóki nie zobaczymy się ponownie na zajęciach.

Nikommu nic nie powiem. No, może kilku osobom. Pomiędzy niedzielnym porankiem a popołudniem wypaplałam wszystko większości znajomych. W poniedziałek gorzko tego żałuję. To, że nie mogę przestać myśleć o Reaganite, oznacza, że ten związek jest skazany na porażkę, a ja bez wątpienia jestem psychotyczką i desperatką.

Jedyne, co mogę zrobić, to wyglądać atrakcyjnie w klasie, spróbować odzyskać trochę energii, którą emanowałam w czasie weekendu. Jak mogłam ulec czarowi Reaganite'a?

W poniedziałek na zajęciach wszyscy uśmiechają się do nas dwojga. Nasza przelotna przygoda stała się głównym tematem w ostatnim tygodniu szkoły. Hal zupełnie mnie ignoruje, bo jestem dziwką. Gdy kolejne dni mijają, tracę nadzieję na jedenastogodzinną deklarację miłości. Dlaczego niby ma się zdeklarować? Trudno, abym piekła mu ciasteczka po tym, co zrobiliśmy.

Po zakończeniu programu muszę przykleić palce taśmą, aby nie pokusić się o napisanie do niego cukierkowego listu. Wszak nic dobrego nie może wyniknąć z tęsknoty za takim mężczyzną jak Hal. Na szczęście piękno Paryża zawsze przyćmiewa ulotną ekstazę romansu. Nikt nie może zrujnować szczęścia, które znalazłam w tym magicznym miejscu.

O tym smutnym wyskoku zapominam natychmiast, gdy samolot linii Pan Am, lot numer 103, eksploduje nad Lockerbie w Szkocji. Pierwszy raz dociera do mnie, że na świecie żyją prawdziwi szaleńcy, którzy wysadzają samoloty. Niektórzy z pasażerów byli studentami wracającymi do domu po studiach zagranicznych. Ta otrzeźwiająca wiedza amortyzuje nadejście wakacji... dopóki nie przyjeżdżają mama i Don, aby zabrać mnie na Sycylię.

Podróżowanie z rodziną to swoiste niebo i piekło w jednym. Moja mama i przybrany ojciec, Bonnie i Don, są jednocześnie najlepszymi i najgorszymi towarzyszami podróży. Uwielbiają wykwintne jedzenie, zwiedzanie, wciąga ich każdy ciekawy aspekt znanych obiektów. Trzeba ich jednak posłuchać, gdy w drodze walczą jak pies z kotem.

– Don, patrz na drogę – mówi Bonnie, chwytając się rączki nad oknem.

Zaciska zęby. Podobnie jak ja ma chorobę lokomocyjną. Don prowadzi ambitnie, co oznacza, że szarpie. Nikt nie jest bezpieczny na drodze. Jeżeli go wyprzedzisz, dogoni cię, minie i czasami pokaże środkowy palec. A gdy to robi, przy okazji otrze bok twojego samochodu.

– Czy możesz się uspokoić? – odszczekuje.

– Don, nie trzymasz się swojego pasa. Spadniemy z tej góry.

„I umrzemy” – dodaję w myślach.

Wtedy wyjmuję walkmana i salwuję się ucieczką. Jak to możliwe, że ta dwójka się pobrała? Nie jestem pewna. Pamiętam jedynie, że w 1978 roku mama przedstawiła mi temu tęgiemu mężczyźnie o szalonych oczach i krzaczastych brwiach. „To jest Don”. Rzucił mi psotny uśmiech, prawdziwa rzadkość u niego, oczy mu rozblęły, jakbym była małym słodkim tłuścioszkiem. Trochę go lubiłam i jednocześnie czułam do niego urazę.

W ciągu kilku godzin po poznaniu go, patrząc na ich relacje, zastanawiałam się, jak mogą z sobą wytrzymać, chociaż było jasne, że oboje są miłośnikami historii i pracoholikami. Przez cały dzień tylko książki, omawianie książek, pisanie o umarłych.

W czasie tego tygodnia na Sycylii dojeżdżamy – w jednym kawałku – do różnych miejsc: Palermo, Syrakuz, Agrigento, Taorminy. Ptak narobił mi na ramię pierwszego dnia w Palermo, ale uznałam to za dobry znak. Ponadto to mógł być jakiś egzotyczny ptak mafii. W każdej restauracji – pod wpływem zaczytywania się *Ojcem chrzestnym* – oczekuję powitania syndykatu. Udaję karabin maszynowy, co rozbawia moją mamę, co z kolei rozbawia mnie.

Wcinamy niezliczone talerze makaronu i sączymy słodkie wermutowe martini, siedząc na werandzie z widokiem na morze. Po kilkugodzinnych podróżach robimy drzemki. Nie ma nic lepszego od spania u boku mamy. Nigdy nie spało mi się tak dobrze jak w czasie naszych wspólnych sjest. Jedyne minus – przypadkiem zobaczyłam mojego przybranego ojca nago, gdy wychodził z łazienki.

W końcu wracam do Paryża i przygotowuję się do drugiego semestru, z Wallace’ami i grupą nowych studentów. Eric z entuzjazmem oznajmia, że

w tym semestrze będziemy oglądać francuskie klasyki filmowe. Biedacy!

Od momentu, gdy pierwszy raz obejrzałam *Jean de Florette* (1986), marzę o tym, aby spotkać Gérarda Depardieu. Niepotrzebnie się martwię, on jest wszędzie, zupełnie jak McDonald's. Pod koniec pierwszego semestru wypuścili we Francji film, który wszyscy oglądaliśmy co najmniej raz. Gérard gra Augusta Rodina (jakżeby inaczej!) w *Camille Claudel*. Isabelle Adjani gra tragiczną Camille.

Oto scenariusz: Camille jest genialną rzeźbiarką – tak piękną, że aż oczy bolą od patrzenia na nią. Jedyne pocieszenie, że jest wypačkana w glinie... co jej nowy mentor Rodin uznaje za bardzo seksowne.

Ponieważ on jest sławny, ona piękna, a oboje są genialnymi rzeźbiarzami, cudzołożą pomiędzy nagimi, glinianymi figurami. Kłopot w tym, że Rodin nie jest w stanie zostawić swojej wieloletniej kochanki, z którą zresztą po wielu dekadach się ożeni. Gdy przestaje odwiedzać Camille, ona wpada w obłęd, nie wychodzi z domu, przygarnia zbłąkane koty i mówi do siebie (ale nadal wygląda tak, że może pokazać się na czerwonym dywanie). Jakie są skutki tej manii? Poruszające, boleśnie emocjonalne rzeźby kobiet, ślepa niewinność dzieci, miłość odnaleziona w walcu. Brat Camille umieszcza ją w przytułku, gdzie przeżyje trzydzieści lat.

Biedna Camille, spotkał ją smutny koniec, ale stworzyła wspaniałą sztukę. Przypadkiem większość jej dzieł jest wystawiona w Musée Rodin. Biegnę obejrzeć, zastanawiając się, jak by to było być świadkiem życia tych dwojga, skazanych na zgubę w miłości, a jednocześnie tworzących tak prowokujące dzieła. Godzinami wzdycham do rzeźb, myśląc o tym, ile Rodin i jego protegowana musieli przejść, by zostawić nam po sobie coś tak cudownego.

Chyba już nigdy nie będę taka jak przedtem.

Morał tej historii jest taki, że znękana miłość nie jest wcale zła, pod warunkiem że ma się hobby. Mój romans z Craigiem nie był całkowitą stratą czasu, w efekcie przyjechałam tutaj. Dużo się wtedy nauczyłam. A życie Amerykanki w Paryżu bardzo mi odpowiada. Nawet nie próbuję wcielić się w starą rolę małej słodkiej dziewczynki. Jestem intrygująca, towarzyska i – co najważniejsze – ogarniam wszystkie bary w Paryżu. To część mojej nowej rutyny, aby żyć pełnią życia. Skoro tak żył każdy wielki artysta, mogę i ja. Na pewno jest to materiał na romans, mieszanka tragedii i radości.

Wieczory rozpoczynam w okolicach Palais-Royal, na tyłach ulicy Rivoli,

w maleńkim irlandzkim pubie o nazwie Flann O'Brien. Bywam tam prawie codziennie, aby spotkać się z Amerykanami niekoniecznie z mojego programu. Po nieustannym nurzaniu się we francuskim miło dla odmiany usłyszeć angielski. Barman jest prawdziwym Irlandczykiem i serwuje mi guinnessa, którego uwielbiam. Gdy jestem nieźle ścięta, wraz z przyjaciółmi z programu, zataczając się, przekraczamy most Pont Neuf i kierujemy się do Dzielnicy Łacińskiej, do turystycznej pułapki o mocno zawyżonych cenach, jaką jest pub Saint-Germain. Liczne piętra wypełniają międzynarodowi goście. Na jednym spotkasz Szwedów, na kolejnym grupę Włochów. Kelnerzy są Francuzami.

Po raz pierwszy idę tam w towarzystwie Davida, chłopaka, który zaprosił mnie na pierwszy bal w Taft School, tego, przed którym skryłam się pod schodami. David kochał się we mnie, pisał dla mnie piękne wiersze po francusku, a ja traktowałam go jak powietrze. Ponieważ jestem dorosła, na uniwersytecie i w Paryżu, czuję się zmuszona do zadośćuczynienia. David mieszka w Anglii i wpada z wizytami. Gdy spotykamy się na stacji metra, wpadamy sobie w ramiona. Zapomniałam, jaki był wysoki. Ma miłą twarz, może nie konwencjonalnie atrakcyjną, raczej przystojnego faceta, któremu parę razy się dostało.

Idziemy do pubu Saint-Germain na najwyższe piętro, które jest puste. Opowiadamy sobie o życiu. Wyrzucam z siebie opowieść o tym pijaku, z którym się spotykałam w Oberlin. On wspomina ojca, który niedawno umarł. Zawsze chodzi o strach, prawda? To on nieszczęśliwie przyciąga do siebie ludzi takich jak Camille i Rodin. Gdy tak sobie gadamy, zauważam, z jaką szybkością David wlewa w siebie kolejne kufle piwa. Martwię się, przecież już to znam. Opuuszczam mu przez pierwsze trzy godziny, zakładam, że opłakuje ojca. Wkrótce nie mam wątpliwości, że zaraz straci przytomność.

Odczuwam ból i rozglądam się za wyjściem. Czy wypada wymknąć się po kryjomu tak jak w czasie balu? Rozglądając się, zauważam, że przygląda mi się jeden z kelnerów. Wie, że jestem w trudnej sytuacji, i mruga do mnie. Już go kiedyś widziałam, te niebieskie oczy o magicznej sile. Tylko jak się pozbyć Davida?

Około drugiej, kiedy jedyne, co mi pozostało, to powrót do domu piechotą, bo wydałam wszystkie pieniądze, zostawiam Davida przy stole. Nie potrafię zamartwiać się tym, jak on dotrze do domu.

– Przepraszam, muszę lecieć.

– Dokąd idziesz? – pyta z szerokim uśmiechem, jakby nic się nie stało.

– Muszę wyjść.

Biorę płaszcz i torebkę i wzorem Kopciuszka szybko wymykam się, dosłownie wpadając na mojego kelnera.

– Już wychodzisz? – pyta z tym uroczym francuskim akcentem.

– Mój przyjaciel jest pijany – odpowiadam po francusku.

– Kiepsko. – Uśmiecha się, a następnie robi coś nie do pomyślenia: wciąga mnie za róg i całuje. Scena w stylu francuskim – spontaniczna, absurdalna, romantyczna. – Kiedy wrócisz?

– Nie wiem.

– Zadzwoń do ciebie.

– Jasne. – Szukam kawałka papieru, zapisuję na nim imię i numer.

– Och, Patience. – Szczyrzy zęby. Ludzie często reagują w ten sposób na moje imię. – Jestem Denis. – Całuje mnie ponownie i bierze numer telefonu.

– Jutro do ciebie zadzwonię.

– Dobra.

Co za diabelskie szczęście! Umęczona pijanym Davidem nie spiszę jednak tej nocy na straty dzięki Denisowi Kelnerowi. Kelnerzy we Francji są zupełnie inni niż amerykańscy. Dla wielu z nich kelnerowanie to prawdziwa kariera, dlatego uczą się obsługi gości i manier. Nie robią tego po to, aby następnego dnia biec na castingi. Z pewnością niektórzy zamierzają zdobyć inny zawód, ale zawsze, gdy jestem w Paryżu, zdumiewa mnie, jak z podawania do stołu można uczynić sztukę. Teraz spotkałam kelnera, który mnie pocałował.

Na telefon od Denisa czekam całe dwadzieścia cztery godziny. Poważnie, cały czas przy aparacie, nie biorę prysznic, nie wychodzę z mieszkania. Zastanawiam się, czy wyciągnąć z worka *Fatalne zauroczenie* i pójść do pubu Saint-Germain. Oczywiście, że tak. Camille Claudel była natrętna, ale jednocześnie była genialną artystką. Zrobię to co ona.

Do misji randkowania z francuskim kelnerem wciągam Fionę. Rozumie moje zauroczenie, sama spotyka się z Francuzem. Chętnie idzie ze mną – za pierwszym razem. Ale Denisa tam nie ma. Szukam go wszędzie. Czyżby odszedł z pracy? Boże, dlaczego przytrafia mi się to teraz, gdy wreszcie życie miłosne zaczyna nabierać rumieńców (tak jakby)?

Mój obłąd kwitnie wraz z miłością do taniego czerwonego wina. Noc w noc łączę do pubu Saint-Germain, nieugięta prześladowczyni francuskiego kelnera. W międzyczasie wydaję pieniądze, których moi rodzice nie mają,

pobierając z konta więcej niż ta pułapka turystyczna o zawyżonych cenach i zupełnie niefrancuska jest warta. Miłość kosztuje.

Już prawie rezygnuję, gdy zjawia się Denis. Dzięki boskiej interwencji ufam, że nadzieja nie umarła. Serce mi wali. Czy myślał o mnie, o tej miłości, która nas połączyła w czasie pocałunku trwającego trzydzieści sekund?

Jego oblicze jaśnieje na mój widok i puszcza do mnie oko. Ci Francuzi i ich mruganie! Odbieram to jako znak, że będę miała francuskiego chłopaka, jak Fiona, która ma okazję doświadczać pragnień i żądz po francusku – zupełnie jak w filmach! Denis wypełnił moją krew obsesją, mój Rodin.

W chwili względnego spokoju podchodzę do niego.

– *Bonsoir*. – Całujemy się w policzki jak starzy przyjaciele. – Gdzie byłeś? – pytam.

– Pojechałem na narty – mówi po francusku, a potem recytuje swój plan podróży.

Gdy tak pływam w jego błękitnych jak ocean oczach, wiem, że chodzi o intensywną, lecz krótką przygodę. Randka z Denisem jest równie prawdopodobna jak to, że ten bar nabierze francuskiego charakteru. To dlaczego mnie pocałował i poprosił o telefon?

Ponieważ tego wymagała grzeczność. Zobaczył mnie w tej piekielnej sytuacji z Davidem. Bo było to miłe. A ja wróciłam, aby wpompować więcej pieniędzy w ten pub, w jego utrzymanie.

Zostałam wmanewrowana. Przygnębiona wracam do domu około trzeciej nad ranem. Jak to jest, że jestem we Francji, a nie mogę znaleźć miłego francuskiego chłopaka? W oryginalnym planie tego nie było, chodziło o wyjazd, lepsze samopoczucie, odzyskanie życia, w którym jest coś więcej niż tęsknota za chłopakiem.

Przez resztę semestru postępuję zgodnie z tym planem. Kilka miejsc szczególnie zapadło mi w sercu: Wersal, dom Ludwika XIV, który miał niesamowite włosy à la gwiazda rocka. Jako dziecko czułam więź z tymi śmiałymi pozami Ludwika na obrazach, ukazującymi jego nogi i szalone włosy. Pałac wykracza poza luksus, z basenami, statuami, nie wspominając o pokoju pełnym luster – marzeniu każdego narcyza. Jednak to Giverny, dom Moneta, rzuca na mnie czar. Jakby się żyło w świeższej wersji jego obrazu, wszędzie, gdzie idziesz, masy kwiatów. Oniemiałam na widok tej utopii. Wędrując, robię zdjęcia, które nigdy nie oddadzą urody tego miejsca. W pewnym momencie dostrzegam Wallace'ów, spacerujących ramie

w ramię, ewidentnie zakochanych, cieszących się z każdej wspólnie spędzonej minuty, i robię im zdjęcie. Właśnie takiej miłosnej historii pragnę dla siebie.

Ostatnie miesiące spędzam na podróżach po Francji, żłopię więcej *panaches*, palę *gauloises*'y, wcinam tyle ciastek, ile się da. Przyglądam się rewiom mody, które mam tuż przed oczami – więcej pończoch w kropki, krótkie spódniczki, czerwone szminki – pełnym wdzięku ruchom, francuskiemu urokowi, który większość durniów pozbawia tchu.

Pokochałam Paryż, ale nie znalazłam mojego Louisa, tylko uroczych kelnerów. Zrozumiałam, że moją prawdziwą miłością jest samo miasto, a to sprawia, że moje serce jest znowu pełne. No cóż, jest jeszcze jeden kelner, Jean-Baptiste, także z pubu Saint-Germain, który również chce mnie naciągać na napiwki i przez dwa tygodnie udaje mu się to. Potem przesypia się z moją znajomą.

Opuszczam Francję szczęśliwa, z uboższym kontem, lecz z bogatszą duszą.

Rozdział czwarty

Harrison Ford nie przyjedzie do Cleveland

1991

Pod koniec studiów chodzi mi po głowie film *Pracująca dziewczyna*, popularna produkcja z 1988 roku, z gatunku od żebraka do księcia, i doskonała wskazówka, jak znaleźć pracę i chłopaka. Ostatni rok studiów był banalny, ponieważ skoncentrowałam się na pracy i przyjaciołach, unikając przy tym dramatów. Na kilka dni przed uzyskaniem dyplomu dostałam słodko-kwaśny list od Craiga, który wyjechał ze swoją dziewczyną do Japonii. Gratulował mi ukończenia studiów i życzył szczęścia. Bardzo miły gest, który zawsze będzie sprawiał mi radość. Nigdy mu nie odpisałam, lecz doceniam takie sympatyczne pożegnanie.

Rozdanie dyplomów w Oberlin przebiegło gładko, jak po maśle. Moi rodzice na ogół unikali się i po rozładowaniu ciężarówki do mojej przyszłości każdy z nas pojechał w innym kierunku. Mama i Don do swojego nowego domu w New Jersey, położonego blisko Rutgers University, gdzie zostali obydwój zatrudnieni jako wykładowcy. Ojciec wrócił do Brockport, Patrick na Manhattan.

Teraz kolej na mnie. Czas rozpocząć dorosłe życie! Już wiem, że spotkają mnie wspaniałe rzeczy. A skoro jestem gwiazdą w swoim własnym romansie, wydawało mi się, że spadnę na cztery łapy bez żadnego dorobku w karierze, jeśli tylko posłużę się wzorem Tess McGill¹⁶.

Pomysł, aby mieszkać na Manhattanie, mnie przytłacza, więc decyduję się na przeprowadzkę do Cleveland, trzydzieści minut drogi od Oberlin, które będzie moim przejściowym domem. Te nieśmiałe, pierwsze kroki na drodze do wielkich marzeń są równie zdumiewające jak kurczące się oszczędności. Gdzie się podziały te pieniądze? Moi przyjaciele znajdują zatrudnienie w innych miastach lub podejmują studia podyplomowe. Z wyjątkiem kilku znajomych, którzy mieszkają w sąsiedztwie, jestem zdana na siebie.

Dzięki wspaniałomyślnej koleżance, która poświęca wiele godzin, aby pomóc mi w poszukiwaniu mieszkania, znajduję jedno na uchodzących za bezpieczne przedmieściach – Lakewood – trzydzieści minut jazdy autobusem

od śródmieścia Cleveland. Dzielnicę zamieszkują głównie białe rodziny i yuppies. W mieście przebiega niewidzialna linia rasowa, co tworzy problemy na całej długości. Na dodatek bigoteria jest powszechna. Ledwo pojawiając się w mieście i już słyszę białego wymawiającego słowo na N¹⁷. Jestem w szoku. Nie ma to nic wspólnego z harmonijną koegzystencją w Oberlin, gdzie wszystkie rasy traktowano z szacunkiem.

Pomimo ukrytej przemocy w mieście moja kawalerka jest olbrzymia, z obszernym salonem, okazałą garderobą, normalnych rozmiarów kuchnią i sypialnią. I jest tania! Rodzice ofiarowują mi stare meble i dywany, organizacja mieszkanka świeżo upieczonej niezależnej dziewczyny staje się świetną zabawą.

Oburzające natomiast jest oczekiwanie rodziców, że będę się sama utrzymywać. Podobno jestem dorosła. Niektóre przejawy dorosłości są ekscytujące – mogę zarabiać pieniądze, podejmować własne decyzje i jeść to, co chcę. Ale to również najgorszy jej aspekt. Aby zarobić pieniądze, trzeba pracować, i to codziennie. Jeżeli ma się szczęście, praca uformuje się w przyszlą karierę. Aby znaleźć pracę, trzeba podjąć decyzję, jaką pracę chce się wykonywać. Chcę być sławna i bogata albo zameżna... czy coś, byle tylko za bardzo się nie spocić.

Troska o jedzenie to pestka, chociaż utrata luksusu korzystania z uniwersyteckiej stołówki jest dość bolesna. Chyba nietrudno ugotować posiłek? Wiem, jak przyrządzić ryż i makaron i jak otworzyć puszkę. Za parę tygodni mój Książę z Bajki będzie mnie zabierał do dobrych restauracji na pięciodaniowe kolacje (uwielbiam jeść poza domem). W chwili obecnej spróbuję ziemniaków w proszku – do tej pory to był zakazany owoc. Rodzice nigdy nie pozwalali mi ich jeść, więc czas najwyższy nacieszyć się swoistą kontrabandą. Do ziemniaczanych płatków należy dodać wodę, mleko i trochę masła. Może też odrobinę parmezanu. To taki pyszny, dorosły posiłek! Kluski marki Ramen są takie ładne i tanie, że również kupuję je w dużych ilościach.

Teraz pora na dorosłą pracę. Pokonuję przeszkodę bycia bezrobotną z tytułem magistra, wyobrażając sobie, że mogę być kolejną Tess z *Pracującej dziewczyny*. Krótko mówiąc, Tess, wiecznie zatrudniana na zlecenia, walczy, aby wydostać się z zawodowego rynsztoka, i w efekcie zdobywa świetną pracę i mężczyznę, z którym zamawia chińszczyznę na wynos, jednocześnie robiąc skomplikowane obliczenia do późnych godzin

nocnych. To wyjątkowa i mądra klasyczna bohaterka romansów. Wiadomo, że zawsze dostanie pracę, na jaką zasługuje. W czasie wolnym od czarowania swoich współpracowników – na przykład ofiarowywaniem im kartonu papierosów, bo tak jej się podoba – w tajemnicy chodzi na zajęcia z biznesu. Mimo przyjęcia kolejnej pracy na zlecenia z czasem okazuje się lepsza od swojej szefowej (która ma kościsty tyłek) i zdobywa miłość Jacka Trainera, granego przez Harrisona Forda. Jack pracuje bardzo ciężko po nocach, a rano zmienia koszulę i zaczyna nowy dzień. Z pozoru jest bezwzględny biznesmenem. W rzeczywistości to spragniony miłości szczeniaczek oferujący Tess herbatkę ziołową w chwili, gdy ona dogorywa po nieudanym przyjęciu biznesowym. Najlepsza jest końcówka, kiedy pakuje jej bogate we fruktozę drugie śniadanie, gdy ona zaczyna nową pracę. Tess jest postacią złożoną, z głową na karku i głosem gwiazdy porno. Zaczyna karierę skromnie, ale w końcu dostaje lepszą pracę i faceta. Muszę być taka jak Tess: z płacą za godziny i umiejętnością uwiedzenia dyrektora bez zbędnego wysiłku.

W istocie wiele powieści miłosnych rozpoczyna się w taki sposób – kobieta ma nową pracę lub znajduje się w nowej sytuacji. Teraz, gdy będę zarabiać własne pieniądze, mogę bezkarnie kupować te wszystkie pikantne romanse lub wypożyczać je w lokalnej bibliotece. Idę zatem do supermarketu po ziemniaki w proszku, makaron marki Ramen i soczyste romanse. Nigdy nie zwracam uwagi na autorów i wydawców, łapię pierwszą lepszą książkę, pod warunkiem że ma najbardziej seksowną okładkę – falujące piersi, długie włosy à la Cher, gołe łydki i potargane odzienie. Próbuję znaleźć opowieści, które przypominają moją sytuację. Na pewno gdzieś na tych kartkach żyją Faun podobne do mnie.

Zwykle Faun, gdy zdobywa odpowiedniego faceta, wykonuje mniej niż idealną pracę. Mówią, że większość romansów zaczyna się w pracy. Marząc o takiej ekscytującej przyszłości, decyduję się – podobnie jak Tess i inne bohaterki – podjąć przejściową pracę sekretarki. Z kilku powodów: 1/ Piszę ponad sto słów na minutę. 2/ Lubię organizację. 3/ W efekcie Melanie Griffith demonstruje swoje umiejętności i zdobywa serce Harrisona Forda. 4/ Na uniwersytecie w ogóle nie myślałam o karierze, więc mam przechlapane. Wszyscy mówią, że łacina bardzo w życiu pomaga, ale to nieprawda. Tłumaczenie Cycerona i Owidiusza miało znaczenie przy zaliczeniu testu SAT. Patetyczna – mam na myśli, że kompletnie odlatowa – poezja miłosna Katullusa dedykowana Lesbie w żaden sposób nie przydała się w poszukiwaniu pracy.

Zazdroszczę mojemu bratu Patrickowi, który wie, czego chce, i po to sięga. Obecnie występuje w sztuce *Wesele Tony'ego i Tiny*¹⁸ i bierze udział we wszystkich możliwych przesłuchaniach. Jego życie sprowadza się do szukania ról aktorskich. Być może podobnie jak inni z mojego pokolenia, Generacji X, mam duży potencjał, lecz mało wewnętrznej pasji poza oglądaniem telewizji i czytaniem. To jednak wcale nie musi być prawdą, a moja sytuacja nie musi być taka znów żałosna. Znam płynnie francuski, jak z nut czytam po łacinie, kaligrafuję na poziomie profesjonalnym i łatwo uczę się języków. Mieszkałam za granicą i mam przyjemną aparycję. Ze smutkiem przyznaję, że nie gwarantuje to dobrego stanowiska tuż po ukończeniu Oberlin (na marginesie, nikt mnie o tym nie uprzedził), ale na pewno ktoś mnie zatrudni. Doradca na uniwersytecie uważał, że może mi się spodobać praca w wydawnictwie lub w reklamie (tym zajmują się Timothy Busfield i Ken Olin w serialu *Thirtysomething*). Gdy zapytałam, co mam zabrać na rozmowę kwalifikacyjną, agencje odpowiedziały, że portfolio będzie mile widziane. „Nie masz żadnych boardów?” – zapytał pracownik jednej z agencji. Jasne. Boardy. Przygotowałam więc boardy. W istocie były to genialne cudze reklamy naklejone na karton i udające moje własne prace.

Praca sekretarki jest łatwiejsza niż skok na głęboką wodę w poszukiwaniu lukratywnego stanowiska. Poza tym lubię pracę w administracji. Praca w biurze wydaje się prestiżowa. Wyobrażam sobie, jak to będę chodzić w tenisówkach, a potem w biurze zmieniać je na szpilki jak Tess. Praca sekretarki da mi czas na zastanowienie się, co tak naprawdę chciałabym robić. Może w czasie wolnym uda mi się napisać jakąś niezwykłą książkę.

Gdy ojciec wypytuje mnie o plany długoterminowe, obejmujące między innymi ubezpieczenie zdrowotne, wyjaśniam, że zanim podejmę prawdziwą pracę, chcę mieć jakieś praktyczne zajęcie.

– A jeśli coś ci się stanie? – pyta.

Odkąd ożenił się z *niq* – kobietą, która była całkiem zabawna, ale teraz uważa, że zakłócam jej spokój – oczekuje się ode mnie, że pójdę prostą drogą.

– Postaram się, aby nie wałnął we mnie autobus. Jeśli tak się stanie, sama za to zapłacę, nie martw się.

– Musisz mieć ubezpieczenie zdrowotne.

– Trudno o pracę po studiach.

Nie dociera to do niego od razu, dopiero po roku, po przeczytaniu

artykułu w „New York Timesie”, który przedstawia tę samą tezę: moje pokolenie natrafia na trudności w znalezieniu pracy zaraz po ukończeniu studiów. Na szczęście nie zwierzam mu się ze swoich marzeń. Gdy kilka razy wspomniałam, że chcę zostać pisarką, usłyszałam, że to tak jak wygrać na loterii, co znaczy – zapomnij. Jasne, że stara się być praktyczny, ale po obejrzeniu *Pracującej dziewczyny* trudno nie marzyć.

Bohaterki romansów często mają jakieś dodatkowe zajęcie jako upust ich kreatywności. W biurze pracują, aby opłacić czynsz, ale w wolnym czasie na przykład pieką muffiny dla przyjaciół, co później staje się karierą w rodzaju Pani Fields¹⁹. A jedna z bohaterek wyrabia własne świece i mydło i w rezultacie otwiera uroczy sklepik ze swoim nazwiskiem na szyldzie. Zrobiłam raz własną świecę, gdy byłam w harcerstwie. Było fajnie, ale bez polotu, bo drużynowy dostarczył воск, sznurek i formy. Maczaliśmy więc sznurek w gorącym wosku, i tyle. Zresztą, gdzie niby miałabym sprzedawać te swoje świece?

Na razie najlepsze rozwiązanie to praca na zlecenie. W Cleveland, moim nowym mieście, chodzę od firmy do firmy. Jestem zdecydowana zdobyć cenne doświadczenia i znaleźć „gotowego” Harrisona Forda. Kariera idealna objawi się z czasem. Może dobra wróżka – występuje w każdej powieści, jako starsza kobieta o wodnistych, błękitnych oczach, z mądrą radą – wskaże mi właściwą drogę do osiągnięcia zawodowego sukcesu. Na razie kopiuję ubrania Tess, kupując czarną spódnicę i kremową bluzkę. W mojej pierwszej pracy, w firmie prawniczej, zmieniam tenisówki na chybotliwe szpilki. Zakładam perły mojej mamy, choć nie jestem pewna, czy ona wie, że je mam.

Odbierając telefony w pierwszej pracy na zlecenie, mam okazję oglądać codzienną operę mydlaną, czyli korporacyjną Amerykę. Widzę tragiczną miłość pomiędzy dwoma prawnikami. Prawnik nr 1 i Prawnik nr 2 byli kochankami do momentu, gdy ona zaszła w bliźniaczą ciążę z kimś innym. Prawnik nr 1 przygląda się ze złamanym sercem, jak nr 2 lata do łazienki. Żałuje, że to nie on jest jej mężem. Ostatnio widzieli się co najmniej dwa lata temu. Teraz pracują w tym samym biurze, dzień po dniu, a jej brzuch rośnie od dzieci. Z trudem powstrzymuję płacz, patrząc na Prawnika nr 1, potem przepisuję notatki, pamiętając jego żalosne spojrzenie.

Właśnie zaczynam zaprzyjaźniać się z ludźmi, gdy praca się kończy. Pakuję się i idę do wytwornego biurowca British Petroleum Tower usytuowanego w centrum Cleveland. Jest to wysoki budynek w kolorze

gliny, trudno go nie zauważyć. Już w pierwszej chwili, gdy tam wchodzę, czuję się jak na planie *Pracującej dziewczyny* albo – jeszcze lepiej – powieści Jackie Collins. Już wiem, co się stanie. Reżyser z Hollywood – każdy z nich wygląda bosko – wchodzi do budynku, aby spotkać się z menedżerem z mojego piętra. Chce, aby BP wsparło jego kolejny hit kasowy. W drodze na spotkanie z panem BP dostrzega mnie, gdy piszę na maszynie. Myśli: „Od tyłu miesiący próbuję znaleźć gwiazdę do mojego nowego filmu i wreszcie ją znalazłem”.

Mimo że nie jestem aktorką, obsadza mnie w roli – okazuje się, że jestem Katherine Hepburn – i w czasie kręcenia filmu zakochuje się w mnie. Po roku jestem w drugim trymestrze, nominowana do Oscara i wydaję eleganckie przyjęcia w Hollywood Hills.

No cóż, Cleveland nie jest aż takie efekciarskie. Jednak główka pracuje, gdy wokół krążą faceci w garniturach z najwyższej półki. Tutaj handluje się ropą, przeciw czemu protestował Oberlin w czasie kontrowersji dotyczących apartheidu. Nie chwalebę się głośno, gdzie pracuję, tym bardziej że w głębi ducha lubię tych ludzi i atmosferę.

Główny szef ma biuro na czterdziestym którymś piętrze, jego sekretarki mają swoje sekretarki i wszystkie mówią szeptem, aby nie przeszkadzać panu w pracy. Taki prywatny tajemny klub. Uwielbiam to.

Wszyscy są dla mnie mili, gdy ląduję w swoim boksie, zdejmuję tenisówki i chowam je w szufladzie. Boks dzielę z dwiema uroczyimi, szykownymi i dowcipnymi kobietami. Biorą mnie pod swoje skrzydła, przez cały dzień sypią kawałami. Jestem pod wrażeniem, jak szybko piszą na maszynie, palce im dosłownie fruwać. Jak zaczarowana obserwuję je i próbuję naśladować ich tempo, które osiąga chyba ze dwieście słów na minutę. Jedna z nich niedawno urodziła chłopca. Druga flirtuje przez telefon z jednym z brytyjskich maklerów w Nowym Jorku. Poleci do niego na randkę w ciemno. Nigdy nie spotkali się osobiście i jedynie dzięki rozmowom telefonicznym nawiązali namiętny związek. Brytyjski makler dozna największego szoku w życiu, gdyż współlokatorka z mojego boksu wygląda jak króliczek „Playboya”, a na dodatek jest inteligentna. Jestem świadkiem prawdziwego romansu.

Poza tym dramatem praca jest łatwa i mój kontakt ogranicza się do kobiet o pioruńsko szybkich palcach. W czasie ośmiogodzinnego dnia pracy przekazuję – w tę i z powrotem – wiadomości dla maklerów, korzystając z urządzenia, które przypomina kalkulator, ale z literami, i wydaje dźwięki. Po odcyfrowaniu notatek nabazgranych odręcznie na papierze sporządzam

notatki służbowe, choć nic z tego nie rozumiem. Mam wystarczająco dużo czasu, aby przeczytać „New York Timesa” od deski do deski. Przy okazji mogę się doksztalić. Maklerzy są raczej pogodnymi mężczyznami i ku mojemu zdziwieniu nie z tych, co obmacują. Z wyjątkiem króliczka „Playboya” i jej długodystansowej miłości nie widzę, aby ktoś rzucał komuś gorące spojrzenia, nikt nie zaprasza na drinka i nie ma pogaduszek przy automacie z chłodzoną wodą. Jestem tu tylko na zleceniu.

Szczerze, mogłoby być gorzej. Nigdy nie miałam tam źle, ale wpadam w rutynę. Prosta praca w biurze? Nie taka znów prosta, skoro wracając codziennie do pustego mieszkania, masz wrażenie, że marnujesz życie. Staram się cieszyć drobiazgami, jak tym nowym serialem o prawnikach *Sprawiedliwi*, z Sarah Jessicą Parker, Jane Kaczmarek, Cotterem Smithem i tym seksownym nowym aktorem Jonem Tenneyem w rolach głównych. Po długim dniu w pracy lecę do domu i szykuję się do oglądania, mając nadzieję, że mój nowy J.T. (John Taylor poszedł na razie w odstawkę) zagości na ekranie nieco dłużej. Ponieważ mój brat jest aktorem, a ja nie mam innych interesujących wieści (na żaden temat), zwierzam mu się ze swojej ostatniej obsesji.

– Jestem bardzo zakochana w jednym z aktorów – wypalam, nie zważając na uprzejmości. Z rodzeństwem można sobie na to pozwolić. – Słyszałeś o Jonie Tenneyu?

Po drugiej stronie linii telefonicznej zapada na chwilę cisza, a w końcu słyszę wrzask rozrywający mi bębenki.

– O rety, *Jon*?! Podoba ci się *Jon*? No, no!

– O co ci chodzi? Jest cudowny.

– Jest moim dobrym znajomym. Kiedyś się spotkaliście.

– Co? Zostanie moim mężem w przyszłości, na pewno.

Trybiki w mojej głowie obracają się szybko. Co za zrządzenie losu akurat wtedy, gdy nudzę się w Ohio. Mogłabym wyjść za ulubionego aktora telewizyjnego, przeprowadzić się do Los Angeles i przy tym nauczyć się profesji aktorskiej. Muszę mądrzę pogrywać z moim bratem, który jakoś nie wykazuje entuzjazmu na myśl o mnie i Jonie razem (zapamiętać: bracia nigdy nie pomagają w kojarzeniu par).

Mija kilka tygodni, kusi mnie, aby ponownie zadzwonić do Patricka i dowiedzieć się czegoś więcej o Jonie, moim wyimaginowanym chłopaku. Wybiegam w przyszłość, zastanawiając się, jakie zamówimy zaproszenia na ślub, czy przyjmę jego nazwisko. Wyobraź sobie mój pisk, gdy po powrocie do domu znajduję w skrzynce dużą kopertę z nazwiskiem nadawcy: J.

Tenney. Ręce mi drżą, gdy ją otwieram i znajduję fotografię Jona Tenneya wraz z prawdziwym – przysięgam – listem. Czytam go wielokrotnie, szukając ukrytych znaczeń, konsultując z książką o charakterach pisma, aby lepiej zrozumieć jego psychikę. Oczywiście przygotowuję odpowiedź, bardzo długą, w której piszę o szczegółach z mojego życia, problemach, wychowaniu, wyrażam życzenie przyjazdu do Kalifornii i spotkania się na kawie. Przeklinam Nici i jej harlequiny. Głowa mi huczy od myśli o Jonie, *Sprawiedliwych* i naszym małżeństwie.

Nie dostaję odpowiedzi na mój list i stopniowo schodzę z chmury numer dziewięć. Nie zostanę żoną gwiazdy filmowej i nie będę korzystać z pomocy brata w rozwijaniu swojego życia miłosnego. Miesiące mijają, jestem coraz bardziej sfrustrowana codzienną rutyną – wstaję, robię kawę, powtarzam te same czynności, które nie pobudzają szarych komórek, jem to samo na obiad, wracam do domu, oglądam telewizję, zapadam w sen. Okres przejściowy równie dobrze może przeobrazić się w stan permanentny. Przerażające.

Zaczynam popijać wino i gryzmolić w notesie, jakbym była Hemingwayem. „Prawdziwy świat” nie ma nic wspólnego z randkowaniem w college’u. Wcale mi się to nie podoba. Przecież nie mogę tak skończyć. To oburzające, że gdy wychodzę z domu i wsiamam do autobusu, w magiczny sposób nie zjawiają się żadni konkurenci. Lato nadziei przechodzi w drętwy styczeń. Coś się musi zmienić. Cokolwiek. Picie wina i podjadanie makaronu Ramen też ma swoje granice.

Zawsze trzeba uważać, czego sobie życzymy.

Moje życie zmienia się pewnej nocy, zaledwie w ciągu półtorej godziny. Przypadkiem staję się ofiarą przestępstwa, które powoduje u mnie uraz. Później napiszę więcej na ten temat. To rodzaj opowieści, którą często powinno się powtarzać. Zrobię to tylko raz. Na razie wystarczy, gdy powiem, że pewnego styczniowego poranka wracam ze szpitala do domu w nieładzie. Nie mogę na siebie patrzeć.

Pozytywna strona: mam szczęście, że nadal żyję. Negatywna: oprócz oczywistego żałuję, że zmarnowałam tyle energii na znalezienie/utrzymanie chłopaka. Romans to strata czasu. Są ważniejsze cele, jak zadbanie o siebie, zdobycie lepszej pracy. Nie chcę być nieudacznikiem, tym bardziej że przez krótkie wakacje w szpitalu straciłam ostatnie zlecenie.

Pragnę poczuć się lepiej, więc skupiam się na rzeczach, które wywołują natychmiastowy uśmiech:

Joan Rivers, która ma własny talk-show. Oglądam ją codziennie i zrywam boki.

Papierosy i woda. Doskonała mieszanka brudnego z czystym. Potrzebuję obu.

Lody. To jedyna rzecz, którą mogę przełknąć.

Makaron. No dobra, też pyszny.

Na razie nie mogę czytywać romansów. Wszystkie bohaterki mają za sobą trudne przejścia, dzięki czemu lepiej pasują do tego grona, ale to zbyt wysoka cena, aby wcielić się w rolę mojej ukochanej Faun.

Mama odwołuje zasłużone wakacje w Kostaryce i zostaje ze mną. Odgarnia mi włosy do tyłu i poważnie patrzy mi w oczy, czego nie robiła, odkąd przestałam być dzieckiem.

Widzę, że bardzo się martwi, jakbym była tym pechowym dzieciakiem, który ciągle wpada w kłopoty. Karmi mnie, wykonuje telefony, doradza, co powinnam dalej robić, powtarza, że wszystko będzie w porządku, zabiera mnie na spacer. W zasadzie robi wszystko, abym zebrała siły i wróciła do świata. Mama ratuje mnie od gnicia w mieszkaniu. Środkiem wzmacniającym są też częste telefony od mojego brata. Mama i Patrick to ludzie, do których zawsze mogę się zwrócić w nagłym wypadku. Zawsze mają dla mnie czas.

W rezultacie okazuje się, że dorosłość nie jest taka, jak zaplanowałam. Kończą się marzenia o tym, aby być Tess McGill, chwytam za *Ognisko próżności*²⁰.

Harrison Ford jeszcze się nie zjawił.

Dwa tygodnie później, po wyjeździe mamy, stwierdzam, że trzeba wrócić do pracy. Kelly Services, agencja pośrednictwa pracy, z której korzystam, ponownie wysyła mnie do BP, wielkiej firmy olejowej, której siedziba mieści się w wielkim budynku z fioletoworóżowego marmuru w centrum miasta. Ten gmach chroni mnie przed brudem i przemocą. Spieszę do miejsca pracy i zatracam się w pisaniu na maszynie, odbieraniu telefonów, tyle że tym razem na innym piętrze i dla innego szefa, rudowłosej kobiety, takiej jak ja. Lindsay jest surowa, to kobieta prawnik pracująca w zdominowanej przez mężczyzn branży. Zawsze jest profesjonalna, wnikliwa w ocenach. Od czasu do czasu wymieniamy się osobistymi

informacjami, ale rzadko. Mam szacunek do niej za to, w jaki sposób utrzymuje między nami dystans. Wie o moich kłopotach, idzie mi na rękę, ale jednocześnie oczekuje, że zrobię to, co należy. Jej oczekiwania są dla mnie bardzo ważne, zatem ciężko pracuję.

Na tę część życia nie ma miejsca w romansach, na te przyziemne szczegóły, mozolne pełzanie do przodu, cierpienie – z wyjątkiem tęsknoty za chłopakiem. Jestem samotna, mam kłopoty. Desperacko chcę wrócić do rodziców, ale to nie wchodzi w grę, więc powoli stawiam nogę za nogą.

To absurdalny moment, aby znaleźć chłopaka.

Aby poprawić sobie nastrój, zapisuję się na zajęcia z twórczego pisania. Już przerabiałam je w semestrze jesiennym i sprawiły mi frajdę, napisałam nawet dwa krótkie opowiadania. Spotkania odbywają się wieczorem w szkole, niedaleko mojego mieszkania. Dzielnica nie jest zbyt bezpieczna i już żałuję swojej decyzji. Po co zawracać sobie głowę, jeśli mogę leżeć na kanapie i beczeć? Grupa będzie się składała z emerytów, którzy chcą skleić książkę, zanim pamięć ich zawiedzie, i może jednego miłego chłopaka siedzącego z tyłu i trzymającego się na uboczu. Jakie są szanse, że znajdę azyl wśród tej menażerii?

Jak się okazuje, podjęłam decyzję najlepszą z możliwych. Powoli wypełzłam z otchłani depresji. W tej małej klasie, z kolorowymi kolażami na ścianach, czarną tablicą, cudnymi maleńkimi biurkami z krzeselkami, znajduję spokój i odmianę.

Nauczycielka ma nastroszone, farbowane blond włosy, aureę rozproszonego, wiecznie zajętego pisarza, który szuka drogi do swojego talentu. Ma na swoim koncie publikacje, książki dla dzieci. Z przyjemnością słucham przez kilka godzin jej australijskiego akcentu.

– Napiszecie dwustronicowe wypracowanie broniące jakiejś tezy – mówi nauczycielka.

Koledzy z klasy, ta menażeria, są podobni do tych z zeszłego semestru. Facet, który lubi grać w golfa. Kobieta w peruce i na skuterze, która dwa razy pokonała raka i ma więcej energii niż ja. Kilka pań w wieku zbliżonym do mojej mamy, które chcą dać upust nagromadzonym emocjom. I ten uroczy facet Zack, który zapisał się na kurs już drugi raz. Siedzi raczej z tyłu, lekko z boku. Zauważyłam go kilka miesięcy temu, gdy pierwszy raz przyszłam na zajęcia. W zasadzie to nie rozmawiamy ze sobą.

W czasie krótkiej przerwy wychodzę na papierosa. Dołącza do mnie kilka

osób, również poszukujących nikotynowego schronienia. Zack też wychodzi, ale nie pali z nami. Mam wrażenie, że chciałby być towarzyski, ale nie za bardzo wie jak, co sprawia, że lubię go nawet bardziej. Może jest mężczyzną typu beta, który pojawia się w powieściach – nie traktuje cię źle, słucha, co masz do powiedzenia, spędza z tobą czas, okazuje czułość, jeśli jej potrzebujesz. Dobra, może Harrison Ford jest facetem beta w *Pracującej dziewczynie*. Po prostu miłym, taka osobliwość.

Dowiaduję się, że pisze jako wolny strzelec i kocha muzykę. Ma blisko osadzone piwne oczy, żyłastą sylwetkę, wspaniały uśmiech, rzędzące blond włosy. To taki chłopak z sąsiedztwa, za którego powinnaś wyjść. Ma dwadzieścia siedem lat i rozbijającą mowę, jakby z trudnością wydobywał z siebie słowa. Jest bardziej nieśmiały niż ja. Te dziwne myśli wydają plon, czuję do niego pociąg, którego się wstydzę. Jak to możliwe, że znowu to czuję? Powinnam być w stanie hibernacji, skupiona na leczeniu ran. Jednak hormony topią mnie jak wosk i choć nie mamy fizycznej sposobności, by ze sobą rozmawiać, siłą umysłu sprawiam, że nasz romans się rozwija. Taką mam moc.

Którejś środy wracam do domu i znajduję wiadomość na automatycznej sekretarce.

– Aaaa... ja... eee... zostawiam wiadomość dla Patience.... Smith. Chodzi ze mną na zajęcia twórczego pisania w centrum kultury. Eeee... zastanawiałem się, czy chciałabyś pójść ze mną do kina w piątek... eee... po pracy...

Nie da się go opisać słowami, tak jest nieudolny w swojej niezręczności. Zakochany chłopak, który marzy o ratowaniu swojej księżniczki. Powiew romansu nadchodzi w najgorszym momencie, gdy nie mam na niego ochoty i nie potrzebuję go. Na szczęście w tych trudnych chwilach wyglądam naprawdę fantastycznie. Jestem superszczupła, takiej wagi nie miałam od ósmej klasy, Włosy mam długie i rude. Pomijając mój posępny nastrój, kto nie chciałby się ze mną umówić?

Na pierwszej randce Zack zabiera mnie na film *Tańczący z wilkami*, ten z Kevinem Costnerem tańczącym ze zwierzętami – tak mi się wydaje, pojawia się tam romans i indiański smutek. Potrzebuję takiego pobudzenia, nie mogę się go doczekać. Gdy wsiadam do samochodu Zacka, na tylnym siedzeniu dostrzegam kwiaty. Chłopcy na uniwersytecie nigdy nie dają kwiatów, więc zastanawiam się, czy przypadkiem nie są dla kogoś innego. Udaję, że ich nie zauważyłam, aż do momentu, gdy mi je wręcza.

– Czy one są dla mnie? – pytam.

– Tak – mówi z wahaniem, ale w ciemności widzę, że się uśmiecha.

Typowe zachowanie samca beta, obdarowywanie prezentami i nienaganne maniery. Harrison Ford podaje Melanie Griffith teczkę, kiedy jej zapomina na spotkaniu. Typowy beta. Może właśnie z takimi facetami powinnam się spotykać. Bohaterowie alfa nie dają nic!

Drobne gesty Zacka wprawiają mnie w zachwyt – śliczne kwiaty, cheeseburgery, ciasto tylko dla mnie. Już od pierwszego dnia Zack zasypuje mnie tymi drobiazgami. Ponadto podobnie jak ja kocha kino. Na następnej randce oglądamy *Thelmę i Louise*, na kolejnej *Milczenie owiec*. Trochę to dziwne, że chodzę na filmy ociekające przemocą zaledwie kilka tygodni po mojej traumie, ale chodzę. W istocie Anthony Hopkins jako Hannibal Lecter sprawia mi niesamowitą radość, mimo że przede mną burzliwy rok na rozprawach sądowych i w biurze prokuratora. Troska Zacka też pomaga. Razem gotujemy kolacje, oglądamy filmy, jeździmy po mieście, słuchamy muzyki.

Wiosną jadę do Nowego Jorku odwiedzić brata, pełna obaw, jeśli wziąć pod uwagę, że ciągle wychodzę z dołka, a tam jest hałas, niebezpieczeństwo i ludzie. Siedzę na stołku, gdy Patrick gra w *Weselu Tony'ego i Tyny*, sztuce, która stała się hitem na Broadwayu. To jedno z tych przedstawień, w którym aktorzy nawiązują kontakt z publicznością. Patrick gra śliskiego fotografa i w pewnym momencie podchodzi do mnie. Jego włosy są zaczesane do tyłu, nosi obrzydliwy garnitur. Mimo kostiumu dostrzegam w jego oczach radość z mojego przyjazdu. Widzimy się po raz pierwszy od czasu mojej gehenny.

– Czy mogę zrobić pani zdjęcie, młoda damo? – pyta.

– Pewnie, ponieważ wychodzę za mąż – odpowiadam.

Widzę błysk niepokoju na jego twarzy, ale nie pozwalam, aby ta reakcja wpłynęła na moją decyzję. Jestem pewna, że wyjdę za Zacka, choć on jeszcze o tym nie wie. Teraz siedzi w domu, pisząc artykuł dla jakiegoś magazynu, i prawdopodobnie tęskni za mną. Jest wspaniały. Przez resztę weekendu Patrick jest sceptyczny co do mojego kompletnego oddania (gdyby się naprawdę martwił, toby mnie umówił ze swoim przyjacielem, gwiazdorem filmowym).

Ciągnę znajomość z Zackiem w tym samym słodkim tonie, angażuję się w normalne czynności, w końcu odzyskuję dawny rytm. Doceniam, że w tak trudnym momencie trafił mi się taki anioł. Planujemy zmianę pracy

i opuszczenie Cleveland na zawsze. On chce wyjechać, ja również, ale niekoniecznie w to samo miejsce. Choć nie rozmawiamy o naszej przyszłości razem czy osobno, zastanawiam się – sędzę, że on też – czy nasz związek ma szansę na przetrwanie. Moje plany małżeńskie mogą być ciut przedwcześnie. Chcę z nim być, ale priorytetem jest znalezienie stałej pracy i skoncentrowanie się na sobie.

Oceniam swoje umiejętności i robię krótkoterminowe plany, które poprowadzą mnie do prawdziwej kariery. Zobaczmy: znam francuski, jestem dwujęzyczna, dziewięć lat nauki łaciny, niezła maszynistka. Gdy się nie wie, co robić, zawsze pozostaje posada nauczyciela w szkole średniej! Biorę mapę i wybieram najpiękniejsze miejsca w Stanach Zjednoczonych (o których słyszałam). Po dokładnym sprawdzeniu rozsyłam CV do różnych szkół w Maine, Kolorado, Nowym Meksyku, Kalifornii, Wirginii i Georgii.

W maju kontaktuje się z mną w sprawie posady nauczycielki francuskiego prywatna szkoła średnia Sandia Preparatory School w Albuquerque w stanie Nowy Meksyk. Podoba im się, że jestem frankofilem, chodziłam do odpowiedniej szkoły z internatem, a znajomość łaciny jest wisienką na torcie. Nie mam kwalifikacji nauczycielskich, ale co tam, wskakuję do samolotu i gdy tylko czuję tamtejsze powietrze, spokój płynący z wolniejszego życia, wiem, że to miejsce dla mnie. Prywatne szkoły chętnie przyjmują świeżą krew, więc liczę na to, że moje szanse rosną.

Wychodzę z lotniska i natychmiast jestem oczarowana. Nie na próżno nazywają ten stan Czarującą Ziemią.

Dyrektor i dziekan szkoły średniej oprowadzają mnie po Albuquerque w przeddzień rozmowy kwalifikacyjnej. Szkoła jest wspaniała, południowo-zachodnia wersja mojej szkoły, z wypielegnowanymi trawnikami, uroczymi jednopiętrowymi budynkami i zespołem nauczycielskim, który lubi siebie i młodzież. Dyrektora, misiowatego z rudymi włosami, od pierwszej chwili obdarzam ojcowskim uczuciem. Dobra wróżka losu posypuje mnie magicznym pyłem i zostaje zatrudniona.

Po długiej jeździe z Zackiem z jednego krańca kraju na drugi, szybkim i zaciekłym poszukiwaniu mieszkania i dziwnym doświadczeniu z kupowaniem samochodu (sprzedawca uczy mnie, jak używać manualnej skrzyni biegów, i natychmiast kupuję to auto) rozlokowuję się w małym mieszkanku z okropnymi wykładzinami na wszystkich podłogach i beżowymi ścianami. Mimo to jestem zadowolona. Zack pomaga mi w rozpakowaniu rzeczy i jedzie ze mną na spotkanie informacyjne do

Sandia Prep.

Mieszkam niespełna ćwierć mili od szkoły, w dużym kompleksie apartamentowym, na koszmarnym pierwszym piętrze (numer mieszkania I-69 co wymawiane głośno dziwnie brzmi²¹). Mimo że nadal martwię się o bezpieczeństwo i boję się mieszkać sama w nowym miejscu, ulegam południowemu zachodowi, jego kolorytowi, światłu i dusznej pustyni. Nie lubię meksykańskiego jedzenia, nic nie wiem o kulturze rdzennych Amerykanów, sztukę tego regionu uważam za wyjątkowo brzydką, ale kocham Nowy Meksyk. Sprawia, że zaciera wspomnienia Cleveland. Nawet zaczynam mieć apetyt na burritos. Wcześniej unikałam pikantnego jedzenia. Teraz chętnie jem zapierające dech chili i jalapenos. Tyle, ile się da, proszę.

Ponieważ jestem już całkowicie zadomowiona, Zack uznaje, że pora ruszać do Denver, gdzie zamierza rozwijać pisarską karierę i zmienić scenerię. Czeka go siedmiogodzinna podróż autostradą I-25. Nie mieszkamy zbyt blisko siebie, ale odwiedzamy się i udajemy, że ten związek może potrwać trochę dłużej.

Gdy pierwszy raz zostawia mnie samą, właśnie zaczyna się szkoła, próbuję ogarnąć nowe życie, dopada mnie płacz, a raczej ryczę. Mam głębokie poczucie straty. To pożegnanie było końcem długiej ośmiomiesięcznej podróży. Gdzie podział się ten czas? Zack pomógł mi się pozbierać, ustawić na nowo i uwierzyć, że dobrzy ludzie są na świecie. Jak mam się rozstać z tak pozytywną siłą? Mam wobec niego dług wdzięczności. Zack chyba też węszy jakąś nieuchronność, gdy się żegnamy. Nasz związek przetrwa jeszcze sześć miesięcy od wyjazdu z Ohio. Małżeństwo nie jest nam jednak pisane. Niektórzy ludzie pojawiają się jak anioły i pomagają iść do przodu, do kolejnej fuchy. Najpierw myślałam, że to Harrison Ford będzie moim aniołem, spakuje mi śniadanie, gdy po raz pierwszy pójdę do nowej pracy. Poświęciłby noc, aby pomóc mi w przygotowaniu ważnej prezentacji, towarzyszył w przyjęciach, razem chodzilibyśmy radośnie ulicami, jedząc straszne kanapki z białym sosem sprzedawane z wózka. Dubler Harrisona właśnie wyjechał. Zdaję sobie sprawę z tego, że mój prawdziwy chłopak był nawet lepszy od wersji filmowej. To odkrycie sprawia, że znajduję w sobie wolę, aby znowu poszukać kogoś idealnego dla mnie.

Rozdział piąty

Gdy mówi, że nie odwzajemnia twoich uczuć, uwierz mu i uciekaj

1993 – 1997

Nowy Meksyk jest pociągającym miejscem, w którym chcę pozostać na zawsze. W wieku dwudziestu pięciu lat właśnie zaczynam trzeci rok wygodnego życia. Leżąc jak zwykle w pienistej kąpieli w wannie, przy zapalonych świecach, w jednej ręce dzierzę zimny napój, w drugiej śniadaniowe burrito. Moja miłość do miłości powróciła po cichu i objawiła się w drobiazgach: w górach Sandia Mountains, na błyszczącej pustyni ciągnącej się milami od drzwi domu, wśród tych cudownych ludzi, z którymi pracuję w szkole; i oczywiście, w książkach, których nie mogę przestać czytać, jak w tym romansie z wątkiem militarnym autorstwa Merline Lovelace, upiornej paranormalnej historii Heather Graham i w niezliczonych smakowitych opowieściach innych autorów, których na pewno jeszcze spotkam. Ach, i jeszcze w wiadrze pełnym harlequinów.

Nagle wpadam na wspianiały i oryginalny pomysł: pisanie + romans = obiecująca kariera. Nie zważając na trzydziestoośmiostopniowy upał, zabieram się do pracy i stukam na maszynie. Szkoda, że lato dobiega końca, bo mój aktywny świat wewnętrzny właśnie zaczyna wrzeć od nadmiaru geniuszu i pikantnych scen miłosnych w książce o tytule *Pupilek nauczyciela*, który chyba jeszcze nigdy nie został użyty.

Nauczanie francuskiego sprawia mi przyjemność, ale dwa lata bez randkowania to szmat czasu i potrzeba mi jakiejś dodatkowej stymulacji. Czytam nawet więcej romansów (w ramach badań), co stanowi świetną odskocznnię od przygotowywania interesujących konspektów na lekcje o wakacjach Gilles'a w Nicei.

Szybko przerzucam całe strony opisu, jak to kapitan Steele przechyla nowego marynarza (w rzeczywistości kobietę przebraną za chłopaka, ale przecież to i tak homoerotyczne?) nad kanapą, aby pozbył się choroby morskiej. Ona ucieka przed zaaranżowanym małżeństwem, nie spodziewając się, że znajdą ją w kabinie kapitana.

Ta natchniona lektura wskrzesza we mnie wiarę, że mogłabym napisać

romans w stylu harlequina. Przecież to chyba nie takie trudne? Już ułożyłam całą fabułę. Mój bohater jest nowym dyrektorem szkoły, lecz w rzeczywistości tajnym agentem FBI. Ma czarne włosy i błękitne oczy, i szorstki głos. Bohaterka jest rudowłosą nauczycielką, która spędza dużo czasu na myśleniu i piciu kawy. Christine Laraby to czysta fikcja i podobnie jak inne bohaterki godzinami siedzi przed lustrem, szczotkując włosy. Muszę jakoś wypełnić te wszystkie strony.

Niestety, czas leci nieubłaganie. Rozpraszam się, czytając, ucząc, pisząc i obsesyjnie oglądając filmy. Pisanie romansów muszę potraktować jak hobby – na przykład oglądanie sportu, które obdarzę prawdziwą pasją. Będę jak Susan Sarandon w *Bykach z Durham*, ekscentryczną kobietą, którą zapał doprowadza do większego kosmicznego wydarzenia: Kevina Costnera. Podoba mi się, że Susan jest kulturalną, swawolną nauczycielką, która kwitnie dzięki baseballowi, jak uwodzi młodego gracza i pomaga mu dostać się do dużej ligi (dzięki uprawianiu seksu). Kevin, podstarzały, lecz nadal zachwycający łapacz, zostaje trenerem nowego miotacza Tima Robbinsa. Niestety, w tym sezonie Susan zamierza uczyć (seksu) Tima, choć powinna wybrać Kevina, bo jest mądrzejszy, seksowniejszy i wie, że ona jest uroczą dziwaczką. Być może dyrektor w *Pupilku nauczyciela* powinien przypominać Kevina Costnera. Łatwo zamknąć oczy i wywołać postać Kevina. To zajmuje mi kilka ostatnich tygodni wakacji.

Semestr zaczyna się zbyt szybko i oto jadę na imprezę powitalno-zapoznawczą do domu dyrektora. Mieszka w łagodniejszej części North Valley, na bardziej płaskim i żyznym terenie, w obszernym domu, z miejscem przeznaczonym na przyjęcia na zewnątrz. Po przyjeździe witam się z przyjaciółmi, których nie widziałam całe lato, jak z Lou, koleżanką po fachu (historia, angielski, twórcze pisanie), moją mentorką. Wymieniamy między sobą spojrzenie, które można opisać tak: „Nie wierzę, że lato już się skończyło”. Jest w wieku mojej matki, ma szpakowate włosy, a zielone oczy przysłaniają okulary. Podobnie jak mama Lou ma głęboką wiedzę, którą dzieli się we właściwym momencie. Nauczyłam się na niej polegać i uwielbiam jej słuchać, jako że zawsze robi interesujące uwagi, pięknie, po teksasku przeciągając samogłoski.

Po nadrobieniu zaległości idę po napój gazowany i krzesło, zastanawiając się, co w tym roku się wydarzy. Każdy rok ma własną osobowość.

– Cześć.

Spoglądam w górę, w kierunku głosu. Pochyla się nade mną ruda głowa. Ta radosna kobieta stojąca naprzeciwko mogłaby należeć do członka mojej rodziny ze względu na kasztanowe włosy i piegi.

Szybko się przedstawiam.

– Cześć. Jestem Patience. Uczę francuskiego.

– *Oooh la la, le français! Très romantique, n'est-ce pas?* Ha, ha, ha, ha, ha! Jestem Natasha.

Tajemnicza kobieta papla, zastanawiając się na głos, jak to będzie uczyć angielskiego, że właśnie zdobyła dyplom na amerykańistyce, że kocha jazdę na rowerze. „Boże – myślę. – Ale radochę będą miały z nią dzieciaki”.

– Urządzam imprezkę w przyszłym tygodniu, musisz wpaść. Będzie mnóstwo seksownych kolarzy. A ty będziesz Kopciuszkiem – mówi.

Wypijam resztę napoju, starając się pozbyć guli, która uformowała się w moim gardle. Każda dziewczyna, która chce, abyś była Kopciuszkiem na imprezie, musi być siostrzaną dobrą wróżką. Większość dobrze zapowiadających się bohaterek wybiera tę rolę dla siebie. Czy mogę ufać tej dziwaczce, która pojawia się znikąd? Pewnie, że mogę, i przesuwam Natashę do statusu najlepszej przyjaciółki. Zgadzam się, aby lepiła mnie jak glinę. To takie moje nowe hobby i – podejrzewam – najlepsza szansa na dobry romans.

W noc balu – czy też przyjęcia u Natashy – przywołuję myszki, aby pomogły mi skompletować strój Kopciuszka: czarny koronkowy top, niebieskie džinsy i wysokie obcasy, aby dodać sobie centymetrów (nie jestem wysoka).

Potykam się nerwowo przy wysiadaniu z mojej niebieskiej hondy civic hatchback, kwestionując zasadność wyjścia z łóżka. Jednak życie często nabiera rozpędu w chwilach, gdy mówimy „A, do licha”, robimy to i tak.

Kiedy maszeruję podjazdem, opada mi szczęka.

Przez ponad dwa lata pobytu w Nowym Meksyku zastanawiałam się: „Gdzie te chłopaki?”. Przychodząc na imprezę Natashy, wiem, że cały czas ukrywali się w jej domu. Przed moimi oczami roztacza się obrazek rodem z magazynu „Men's Health”: stadko wspaniale zbudowanych facetów, głównie w jaskrawych strojach i obcisłych rowerowych spodenkach, tłoczy się na podjeździe Natashy i wokół grilla. Ukryte skarby w domu mojej nowej najlepszej przyjaciółki. To zdecydowanie scena z *Byków z Durham*, tylko sport jest inny.

Natasha wyłania się z tłumu, jej jasny uśmiech widać chyba z kosmosu.

– Pay, Pay – wrzeszczy, jej biodra kręcą się, gdy do mnie podchodzi.

Łapie mnie za ramię i natychmiast zaczyna prezentację. – To jest Patience, nasza wspaniała nauczycielka francuskiego. *Oui, oui, magnifique, n'est-ce pas?* – Natasha mówi miękkim seksownym głosem.

Witam się z tyloma ludźmi, z iloma mogę, jednak nie zapamiętuję imion. Podoba mi się pomysł, że będę randkować z jednym z tych atletów, ale bardziej fascynujące jest to, że ta energiczna, pociągająca kobieta zdecydowała się dopuścić mnie do swojego kręgu towarzyskiego.

– Fajne urządza przyjęcia, prawda?! – wtrąca szybko, gdy przechodzi obok mnie, puszczając oko.

Pokochałam ją natychmiast, podziwiam, z jaką swobodą przemieszcza się po pokoju. Tak duża liczba kolarzy wytrąca mnie z równowagi, do chwili, gdy przypominam sobie pewne fakty. Czytając romanse, dowiedziałam się, że sportowcy nie są pożądanymi partnerami. Z pewnością mają wiele do zaoferowania w łóżku, ale jednocześnie są narcyzami, bardziej skoncentrowanymi na swoim ciele i fankach niż wiecznej miłości. Ale znowu – Kevin Costner zakochuje się w Susan Sarandon. Nie jest jednak jakimś przygłupem, ale dobrym facetem, który uczy się na popełnionych błędach. Docenia dojrzałą kobietę, która woli powolne, mokre, niekończące się pocałunki – o rany. Susan natomiast kąpie się w baseballowym testosteronie, nigdy nie przeprosza i jest interesująca; to kobieta, którą bardzo chciałabym być.

Mam szansę. Sportowiec o złotym sercu – jak Kevin – mógłby być tym moim jedynym. Tylko że Susan zaczyna nie od Kevina, ale od młodszego faceta, którego może ukształtować na wybitnego sportowca. Muszę przemyśleć swoją strategię.

– Cześć, jestem Chris.

Potężny kolarz, który staje przede mną, ma włosy obcięte na jeża, zielonkawe oczy, szczupłe i opalone ciało. Wyciąga rękę i wymieniamy uścisk dłoni. Ma seksowny, szorstki głos, jakiego oczekuje się od doświadczonego sportowca, taki jak głos mojego bohatera w *Pupilku nauczyciela*. Chris wykonuje jakieś tajemnicze prace dla lokalnego uniwersytetu i ściga się zawodowo w kategorii pierwszej. Bardzo w stylu Kevina Costnera. Chyba padnę na to betonowe patio.

– Patience.

Ponieważ przygląda mi się wnikliwie, jego oczy śledzą każdy tik, mam ochotę się schować. Wszechświat wysyła mi wyraźny sygnał, a ja czuję się przytłoczona. Chris sprawia wrażenie, jakby mnie znał, każdą cząstkę, lęk, każdy kawałek mnie. Jest poufały w stosunku do mnie, więc zdaje sobie

sprawę z mojej niezręczności i samotności. Muszę odzyskać kontrolę nad sobą.

– Ha, ha, ha, masz na imię Patience. Pewnie jesteś bardzo cierpliwa. Ha, ha, ha, ha!

Bardzo oryginalne.

– Musimy sprawiać wrażenie stada dziwaków, prawda? – Uśmiecha się, pokazując duże zęby.

– Ubarwienie bije po oczach – komentuję, robiąc aluzję do jaskrawych strojów kolarzy.

– Fajnie, że jesteś, mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy – mówi, zanim ktoś zaczyna go odciągać.

Uśmiecham się i kieruję wzrok na buty, bo całe moje ciało ogarnia głęboki rumieniec. Wydaje się taki spostrzegawczy, to cecha każdego bohatera romantycznego. Kosmos nie stanowi dla niego tajemnicy. Nie mogłabym ukryć przed nim swoich supertajnych cech, co mnie przeraża.

Może powinnam trzymać się bohatera beta, jakim był Zack. Kogoś miłego.

Natasha odciąga mnie na bok, aby donieść, że stałam się przebojem. Wszyscy się we mnie zakochali.

– A kto tobie się podoba? – pyta.

Mogę wybierać.

Gdy tak rozglądam się wokoło, dostrzegam ciemnowłosego mężczyznę odzianego w bluzę z logo Yale. Przygląda mi się. Coś mi mówi, że nigdy nie chodził do Yale.

– Kto to jest?

– Och, to jest Ivan! Jest naprawdę miły – głośno szepcze Natasha. – Przedstawię cię.

Podprowadza mnie do Ivana. On uśmiecha się ciepło zdolnymi stopić żelazo brązowymi oczami. Gdy się odzywa, od razu wyczuwam, że pobierał co najwyżej nauki uzupełniające. Według Tash jest rowerowym cyborgiem. W dzień jeździ, w nocy sprząta stoły w knajpach. Uważa się go za obiecującego sportowca, stworzonego do jazdy w gronie różnych Lance'ów Armstrongów, dobrze zapowiadającą się gwiazdę w świecie kolarzy. Chris, który już ma za sobą najlepsze lata, jest jego mentorem. Chwila... ten scenariusz brzmi znajomo.

Pięć minut później jesteśmy parą. Idziemy na naszą pierwszą randkę do włoskiej knajpki zlokalizowanej w północno-wschodniej części miasta. Gdy wchodzimy do tej dużej przestronnej restauracji, jego oczy błyszczą. Jakby

był w Four Seasons, gotowy po raz pierwszy skosztować kawioru. Podoba mi się rola światowej kobiety w stylu Susan. Oto młoda supergwiazda, którą mam ukształtować w silnego, wziętego sportowca – mój Tim Robbins, który doprowadzi mnie do Kevina.

Ten rok ma jednak charakter – umawiam się z kolarzami. O moim nowym życiu miłosnym opowiadam Lou, bo pragnę jej akceptacji w każdym aspekcie życia.

– Dobrze całuje? – pyta Lou.

Czyż ona nie jest szelmą? Ale i tak się jej zwierzam, a ona rozbudza moją odwagę, której tak potrzebuję. Gdy zaczynam mieć wątpliwości co do Ivana jako mojego przyszłego męża, zachęca mnie jak ta cudowna starsza ciocia pojawiająca się w wielu romansach, która mówi: „Droga Faun, dobrze ci idzie. Nie obawiaj się znowu zakochać”. Potem obie wyciągają chusteczki, popijają mrożoną herbatę i podjadają kruche ciasteczka.

Lou wspiera mnie również w próbach pisarskich. Sama pisze i często dyskutujemy o walce, którą musimy stoczyć, aby przelać słowa na papier. *Pupilek nauczyciela* staje się palącym priorytetem, do tego stopnia, że w grudniu zrywam z Ivanem. Okazał się przeszkodą na drodze do skończenia książki! Christine Laraby na razie kończy z pićm kawy, zostaje porwana przez szkolnego malwersanta, asystenta dyrektora. Kevin Costner jakimś cudem wyzwala ją, a potem ogłasza przed całą szkołą, że mnie poślubi, przepraszam – ją. Wielkie owacje.

Tak oto udaje mi się zakończyć moją okropną powieść w czasie wolnym i nie myśleć o Iwanie zbyt często. Gdy nadchodzi kwiecień, a uczniowie ocierają się o siebie na skutek szalonej erupcji hormonów, przychodzi refleksja: „Czy gdzieś jest ktoś stworzony dla mnie?”

Na lata przed burzą, którą wywołały randki online, powstała dziwna rzecz zwana World Wide Web. Pierwszy raz usłyszałam o niej wiosną 1994 roku, ale istniała już wcześniej. Przez czysty przypadek przypominam sobie, jak Chris opowiadał o dziwnym projekcie, nad którym pracował, związanym z tajemniczym cyberwynałazkiem. Byłoby głupotą kontaktować się z Chrisem tylko po to, aby dowiedzieć się czegoś więcej o sprytniej World Wide Web i nowym zjawisku zwanym „e-mail”.

Czasami Księciem z Bajki zostaje ten facet, którego pominęło się za pierwszym razem, bo wydawał się zbyt przytłaczający. Teraz Chris jest tym dojrzałym bohaterem, który mnie rozumie.

Wymiana e-maili z Chrisem skutkuje naszą pierwszą randką. Potem druga. Wieczory są słoneczne, światło sphywa z gór, a my gadamy o życiu

na południowym zachodzie, genialnym wynalazku, jakim jest salsa, o tym, dlaczego należy ćwiczyć, o jego zapotrzebowaniu na kalorie przed jazdą na rowerze, w czasie i po niej. Zachody słońca w Albuquerque przybierają złoto-czerwone barwy, a dzięki lekkiemu ochłodzeniu powietrze zdaje się elektryzować. Doskonały krajobraz, doskonała sytuacja, doskonały bohater, który troszczy się o ciało.

– Jestem bardzo szczęśliwy – mówi.

– Ja również.

Ogarnia mnie dziwne, lecz znajome uczucie: namiętność. Z nim dostrzegam, gdzie się znajduję. Widzę każdą zmarszczkę na jego twarzy. Błyski w oczach, gdy powiem coś śmiesznego. Lubi mnie prowokować, więc często powtarza się tylko po to, aby mnie zirytować. Gdy zdaję sobie sprawę, dlaczego to robi, szturcham go i każe przestać. Śmieje się.

– Robię to celowo.

Przez długi czas nie odczuwałam namiętności, chyba od Paryża, gdy biegałam jak opętana za tymi kelnerami, za Rodinem i za kolejnym gauloise'em. Odkrycie, że tak długo istniałam bez tej witalnej siły, jest ponizające. Teraz kolory stają się bardziej nasycone, cieszę się każdym dniem.

Odnalazłam namiętność. Tą namiętnością jest Chris.

Kilka dni później, gdy Chris pojechał na jeden ze swoich wyścigów, spojrzałam z namysłem na swoje pojedyncze łóżko – to, które ojciec kupił mi z okazji dyplomu – i podjęłam decyzję, aby wymienić je na większy model. Dorośli śpią w dużych łóżkach po to, aby móc się swobodnie rozciągać lub zapraszać innych dorosłych. Wchodzę w nastrój i kupuję także świece, insens i nowe ciuchy na powrót Chrisa.

Po powrocie Chris ocenia moje nowe egzotyczne meble. Wyraz twarzy zmienia mu się z beztroskiego na surowy. Widzę, jak rozgląda się wokół i myśli: „Chyba za dużo tych zmian”. I ma rację. Teraz powinien zjeść miseczkę płatków śniadaniowych i dopaść mnie na stole kuchennym. On jednak wymawia się zmęczeniem i rezygnujemy z zajęć romantycznych.

Gdy układamy się do snu, mój kot Jack wskakuje na łóżko. Jest przyjaznym stworzeniem, kochającym absolutnie wszystkich, ale Chris łapie go jedną ręką i zrzuca z łóżka.

– Nienawidzę tego kota.

– Och!

Nic innego nie przychodzi mi do głowy. To pretekst, aby zerwać ten związek.

Nowe łóżko, insens, świece pływające w wannie – to wszystko z myślą o nim. Tak kreuje się romantyczny nastrój. Chyba musi to doceniać, ponieważ uważam, że wzbudzam w nim taką samą namiętność. Zależy mu na nas, wiem, że gdzieś głęboko podziela to uczucie.

– Nie wiem, ile czasu mogę poświęcić naszemu związkowi – mówi mi następnego dnia przez telefon.

– Och.

To na pewno stan przejściowy. Przecież w żadnym związku nie stąpa się ciągle po stokrotkach. Prawie jestem szczęśliwa z powodu jego strachu, tłumacząc sobie, że nasz związek pogłębia się. Jeśli zachowam zimną krew, zda sobie sprawę, że się zagubił, i wróci do mnie.

– Proszę, nie spiesz się – mówię radośnie.

Gdy odkładam słuchawkę, martwię się, że nasze dni są policzone.

Tydzień później jestem na przyjęciu u Natashy, ale tym razem chłopcy są na zawodach koło Juarez. W połowie kolacji dzwoni telefon.

– To do ciebie – mówi Natasha, podając mi słuchawkę.

Podeksytowana, że Chris dzwoni do mnie z drogi, co wydaje się takie intymne, biorę słuchawkę.

– Nie mogę tego ciągnąć – mówi prosto z mostu.

– Och – mówię jeszcze raz.

Nie sądziłam, że zerwanie nastąpi tak szybko, trzy tygodnie po naszym pierwszym pocałunku na schodach mojego domu, przy księżycu w pełni. Tylko trzy tygodnie. Dwadzieścia jeden dni. To za mało czasu, aby się zakochać, ale moje uczucia są głębokie aż do kości. Rozpacz, która mnie ogarnia, jest dość niezwykła. Boję się przyznać sama przed sobą, że ma ona mniej wspólnego z Chrisem, a więcej z pustką, którą odczuwam, gdy ktoś odchodzi.

– Dobrze – mówię z rezerwą, mając nadzieję, że gdy wróci do domu, to zmieni zdanie.

Mija kilka miesięcy. Kończę dwadzieścia sześć lat, a więc prawie antyk ze mnie. Na myśl o rozstaniu z Chrisem czuję udrekę, która podważa moje wizje o doskonałym romansie. Chris był dla mnie stworzony – mądry, uroczy, szorstki, przystojny, świadomy swojej wartości i wrażliwy (choć nigdy tego nie demonstrował). To równanie się zgadzało. Powinno zadziałać.

– Musisz przeczytać tę książkę Wenus kontra penis. – Natasha wręcza mi

Mężczyźni są z Marsa, kobiety z Wenus. To szlagier ostatnich dwóch lat, który szczegółowo opisuje, czym różnią się obie płcie, po to aby lepiej się rozumiały. – Może wyjaśnić zachowanie Chrisa – mówi trzeźwo.

Ponieważ zrobiłabym wszystko, pożeram tę książkę za jednym zamachem. Oto czego się dowiaduję: Chris mnie nie odrzuca. Chowa się w swojej jaskini. Potajemnie, może być we mnie bardzo zakochany – co i tak podejrzewałam. Musi trochę побыć sam. Najlepsze, co można zrobić, to dać mu przestrzeń. W związku z tym zajmuję się własnymi sprawami i zapisuję na zajęcia podyplomowe z francuskiego na University of New Mexico. Gdy Natasha wspomina o nowej dziewczynie Chrisa, zrywam z nią kontakt i koncentruję się na uzyskaniu stopnia naukowego.

Na szczęście małe prywatne szkoły nieustannie zatrudniają nowych młodych nauczycieli i wkrótce moją najlepszą przyjaciółką zostaje Ashley, która uczy angielskiego. Jest ode mnie o rok młodsza, nie zna miasta i zaczyna życie od nowa po kilku nietrafionych związkach z facetami. Z tym mogę się utożsamić. Akurat czytam przygnębiające francuskie powieści i mam za sobą nieudany romans.

Jeżeli chodzi o Chrisa, to nadal go kocham tą chorobliwą miłością, która stale się pogłębia. Kulminacja tej choroby dopada mnie w sylwestra 1994 roku. Wraz z Ashley odwiedzamy wszystkie bary, wiedząc doskonale, że w końcu wpadniemy na Chrisa. Z moich informacji wynika, że zaprzyjaźnił się z innym dojrzałym cyklistą, który większość czasu spędza, wrzeszcząc w barach. Obaj regularnie pojawiają się w mojej ulubionej knajpie Gecko's, więc wiem, że zajdą tam również w sylwestra. Zakładam, że znowu jest sam, nie ma nikogo na widoku, więc pora uderzyć.

Godzinę po naszym przybyciu do Gecko's pojawiają się Chris i jego głośny przyjaciel.

Bicie serca odbija mi się echem w uszach. Nie mogę strawić tego, że nie jest ze mną, ale udaję spokój, czekając, aż podejdzie i porozmawiamy. O północy moje marzenie się spełnia. Chris chce się znowu spotykać.

– Zobaczymy, co będzie, dobrze, Patience? – mówi, kładąc nacisk na moje imię. – Nie mogę niczego obiecać. Będiesz cierpliwa, prawda? – Śmieje się.

Aż trzęsę się z radości.

– Jasne. Będę cierpliwa.

Powraca moja życzliwość, wybaczam Natashy i szybko stajemy się najlepszymi przyjaciółkami, ciągle gadającymi przez telefon i śmiejącymi

się na szkolnych korytarzach. Brakowało mi jej energii, spontaniczności, kiedy w jednej sekundzie ciągnęła mnie do tajskiej knajpki.

Natasha wydaje się zadowolona, że ponownie schodzimy się z Chrisem, ale skądinąd wiem, że się nienawidzą. Wspiera mnie jednak do tego stopnia, że przed naszą pierwszą długo wyczekiwaną randką zjawia się pięć minut wcześniej, aby ocenić mój makijaż i garderobę. Może przywita się z Chrisem i znowu wszyscy będziemy przyjaciółmi.

Czekamy. I czekamy. Godziny mijają.

Chrisa ani śladu.

O ósmej już wiem, że nie przyjdzie. Czuję ucisk w dołku. Wiem, dlaczego się wycofał. Następnego ranka sprawdzam e-mail: „Widziałem jej samochód – napisał. – To się nie uda”.

Moją ostatnią nadzieją na przekonanie Chrisa jest wicca²². Tak, spróbuję czarów. Jeżeli udało się Samancie w *Czarownicy*, dlaczego ma nie udać się mnie?

To szaleństwo. Może wariuję. W zatłoczonej sali gimnastycznej, tuż przed apelem całej szkoły, w którym biorę udział, sygnalizuję Lou „Pssst” i szepczę jej do ucha:

– Rzucam urok.

Patrzy na mnie i uśmiecha się.

– Mądra decyzja!

Widocznie nie do końca zwariowałam, skoro Lou, bogini i mentorka, to aprobuje. Ruszam po złote runo, biorę aktywny udział w swoim życiu, walczę o miłość, mimo że moje metody są niekonwencjonalne.

Nie modlę się, nie zmieniam wyglądu i nie jeżdżę koło jego domu – po prostu rzucam urok. Konsultuję książki, gromadzę składniki, zastanawiam się nad swoimi pragnieniami. Wydrapuję jego imię na czarnej świecy i wznoszę błagalne prośby do kosmosu, aby moje życzenia się spełniły. Chcę być panną młodą Chrisa, to jest panią Chrisową Cyklistką.

Gdy przygotowuję zaklęcie, zdarza się coś zdumiewającego.

Otwieram się na przyszłość, choć nie mam nad nią żadnej kontroli. Oddaję się w ręce losu. Nic więcej nie mogę zrobić. Muszę odpuścić, pozwolić mu odejść, kochać go na odległość. Mogę stracić go na zawsze. Pogodzenie się ze ślepym losem, drapanie świecy, wpatrywanie się w płomień, wszystkie elementy tej ceremonii rzucania uroku wprawiają mnie w błogi spokój, który nie ma nic wspólnego z Chrisem.

Mam wizję swojego ślubu.

Jest zima, niewielu gości, świece, światła i pan młody. Stoi tam,

tajemniczy, czekając, aż przejdę przez nawę, by mnie poślubić. Moje ciało ogarnia przedziwny spokój i już *wiem*. Któregoś dnia wyjdę za mąż. Nawet nic nie muszę robić w tej sprawie. On po prostu tam będzie. Nigdy więcej obsesji!

W romansach nie pisze się o takich zdarzeniach. Niestety, nie mogę przestać wyobrażać sobie Chrisa w roli swojego bohatera. Jestem mu wdzięczna, że ponownie wzbudził we mnie namiętność. Dwa lata temu czułam się zubożona o tę część życia. Chciałam leżeć w łóżku, pogodzona z tym, że dni mijają bez sensu. Chris zmobilizował mnie do otwarcia się na świat i życia na pełnych obrotach.

Ale i tak powinnam była odejść, gdy wyrzucił kota z łóżka. Prawdziwy bohater by tego nigdy nie zrobił. W rewanżu dobieram Jackowi brata i nazywam go Antoine.

Era Chrisa powoli dobiega końca i dochodzę do wniosku, że jestem skazana na los Marianne Dashwood²³, która w pogoni za wyrachowanym kochankiem w czasie burzy zaziębia się i prawie umiera przez ten cały romantyzm (i jest biedna).

Zgadza się, wreszcie czytam *Rozważną i romantyczną*. Powinnam być jak Elinor, czyli rozsądna. Siedzieć w saloniku, haftować i nie wariować na punkcie małżeństwa. Poza tym bardzo zaangażowałam się w studia podyplomowe, czytam niezwykle książki o teorii postkolonialnej, postmodernizmie i naturalizmie. To oznacza, że nie jestem już tak sfiksowana na punkcie życia miłosnego, z wyjątkiem tych chwil, gdy w sekrecie czytam romanse.

Dokucza mi samotność, szczególnie że właśnie wyjechał mój brat Patrick i powrócił do swojej pracy w banku w Nowym Jorku. Aktorstwo nie jest dochodowe, więc znalazł praktyczniejsze zajęcie w banku, ale musi to odreagować w czasie wakacji. Dogadzaliśmy sobie, organizując maraton filmowy, choć okazjonalnie musiał skorzystać z mojego e-maila, aby wymienić listy ze swoim kolegą Guntherem. Korespondencja dotyczyła pracy i sprawiała Patrickowi przykrość, ponieważ nie cierpi Gunthera, jednak był mu wdzięczny za to, że zgodził się go zastąpić w czasie wizyty Patricka u mnie.

Teraz, gdy mój brat wyjechał, Gunther jawi się jako intrygujący zakazany owoc. Mieszka daleko, w Nowym Jorku. Co będzie, jeśli zaprzyjaźnię się z rywalem Patricka? Marianne zrobiłaby coś takiego. A ja?

Jeśli skupię się na zwykłych sprawach, jak wspaniałość gór Sandia Mountains, powinnam sobie poradzić. Objawia się moja nowa natura, samokontrolującej się Elinor. Gunther jest zaledwie potencjalnym przyjacielem – nieznanym. Nigdy wcześniej nie spotkaliśmy się, więc nasz kontakt jest dość tajemniczy.

Obmyślam plan i z fałszywą skromnością odpowiadam na e-mail Gunthera adresowany do mojego brata. Nemezis Patricka łapie przynętę i zanim Patrick wyląduje w Nowym Jorku, wymieniamy kilka e-maili. Podpada to nieco pod oszustwo, co tym bardziej wskazuje na to, że zwariowałam, odpisując na jego pierwszy mail.

„Jak upłynęły Twoje wakacje?” – napisał Gunther w mailu.

„Okropnie” – odpowiadam, skłaniając się do obarczenia go swoimi wszystkimi problemami.

„Gunther, gdybyś tylko wiedział” – chcę napisać. I w końcu piszę. Wydaje się bardzo miły. Nic z tego, co Patrick mi o nim opowiedział, nie może być prawdą. Dlaczego mój brat nie chce dzielić boksu z takim ciepłym facetem jak Gunther? Rzekomo wykiwał jego koleżankę. Przespał się z nią, potraktował podle, rzucił, a później znowu się z nią przespał. Patrick poznał tę historię i przekazał mi, zanim zaczęłam pisać do Gunthera. Wszystko jest bardzo niejasne i chyba dalekie od prawdy. Ta kobieta na pewno jest okropną osobą, bo jak inaczej wyjaśnić fakt, że Gunther był dla niej niemiły?

„Mógłbym Cię pocieszyć” – odpowiada Gunther.

„Oczywiście, że mógłbyś” – pragnę napisać, ale nie robię tego. Ten lekki flirt wywołuje we mnie chichot. Z pięcioletnim stażem nauczania za pasem zaczynam się niecierpliwić. Czy życie nie ma więcej do zaoferowania niż oglądanie kolarzy i uczenie *passé composé* w przeważająco hiszpańskojęzycznym regionie?

Nieuchronnie, w styczniu 1996 roku, dwa tygodnie po wymianie pierwszych maili, wpadam w posepny nastrój związany z tym, co przydarzyło mi się w Cleveland, jednak maile Gunthera okrywają mnie ciepłym cyberkocykiem. Ponieważ nigdy go nie spotkałam, podpytuję brata o jego wygląd. Patrick opisuje go jako „interesującego”, co oznacza, że jest brzydki, ale jego standardy są niedorzecznie wysokie. I co z tego, że oczy Gunthera są ciemnobrązowe, paciorkowate? Myślę, że są lśniące. Nosi seksowne okulary seryjnego mordercy, ma głos nad głosy, przez który babcie mają mokro w majtkach. Choć jest dziesięć lat starszy ode mnie – kolejny dreszczyk emocji – do wszystkich moich problemów podchodzi

poważnie, odpowiada na e-maile i „sankcjonuje” moje cierpienie. Gunther cytuje Junga i mówi, że jestem jego animą.

Gunther to mój pułkownik Brandon, stary żołnierz, który odciąga Marianne od obsesyjnej pogoni za Willoughbym. Choć przekonuję samą siebie, że nic z tego nie będzie, codziennie pędzę do domu, aby sprawdzić e-mail, a potem spędzam godziny na ponownym sprawdzaniu wiadomości.

„Coś do Ciebie czuję” – pisze w ramach jednej wymiany e-maili.

Z radości niemal tracę rozum.

W walentynki 1996 roku sprawa staje się poważna. Idę do szkoły trzynastego lutego, niczego nie przeczuwając. Bezmyślnie mijam recepcję.

– Och, kwiaty dla pani.

Przystaję i widzę olbrzymi żółty bukiet.

– Naprawdę?

– Jest dla pani – mówi recepcjonistka, mrugając porozumiewawczo.

– Kim jest twój chłopak? – pyta przechodząca bibliotekarka.

– Kimś, z kim e-mailuję. – Wyszczierzam zęby i pędzę uczyć.

Tej nocy mój korespondencyjny przyjaciel zostaje przyjacielem telefonicznym. Długie konwersacje rozpalają moje hormony, ich scenariusze powtarzam sobie w głowie. Budzę się radosna, gotowa powitać nowy dzień.

Rezerwacja biletu, aby spotkać się z Guntherem, jest prosta, a ponadto zbiega się ze spotkaniem z okazji dziesiątej rocznicy ukończenia szkoły średniej.

Na szkolnym spotkaniu rocznicowym pojawia się na krótko, ledwo kogokolwiek zauważam, nie przyglądam się mojej Alma Mater i już mknę taksówką z lotniska LaGuardia, przez most, przez ukochane dzielnice Nowego Jorku. Nagle zdaję sobie sprawę, że bardzo kocham to miasto. Zawsze do niego należałam.

Mijam Hell's Kitchen i taksówka zatrzymuje się przed budynkiem Gunthera. Pokonuję pieszo pięć pięter. Drzwi otwierają się i oto jest.

Mój ukochany Gunther. Tajemniczy przyjaciel korespondencyjny przez pięć ostatnich miesięcy.

Przez moment przyglądamy się sobie.

– Cześć.

– Cześć.

A potem rzucam się w jego ramiona. Bez pocałunków, bez słów, po prostu się obejmujemy. Naprawdę mnie obejmuje, ściska mocno, wchłania

w siebie. Zerkam ponad jego ramieniem i widzę, że prysznic jest w salonie. Salon jest wnąką, bez kablówki, korytarzyk prowadzi do kuchni, sypialnia jest maleńką jaskinią z książkami opartymi o ceglane ściany.

Nigdy nie chciałam poznać Nowego Jorku od tej strony.

– Jesteś moja przez dwadzieścia cztery godziny – szepcze w moje włosy.

Przyprawia mnie to o gęsią skórę, ale ignoruję to uczucie. Ktoś mógłby pomyśleć, że takie wyznanie wprawi dziewczynę w zachwyt. I powinno.

– Mam dla ciebie prezent – mówi, zerkając na moje ciuchy, jakby chciał zobaczyć, co jest pod spodem.

Siadamy na kanapie i wręcza mi małe pudełeczko, prezent za to, że przyjechałam z daleka, aby go zobaczyć. Konsultował z przyjacielem, co dać nowej potencjalnej dziewczynie.

Victoria's Secret²⁴.

Prezent z Victoria's Secret zaskakuje mnie, implikuje natychmiastowy paskudny seks. Nadal jestem porządną dziewczynką. Rozwiązuję kokardkę, otwieram różowe pudełko i widzę trzy prowokacyjne kawałki bielizny. Granatowe stringi. Zestaw majteczek bikini w kolorze kości słoniowej. Stringi w kolorze kości słoniowej.

Skąd wiedział, jaki noszę rozmiar? (Przebiega mnie zimny dreszcz).

Marianne Dashwood ucieszyłaby się z takiej jedwabnej bielizny i natychmiast przymierzyła – zaczynając od stringów. Przyjmuję ten prezent, stawiając się w roli Elinor, śmieję się niezręcznie i szybko odkładam bieliznę do pudełka.

Przez kolejne dwadzieścia cztery godziny należę do niego. Mocno się zadurzam w tym troskliwym, wrażliwym i tylko częściowo dziwacznym facecie.

Następnego dnia Gunther towarzyszy mi na lotnisko LaGuardia. Odnotowuję, że miałam jednonocną przygodę z trzydziestosiedmioletnim mężczyzną, którego spotkałam raz w życiu. To chwilówka. Zdaniem dwóch osób nie jest zbyt miły, ale im nie wierzę.

– Jestem chory – mówi, gdy siadamy w restauracji na lotnisku.

Pułkownik Brandon był chory z miłości do Marianne. Podzielałam jego nudności. W istocie jestem zakochana po uszy, więc miotam się i śmieję. Nieustannie patrzę w jego ciemne oczy, widzę w nich ciepło, przeczesuję palcami jego potargane włosy. Chcę zwymiotować swoją radość. Chris jest maleńką kropką w moim wstecznym lusterku. Koniec z rowerami i – wkrótce – z Nowym Meksykiem. Chyba jestem beznadziejnie, chorobliwie zakochana w Guntherze.

Manhattan albo nic.

Gdy czytam o kłótniach w powieściach miłosnych, ich przebieg jest mniej więcej taki.

– Chciałbyś przejąć firmę mojego ojca i szantażem zmusić mnie do małżeństwa, ty świnió! – Louisa Toner-Cartridge próbuje walnąć swojego szefa Larsa Corporateraidera, ale on łapie w połowie drogi jej delikatną rączkę.

– Ale to ci się przecież podoba. – Lars spogląda swoimi żarzącymi, tańczącymi czarnymi jak węgiel oczami i rozgniata jej usta swoimi (rozgniata, zawsze rozgniata).

Miesiąc po naszym dwudziestoczworgodzinnym festynie miłości Gunther odwiedza mnie w Nowym Meksyku. Ten nowy związek jest... no cóż... nie jestem pewna, jaki jest, ale tak oto przebiega nasza kłótnia:

– Masz jakieś problemy wynikające z kompleksu ojca – deklaruje Gunther w trakcie naszej pierwszej kłótni.

– Akurat.

Wiem. Nie jestem pewna, dlaczego mój ojciec wywiera na mnie taki wpływ. Może dlatego, że to mój ojciec i kiedyś był wspaniały w tej roli. Opowiedziałam Guntherowi wszystko o moim ojcu. Jak wiele lat temu był kochający, jak go uwielbiałam. Mogłam pójść do jego biura i zawracać mu głowę. Spędzał ze mną czas, zachęcał mnie, zabierał na liczne wypady: wspinaczkę górską, pływanie, gdzie tylko się dało, przejażdżki na roller coasterach, długie podróże samochodem – i zawsze służył radą w sprawie szkoły, zawodu i serca.

Gdy skończyłam dziewięć lat, tuż po rozwodzie rodziców, zamieszkałam z nim i byliśmy jak dwa zrozczone ziarnka grochu. Robiliśmy hamburgery, oglądaliśmy głupawe filmy i graliśmy w piłkę. Ponieważ zaczął ćwiczyć jak nawiedzony, razem biegaliśmy po bieżni i oglądaliśmy wschody słońca. Gdy czułam zmęczenie, wrzeszczał z drugiego końca bieżni „Jeszcze jedno okrążenie za Wonder Woman²⁵!”. Później, gdy byłam nastolatką, zmienił to na: „Jeszcze jedno okrążenie za Duran Duran!”. Puszczaliśmy się w sprint.

Nie tylko był ojcem wesołkiem, który wprowadzał mnie w zakłopotanie, udając Steve'a Martina w tańcu Króla Tuta podczas przyjęcia na wrotkach w ósmej klasie, ale również ojcem, który zachęcał mnie do gry w piłkę nożną, gdy patrząc, jak kopię piłkę w ścianę, zauważył, że mam silne

uderzenie.

Tyle razy mi powtarzał, że jestem wyjątkowa.

W szóstej klasie, gdy ojciec został zaproszony do szkoły, aby opowiedzieć o wspinaczce górskiej, spodziewałam się kompletnej porażki. Setka dzieciaków zebrała się w klasie, aby obejrzeć slajdy, które – obawiałam się – będą piekielnie nudne. Skuliłam się na krześle i rumieniłam jak idiotka, dopóki ojciec nie zaczął opowiadać, pokazując jednocześnie wzbudzające zawroty głowy pionowe skały w stylu Indiany Jonesa, o swoich niesamowitych historiach z wypraw. Moi koledzy uważali, że mam najfajniejszego z ojców. I miałam.

Staram się myśleć wyłącznie o takich chwilach, odrzucając te, gdy przestał na mnie patrzeć po tym, co mi się przydarzyło w Cleveland, gdy prowadziliśmy niekończące się dyskusje o trudnym życiu jego żony i że nikt nie cierpi tak jak ona, o tym, jak rozwód zrujnował wszystkim życie, o historii naszej znękaney rodziny i o tym, że świat jest do niczego.

Choć zaczął się ode mnie odsuwać już od początku studiów, stać go jeszcze było na drobne przejawy uczucia, jak wtedy, gdy zarekomendował, abym obejrzała *Małą księżniczkę* w wersji z 1995 roku. Mój ojciec i jego żona są kinomanami, więc uznałam, że film jest na pewno dobry, prawdopodobnie z napisami.

W tej opowieści ojciec wysyła córkę do prywatnej szkoły, podczas gdy sam idzie na wojnę. Dziewczynka wyczarowuje sobie wspaniałe życie, dopóki nie dowiaduje się, że ojciec zaginął. Ponieważ traci fortunę, musi ciężko fizycznie pracować w szkole – taki odwrócony Kopciuszek. Pomimo to stara się jak najlepiej ułożyć sobie nowe życie, zawierając liczne przyjaźnie, nie wiedząc, że w sąsiednim domu starszy pan przyjął pod dach nieznanego żołnierza, który po tym, jak został ciężko ranny, stracił pamięć.

Akcja się rozwija, dziewczynka ma trafić do sierocińca, gdy żołnierz słyszy jej płacz w proteście. Od razu instynktownie poznaje, że to jego córka, i jednoczą się w poruszającej scenie. Zawsze, gdy zatęsknię za moim ojcem, oglądam ten film i wypłakuję wiadra łez.

Rekomendując mi ten film, ojciec pragnął mi przekazać, że mnie kocha. A przynajmniej chciałabym, aby tak było.

Choć to wszystko wyjaśniłam Guntherowi, on nie przestaje przynudzać na temat mojego smutku w związku z utratą takiego ojca, jakiego kiedyś znałam.

– Wszystko sprowadza się do twojego ojca. A to czyni cię manipulanką, Patience.

– Wiem, nic na to nie mogę poradzić. Przepraszam, że zmusiłam cię do zamówienia pizzy wegetariańskiej zamiast pepperoni. – Wtedy zaczynam płakać, bo nie toleruję konfrontacji dłużej niż przez trzy minuty. Zawsze ustępuję pod presją.

– Czy ty w ogóle rozumiesz, że sen na temat jedzenia mięsa pochodzi z głębi mojego jestestwa? Nie sądzę, abyś słuchała.

– Wiem. Jestem jędzą.

Nie zamierza mnie pocieszać, zaszywa się kącie, chcąc rozważyć moje wykroczenie. Wycofuję się do salonu, aby pławić się w poczuciu niższości. To tylko kwestia czasu, zanim któreś z nas się odezwie. Jedyne, na co mam ochotę, to położyć się na kanapie i czytać najnowszą powieść Mirandy Lee, *The Bride in Blue*, w której trzęsąca się panna młoda musi poślubić brata swojego narzeczonego, prawdziwego dupka, który okazuje się nieznośnie seksowny. Zamierzam również coś zjeść.

Po godzinie znajduje mnie płaczącą nad puszką migdałów w polewie jogurtowej.

– Zmiana zdania zajmuje mi chwilę. Potem już mogę wybaczyć – mówi z lekkim uśmiechem.

– Zmiana?

Bierze mnie w ramiona. Koniec walki. Z potwornej manipulanki zmieniam się w drżącą, bezbronną nową dziewczynę.

Któregoś poranka zamierzamy wjechać na szczyt góry Sandia Crest. Góry rozciągające się wokół Albuquerque to moi majestatyczni starzy przyjaciele. Gdy przylatujesz do miasta, witają cię góry. O wschodzie słońca lśnią, rzucając światło na leżące u ich podnóża miasto. Kocham je. Dopóki nie próbuję na nie wjechać. Droga się wiję, jest stroma i gdy tak wspinamy się na szczyty, bieleją mi kostki palców.

Gunther uważa mój lęk za zabawny. Nawet udaje, że wymiotuje przez okno – pobudzając moją fobię, co przelewa czarę goryczy. Zawracam samochód i z drżącą stopą na pedale hamulca nawiguję w dół góry. Ciekawe, że tydzień temu, gdy odwiedził mnie ojciec, poradziłam sobie z jazdą na górę, choć korciło mnie, aby z niej skoczyć.

– Życzenia twojego ojca są ważniejsze niż moje – mówi Gunther pośepnie, spoglądając przez okno na nasz tragiczny zjazd.

No cóż. Któż by nie zawiózł ojca na szczyt góry, aby zdobyć jego akceptację? Jednak Gunther jest zrozpaczony.

Prawdziwa miłość powinna sprawiać ból. To część dorastania. Gunther jest trudnym przypadkiem, ale pod powłoką krytycyzmu kryje się prawdziwy motyw. Miłość.

– Myślałem o kupnie pierścionka – mówi, gdy jedziemy na lotnisko.

– Naprawdę? O rety. – Też o tym myślałam.

– Ale zdecydowałem się z tym poczekać.

– To prawdopodobnie mądra decyzja – powiedziałam.

– Jedno z nas będzie musiało się przeprowadzić. Może mogłabyś spędzić ze mną lato – mówi.

Być na Manhattanie. Być z Guntherem, aby sprawdzić, czy jesteśmy dla siebie stworzeni. Już rezerwuję bilet.

Czerwiec zaczyna się na czwartym biegu. Skończyłam ze szkołą w tym semestrze i jadę na Manhattan, by pierwszy raz w życiu pomieszkać z mężczyzną.

Stawiam walizkę na podłodze, Gunther obejmuje mnie i natychmiast ruszamy. On pracuje na zlecenie w ciągu dnia, podczas gdy ja zbieram materiały do pracy podyplomowej (choć głównie leżę na kanapie i czytam), potem przychodzi do domu, ciesząc się, że mnie widzi.

W lipcu, w dniu moich urodzin, nasze „i żyli długo i szczęśliwie” bierze w łeb.

Gunther jest na mnie zły od chwili, gdy się budzimy w tym wyjątkowym dla mnie dniu. Ma jednak niespodziankę.

– Idziemy do Upper East Side. Ładna restauracja – mówi.

W gruncie rzeczy liczyłam na byle jaką knajpę, bo gdy widzę menu, staję się nerwowa, chora. Gdzie ziemniaki piure? Te beżowe, znajome potrawy? A makaron? Mały hamburger *et fromage*? Nie wiem, co zamówić w tej wykwintnej restauracji. Mają łososia, ale nie przepadam za rybą. Gunther na pewno zaaprobowałby jedzenie ryby, bo jest zdrowa.

– Wezmę grillowane warzywa – mówię.

Mam niezły trening w udawaniu, że jem, przesuwam rzeczy na talerzu, biorę kawałek i odgryzam odrobinę liścia na gałązce kwiatu brokuła.

Gunther spogląda na mnie, twarz zaczyna mu płonąć.

– Jesteś w eleganckiej restauracji. Może zamówisz coś lepszego, na przykład łososia?

– Chcę zjeść tylko warzywa. – Może zamówimy jakieś ciastko. To by skompensowało ból.

– Nie wierzę. Równie dobrze mogliśmy pójść do japońskiej knajpy za rogiem. – Widzę narastającą w nim frustrację.

– Dobrze, zamówię łososia.

Zamawiamy, a ja boję się tej przeklętej ryby. Nie mogę znieść myśli, że mam zjeść cały kawał pomarańczowej ryby. Kalkuluję, że zanim skończy się ten wieczór, zwymiotuję całe jelita. Będzie lepiej, jeśli wybiegnę na zewnątrz, przynajmniej Gunther nie będzie świadkiem tego wydarzenia.

Jedzenie łąduje na naszym stole, Gunther uważnie mnie obserwuje. Ustawiam widelec w ten sposób, aby uszczknąć jak najmniejszy kawałek łososia. Wkładam odrobinę do ust i mam ochotę umrzeć.

– Wyglądasz tak, jakbyś zaraz miała zwymiotować – mówi Gunther.

Nogi trzęsą mi się pod stołem. Rzadko się to zdarza, ale muszę wyjść – nie po to, aby zwymiotować, ale pooddychać świeżym powietrzem, uciec od łososia i zatrzymać się... nie wiem... w Connecticut.

Czekam na Gunthera na zewnątrz, wychodzi, niosąc tort urodzinowy z wypisanym moim imieniem.

– Jechałem taksówką dziewięćdziesiąt przecznic, aby przywieźć ten tort i zanieść do restauracji, dla ciebie! – krzyczy jak Al Pacino w każdym filmie.

– Przepraszam.

Płaczę otwarcie, na ulicy. To takie żenujące i tak bardzo w nowojorskim stylu.

– Mogłaś powiedzieć, że nie chcesz łososia! – wrzeszczy.

– Powiedziałam! No nie wiem, pewnie powinnam nalegać. Chciałam zjeść tylko warzywa.

– Nie pozwalasz sobie na bycie sobą, protestuję przeciw temu – mówi, gdy parę minut później wsiadamy do taksówki.

Jest w tym trochę racji, ale jak dziewczyna może być sobą, gdy nigdy nie ma racji? Nie mam ochoty na kłótnie. Teraz rozumiem, dlaczego Elinor Dashwood jest tak powściągliwa, gdy chodzi o miłość. Widząc nieudany związek Marianne, Elinor nie ma ochoty tego przeżywać. Muszę być bardziej jak Elinor.

Lato kończy się dwa tygodnie później. Do tego czasu Gunther przekonuje mnie, że wspólne rozwiązywanie problemów nas zbliża.

Zaczyna się nowy rok szkolny. Oprócz tego, że czytam tyle romansów, ile się da, również praca podyplomowa pomaga w podejmowaniu odpowiedzialnych decyzji. Nie można zostawić wszystkiego dla faceta. Mimo tych obaw korespondencja z Guntherem kwitnie. Przesyłamy sobie wzajemnie niewinne taśmy. Na jednej wspomina, że ma dla mnie prezent gwiazdkowy, „małe pudełeczko”.

Już widzę siebie w roli kobiety zaręczonej, jak te bohaterki na końcu każdego romansu. Wreszcie. Kilka lat temu medium przy kolacji powiedziało mi, że swojego Księcia z Bajki spotkam w późniejszym okresie życia. No cóż, medium się pomyliło. Wychodzę za Gunthera i mentalnie przygotowuję się na ten moment, gdy otworzę to małe pudełko i znajdę w nim błyszczący diament, mimo że od chwili, gdy usłyszałam o tym małym pudełku, codziennie miewam ataki paniki. Trzęsące się nogi i brak tchu to normalka.

Nadchodzi przerwa świąteczna, w samą porę. Pakuję najlepsze ciuchy i lecę do mojego nowego domu, do Nowego Jorku, dokąd mam się przeprowadzić... jako żona Gunthera.

Tym razem nie odbiera mnie na lotnisku. Mam złapać taksówkę lub autobus, mówi. Czy nie rozumiem, ile komplikacji wymaga przyjazd na lotnisko? Oczywiście, że rozumiem. Pewnie denerwuje się przed poproszeniem mnie o rękę. A może zaskoczy mnie, witając na kolanach na lotnisku.

Gdy nie dostrzegam go przy bramce ani przy odbiorze bagażu, jestem zdruzgotana. Trzydzieści dolarów później wspinam się z trudem na piąte piętro i pukam do drzwi. Przelotnie mnie całuje. Rozpakowuję rzeczy i kładę prezenty dla niego pod choinkę. Sprawdzam, czy leży pudełko z pierścionkiem. Nie leży. Pewnie chowa je na tę wyjątkową chwilę. Przygotowuję się do tego wielkiego wydarzenia.

Czekam i czekam. Mijają dni, wreszcie nadchodzi Wigilia. Od przyjazdu nawet mnie nie dotknął, martwi mnie to. Co się stało z moim Guntherem?

W końcu wymieniamy się prezentami, on przynosi *pièce de résistance*: stary czajnik na herbatę (nie piję herbaty) z Chin. Znalazł go na pchlim targu w Chelsea. Może będziemy parzyć wspólnie jego ulubioną herbatę.

Wewnątrz czajnika znajduję długi, elokwentny list napisany na eleganckim papierze, w którym wyjaśnia swoją miłość do mnie, że musimy poznać się lepiej, że na małżeństwo jest za wcześnie. List ma wszelkie znamiona odtrącenia i biorę go sobie do serca. Jestem kompletnie rozczarowana. Gunther oficjalnie, na papierze, się oddala.

Gdy wyjeżdżam drugiego stycznia 1997 roku bez Gunthera, wydaje mi się, że to koniec świata, ale po wyjściu z samolotu zalewa mnie fala ulgi.

Gunther, odpytany przeze mnie na okoliczność „małego pudełka”, powiedział, że źle go zrozumiałam. Twierdził, że nigdy nie sugerował, iż kupił pierścionek zaręczynowy, i tylko moja wyobraźnia, desperackie pragnienie, aby się ze mną ożenił, pozwalały mi tak sądzić.

Na kilka dni przed walentynkami, kiedy to rok wcześniej dostałam bukiet żółtych róż, Gunther zrywa ze mną przez telefon. Czułam, że tak będzie, od momentu, gdy krzyczał na mnie za urodzinowego łososa.

Jestem smutna, choć z drugiej strony czuję się lekka jak piórko. Przynajmniej wytrzymałam do końca, nie uciekłam, gdy sprawy przybrały zły obrót. W gruncie rzeczy większość czasu, który spędziliśmy wspólnie, była trudna. Powoli dociera do mnie prawda: Gunther to nie ten jedyny. On jest skomplikowany. Ja również. Porzuciłby mnie w jaskini, abym umarła (tak jak Ralph Fiennes porzuca Kristin Scott Thomas w *Angielskim pacjencie*), wylał gorzkie łzy z żalu nad moim pięknym ciałem, a potem znalazł inną rudowłosą.

Tuż przed ukończeniem trzydziestki wracam do domu. Zaczynanie od początku nie jest takie straszne. Mama i brat będą zachwyceni. Ojciec i macocha pewnie nie, ale lubią, gdy przychodzę do nich i pomagam kosić trawę i myć okna. Za dobre zachowanie dostaję mrożony jogurt. Dla rodziny warto przeprowadzić się na wschód.

Pożegnanie z pustynnymi wschodami słońca nie jest proste. Z uroczymi jednopoziomowymi domami, dachami w stylu kalifornijskim czy nawet z centrami handlowymi. Przyjaciele organizują przyjęcie na moją cześć. Na dwie sekundy godzimy się z Chrisem, a później żegnamy czule, co oznacza, że już nigdy nie pogadamy.

Gunther pojawia się koło Gwiazdki, rok po tym okropnym zerwaniu w czasie przerwy świątecznej. Desperacko we mnie zakochany. Wiem, że powinnam skasować ten egzaltowany e-mail, ale zwycięża samotność. Postanawiamy się spotkać. Jednak gdy go ponownie widzę, przypominam sobie, że zawsze był nieobecny, gdy go potrzebowałam. Nie było go przy obronie mojej pracy, przy pakowaniu, przeprowadzce, gdy uczyłam na pełny etat, chodziłam na trzy podyplomowe kursy, w samotne walentynki ani przez te dwa katastroficzne tygodnie świąt Bożego Narodzenia.

Z drugiej strony wiele mu zawdzięczam. Nigdy nie wróciłabym na wschód, gdyby nie on. Wiele rzeczy nie wydarzyłoby się, gdyby nie on.

Pragnienie prawdziwego romansu znika, gdy skupiam się na nowym

otwarcu w karierze. Umawianie się ze szmaciarzami to strata czasu – bez względu na wiek. Tyle razy już słyszałam – w różnych odmianach – powiedzenie „Musisz pocałować wiele żab, zanim...”, że poczułam się tym znużona. Doskonale się składa, że moje życie miłosne się wycisza, romans najlepiej wypada w książkach i filmach.

Teraz wszystko obraca się wokół mnie.

Część druga

„Niektórzy ludzie statkują się, inni przybierają w pasie, a niektórzy chcą mieć wyłącznie to, co najlepsze”.

*Seks w wielkim mieście*²⁶

Rozdział szósty

Papierowy romans pomaga dziewczynie w czasie długiej posuchy i nie jest tak kłopotliwy jak prawdziwy

1997

Kilka miesięcy robi czasem wielką różnicę. Gunthera nie ma, przeprowadziłam się z Nowego Meksyku, spełniają się wszystkie moje marzenia. Zaraz stuknie mi trzydziestka, jestem nadmiernie wyedukowana, niezatrudniona i mieszkam z rodzicami w New Jersey (około czterdziestu minut od Manhattanu). Moje dwa koty już zrujnowały tapicerkę. Czego więcej można sobie życzyć?

Jestem podekscytowana nowym startem, częstszymi kontaktami z rodziną, możliwością znalezienia pracy zgodnej z tym, co lubię robić najbardziej: czytać. Praca w wydawnictwie pozwoliłaby mi czytać na pełny etat. Muszę też wspomnieć o pobycie w domu i rodzicach, którzy ze wszystkiego, co ze mną związane, robią aferę. Mama i Don robią to co zwykle: uczą, piszą, kłócą się o to, kto wyniesie śmieci, i urządzają kolacje dla gości z byle okazji. W tej układance brakuje mojego brata Patricka, który mieszka na Manhattanie, i mojego przybranego brata Johna, który przeniósł się do Teksasu kilka lat temu. Jestem tylko ja i rodzice.

Przystosowuję się całkiem nieźle, dopóki nie pojawia się dusząca wilgoć. Zapominam, jak obrzydliwa potrafi być pogoda w tym stanie w lecie. Każdy dzień nadwątla zasoby mojej energii, ale trzymam się dzielnie przez czerwiec i lipiec. W sierpniu jestem prawie nieprzytomna, co skutkuje poniższą konwersacją przy stole.

– Jeszcze ziemniaków?

Mama dokłada mi na talerz, zanim odpowiem. Wiem, że martwi się o mnie. Jest sfrustrowana, bo od przeprowadzki na wschód mocno schudłam.

– Jest zbyt gorąco, aby jeść – odpowiadam.

To zawołowana sugestia, aby włączyli klimatyzację. Wygląda na to, że starsi ludzie lubią pocić się jak świnie. Te zawody w przeciąganiu liny trwały całe lato.

– Don, czy mógłbyś włączyć klimatyzację? – pyta mama.

Mężczyzna protestuje przez jakieś dwie sekundy, ale wykonuje jej polecenie. Oboje nie przepadają za klimatyzacją, ale ich główny cel to podtuczenie mnie. Don rysuje karykaturę mamy wręczającej mi – wychudzonej – hamburgera z podpisem: „Bonnie’s Patience Is Wearing Thin”²⁷. Na wszystkich rysunkach Dona mama nosi różowy szlafrok. Trudno nie zastanawiać się, o czym on wtedy myśli.

Poważnie – jak mogę mieć apetyt, skoro muszę znaleźć pracę i mieszkanie? I to na Manhattanie. To przerażające. Chyba mogę się trochę powściekać? Nie, ponieważ im szybciej znajdę pracę i mieszkanie, tym szybciej wyprowadzę się od rodziców. Ogólnie dobrze się dogadujemy, ale jeżdżenie do miasta pociągiem potwornie się dłuży.

Czytam gazety, przeglądam ogłoszenia, szukam pracy w wydawnictwie. Wzięłabym cokolwiek, choć marzy mi się praca z książkami o miłości albo przynajmniej z fikcją. Przypominają mi się pierwsze dni w Cleveland – szukanie zleceń, ubrań do pracy, zawroty głowy w związku z rozpoczęciem nowej pracy. Manhattan mnie przeraża. Zbyt wielu ludzi. Jak znaleźć pracę w wydawnictwie, skoro nie wiem, które są dla mnie osiągalne?

Któregoś ranka wkładam starą sukienkę, którą miałam na wręczeniu dyplomu, i zmierzam na pociąg „szlifować chodniki”. To dobry moment, aby włączyć muzykę z *Gorączki sobotniej nocy*, gdy John Travolta przemierza ulice w dyskotekowym stroju. W tym, co zamierzam zrobić, nie ma nic olśniewającego. Minęły też dni, gdy można było zwyczajnie wejść do biura i zapytać o pracę. Potrzebuję jednak jakiejś aktywności. Moja misja to odwiedzenie kilku agencji pośrednictwa pracy. Już dawno nie musiałam tego robić.

Na stacji ogarnia mnie rozprzestrzeniająca się od żołądka fala paniki. Jak mogłabym tam wrócić? To takie ogromne miasto. Umrę. Gdybym była mężatką, wróciłabym do domu prosto w ramiona kochającego męża. Dlaczego nie poślubiłam kogoś bogatego i przystojnego? Nie miałabym żadnych problemów.

Boże, jak ja wrócę do domu? Ledwo się ruszam. Na pewno przeżyję załamanie nerwowe na środku dworca Penn Station. I wtedy, na peronie, zacznę płakać. Słoneczne niebo w jednej chwili staje się przytłaczające. Nie mogę się poruszyć ani fizycznie, ani emocjonalnie. W takim stanie nie mogę szukać pracy. Co niby miałabym powiedzieć w tych agencjach? Wszyscy odgadną, że przechodzę kryzys. Przeprowadzka z Nowego Meksyku do Nowego Jorku była zbyt drastyczną zmianą. Dlaczego wydawało mi się, że mogę zacząć nowe życie w takim dużym mieście?

Zawracam i pędzę do domu, pocę się w tym potwornym upale, mam zawroty głowy. Mama jest w swoim biurze na piętrze. Tracę dech, rozpadam się.

– Co się stało? – pyta spokojnie.

– Nie mogę tego zrobić, mamo.

Płaczę. Mama tylko raz płakała w mojej obecności. Ja z kolei nie czuję wstydu, gdy ciągle wycieram twarz. Nawet mi to nie przychodzi do głowy.

Ubolewam, że Bonnie Smith nie należy do kategorii współczujących matek. Nie podbiegnie i nie obejmie mnie, zapewniając jednocześnie, że wszystko będzie w porządku. Zrobiła to w Cleveland, ale teraz nie. Jestem na to za stara. Nie chodzi o sytuację zagrażającą życiu. Przez sześć lat żyłam jak pełnoprawnie dorosła osoba.

– Dlaczego nie możesz tego zrobić, Patience? – Jej oczy są kamiennobrazowe, bez śladu ciepła.

Wiem, że kocha mnie do szaleństwa, ale musi skopać mi tyłek.

– To za dużo.

Płaczę jeszcze bardziej. Mój strój wydaje mi się teraz strojem klauna. Nauczanie francuskiego w Nowym Meksyku było świetną fuchą. Porzuciłam ten raj dla tego śmierdzącego miejsca, gdzie śmieci leżą na ulicach, ludzie są głośni i szaleni, a psy sikają wszędzie, sądząc po doświadczeniach, które zebrałam w czasie krótkiego lata w Nowym Jorku. Tego z Guntherem.

– Więc zostaniesz tutaj i będziesz dużym dzidziusiem – mówi mama.

Ona naprawdę to powiedziała? Wiem, że ma rację, ale odrobina delikatności przecież by jej nie zabiła? Delikatność to trend przyszłości. Jeżeli uczeń dostaje dwóję w szkole, to w porządku. Widocznie nauka francuskiego mu nie podchodzi. Po co mu to, skoro zamierza być Donaldem Trumpem? Albo mała Ainsley nie przychodzi na lekcję. Cierpi, bo nie zaproszono jej na takie czy inne przyjęcie. Słyszałam już wiele wymówek i próśb o łagodne traktowanie przez te wszystkie lata, a teraz sama o to proszę moją konserwatywną matkę. Tyle przeszłam, że muszę się teraz bardziej o siebie zatroszczyć, spędzić kilka dni na odpoczynku i czytaniu magazynów.

Każda bohaterka potrzebuje jakiejś zachęty, moją zwykle jest mama. Jednak ponieważ jestem jej córką, odpycham ją.

– Nie jadę *dzisiaj* do Nowego Jorku.

Mój głos jest mocniejszy, odwracam się i maszeruję do swojego pokoju z kotami rujnującymi meble. Ktoś silniejszy pospieszyłby na zewnątrz złapać kolejny pociąg. Pieprzyć to, jestem w kiepskim stanie. Zanim

wróciłabym do domu, byłoby już ciemno.

Wiem, że mama jest mną rozczarowana. Pamięta mantrę, która przeze mnie przepływa, tę sprzed siedmiu lat: „Tyle przeszłaś. Odpocznij trochę”. Codziennie ma do czynienia z podobnymi do mnie studentami, którzy proszą o przedłużenie terminu oddania pracy, bo pociągają nosem.

Zafundowałam sobie wiele przerw i imprezek, gdy użalałam się nad sobą. Łatwo ponownie pogrążyć się w bólu – choć jest to po części usprawiedliwione – zamiast iść do przodu. Tylko czy naprawdę chcę pozostać w tym domu, oglądać seriale i odkładać moją świetlaną przyszłość? Gdybym była postacią z powieści Jane Austen, moje możliwości byłyby ograniczone. Mogłabym pójść na tańce, odwiedzić ciotkę i wujka w Londynie. Ale nią nie jestem. Mam nieograniczone możliwości i ta świadomość mnie paraliżuje. Boję się miernoty, choć od czasu do czasu można potarzać się w przeciętnym życiu. W innym wypadku można umrzeć ze stresu, że jest się tak niezwykłym. Złe czasy muszą pójść w odstawkę. Dzisiaj nie pojedę do miasta. Ale jutro wsiałam do tego pociągu. Nie znajdę co prawda pracy tego dnia, ale zrobię pierwszy krok.

Wyjazd na pierwsze spotkanie rodzinne Smithów po powrocie na wschód jest trudny. Smithowie są fantastycznym gatunkiem – przyjaźni, kochający, o ironicznym poczuciu humoru i z wielkim apetytem na skrobienie (ciastka, sałatka ziemniaczana, sałatka z makaronem – to jeden z wielu powodów, dla których ich kocham). Od kiedy zmarli moi dziadkowie, więzy rodzinne nieco osłabły. Organizowanie zjazdów rodzinnych pozostaje w gestii ciotek i wujków.

Chcę wszystkim pokazać, że zebrałam się do kupy, nawet jeśli tak nie jest. Przybycie na zjazd też przecież wiele znaczy, prawda?

Spotykamy się na jakimś zadupiu w Connecticut. Wiem, że będzie tam mój ojciec, a to ważne, bo jego aprobata znaczy dla mnie wszystko. Odnoszę wrażenie, że wolałby, abym została w Albuquerque. Dlaczego rzuciłam dobrą pracę nauczycielki i przyjechałam tutaj, gdzie nic nie ma (oprócz rodziny)? Bardzo chce, abym wyszła za mąż i osiadła gdzieś daleko stąd – takie przynajmniej mam wrażenie. Jak to się stało, że nasze relacje tak szybko się zmieniły? Jednego dnia mówił mi, że jestem wyjątkowa, a następnego stałam się jakimś obcym elementem zakłócającym jego krajobraz.

To wszystko sprawia, że bardziej się staram. Jeżeli rzeczywiście jestem

śmieciami, to przybiorę szaty królowej piękności. Moje włosy są bujne, podcięte na wysokość brody. Włożyłam białe szorty (to chyba dowód pewności siebie) i czarny T-shirt, zrobiłam nieskazitelny makijaż. Stroję się głównie z myślą o ojcu. Zjazd okazuje się leniwym złocistym popołudniem, z pogawędkami, jedzeniem i mieszaniem się z tłumem. W pewnej chwili przypieram ojca do ściany.

– Wróciłam – mówię.

– Świetnie, świetnie.

Wiem, że nie daje się nabrać na moją sztuczną radość. To prawdziwy pech, kiedy ktoś wie, że drepczesz w miejscu.

– Będę pracować w wydawnictwie, rozsyłam swoje CV. Usychałam w Albuquerque.

– Och, myślałem, że to było dobre miejsce dla ciebie, ładna szkoła.

– Nie mogłabym robić tego całe życie. Nie jestem nauczycielką.

Kładę na to nacisk, ale nie jest przekonany.

Mama przynajmniej udawałaby, że wszystko jest w porządku, i powiedziała: „Brawo!”. Ojciec wsuwa ziemniaczanego chipsa, co jest rzadkością, bo dawno zaniechał śmieciowego jedzenia.

Dociera do mnie, że on już nie oczekuje ode mnie zbyt wiele. Mogłabym pozostać w Albuquerque, uprawiając zawód, który mi nie odpowiada, i byłoby to najlepsze rozwiązanie. Sięganie po nowe terytoria wydaje się pochopne i neurotyczne. W pewnym sensie ma rację. Moje życie byłoby znośne, gdybym uczyła francuskiego, stopniowo tracąc paryski akcent, nie widywała zbyt często rodziny, randkowała z kolejnymi kolarzami, w końcu wyszła za kogoś, kto pracuje w Intelu.

Ale teraz jestem tutaj, ze wszystkim, co posiadam, z kotami. Mam większe plany. Podobnie jak to było na uniwersytecie, nie wiem, jak się skryształizują. Wykazuję też dość troski, aby przybyć na zjazd rodzinny. Najbardziej boję się nie jego dezaprobaty, ale tego, że jest mu wszystko jedno, co zrobię.

Moje urocze białe szorty i ja wracamy do domu, gotowi z jeszcze większą determinacją udowodnić, że ojciec się myli – lub przewyższyć jego oczekiwania wobec mnie, jakiegokolwiek by były.

Zarzucam nowojorską scenę wydawniczą listami motywacyjnymi i CV. Dowodzę, że jestem warta jedynie zatrudnienia na samym dole wydawniczej maszyny, gdzie w zasadzie jest moje miejsce. Moje

doświadczenia zawodowe sprowadzają się do przeczytania kilku książek o redagowaniu, pochłonięciu niezliczonej liczby romansów i powieści francuskich, oceny prac uczniów oraz własnej twórczości. Uczę się sztuki redagowania artykułów i zawieram znajomości z ludźmi z branży. W końcu dostaję zlecenie w dziale reklamy w Simon & Schuster²⁸.

Pierwszego dnia szybko trafiam do mojego czarującego boksu (takiego jak w filmach!), gdzie piszę i roznoszę okładki z prośbą o parafowanie. Moją szefową jest błękitnooka blondynka, która lubi przeklinać. Angażuje się do tego stopnia, że zastanawiam się, czy nie dostanie zawału. Ale podoba mi się jej zadziorność. W gruncie rzeczy odkrywam, że nowojorczyki są raczej dowcipni. Wszystko toczy się w szybszym tempie, nawet humor.

Od początku wiem, że nie zostanę na stałe w Simon & Schuster. Praca w reklamie nie jest moim celem, wzrasta natomiast fascynacja romansami, gdy zagłębiam się w magazyny branżowe, jak „Romantic Times” i „Affair de Coeur”, prezentujące recenzje nowych tytułów – a jest ich wiele. W lokalnej księgarni Barnes & Noble kupuję tyle tych małych perełek, ile się da, wraz z kilkoma grubszymi powieściami autorstwa Jackie Collins (jestem jej superfanką) i Danielle Steel. Wstępuję nawet do stowarzyszenia Romance Writers of America i uczestniczę w kilku spotkaniach jego nowojorskiego oddziału. Grupa roztacza opiekę nad pisarzami w myśl zasady „My przeciwko nim” (gdzie „nim” oznacza redaktorów). Nie jestem pewna, do której grupy należę, bo przecież popełniłam arcydzieło *Pupilek nauczyciela*, z drugiej strony próbuję dostać pracę w wydawnictwie. Po czyjej jestem stronie? Jeżeli będę po obu, to chyba nie zaszkodzi, prawda?

Zaprzyjaźniam się z Tanya, opryskliwą autorką romansów historycznych, która posiada bogatą wiedzę o świecie romansu. Prowadzimy długą rozmowę telefoniczną o mojej przeszłości, początkach miłości do romansów i planach na przyszłość. Zwierzam się, że chciałabym pisać romanse, co ona kwituje stłumionym śmiechem, ponieważ, naturalnie, musiałam połknąć tego bakcyła. Opowiada mi, kto jest kim, co jest czym, głównie z punktu widzenia doświadczeń jako pisarka, która chce opublikować swoje powieści. Musisz uważać na tych wydawców, zawsze próbują cię formować, dopasować, jak marketerzy.

No dobrze, to wydaje się normalne. Ale przecież nadal chcą wydać swoją powieść? Więc jakie są opcje?

Przez miesiąc jeżdżę do pracy i zbieram informacje. Każdy dzień to kolejny krok naprzód. Nie jestem już tą płacziwą dziewczyną ze stacji

kolejowej. Nagle odbieram telefon, którego się nigdy nie spodziewałam. Zwykle zanim dziewczyna osiąga pożądaną stabilizację, musi liczyć się z sytuacją przejściową, ale nie tym razem. Rozmowa przypomina połączenie Mekki z Disneylandem w jednego wielkiego loda na patyku.

– Harlequin chciałby, abyś wykonała dla nich zlecenie... – informuje mnie agencja.

Żarty sobie stroisz? *Ten* Harlequin? Największy wydawca romansów na świecie, źródło tych wszystkich ślicznych książek, które możesz skryć w torebce, książek, dzięki którym przetrwałam szkołę średnią, uniwersytet i napisałam pracę podyplomową? Prawie frunę, aby wykonać moje zadanie, bez tchu, podekscytowana, gotowa, aby czytać te naiwniaki na pełen etat.

Ktoś na górze chyba ma mnie w swojej opiece. To nie szkodzi, że to praca tymczasowa, gdzie będę czytać ckliwe romansidła i opiniować je, wykonywać zadania typowe dla asystenta redaktora, jak przepisywanie notatek, rozmawianie przez telefon z autorami, pisanie na maszynie formularzy. Na końcu tej drogi albo porzucę czytanie romansów, albo zostanę z nimi na zawsze. Bez względu na to, co się wydarzy, w tej właśnie chwili wybieram, po czyjej jestem stronie. Jestem z „nimi”.

Winda zatrzymuje się na szóstym piętrze budynku położonego w środkowo-wschodniej części Manhattanu. Na początek zauważam biurko recepcjonistki, wita mnie dziarska starsza pani z farbowanymi na czerwono włosami. Dwie rudowłose w jednym miejscu. Nieźle.

Siedzę na kanapie i czekam. Miejsce wydaje się bardzo ciche. Spokój, bez nerwowej bieganiny, książki wystawione w szklanej gablocie. Wszystko, czego pragnę, to siedzieć w biurze i czytać, uczyć się o tych romansach, które czytam w czasie kąpieli z pianą przy świetle świec.

Moja nowa szefowa Tracy wychodzi i wita się ze mną. Od razu ją poznaję, te czerwone loki i młodzieńcze rysy. Nie może być lepiej: trzecia rudowłosa w jednej firmie. Czytałam o Tracy, gdy zbierałam szczegółowe informacje na temat wydawnictwa. Często pisano o niej w magazynach branżowych i w książkach o sztuce pisania romansów. Poznanie jej osobiście, praca pod jej nadzorem to dla mnie jak praca z gwiazdą filmową.

Jest niewiarygodnie miła, aż trudno mi uwierzyć, że będzie moim szefem. Pierwszy dzień spędzam w jej biurze, gdzie przedstawia mi strukturę firmy. Harlequin ma siedzibę w Kanadzie, biura na całym świecie, ale głównie

w Wielkiej Brytanii, Australii i Nowym Jorku, i oddziały w wielu innych krajach. Biura w Kanadzie zajmują kilka pięter, obejmując marketing, oprawę artystyczną, produkcję i redakcję. W Nowym Jorku firma zajmuje jedno piętro, gdzie pracuje około czterdziestu osób w działach redakcji i niewielkiej produkcji.

Dowiaduję się, że istnieją romanse dla wielu rodzajów czytelników: pikantne, historyczne, lekkie i zabawne, klasyczne, kryminalne, horrory z elementami paranormalnymi, skupione na domu i rodzinie – w zasadzie romanse na każdą sytuację, którą można sobie wyobrazić. Wydaję stłumiony okrzyk, gdy Tracy informuje mnie, ile książek firma wydaje na miesiąc. Ponad sto? Naprawdę?

Z każdej kategorii napływają stosy prac. Idąc korytarzem, widzę góry nieprzeczytanych maszynopisów na półkach. Wcale się nie dziwię, że potrzebują moich usług, tym bardziej że jak twierdzi Tracy, Harlequin jest dumny z zasady, że każdą nadesłaną pracę należy przeczytać.

Moja rola, choć tymczasowa, to właśnie czytanie owych maszynopisów. Ponieważ jeden z redaktorów awansował, Tracy potrzebuje pary oczu do czytania prac z kategorii, którą zarządza, Harlequin Historical, dla której piszą niektóre gwiazdy gatunku: Ruth Langan, Margaret Moore, Carolyn Davidson, Merline Lovelace i Cheryl Reavis.

Pierwszego dnia wręcza mi kilka maszynopisów. „Przeczytaj i powiedz mi, co myślisz”. To jest dokładnie to, co pragnę robić cały dzień.

Wydaje się to stosunkowo proste. Uczyłam w młodszych i starszych klasach szkoły średniej, co wymagało wysokiego poziomu energii przez osiem godzin, a ponadto przygotowania się i wystawiania ocen po godzinach. To zadanie – siedź i czytaj – to bułka z masłem.

Przeglądając maszynopisy, zastanawiam się, kim są ludzie, którzy tu pracują. Skąd się tu wzięli? Później dowiaduję się, że Tracy zaczynała w filmie, przeniosła się do wydawnictwa i trafiła tutaj. Teraz jest starszym redaktorem. Może przyjęcie mnie przez nią do pracy nie było takim szaleństwem, jak się wydaje.

W jej dziale pracuje również inna redaktorka, Margaret. Wygląda jak supermodelka – wysoka, blondynka, szczupła – i gdyby nie to, że interesuje ją to, co myślisz, i miło się z nią spędza czas, należałoby ją znienawidzić. Nie tylko jest doskonała, ma doskonałe dzieci i doskonałego męża, ale również wykazuje wysoki entuzjazm do pracy. Jest zabawna, emocjonalna i kumata – moje zupełne przeciwieństwo, ale polubiłam ją od pierwszej chwili. Margaret z uśmiechem pomaga mi w ogarnięciu mojej tymczasowej

pracy. Wszyscy wydają się niesamowicie mili.

Ulokowano mnie w dużym, niedawno zwolnionym biurze z oknem, całkiem luksusowym jak na pracownika na zlecenie. Redakcyjni asystenci siedzą w zbiorowej celi, w boksach tylko połowicznie ograniczonych ściankami, bez żadnej prywatności. Jest to część inicjacji, którą należy przejść, zanim otrzyma się awans na asystenta redaktora. Choć moje biuro to wystarczający powód, aby mnie znienawidzić, współpracownicy zachowują się przyjaźnie. I oto jestem, ze stosem maszynopisów i niejasnym uczuciem, że mogłabym tu zostać. Gdy rozglądam się po piętze, zauważam sfatygowaną wykładzinę i ślady życia w boksach i biurach oraz przejawy polityki, że jeśli palisz, to zamknij drzwi do swojego pokoju. Wyczuwam kilka pokrewnych palących dusz za drzwiami niektórych sal. Pracownicy wydają się pogodni – przytłoczeni robotą, ale szczęśliwi, bo ta praca to dobra zabawa.

Po kilku miesiącach kocham moją nową pracę jeszcze bardziej. Ponieważ zajmuję się romansami historycznymi, wpadam do najbliższej księgarni, aby kupić inne książki, i znajduję serię *Clayborne Brides* autorstwa Julie Garwood: *Różowa*, *Biała* i *Czerwona* – o trzech braciach na Zachodzie, którzy znajdują swoje wyjątkowe „róże”.

Jak przyjemnie zatracić się w innym okresie historii, znacznie ciekawiej przedstawionym niż na zajęciach z historii Ameryki i świata (zawsze miałam tylko trójkę). Wydaje się, że czytanie romansów przez cały dzień to szczególny rodzaj nieba, ale ja czytuję maszynopisy nadesłane z zewnątrz, zwane romansidłami, co uważam za obraźliwe, bo mój *Pupilek nauczyciela* też podpada pod tę kategorię. Każda autorka myśli, że przysyła klejnot. Teraz, gdy jestem „nimi”, nie walczę z określeniem „romansidło”. Te, które w pełni zasługują na tę nazwę, czytam w coraz szybszym tempie. Uczę się, że nie muszę czytać całości, by stwierdzić, że to niewypał. Nie ma czasu na bycie miłą. Można być ciut miłą i przesłać osobiście list z odrzuceniem, ale jedyny sposób, aby pozbyć się stosu, to ustawiczne czytanie i ocenianie.

Kilka opowieści uważam za gotowe do publikacji i przekazuję je Tracy. Odrzuca wszystkie i wyjaśnia dlaczego. Po jakimś czasie uczę się więcej o upodobaniach czytelników Harlequina, a któregoś popołudnia Tracy pyta mnie, czy chcę złożyć aplikację na stanowisko asystenta redaktora, o szczebel wyższe niż nowo przyjętych. Oznacza to, że przeskoczę poziom asystenta redakcyjnego, a to więcej, niż oczekiwałam. To chwila

z *Pracującej dziewczyny*, kiedy Tess myśli, że zostaje sekretarką Philipa Bosco, a w rzeczywistości otrzymuje własne biuro i lepszą pracę, niż mogła sobie wyobrazić.

Przyjazd do Nowego Jorku jest chyba najlepszym pomysłem, jaki do tej pory miałam. Składałam aplikację na to stanowisko i cudem je dostaję.

– Czy nie uważasz, że oglądałyśmy *D i U* zbyt wiele razy? – pytam.

Po kolacji wychodzimy z mamą do pokoju telewizyjnego i wrzucamy kasetę z jedną z wersji *Dumy i uprzedzenia* produkcji BBC.

Ostatnia wersja z serii *Masterpiece Theatre*, którą oglądałam z babcią, gdy miałam piętnaście lat, sprowokowała mnie do przeczytania książki Jane Austen, co z kolei sprowokowało mnie do przeczytania wszystkich jej książek.

I znów to samo. Jennifer Ehle, Colin Firth – nasza najnowsza obsesja. Mama twierdzi, że najbardziej lubi wścibską panią Bennet, ponieważ jest obarczona trudnym zadaniem wydania za mąż swoich córek i radzi z tym sobie mistrzowsko. Wiem jednak, że potajemnie kocha się w Colinie. Bardzo się kocha. Raz obejrzałyśmy tę pięciogodzinną miniserię dwukrotnie jednej nocy, pomijając mniej interesujące sceny, inne oglądając po parę razy. Nagle zrobiła się druga rano...

Mama ciągle powraca do scen z Colinem, gdy on gra, reaguje i pokazuje emocje.

– Widzisz, jak tam stoi w oddali? – komentuje i ponownie cofa taśmę. Gdy powóz odjeżdża z Pemberley, Lizzy odwraca się i dostrzega Darcy'ego, sztywnego, jakby połknął kij od miotły, wpatrującego się w nią. Romantyczna gęsia skórka.

– Widzę.

Jestem zaskoczona, że nie każe mi ponownie oglądać Darcy'ego wychodzącego ze stawu, w koszuli przyklejonej do jego męskiej klatki piersiowej. Tę scenę chce oglądać najwięcej dziewczyn, seksownego Darcy'ego, bo w książce jest ona bardziej subtelna. BBC wyolbrzymia ją. Też coś, nurkowanie w stawie. W stawie jest pełno świństw. To nie basen w Beverly Hills. Wątpię, aby Darcy w rzeczywistości chciał się tak wybrudzić.

– Nie wierzę, że oni się całują. To okropne. Jane Austen tego nie napisała – mówi mama na koniec. Mimo to ogląda.

– To lata dziewięćdziesiąte, mamó. Chcemy pocałunków.

W takich chwilach jest mi smutno, że wyprowadzę się do własnego mieszkania. Trudno o coś bardziej cenniego niż wspólne z mamą zachwycanie się Colinem Firthem. Modlę się, żeby wystąpił w kolejnym filmie. Jeżeli nie, to go znienawidzę. Na razie jest mężczyzną z moich marzeń i marzeń mojej mamy.

Pytanie zasadnicze: kto nie chciałby mieszkać na Manhattanie? Tyle tam można robić, spotkać tyle gwiazd. Rodzice nie mogą w nieskończoność gotować dla mnie i zmuszać do oglądania *Dumy i uprzedzenia*. Polowanie na mieszkanie na Manhattanie jest wyczerpujące i parę razy zdarza mi się płakać w pociągu w drodze do domu mamy. Z moimi zasobami muszę się ograniczyć do kawalerki o powierzchni jednej trzeciej mojego apartamentu w Nowym Meksyku. Wiem, że aby wynająć tę tycią dziuplę, przez rok będę musiała korzystać z karty kredytowej. Ponadto nie można, kierując się szyldem wystawionym na zewnątrz, po prostu wejść do domu i pytać o mieszkanie – może i można, ale nie zrobiłabym tego. Zamiast tego czytam ogłoszenia, a z właścicielem kontaktuje się agent, któremu za to płacę. Pewnie jest łatwiejsza droga, ale z desperacji, aby ustawić życie na właściwym torze, nie dostrzegam jej.

Chodzę od miejsca do miejsca z bardzo miłym agentem i w końcu wdrapujemy się na szóste piętro w przyzwoitym, bezpiecznym budynku na Upper East Side, blisko tych wszystkich bogatych ludzi, którzy rzekomo – sądząc po filmach – tam mieszkają. Sześć pięter schodów i jesteśmy w czymś, co widniało w ogłoszeniu jako kawalerka, a w rzeczywistości jest pokojem z głębokim kątem.

Wiem, że nie znajdę niczego lepszego, chyba że zapłacę więcej albo będę szukać w innej dzielnicy. Pomysł, aby przeprowadzić się do kolejnego obcego miejsca, przeraża mnie, wynajmuję więc to mieszkanko i buduję masę mięśniową, wspinając się na szóste piętro. Mój brat uważa, że nikt nie będzie mnie odwiedzał. Nigdy.

– Rety, w jednym tygodniu dostaję mieszkanie i prawdziwą pracę – mówię do agenta.

– Tak tu już jest. Czasem twoje życie może zmienić się o sto osiemdziesiąt stopni – odpowiada.

Zaledwie kilka miesięcy po tym, jak prawie się rozsypałam na peronie kolejowym, jestem mieszkanką Upper East Side, ulicy York Avenue z wyższymi numerami z siódmej dziesiątki. Im więcej chodzę po okolicy,

tym widzę więcej młodych rodzin, mnóstwo kobiet w moim wieku (później dowiaduję się, że to dziewczęce getto, bo czynsz jest raczej niski) i okazyjnie gwiazdy, jeżeli przemierzam się bardziej na zachód.

Gdy pierwszy raz widzę Harrisona Forda w moim sąsiedztwie, w tym „dziewczęcym getcie”, upuszczam wszystko, co mam – kawę, torebkę, szczękę. Ten facet chyba nie mieszka w Cleveland, ale na pewno jest w Nowym Jorku. Rzuca mi uśmiech jednym kącikiem ust i idzie dalej. Innego dnia, gdy wracam do domu, mija mnie wysoka, elegancka kobieta. Ma krągłe biodra i nosi okulary przeciwsłoneczne – niczym nie różni się od innych kobiet w Nowym Jorku. W ostatniej sekundzie dostrzegam pieprzyk pod jej okiem. Znam ten pieprzyk. Właśnie minęłam Julię Roberts! Zanim zdążę to przetrwać i powstrzymać się od omdlenia na chodniku, wyłażę na ulicę i prawie potrąca mnie samochód.

Tego rodzaju sytuacje pomagają zrównoważyć osobliwości życia na Manhattanie. Nie jest to już miasto Gunthera, mojego dręczyciela z zeszłego roku. Jestem w domu. Ale kto nie czułby się lekko zwichrowany, zamieniając szerokie, otwarte przestrzenie Nowego Meksyku na zatłoczone kwatery z niewielką dawką promieni słonecznych? Brak światła rzuca mroczny cień na te zmiany. Na szczęście mama i brat mieszkają w pobliżu. Zawsze też mogę wskoczyć do pociągu i pojechać do ojca, do Connecticut. Bliskość rodziny sprawia, że nie chowam się w swojej norze.

To, co wspaniałe na Manhattanie, to masa ludzi podobnych do mnie – z problemami, chodzących do pracy, próbujących przetrwać.

Gdy chodzę do pracy i z niej wracam, zdenerwowanie zmienia się w głębokie współczucie dla innych pieszych, pracowników i mieszkańców.

W nawale nowych obowiązków wydaje się naturalne, że robię trzyletnią przerwę w umawianiu się na randki. Po Guntherze nie mogę nawet myśleć o romansach, nawet o panu Darcym, który – jak się dowiaduję w pracy w Harlequinie – jest typowym bohaterem romantycznym. Kochamy go za jego braki i ukrytą doskonałość. Jednocześnie prawdziwy romans wydaje mi się odrażający. Nie tęsknię za nikim z mojej przeszłości. Nie prześladują mnie wizje Chrisa na progu mojego domu ani Gunthera deklarującego, że chce mnie z powrotem. Jestem kolejną singielką w wielkim mieście – taką, która nie życzy sobie żadnych komplikacji.

Nim nastanie zima, zastanawiam się, czy do reszty nie zlodowaciałam. Zdaję sobie sprawę, że pracuję w biurze kobiet. Kobiety przez cały dzień:

mężatki, singielki, miłe, czasem mniej miłe, lubiące się bawić, niesforne, spokojne, energiczne, neurotyczne, zdrowe, współczujące kobiety, wszystkie pracujące na rzecz romansu i z miłości do książek. Moje koleżanki czytują wszystko, od fikcji literackiej po mało znaną literaturę faktu. Wiele z nich ma za sobą długi staż w Harlequinie, co dobrze wróży na przyszłość. W ciągu sześciu miesięcy od przyjazdu do Nowego Jorku jestem redaktorem romansów (no dobrze, asystentem redaktora, ale zawsze). Dlatego być może nie chodzę na randki, gdyż cały dzień oddaję się mojej pasji, a ponadto na naszym piętrze nie ma wysypu genów XY. Romans istnieje dla mnie tylko na papierze.

Mam jednak szczęście, czas spędzany w pracy bardzo mnie oświeca. Czytam głównie romanse historyczne – choć przemycam kilka współczesnych – oraz dzięki wejściu Harlequina w nowy obszar powieści o tematyce chrześcijańskiej (bez seksu, ale można trzymać się za rękę), szybko rozwijający się rynek, którym również zawiaduje dział Tracy. Niektóre z tych książek wywołują u mnie łzy, zresztą podobnie jak historyczne. Przystojny ksiądz pomaga kobiecie odnaleźć wiarę po śmierci w jej rodzinie. Średniowieczny lord śpi z żoną zmarłego brata, a gdy ona jest przy nadziei, żeni się z nią. Żadne nie szuka prawdziwej miłości, dopóki ona sama nie nadchodzi. Te opowieści częściowo tłumią samotność życia na Manhattanie.

Na początku kariery otrzymałam zadanie uporządkowania naszej biblioteki i przearanżowania układu książek. Wyobraź sobie w jednym pokoju siedemdziesiąt procent wszystkich powieści Harlequina wydanych w ciągu dwudziestu lat. Półki są napakowane cennymi cieniutkimi woluminami, a okazjonalnie pojawiają się grubsze, napisane przez wschodzące gwiazdy gatunku. Choć pokój jest potwornie zakurzony i ciągle kicham, nie mogę wyjść z podziwu, jak duży obszar obejmuje romans. Od długowłosego Fabia po bohaterów ostrzyżonych na krótko. Od wąsów po seksowny zarost, który pojawia się w wyniku całodziennego szpiegowania w ogarniętym wojną kraju. Od czasu do czasu trafiają się okładki dziwaczne, z tęczą unoszącą się nad głównym bohaterem albo tornadem w tle, prawdopodobnie sygnalizującymi podróż w czasie. Niektóre z bohaterki wydają się czekać na ratunek, wisząc nad przepaścią. Z czasem te bohaterki stają się bardziej odważne i same wspinają się po klifie.

W trakcie moich badań nad gatunkiem coraz częściej natykam się na jedno nazwisko wymawiane z nadzwyczajnym szacunkiem. Niedługo muszę czekać, żeby ktoś nadmienił, jak bardzo kocha Norę Roberts. Ta autorka

pisze od lat, a jej nazwisko często dominuje listy bestsellerów.

Czytanie jej powieści to nieomal cliché, któremu opieram się przez miesiące, aż do chwili, gdy bardzo delikatnie wsuwam do torebki *Miłość Shane'a*. Może przeczytam dwa rozdziały. Przecież mi to nie zaszkodzi. Gdy skończę, odniosę do biblioteki.

Po pięciu rozdziałach wiem, że wpadłam. Powieść powinna nosić tytuł *Miłość Patience*. Już od pierwszego akapitu uzależniam się od lektury, a Shane mnie oczarowuje. Jest graczem, ale dzięki zachowaniu rozsądku unika konsekwencji swoich poczynań. Potem zakochuje się w dziewczynie – molu książkowym (takim jak ktoś, kogo już dobrze znamy!), która przeprowadza eksperymenty naukowe. Nie jest w stanie kontrolować swojej namiętności do niej. Nie może przestać z nią sypiać – uprawiają seks zwieńczony superorgazmami. Jak Nora to robi?

Czytam wszystkie książki z tej serii, Shane zajmuje w moim sercu specjalne miejsce. Staje się jasne, że autorzy tego gatunku mają wielki dar opowiadania historii. W romansach nie ma obowiązku studiowania symbolizmu i zapowiedzi wydarzeń, niemniej jednak chce się je czytać dalej. Na końcu wpada się w wir szczęśliwych obrazów, radosnych myśli i nadziei na przyszłość. Tak wpływa na mnie Shane.

Niedługo potem, kiedy zadurzyłam się w Shanie, mam okazję spotkać osobiście Norę Roberts. Czekamy przed drzwiami sali konferencyjnej. Ona ma zaraz wygłosić mowę, ja będę słuchaczem.

– Czy poznałaś Norę? – pyta nasza wspólna znajoma.

Zatyka mnie. Wygląda wspaniale w spodniom od Armaniego. Perfekcyjnie uczesana.

– Nie. – Próbuję odzyskać oddech. – Jestem Patience Smith.

– To fantastyczne nazwisko – mówi Nora.

– Dziękuję!

Obie jednocześnie opróżniamy pudełeczka z miętowymi pastylkami Altoids, potem zaczynają się warsztaty.

Obecność tylu ludzi sukcesu sprawia, że nie ulegam obsesji na temat braku miłości w moim życiu lub jakiegoś związku. Nie szukam prawdziwej miłości, choć nie miałabym nic przeciwko randce. Jak realny bohater może równać się z tymi niezliczonymi Darcymi, o których codziennie czytam? Nie obiecuję, że już nigdy nie będę szukać swojego Darcy'ego – to wielka przyjemność spotkać go w książkach – ale na razie go nie potrzebuję.

Rozdział siódmy

Bohater na każdą porę roku

2001 – 2008

Zanim skończyłam czytać *Dziennik Bridget Jones*, postanowiłam, że znowu będę chodzić na randki. Bridget Jones i ja mamy wiele wspólnego, poza neurotyczną obsesją na temat naszej neurozy. Pracuje w wydawnictwie i doskonale wie, że harmonogram wydawniczy jest najważniejszy. Biedna Bridget zadurza się w przystojnym, lecz toksycznym szefie, co skutkuje utratą pracy. Zmiana wychodzi jej na dobre i dziewczyna pakuje się w jeszcze lepszy romans z mężczyzną, którego nie trawi. No cóż, nasze jedyne cechy wspólne to zawód i zaangażowanie w samokształcenie. Czytając lokalny magazyn, trafiam na artykuł o randkach z internetu, które podobno każdy praktykuje, gdyż jest to najbardziej efektywna metoda poznania potencjalnego kandydata. Poznanie kogoś online wydaje się idealnym rozwiązaniem dla wstydliwej dziewczyny, która chce chodzić na randki, ale nie wie, jak się do tego zabrać.

Dlaczego nie?

Jestem gotowa wyciągnąć krótkie kiecki i szpilki, natapirować włosy, chodzić na gimnastykę i randkować na całego. Czas znaleźć towarzysza, który nie jest moim bratem ani jedną z przyjaciółek z Harlequina (choć są wspaniałymi kompanami). Mój brat Patrick i ja przypominamy tytułowe postaci z *Willa i Grace*²⁹ w tym, że ciągle do siebie dzwoniemy i opowiadamy, co jemy, kto jest fajny, jak wspaniała jest Julia Roberts, ile razy widzieliśmy *Notting Hill*, czy *Seks w wielkim mieście* jest równie dobry jak Julia, gdzie spotkać miłych facetów, czy mama rzeczywiście macza swoje jedzenie w dużej ilości masła. (Odpowiedź brzmi: tak). Ponieważ spędziliśmy większość naszego życia osobno, nadrabiamy ten czas w Nowym Jorku.

Umawiamy się na spotkanie, żeby Patrick zrobił moje zdjęcie do profilu w serwisie randkowym online: w dniu czwartego lipca, w czasie świątecznego obiadu, który szykuje mama. Czwarty lipca, dzień urodzin naszej nacji, nie jest tak spektakularny w mieście. Huczne obchody kojarzę z małymi miasteczkami, z piknikiem i fajerwerkami. Na Manhattanie szuka się dachu, z którego można obejrzeć pokaz fajerwerków, choć często ląduje

się w domu i ogląda uroczystości w telewizji.

Dobrze się złożyło, że mama i Don zainwestowali w mieszkanie weekendowe w West Village z dostępem do dachu. Widok jest zdumiewający. Na tę okazję stroję się w beżową minispódniczkę, starannie czeszę włosy, nakładam czerwoną szminkę i buty na obcasach o wysokości drapaczy chmur. Kuśtykam do mieszkania mamy po drugiej stronie miasta.

Gdy wchodzę do apartamentu, mój ojczym Don burczy „Cześć” i ponownie zagłębia się w lekturze. Mama gotuje obiad (w garnku pełnym masła), daję jej buziaka. Siadam na kanapie, poczęstowawszy się najpierw kieliszkiem czerwonego wina.

Patrick wkracza do pokoju.

– O rety, ale wyglądasz! – mówi na mój widok.

– To nowa ja.

Ustawia aparat i robi zdjęcia.

– Ta nowa ty to dziewiętnastowieczna francuska prostytutka? – dziwi się Don.

Rzucam mu spojrzenie pełne pogardy, które, niestety, wypada prowokująco. Brat uchwycił tę ekspresję i dzięki temu zdjęciu przez kilka lat mam zapewnione randki na Manhattanie.



Powinam podziękować mojemu ojczymowi. Kto wiedział, że myśl, która mi w tym momencie przemknęła: „Jesteś takim fiutem”, wzbogaci moje życie towarzyskie. Po ośmiu latach randek z internetu nauczyłam się paru rzeczy:

Kontroluj swoje oczekiwania. Osoba, którą spotkasz, nie będzie tak atrakcyjna jak na zdjęciu. Ja też tak nie wyglądam (chyba że poświęcę na to ze dwie godziny). Od czasu do czasu jestem mile zaskoczona, bo on okazuje się taki, jak mówił. Postępuj jak Bridget: tak czy tak – uśmiechaj się. W nagrodę wypij szklaneczkę chivas, a później zjedz eklerka.

Jasny cel. Wybierając randki z internetu, przyznajesz, że chodzi ci o coś konkretnego: małżeństwo, dzieci, bezpieczeństwo, seks. Trzymaj się tego i nie zaniżaj swoich oczekiwań. Gdy na początku sprawdzasz grunt, nie kłam na swoim profilu, że oczekujesz przyjaźni, choć w rzeczywistości chcesz małżeństwa. Jeżeli on i tak uważa, że chcesz go usidlić, to jest palantem.

Czy ktoś nie nazwał takich randek „bufetowymi”? Przy bufecie wydaje ci się, że chcesz kurczaka z migdałami. Później widzisz pstrąga

w panierce imbirowej i wolisz jednak to danie. Ale w końcu twoje spojrzenie pada na kanapeczki S'mores³⁰ z kruchego ciasta z musem czekoladowym. Wiesz, że ja na pewno je wybiorę. Bycie pieczonym kurczakiem nie jest wcale fajne. W Nowym Jorku chodzi się na randki dla samych randek, zawsze mając oczy otwarte na wypadek, gdyby zjawił się lepszy kąsek.

Randka grupowa. Niektórzy faceci randkują w stadach. Używaj kondoma posmarowanego środkiem antybakteryjnym Purell.

Znikacze. Randka z internetu ma to do siebie, że obiecujący kandydat pojawia się, a potem znika, jak za sprawą magii. Kontaktuje się z tobą, aby zorganizować rendez-vous, ustala detale, a potem nie pieczętuje tego interesu. Lub też idzie z tobą na jedno spotkanie, a potem już nigdy nie dzwoni. To zdarza się często. Korzystaj, póki możesz.

Powracacze. Wracają po tym, jak raz zniknęli, i nie przestają powracać, dopóki nie powiesz im, aby sobie poszli. Powracacze to urodzeni znikacze, ale nigdy nie są zadowoleni i wołają prowizorki. Gdy były randkownicze powraca, lepiej naciśnij guzik „usuń”, chyba że jesteś gotowa na to, aby znowu zniknęli. Jeżeli jednak jesteś bardzo, bardzo znudzona i potrzebna ci odrobina dramatyzmu, wypróbuj ten smak.

Dzięki randkom z internetu nabiera się praktyki, a to ważne dla kogoś, kto nie wychodzi, aby spotykać ludzi. Każda randka jest wyjątkowa. Choć moi potencjalni bohaterowie mają różne przymioty, nie są dobraną parą z ukrytą we mnie romantyczną bohaterką. Im więcej czytam, tym częściej łączę moich facetów z poszczególnymi gatunkami bohaterów powieści...

Czarujący książęta (z akcentem!)

Bohater powieści romantycznej

Hugh Westingham, książę Buttershire, budzi się z potwornym kacem. Po tym jak jego żona zginęła w dziwnym wypadku powozu, nie jest sobą. Aby zatrzymać spadek (zgodnie z ostatnią wolą dziadka), musi znaleźć nową narzeczoną, ale pomysł ponownego małżeństwa budzi w nim bestię... bardzo seksowną, a także bogatą. Towarzystwo spekuluje, którą pannę wybierze. Nie będzie to przecież ta przeciętna Jane, trzecia córka ze skromnej rodziny, mała smarkuła, która stoi w kącie i z nikim nie rozmawia. On jednak idzie w jej kierunku i prosi ją do tańca...

Wersja z prawdziwego życia

Charles Drugie Imię Trzecie Imię Willingham III, Brytyjczyk, który kiedyś grywał w tenisa z Johnem Taylorem (moja stara miłość, rozwiedziony z Amandą De Cadenet i ponownie ożeniony z Gelą Nash z Juicy Couture – nie rejestruję zbyt uważnie!), ma honor zaprosić mnie na wyspę Manhattan, do Starbucksa w Murray Hill.

To moja pierwsza randka z internetu, a pod wpływem jego brytyjskiego akcentu załamują mi się kolana. Czekam co najmniej pięć minut, zanim przybywa, ubrany w szorty khaki i podkoszulek. Uśmiechamy się i czekamy w kolejce. Oto nadchodzi smutna chwila: po zamówieniu kawy wyciągam portfel i nalegam, że zapłacę. Czy aby nie nawdychałam się zbyt wiele kleju kauczukowego?

– Podoba mi się to – mówi Charles.

– Mama nauczyła mnie, że zawsze należy płacić za siebie – odpowiadam zadowolona z siebie.

Tak jakby to była najlepsza droga, aby zdobyć przyszłego męża. Według profilu w serwisie online zarabia „kwotę z pięcioma zerami”, pracuje w lukratywnej branży artystycznej. To, w jaki sposób się ubrał, wzbudza moje podejrzenia, że przyszedł tu incognito i jest żonaty.

Rozmawiamy godzinę i muszę wracać do pracy. Mówi, że zadzwoni, ale zajmuje mu to tydzień. Telefon dzwoni o dwudziestej trzeciej trzydzieści, gdy już nie spodziewałam się, że kiedykolwiek go usłyszę.

– Właśnie obejrzałem *Dziennik Bridget Jones*. Cholernie dobry film – mówi.

– Naprawdę? – Udujam, że nie oglądałam go już dwukrotnie.

Po tym konwersacja zamiera, a Charles znika... Pojawia się ponownie dwa lata później, a potem jeszcze po dwóch latach.

Mniej więcej w tym czasie, gdy Charles opuszcza moją strefę randkową, dochodzi do 9/11³¹. To jedna z tych chwil, gdy jestem wdzięczna, że jeszcze żyję. Podobnie jak całe miasto jestem przerażona i mam złamane serce. Bezsenność wraca z podwójną siłą, więc łykam tabletki Tylenol PM, a potem próbuję nie zasnąć przy biurku. Ciekawą stroną randek z internetu jest to, że każdy przechodzi przez to samo. Rozmawiamy i dzielimy się doświadczeniami.

Sekretni książęta, chwilowo bez grosza

Bohater powieści romantycznej

Aidan O'Sullivan jest nieślubnym synem księcia Lindsaya Buckinghamha z Taliashire. Rezultatem schadzki ze służącą jest syn, księżę Lindsay odsyła ją do rodzinnej Irlandii i zrywa z nią wszelki kontakt, nigdy nie przyznając się do ojcostwa. Aidan dorasta zgorzkniały (i atrakcyjny). Jest zdeterminowany, aby zdobyć fortunę i zniszczyć swojego kochanego starego ojca. Bez ujawniania tożsamości zbliża się do umierającego lorda Lindsaya, który jednak od razu wie, z kim ma do czynienia. Aidan czuje magnetyczny pociąg do pielęgniarki ojca, przyzwoitej kobiety, która zna prawdę o nim i pokazuje mu, jak postępować właściwie – i kochają się namiętnie w jej pokoju na poddaszu, po tym jak diaboliczna żona Lindsaya próbuje oboje zabić, aby nie przejął spadku.

Wersja z prawdziwego życia

Lesley jest wygadany Irlandczykiem i sądząc po profilu, mógłby być młodszym bratem Michaela Stipe'a z zespołu R.E.M, gdyż również jest czarująco łysy. Umawiamy się na spotkanie, aby obejrzeć *Genialny klan*. Przez trzy godziny myję, suszę i nupuszam włosy, bo chcę wyglądać tak pięknie jak na zdjęciu. Wkładam czerwony sweter, szpilki, czarny płaszcz i Czerwonego Kapturka i błyszczące wąskie spodnie.

Czekam na zimnie na Lesleya i w końcu obok mnie przechodzi niski facet, spoglądając pytająco. Uśmiecha się z tym typowym dla Irlandczyków błyskiem w oku i wypowiada moje imię. Lesley nie jest tym, kogo oczekiwałam, ale przecież nigdy tak nie jest, moja droga. Odrzucenie go zaledwie po sekundzie byłoby zbyt okrutne, ale i tak jestem wdzięczna losowi, że wybieramy się do kina, więc nie będę musiała udawać, że mnie pociąga.

Ucinamy sobie przedrandkową gadkę szmatkę i coraz bardziej cieszy mnie jego towarzystwo. Jest literatem, na wysokim szczeblu w świecie reklamowym, ale nie śmierdzi groszem. Wydaje się nawet biedny (bierze ode mnie dziesięć dolarów na bilet).

Zgadzam się na drugą randkę. Potem na trzecią.

Czy oszalałam? W żadnym wypadku. Ulegam urokowi faceta, który nie jest klasycznie atrakcyjny, ale podoba mi się coraz bardziej wraz z upływem

czasu. Nie mam go dosyć. Ta łysa głowa. Ten urok. I leciutkie przesunięcie gałki ocznej na zewnątrz. Do tego dochodzi akcent i jestem ugotowana. Napomykam, że nie jestem nim zachwycona. Uśmiecha się, potakuje, a potem czeka, aż wpadnę w jego macki, i wpadam. Nie tylko wpadam, nurkuję jak w *Fatalnym zauroczeniu* i całej reszcie.

Gdy prosi mnie, abym przeczytała jego powieść, wiem, że przede wszystkim zależy mu na nieodpłatnej opinii redaktorskiej, co czynię z chęcią, gdyż okazuje się utalentowanym pisarzem.

Z takim facetem nie można wiązać się na całe życie – z czym on by się zgodził. Szkoda, że nie biorę sobie własnej rady do serca. Pięć lat, tyle zajmuje mi wyrzucenie Lesleya z mojego systemu. Pozostajemy przyjaciółmi.

Tajemniczy bohater (który czasem ukrywa coś naprawdę złego)

Bohater powieści romantycznej

Rafe Blackstone włóczy się po świecie, wykonując śmiertelnie niebezpieczne zadania. Cierpi z poczucia winy, bo zabił swojego ojca. Gdy ojciec zamierzył się na matkę rozbitą butelką, Rafe zagroził mu drogę i go pobił. W efekcie tej młodzieńczej furii bohater staje się odludkiem, obawiając się, że jest skłonny do przemocy. Z oporami przyjmuje nowe zlecenie odszukania porwanej siostry głównej bohaterki w dżungli Ameryki Południowej. W ciągu kilku dni Rafe obdarza ją dziką namiętnością i odsłania swoje słabe punkty, gdy razem odganiają komary. Bohaterka przekonuje go, że nie jest swoim ojcem.

Wersja z prawdziwego życia

Śmiertelna Choroba spotyka się ze mną w Joe Allen, knajpce zlokalizowanej w rzędzie innych restauracji. ŚC przypomina młodego Michaela Yorka i czyni aluzję, że cierpi na jakąś okropną chorobę. Gotowa wcielić się w rolę Florence Nightingale delikatnie dopytuję, co złego dzieje się z jego zdrowiem, ale on odwraca twarz, jakby chciał ukryć emocje. Konwersacja jest na tyle przyjemna, że jeszcze tej nocy wpadam z nim do biura, by zabrał jakąś teczkę. Uprawiamy seks na tle dziwnego obrazu i już nigdy więcej go nie spotykam.

Niebezpieczni i seksowni bohaterowie – samce alfa, rzekomo o złotym sercu

Bohater powieści romantycznej

Potentat biznesowy Cutter Vance ma reputację playboya i doprowadza dziewczyny do szaleństwa. Jego ostatnia przyjaciółka rzuciła się ze skały, a może ktoś ją popchnął. Nikt tego nie wie. Cutter żyje na krawędzi i nie ma znaczenia, kogo obrazi. W sali posiedzeń jest bezwzględny, pracownicy kulą się ze strachu. Tylko jego asystentka, jedyna, która przetrwała więcej niż siedemdziesiąt dwie godziny, podejrzewa, że szef ma wewnątrz z galarety, efekt lat zaniedbań przez chłodną matkę (która zginęła w wypadku samochodowym). Dowiaduje się, że w sekrecie robi darowizny dla dzieci, ale gdy pyta go o to, odprawia ją nieprzyjemnym słowem. Oczywiście nie może się jej oprzeć i pojawia się na schodach jej domu z nieprzyzwoitą propozycją – małżeństwo tylko z nazwy, które przeradza się w prawdziwą miłość, gdy całują się przed ołtarzem.

Wersja z prawdziwego życia

Zgadzam się na spotkanie z Damskim Bokserem w podejrzanym dzielnicy. Może mam uraz mózgu, gdyż od razu na jego widok zapala mi się czerwone światło. Na swoim profilu prezentuje się całkiem sympatycznie, z gatunku tych surowych seksownych facetów. Nie jestem pewna, czy ma pracę. „Samozatrudnienie” często oznacza „bezrobotny” lub „dealer narkotyków”, więc postaram się być ostrożna.

Na spotkanie przychodzi w mocno wyciętym pod pachami podkoszulku (zwanym Damskim Bokserem) i w dżinsach, nieco zbyt swobodnie ubrany, ale może to właśnie jest Stanley dla mojej Stelli³². Jak na ironię, często właśnie tak są ubrani bohaterowie okładek romansów. Obnażeni i pierwotni, gotowi porwać i zgwałcić bohaterkę. Jakkolwiek nie mam nic przeciwko goliźnie na okładce, w prawdziwym życiu wolę koszulę.

Idziemy do baru na drinka.

– Czy gdy pierwszy raz mnie zobaczyłaś, sięgnęłaś po wibrator? – pyta mnie. – W ciągu trzydziestu sekund?

Zupełnie jak w filmie *W poszukiwaniu idealnego kochanka*³³, tyle że to rzeczywistość! Od tego momentu droga wiedzie pod górę. Przywołuję moją wewnętrzną królową lodu i jakoś wytrzymuję kolację, potem pędzę do

domu i trzy razy przekręcam klucz w zamku.

W 2005 roku mijają cztery lata, odkąd zaczęłam randkować online, i nadal nie widać tego jedyne, ale wciąż próbuję. Po przeczytaniu *Kobiety pragną bardziej* (świetne, ale nie odebrałam jej tak, jak powinnam) ścigam Nathana Klapsa ze względu na wyjątkowo zabawne ogłoszenie online. Jest bardzo wysoki, łysy, kipi seksapilem – mniej więcej w tym czasie tacy faceci stają się bardzo modni w Nowym Jorku. Mnożą mi się w oczach, a ten jest moim czwartym z kolei. Uzgadniamy spotkanie we włoskiej restauracji w moim sąsiedztwie.

Po fantastycznej pierwszej randce Nathan znika jak wielu innych facetów spotkanych online. Widocznie nie trafiłam do niego. Lub – trzymając się formuły romansów – mężczyźni potrzebują czasu, aby przetrwać swoje uczucia niewiarygodnej miłości i poświęcenia. I tak mam dużo pracy, a ponadto dzięki lekcjom, które odrobiłam po poprzednich związkach, wiem, że pojawi się kolejny kandydat, a prawdziwa miłość nie jest moim priorytetem.

Już prawie o nim zapomniałam, gdy prosi o drugą randkę. Ponieważ tak długo nie kontaktował się ze mną, czuję do niego szaleńczy pociąg. Oto w najgorętszy dzień lata idziemy do restauracji w East Village. Pod koniec drugiej randki (kończy się o drugiej trzynastej w nocy w Union Square Park, w towarzystwie kilku – jestem tego pewna – dealerów narkotykowych) odprowadza mnie do domu.

– Czy kiedyś dostałaś klapsy? – pyta jakieś dwie przecznice od mojego domu.

– Oczywiście – odpowiadam.

Dwukrotnie od ojca za 1) zjedzenie czekoladek mojej opiekunki, 2) powiedzenie słowa „pieprzyć” przy kolacji, gdy miałam pięć lat.

Podejrzewam jednak, że on mówi o czymś innym, więc wyczarowuję mojego zmyślonego chłopaka Jasona. Wraz z Jasonem aktywizuje się moja wyobraźnia, a więc tak, dostałam klapsy. Wiele. Czerwone pręgi z tyłu na udach, codziennie. Jason urodził się ze szpicrutą w rękę i czy wspominałam już, że pochodzi z Cape Cod?

Nie mam bladego pojęcia o kulturze S&M³⁴ w Nowym Jorku. Nie interesowało mnie to, ale tu i teraz zdaję sobie sprawę, że ona istnieje naprawdę, nie tylko w filmach. Nabieram szacunku do jego zainteresowań. Dlaczego nie? Uwielbiam robić na drutach. Radość, którą czerpię z ukończenia kapelusza, można przyrównać do seksualnej (może przesadzam). Robienie na drutach kocham tak bardzo, że naciągnęłam

mięsień na plecach i musiałam pójść na terapię (i nawet mi się to podobało).

Nathan jest bardzo zaangażowany w tę formę rozrywki, podobnie jak jego wszystkie byłe, które czasem wpadają po jednego klapsa. Może wszyscy w Nowym Jorku dają sobie nawzajem klapsy, a ja żyłam pod romansowym kloszem zbyt długo.

Życie składa się z eksperymentów – powtarzam sobie przez te sześć miesięcy umawiania się z Nathanem. Nigdy nie jest za późno na naukę, szczególnie że nieubłagane zbliża się ta przerażająca czterdziestka. Koniec naszej afery nie jest miły, ale dostrzegam tu rękę miłosierdzia, biorąc pod uwagę, że mamy inne zainteresowania. Gdy widzę symptomy rozpadu, zastanawiam się, jak to się skończy, ale nie mam siły sama przeciąć tej pępowiny. Odwołuję randki z Nathanem, ponieważ nie mogę stanąć twarzą w twarz z nieuchronną prawdą, że znowu będę sama, szukając nowych kandydatów online. Niespodziewanie nadchodzą walentynki.

– Mam pomysł. Przeczytałem w gazecie, że bardziej popularne jest wychodzenie przed walentynkami. Co ty na to? – pyta mnie dziesiątego lutego.

Mój wyostrzony szósty zmysł mówi mi, że ma kogoś na boku. Na dodatek do przedwalentynkowych obchodów walentynek narzeka na ból w swoim... cóż... klapsiku i zastanawiamy się, czy ma STD³⁵, którą mógł złapać gdzie indziej. To doprowadza do szybkiej wizyty u lekarza, już po tym jak klamka zapadła. Łatwo rozstać się z kimś, kto aranżuje tak błyskotliwe wyjście z sytuacji. Miał kogoś innego, a udawanie, że ma STD, było premią, w razie gdybym nie dodała dwa do dwóch. Nigdy nie umawiaj się z osobą, która jest o eony mądrzejsza od ciebie.

Bohater beta (który gotuje i nie jest palantem)

Bohater powieści romantycznej

Dawno temu pediatra Brad Hanson był szczęśliwym mężem, a wkrótce ojcem. Tuż po urodzeniu córki jego słodka żona, w drodze na obiad z nim, ginie w wypadku samochodowym. Obarczony poczuciem winy zajmuje się swoją trzymiesięczną córeczką Daisy i prowadzi dobrze rozwijającą się praktykę lekarską. Przez dwa lata opłakuje śmierć żony, nie dostrzegając, że sąsiadka Brenda skrycie wzdycha do niego. Nawiązują przyjaźń, ona przynosi mu zapiekanki, które wspólnie jedzą, i opiekuje się dzieckiem, gdy

on ma wezwanie do szpitala. Wsłuchują się w siebie, a po nocy głębokich zwierzeń całują się. Czy Bradowi uda się poukładać przeszłość i po raz kolejny zaryzykować uczucie?

Wersja z prawdziwego życia

Bywają randki online, które prowadzą donikąd, chociaż facet jest bardzo miły. Słucha, co mówisz, i dorzuca fascynujące uwagi do konwersacji, wiesz, że byłby doskonałym partnerem... dla kogoś innego. Bohaterowie beta (z pazurem) to moi ulubieńcy w prawdziwym życiu, choć w tym momencie jakoś nie mogę na nich trafić. Ale znowu, nigdy nie wiesz, kto sprawi niespodziankę i okaże się idealnym partnerem.

Beta Nr 1: Prawnik z Dziwną Fryzurą jest absolutnie czarujący, ale fizycznie nie ciągnie nas do siebie. Rok później widzę go wraz z nową żoną w sekcji Wesela/Obchody w „New York Timesie”. Pragnę wierzyć, że moja rola była kluczowa.

Ekstremalny Beta Nr 2: Ciągle mieszka z mamą – nie dlatego, że ona potrzebuje pomocy, ale dlatego, że nigdy nie znalazł powodu, aby ją opuścić.

Beta Nr 3: Czuję presję, aby się ustatkować, i randkuję z tym słodkim księciem przez długie dziewięć miesięcy. Gdybym nie zrywała z nim dwukrotnie (w czasie świąt, co było okrutne), mogłabym być Panią Beta Nr 3.

Potem pojawia się ten nadzwyczajny beta. Dziesięć miesięcy po Nathanie, gdy czuję się na tyle bezpieczna, aby wrócić do gry, o moje względy zabiega Barry Nauczyciel, miły facet, idealny materiał na męża i ojca. Przystojny, ale bez przesady, dobra praca, prawy, grzeczny dla przyjaciół, grzeczny dla mnie. Nawet w niewielkim stopniu nie przypomina tych typów, którzy oszukują, celowo traktują mnie źle lub znikają.

Dobrze sobie radzimy, mimo że wiele nas różni. On lubi aktywny wypoczynek (dlaczego zawsze znajduję takich facetów, a nie zwolenników leżenia na kanapie?). Jego przyjaciółkami są głównie kobiety. Ponieważ pracuję wyłącznie z kobietami, szukam zdecydowanie towarzystwa chłopaków. Nie podoba mu się to, co oglądam w telewizji. Mnie nie interesuje oglądanie ptaków w Queens.

Zgadzamy się natomiast, że śluby są radosnymi okazjami, a dziewczyna druzby może liczyć na wyjątkowo udaną zabawę. To o mnie. Po prawie roku randkowania Barry prosi mnie, abym pojechała na ślub jego

najlepszego przyjaciela do Austin w Teksasie.

Jestem na krawędzi, wkrótce dołączę do kręgu czterdziestek. Podróż jest inwestycją, która – mam nadzieję – się opłaci. Z przyjemnością dostosowuję swój harmonogram, aby wziąć udział w tej uroczystości. Czy można skuteczniej zasugerować, że chcę za niego wyjść? Barry ma pewne niedoskonałości: jest zbyt sztywny, ma problemy z intymnością, ma flotę przyjaciółek, miłych, ale zainteresowanych seksem z nim w oczywisty sposób, a jemu to się trochę za bardzo podoba.

Barry to jeden z tych facetów, którzy wieszają obrazki na ścianach, sięgają po puszki na półkach, przynoszą choinki świąteczne przyjaciołkom. One również dla mnie są miłe. Spotykam je wszystkie, żadna nie syczy i nie prowadzi ze mną złośliwych gier. Wręcz przeciwnie, włączają mnie do swoich aktywności: wędrówek w górnej części stanu Nowy Jork, jazdy na łyżwach w Central Parku, obchodów Wielkiej Nocy, wypraw do muzeów, długich spacerów wzdłuż rzeki, przygód na Coney Island, gry w kręgle – to wszystko z przyjaciółkami Barry’ego.

Jego małe mieszkanko jest przytulne, wypełnione odpowiednią ilością rzeczy. Barry uczy w szkole średniej, jest jednym z tych nauczycieli, których widzi się w filmach – mocno zaangażowany w pomaganie młodym ludziom w nauce, szczególnie temu analfabecie, który siedzi z tyłu i jakoś został przepchnięty przez system. Uprzejmy, dowcipny i grzeczny, jest inspiracją i mentorem dla swoich uczniów. Nawet wygląda jak nauczyciel, w okularach, ze szczerością w oczach.

Na papierze jest marzeniem. Chodzi na dwie wymagane randki, zanim zdecyduje się pierwszy raz mnie pocałować. Nie przesadza z alkoholem. Nosi kolczyk, ma tatuaż, ale mimo tej przykrywki widać, że jest staroświecki (ale ja również taka jestem). Bardzo mi się to wszystko podoba.

Niedługo po rozpoczęciu naszego związku wziął mnie w ramiona i powiedział te dwa króciutkie słowa (choć ja powiedziałam je pierwsza w czasie ataku grypy żołądkowej). Miesiąc po powrocie z Austin zaczyna się wycofywać, sugerując, że nie jest gotowy. Nadciąga pierwsza rocznica i widzę strach na jego twarzy. Przekonuję siebie, że on potrzebuje więcej czasu. Dobrze się dobraliśmy – on z jego wzrostem, frajerowatymi okularami i siwiejącymi włosami; ja rudowłosa, przygarbiona od ciężaru wypchanej maszynopisami torby. Miła para w średnim wieku to właśnie my.

Nie żałuję większości czasu, który razem spędziliśmy, poza ostatnimi

sześcioma miesiącami. Równie dobrze mogłam obchodzić naszą rocznicę sama zamiast w trio z jego przyjaciółką, oglądając zamerykanizowaną wersję *Cyrano* (Jennifer Garner była fantastyczna!) na Broadwayu. Barry przyjeżdża z ciężkim przypadkiem hemoroidów, jest w kiepskim humorze i zapomina przesłać mi kwiaty.

Zamiast dwa razy zaczynamy widywać się raz w tygodniu.

Któregoś dnia pytam, czy chce pójść do muzeum figur woskowych Madame Tussauds. Zgadza się, ale wyczuwam opór. To miejsce nie mieści się na jego liście zainteresowań. Na godzinę przed wyjściem odwołuję spotkanie, przeczuwając, co nadchodzi. Przypominam sobie, że nie dalej jak tydzień temu powiedział, że zawsze chce być ze mną i mieć dzieci. Przychodzi do mnie i leżymy na łóżku. Czuję głęboką frustrację w związku z niepewną przyszłością.

– Przedłużysz umowę wynajmu? – pytam.

Nad odpowiedzią na to pytanie zastanawiam się od miesięcy. Czy zostanie w swoim tycim mieszkanku, czy znajdziemy coś wspólnie?

Kładzie rękę na wewnętrznej stronie mojego uda i zrywa ze mną.

Akceptuję zerwania, ale nie jego rękę na moim udzie. Jestem teraz wściekłą Bridget Jones. Gdy tylko wychodzi, wyrzucam wszystkie rzeczy, które u mnie zostawił (w tym wartą czterdzieści dolarów książkę o Hitlerze) i wskakuję ponownie do serwisu randkowego.

Rozdział ósmy

Nigdy nie lekceważ mocy życzenia urodzinowego

Marzec 2009

Romantyczna powieść mojego życia zaczyna się tutaj, dwanaście lat po przeprowadzce do Nowego Jorku i podjęciu pracy w Harlequinie. Jestem starszym redaktorem kierującym linią thrillerów romantycznych. Wyprowadziłam się z mojego mieszkania na szóstym piętrze bez windy na Upper East Side do boksu w dzielnicy Chelsea. Moje życie poprawiło się zasadniczo. No cóż, poza jedną dziedziną.

Siedzę obok Supermana przez dwie godziny w pociągu Amtraka, wracamy na Manhattan po weekendzie w jego domu koło Albany. Widujemy się od pięciu miesięcy i po raz pierwszy zobaczyłam jego drugi dom.

Totalna katastrofa.

Poznaliśmy się w sierpniu online. Leczyłam złamane serce po Barrym, znikającym nauczycielu, i szukałam faceta na seksowne odbicie się, znalazłam Supermana. Nie przejmując się odmową, wysłałam mu notkę zapoznawczą. Jak za sprawą magii po wylądowaniu w San Francisco, gdzie odbywała się konferencja Romance Writers of America, sprawdziłam skrzynkę e-mailową i znalazłam jego odpowiedź. Nie trzeba dodawać, że przez całą konferencję krążyłam w chmurach i wykonałam swoje zadanie z podwójnym entuzjazmem. Miesiąc później Superman i ja spotkaliśmy się osobiście i wdaliśmy się w namiętny romans.

Pięć miesięcy później utknęliśmy w miejscu. Nigdy nie obiecywał mi róż i fiołków, ale teraz w ogóle przestaliśmy rozmawiać. Czuję się dezorientowana. Przecież tylko zapytałam: „Dokąd zmierza ten związek?”. A on zamierza ze mną zerwać. To będzie trzecie bolesne zerwanie po Barrym Nauczycielu i Nathanie Klapsie. Tak jestem zdumiona rozwojem wydarzeń, że nawet nie mogę jeść kleistego czekoladowego pączka, którego kupiłam sobie w Dunkin' Donuts na poprawę samopoczucia. A deseru nigdy nie odmawiam.

Myślałam, że spędzimy romantyczny weekend. W rzeczywistości pomogłam mu wysprzątać dom dla nowego najemcy, a on zabrał mnie do

Olive Garden. Powiedział, że lubi, gdy ułatwiam mu sprawy organizacyjne, co sprawiło mi przyjemność. Znam się na organizacji. To najprzystojniejszy facet, z jakim kiedykolwiek się umówiłam – przypomina superbohatera z moich marzeń – przecieka mi przez perfekcyjnie wymanikiurowane palce.

Co zrobiłam nie tak?

Ponownie przyglądam się pączkowi i dochodzę do wniosku, że zjem go, gdy już oficjalnie powiemy sobie do widzenia.

Miałam wiele fantazji na temat Supermana... Nasze piękne dzieci, jego oddanie, wspólne podziwianie filmów Judda Apatowa³⁶ i smakowanie lodów, nieustanne paradowanie po ulicach, gdzie mogę chwalić się chłopakiem niczym model z „GQ”... Z czterdziestką na karku czuję się za stara na randki. Superman po prostu zniknie – przestanie dzwonić, przestanie pisać. Po roku pojawi się jako Powracacz, zachowując się tak, jakby nic się nie stało. Lubię, gdy ktoś zwraca na mnie uwagę, dlaczego więc nie miałabym pozwolić mu wrócić? Jest uroczy i zabawny. Będziemy się dalej spotykać, nocować u siebie, a potem znowu zerwiemy. Przez ostatnie dziesięć lat z hakiem nauczyłam się, że taki jest cykl życia.

Przynajmniej sceneria za oknem jest piękna: błyszczące słońce na rzece, urocze miasteczka, początek wiosny. Uśmiecham się. Któregoś dnia chciałabym zamieszkać na wsi, założyć ogród. Uzbieram pieniądze na dom, będę chodzić do lokalnych klubów książki i znowu pić wino. Co za radocha.

Za oknem kolejne piękne widoki wzdłuż rzeki Hudson. Nawet one nie wymazują tego atrakcyjnego problemu siedzącego obok mnie. Nie mogę zebrać słów.

W powieściach weekend na wyjeździe cementuje związek. Na ogół taki weekend zdarza się zupełnie przypadkowo – bohater Jake Hunter, którego babcia ma bajpasy, prosi swoją asystentkę, śliczną Cassie McBride, aby z nim pojechała i w tym czasie pomogła mu utrzymać wartość miliard dolarów przedsięwzięcie. Tylko na niej może polegać. Rzecz jasna, stres związany z chorobą babci – kobietą, która wychowywała go, po tym jak rodzice zginęli w wypadku samochodowym – to istotny powód, aby raz za razem rozbierać Cassie i siebie. W zasięgu wzroku nie ma żadnego Olive Garden. W następstwie nieokiełzanego i ustawicznego seksu zacieśnia się między nimi więź emocjonalna, pojawia się niespodziewana ciąża, a w ślad za nią propozycja małżeństwa (oczywiście nie ze względu na ciążę, ale nie oszukujmy się).

Superman i ja zaczynaliśmy jak Jake Hunter i Cassie McBride. Chemia między nami była natychmiastowa, a ponadto on jest Panem Alfa (co

uwielbiam). Superman nosi eleganckie garnitury do pracy i prawdopodobnie lata sobie nad drapaczami chmur i ratuje szczeniaczki i kociaki porzucone na torach metra. Facet nigdy nie śpi, podejrzewam, że zwalcza przestępczość nocami. Z biegiem czasu dostrzegam, że nie nadajemy na tych samych falach. Nie pasujemy do siebie. Ponadto on nie wykazuje żadnego zainteresowania moim życiem (według gadki Jake'a Huntera to oznacza, że jest we mnie zakochany, choć to zbyt bolesne dla niego, aby to wyartykułować).

Muszę się obudzić i przestać wachać długopisy Sharpie. Romantyzm tego związku tkwi wyłącznie w mojej głowie.

W powieściach wszystko jest proste, Cassie i Jake dosłownie wpadają na siebie. Ona idzie zbyt szybko ze stosem papierów i uderza w jego twardą pierś; on ratuje ją od upadku, łapiąc za ramiona. Oboje czują, jak przez ich ręce przebiega prąd (a może to otarcia powstałe po uprawianiu seksu na szorstkim dywanie?). Tyle że on jest szefem (a w pokoju konferencyjnym jest duży stół, na którym zostanie poczęte ich dziecko). Te dwa kochające się ptaszki po prostu musiały się spotkać.

W prawdziwym życiu trzeba doprowadzić do spotkania. Myślę o stercie książek Brendy Novak na mojej półce czekających na dokładne przestudiowanie. Należy do moich ulubionych pisarek romansów i thrillerów do tego stopnia, że mam problem w nawiązaniu z nią kontaktu na konferencjach. Redaktorka podrzuca mi jej książki, które odkładam na sytuacje wyjątkowe, kiedy mogę spędzić cały weekend z powieściami zaopatrzoną w torbę Cheetos i kilka kit katów. Ten stracony weekend odbiję sobie z Brendą.

Przeczესuję wspomnienia ekstatycznych momentów z moimi byłymi Jake'ami Hunterami, ale żaden nie przypomina tych intensywnych, sympatycznych bohaterów powieści Novak. Niemniej jednak w historii mojego randkowania było kilka oszałamiających scen miłosnych. Kilka namiętnych pocałunków, ale nie w świetle księżyca w pełni, lecz w podejrzanym parku o drugiej nad ranem z Nathanem, przed delikatesami z Barrym, pod rusztowaniem na ulicy w centrum w czasie deszczu z panem Bogatym, ale ciągle martwiącym się o pieniądze – wszystkie były na swój sposób barwne. Miliony pamiętnych chwil w restauracjach, niezręcznej ciszy i wspaniałych konwersacji. Tyle mieszkań, niektóre były umeblowane (patrz Charles Brytyjczyk), inne bałaganiarskie (Nathan), jeszcze inne pedantyczne (Superman). Szeroki wybór garderoby, od stylu grunge po perfekcyjne, szyte na miarę kostiumy. Trochę kwiatów dostarczonych do

pracy (Barry, Superman, Znikacz Nr 342, który zniknął tuż przed moimi urodzinami – skończyłam na sekretnych randkach z jego bratem) i okazjonalne prezenty bez powodu.

Jake'owie Hunterowie, z którymi chodziłam, nie uprawiali zawodów ułatwiających ratowanie dam z opresji. Większość pracowała z liczbami, lecz nie w tak wspaniałej oprawie jak Richard Gere w *Pretty Woman*. Wielu miało dodatkowe pasje, jak muzyka (oj, nasłuchiłam się kiepskich zespołów), obserwowanie ptaków (błagam, nie), piesze wycieczki po górach (trochę się boję wysokości). Każdy z nich pokazał mi rozrywkową stronę swojej osobowości. Z Barrym chodziłam w miejsca, w których były pagórki i drzewa. Z Nathanem poznałam wina i makarony. Superman nauczył mnie oglądać głupawe męskie filmy i jeść za jednym posiedzeniem cały karton lodów. Gunther pomógł mi doceniać klasykę filmową i zrozumieć subtelne aspekty produkcji filmowej. Dzięki Zackowi zaczęłam dochodzić do siebie i smakować drobne przyjemności. Z Craigiem nauczyłam się cenić dar życia. Chris wzbudził we mnie namiętność i był odpowiednikiem mężczyzny alfa w romansach.

Wszyscy prawdziwi bohaterowie w moim życiu mieli drobne niedoskonałości, co szanuję, bo sama jestem odrobinę neurotyczna. Pamiętam nerwowe tiki, kiepskie fryzury, jedzenie z otwartą buzią i problemy z higieną osobistą. W powieściach Jake Hunter nie wykonuje żadnych czynności fizjologicznych, randki w prawdziwym życiu okazały się brutalnym przebudzeniem, szczególnie jeśli chodzi o francuskie pocałunki (Co jest, k...?) i jedzenie w towarzystwie faceta. Dzięki moim trójwymiarowym partnerom przyzwyczałam się do ich długich nasiadówek w toalecie.

A jeśli chodzi o seks, czy mam powody do narzekania? Czasem był świetny. A czasami nie (Jake Hunter nigdy nie bierze viagry). Realni mężczyźni są bardzo seksowni i ludzcy, zwłaszcza gdy ich libido prześladowuje wizja byłej partnerki lub zmarłej matki. Mogę to zrozumieć, za mną też się ciągną wydarzenia z przeszłości. Złe wspomnienie przeleci przez umysł i muszę natychmiast „iść gdzieś indziej”. Z zewnątrz wydaje się, że uderzam we właściwy ton w związkach miłosnych. Wewnętrznie mogę sobie kompletnie nie radzić. Powieści romantyczne nigdy nie zgłębiają złożonego zjawiska wymiany płynów ustrojowych, nawet nie wspominają o tych płynach.

Wystarczy tych porównań. Zostało jeszcze tylko pół godziny z Supermanem w tym pociągu. Trudno na niego nie patrzeć, no bo kiedy

ponownie wybiorę się na randkę z takim adonisem? Trochę się wstydzę tego, że myślę o małżeństwie z nim, przecież wiedlibyśmy osobne życia – poza wspólnym oglądaniem filmów Judda Apatowa – może w sumie nie byłoby tak źle? Niektóre małżeństwa są zbudowane na wątlejszych fundamentach. Chodziłam już z fizyczną doskonałością i kilkoma „pokrewnymi duszami” i żaden z tych związków nie przetrwał. Czy muszę zacząć od początku?

Jakiś zręczliwy głos każe mi odpuścić randki na parę tygodni, a potem wrócić do serwisów online, tak jak robiłam do tej pory. Widzę te godziny wypełnione oglądaniem telewizji, redagowaniem ukochanych książek, impulsywnym kupowaniem kosmetyków w Duane Reade i płaczem, gdy będę stawiać pasjansa w komputerze. Nim upłynie miesiąc, poczuje nieodparte pragnienie, aby spotkać kogoś nowego.

Jednak nie mogę sobie wyobrazić kolejnej randki lub chłopaka. Nie chcę. Ci wszyscy bohaterowie mnie odstręczają. Chyba powinnam zrobić sobie dłuższą przerwę, na przykład na zawsze. Szalona myśl przelatuje mi przez głowę: „Już nigdy nie będę musiała chodzić na randki”.

Nie złamię prawa, gdy przestanę się umawiać z kolejnymi facetami. Nikt nie będzie nosił żałoby po moim życiu miłosnym. Rodzina już dawno przestała wierzyć, że jako panna młoda pomaszuję nawą i dochowam się potomstwa. Nie muszę znaleźć Pana Właściwego. Nie teraz, nie w przyszłym roku, nigdy. Może warto pokochać czterdziestkę taką, jaka jest.

Powrócę do własnego rytmu, bez wiecznego upiększania się lub wrywania trzech godzin na kolację, pakowania torby na noc, odpowiadania na SMS-y i e-maile. Myśl o takiej przerwie niepokoiła mnie z kilku powodów: zostało mi mało czasu, co powie mama, z kim pójdę na przyjęcie. Teraz myśl o czasie wolnym od randek wprawia mnie w figlarny nastrój. Co za ulga! Będę robić na drutach i biegać dla zabawy, a nie dla wyglądu. Nie będę musiała ukrywać, że lubię serial *The Real Housewives* (i siostry Kardashian).

Powinnam być smutna, że tracę tak atrakcyjnego mężczyznę. I po części tak jest. Na ostatnim odcinku podróży próbuję zignorować śpiącego Supermana, tylko w malutkim stopniu życząc sobie, aby powiedział: „Zostańmy razem, Patience. Romantyzm istnieje. Jesteś najładniejszą i najbardziej interesującą kobietą, jaką znam. Jesteśmy dla siebie stworzeni”.

Byłoby przyjemnie, gdyby bohater chciał ponownie skłonić mnie do miłości, ale prawda jest taka, że taki bohater natychmiast reaktywuje swój profil randkowy. Superman na pewno nie będzie zbyt długo samotny.

Rozkoszuję się tymi ostatnimi minutami. Ukradkiem go obserwuję, jak chrapie z otwartymi ustami, podczas gdy pociąg wiezie nas przez kolejne zapierające dech okolice. Nawet pogrążony w głębokim śnie i z odrobiną śliny spływającej z jednego kącika ust Superman jest niesamowitym egzemplarzem. Gruby rybacki sweter. Dżinsy. Perfekcyjne włosy. Górujący nade mną nawet wtedy, gdy siedzi.

Mam nadzieję, że unikam szybkiej kuli, a nie poddaję walkę.

Pociąg dojeżdża do końcowego przystanku, oczy Supermana otwierają się i patrzą przed siebie. Chciałabym, aby on także cierpiał na myśl o straconym weekendzie, o tym, co mógł zrobić inaczej. Może to jeszcze przemyśli i wróci. Tak właśnie czynią bohaterowie romantyczni, gdy zdają sobie sprawę, że nie mogą bez niej żyć.

Wjeżdżamy obok siebie po schodach ruchomych, każde dźwiga własną torbę.

– W którą stronę idziesz? – pyta, a ja zauważam, że jego włosy są uroczo potargane po jeździe pociągiem.

– W tym kierunku.

Wskazuję wyjście na Siódmą Aleję. On, o czym dobrze wiem, kieruje się na Ósmą. Przekaz jest jasny i prosty. Idziemy w przeciwnych kierunkach – na Penn Station i w życie. Podchodzi do mnie, całuje mnie szybko w usta i spieszy ku drugiemu końcowi dworca. To już koniec. Bez afer.

W czasie marszu do Chelsea nie jestem w stanie zmusić się do łez z powodu kolejnego nieudanego romansu. Sandra Bullock wyłaby jak potępieniec – i wyglądała przy tym bardzo ładnie. Tym razem nie będę zawodzić (wiem, że nie wyglądałabym tak dobrze jak ona). Tym razem zachowuję stoicki spokój, żadnych łez, żadnych szlochów ani rozczulania się nad sobą. Czuję się zmęczona... i podekscytowana wprowadzeniem w życie nowej strategii o nierandkowaniu. Romans z Supermanem był zabawny. Każda bohaterka powinna mieć swoje pięć minut z takim przystojniakiem.

Minutę od wejścia do domu kładę stopy na kanapie, zamawiam na wynos mój ulubiony zestaw – cheeseburgera, frytki, ciastko i żadnej sałaty – i zaczynam czytać przyprawiający o gęsią skórkę romantyczny thriller Brendy Novak *Dopadnę cię*, który to tytuł staje się moim nowym mottem w życiu.

Czerpię przyjemność z samotności, wprowadzam rutynę ze stereotypowych opowieści o singielkach: telewizja, koty, śmieciowe jedzenie, książki, które pozwalają zapomnieć o rzeczywistości.

Rozklejam się tylko raz, gdy wążam koszulę Supermana, tę, którą

u mnie zostawił, którą wyprałam, wykrochmaliłam i wyprasowałam. Ale tylko raz. Mam dosyć romansów, nie wspominając o miłości.

Na dwustu dwudziestu stronach romansu Harlequina nie ma miejsca na takie dziwactwa. Odtąd zamierzam napawać się swoją wolnością. Cassie McBride zrobiłaby dokładnie to samo.

Wyrzucam kleistego pączka czekoladowego do kosza.

Nie mieści mi się w głowie, że nawet nie zauważyłam, kiedy upłynęły cztery miesiące. Nagle nadszedł lipiec, moje czterdzieste pierwsze urodziny, rodzina zebrała się wokół stołu w eleganckiej francuskiej restauracji za rogiem. Już dawno wyrosłam z chwalenia się swoimi kolejnymi urodzinami, ale wiem też, że mama byłaby nieszczęśliwa, gdybym została w domu, zamówiła coś na wynos i robiła na drutach kolejny sweter. Z myślą o niej krzesam w sobie apetyt i wkładam sukienkę. Kiedy noszę zwykłe džinsy i bluzkę, krzywi się i myśli, że wpadłam w depresję, co jest nieprawdą. Wszystkowiedząca mama, która wyciąga cię z łóżka, kiedy podejrzewa, że jesteś w dołku, jest trochę przerażająca. U mnie wszystko w porządku, zapewniam ją.

Cassie McBride nie musi przejmować się apodyktyczną matką, bo jest sierotą (jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym). Prawdopodobnie wychowały ją zwierzęta w lesie lub dobra babcia, która po śmierci zostawia Cassie duży dom z werandą i w pełni wyposażoną kuchnię, gdzie może upiec ciasteczka dla sąsiadów lub kolegów z biura. Jako że Cassie odznacza się wrodzoną elegancją, nigdy nie włożyłaby swoich starych ciuchów z college'u. Nosi tylko letnie sukienki.

Na szczęście ja też mam na sobie taką sukienkę.

– Czuję się dobrze, mamo. Naprawdę. To nie było nic ważnego.

Superman jest odległym wspomnieniem. Nawet odesłałam mu koszulę. Po trzech kolejnych książkach Brendy Novak jestem uleczona. Być może mama była oczarowana Supermanem. Był prawie równie boski jak Colin Firth. W przyszłości jeszcze wiele razy będziemy ślinić się, oglądając razem komedie romantyczne. Przyjdą kolejne urodziny takie jak te, kiedy ona będzie się znowu o mnie martwić, a ja będę ją zapewniać, że wszystko w porządku.

Pamiętam, że rok temu siedziałam przy tym samym stole, świeżo po innym zerwanym związku, na niebezpiecznej krawędzi czterdziestki. Teraz stuka mi czterdzieści jeden lat – rety, nie mogę tego cofnąć! Moja sytuacja

zasadniczo się nie zmieniła, choć zdecydowanie lepiej postrzegam swoje życie. Poza tym ta sama praca. Ten sam apartament w Chelsea – przynajmniej przez ostatnie cztery lata. Kilka nowych siwych włosów. Nikogo nie oszukam, Cassie McBride nigdy nie będzie taka stara. Ponadto ona cieszy się z każdej chwili spędzonej z rodziną – jeśli jakąś ma, ale zazwyczaj pojawiają się dawno zaginionieni bracia, którzy posiadają ranczo, którzy mają dawno zaginionych przyrodnych braci, którzy mają jeszcze większe ranczo.

Postanawiam cieszyć się tą chwilą, mimo że wolałabym być w swoim ranczu wielkości kawalerki. Wyjście z rodziną powinno dobrze mi zrobić.

– Będziemy się bawić! – mówi mama z ekscytacją.

Widać, że ma na to wielką ochotę. Poznać to można po tym, że używa modnych zwrotów. W sumie jest to dość zabawne.

Przy stole zasiadła z nami nowa postać, czarujący chłopak mojego brata Carlos. Czarnowłosa, brązowooki Peruwiańczyk, intelektualista i maniak komiksów, który pracuje nad dyplomem w zakresie zarządzania organizacjami non profit. Patrick jest szczęśliwy, zrelaksowany, bardziej aktywny, niż mogę sięgnąć pamięcią. Zawsze był moją opoką, tym, który pomaga podjąć trudne decyzje, zawozi ludzi do szpitala i chroni wszystkich przed złem. Stał się rzeczywistym patriarchą rodziny. Obawiałam się, że będę zazdrosna, gdy się ustatkował, lecz jego chłopak natychmiast mnie urzekł, gdy powiedział: „Mam Kylie Minogue na iPodzie”. Carlos wniósł promień słońca do naszej rodziny. Zachęca Patricka, aby sam gotował, zamiast łązić po restauracjach, odwiedzał rodzinę tak często, jak może, i cieszył się życiem. Moim zdaniem nasza rodzina powiększyła się na dobre.

Mama oczywiście nadal jest królową pszczoł wszystkich wydarzeń. To się nigdy nie zmienia, choć dostrzegam, że bardziej polegam na niej w kwestii rozrywki, mimo że nienawidzę chodzenia po knajpach. Lubię obserwować różne szczegóły z nią związane, jak wtedy, gdy z wielkiej radości marszczy nos albo jak kręci głową, gdy je coś wyjątkowo pysznego. Mówię jej o wszystkim, a ona zawsze słucha, nawet jeśli dzielę się zbyt wieloma informacjami. Podziwiam jej etykę pracy, co sprowadza się do tego, że pracuje tak długo, aż nie może tego więcej znieść. Mam to po niej. Wszyscy kochają Bonnie. Parę dekad temu porzuciła swoje ciemnobrązowe włosy na rzecz krótkiej fryzurki z rozjaśnionymi pasemkami, jakby chciała zostać blondynką. W zasadzie mama nadal wygląda jak bogini. Jest również moją matką, która telefonuje do mnie czasami pięć razy dziennie, aby przypomnieć mi o czymś zupełnie nieistotnym. Nie wiem, jak bym dała

sobie radę, gdyby przestała to robić.

Don nie zmienia się, nadal przybiera pozę najmądrzejszego, ma skłonność do wygłaszania kąśliwych uwag, pocierania swojej brody i wychodzenia w środku zdania. A ponieważ spędza więcej czasu na Manhattanie, zaczął również warczeć na psy na ulicy. Staram się nie zapomnieć, że rzekomo jest uznanym autorytetem w swojej dziedzinie i jednym z największych myślicieli na świecie. Teraz łakomie zerka na czerwone wino, zakazany owoc, ponieważ doświadczył problemów zdrowotnych i przeszedł na emeryturę.

Czterdzieste pierwsze urodziny to nieistotne wydarzenie, proponowałam więc, abyśmy zostali w domu, urządzili maraton filmów z serii *Ludzie i ludziska*, a ja w tym czasie zanurzyłam widelec w torcie udekorowanym drażetkami M&M's i śmietanką Cool Whip. Mama nie chciała o tym słyszeć, niestety, a to ona jest szefem.

Oto więc jesteśmy: siedzimy na zewnątrz, osnuci parnym lipcowym powietrzem, we francuskiej restauracji, a ja faszeruję się ativanem, gdy kelner przynosi menu. Zarówno rodzinne kolacje, jak i restauracje sprawiają, że się denerwuję – nie pasuje mi ustawienie stołów, czas narzucony, kiedy trzeba siedzieć spokojnie w jednym miejscu. Tak już mam. Gdy zgłębiam specjalności zakładu, powoli tracę apetyt.

– Och, spójrzcie, mają nerki! – krzyczy mama. Uwielbia czytać na głos każdą pozycję z menu. – Sałatka z buraczków! Zobaczcie tę pyszną potrawę z łososia. Co bierzesz, Patience? Może kaczkę po francusku?

– Nie jestem zbyt głodna. Może stek dla głodomorów (ważący ok. 600 gramów). – To moja typowa odpowiedź.

Mama krzywi się.

– Weźmiesz również przekąskę. Małą sałatkę?

– To moje urodziny. Żadnej przekąski. – Dobrze wiem, że zamówi przekąskę dla siebie i połowę da mnie. To część rutyny. Teraz, gdy mieszkamy tak blisko siebie, zdarza się to dwa razy w miesiącu. Ale ludzie siedzący wokół tego stołu to moja rodzina i desperacko ich kocham. Żarty są zawsze takie same. Dynamika naszej rodziny nie zmienia się, co dla mnie stanowi wielki komfort. Mimo to potrzebny mi środek uspokajający. To moje urodziny.

– Ej, w tym roku jestem liczbą pierwszą – mówię.

Patrick i Carlos unoszą brwi. Nie do końca rozumieją moją obsesję, zapożyczoną z *Pięknego umysłu*, na punkcie liczb pierwszych. Tylko Don rozumie, ale on jest szalony.

– To prawda! – mówi mama, wchodząc do gry, choć liczby jej w ogóle nie interesują. – To będzie wspaniały rok! – Uwielbia słowo *wspaniały*. Wszystko jest *wspaniałe*. Widziałas, jak Bessie rozplanowała grządki w ogródku? Są *wspaniałe*. Perkusistka, która robi tyle hałasu w sąsiedztwie, jest *wspaniała*.

Kelner chodzi wokół stołu i zbiera nasze zamówienia. Szybko opróżnimy butelkę wina. Mama zamawia sauvignon blanc, oznajmiając kelnerowi, że jeśli przyniesie chardonnay, to zwymiotuje. Obserwuję kelnera, mając nadzieję, że rzeczywiście w pełni przyswoił sobie tę informację, bo jeśli mama później zwymiotuje, to usłyszę o tym następnego ranka akurat wtedy, gdy będę wcinąć naleśniki. Choć lubię, gdy mama mi się zwierza, nikomu nie pozwalałam rujnować swoich słodkich posiłków.

– A teraz opowiem wam historię narodzin Patience – mówi mama, jak w zegarku.

Ponoć poród nie był ciężki, choć byłam miesiąc spóźniona – za co mój ojciec prawdopodobnie był wdzięczny, bo nie musiał opuszczać rozruchów studentów w Paryżu w 1968 roku – i trzeba mnie było „wywołać”. Nie chciałam przyjść na ten świat. Wyobrażasz sobie?

Rozglądam się wokół stołu i czuję błogie zadowolenie. Z łatwością mogłabym poświęcić resztę życia na spotkania towarzyskie z moją rodziną. Są cudownymi ludźmi. Niczego nie trzeba zmieniać. Jestem we właściwym miejscu.

Ale znowu, wszystkie te książki ze szczęśliwymi zakończeniami „i żyli długo...” wrosły we mnie głęboko. Chyba jest lepszy sposób na życie, prawda? Mogę sobie pomarzyć. I pewnie kiedyś znowu spróbuję, ale teraz jestem wyczerpana. Cassie McBride nigdy by sobie nie pozwoliła na takie pieprzenie. Uwijałaby się jak w ukropie, aby obsłużyć klientów w knajpie, w której pracuje jako kelnerka (sklep z akcesoriami do robienia na drutach nie wypalił). Nie ma oczywiście pojęcia, że Jake Hunter nie może przestać o niej myśleć i codziennie przychodzi na czarną kawę i kawałek ciasta. Nie, Cassie pilnuje swoich interesów, nie oczekuje niczego więcej i nawet by tego nie chciała. Powinnam więc robić to, co robię – czyli zajmować się pracą i rodziną.

Ale gdy pojawia się tort, ogarnia mnie nagła dzika tęsknota za czymś więcej. Lecz „więcej” wydaje się niemożliwe, zwłaszcza w moim wieku, nie po tym, przez co przeszłam. Za późno na założenie własnej rodziny. Mężczyźni w moim wieku szukają młodszych, a to sprawia, że nie chcę ich.

Czy nie byłoby zdumiewające, gdybym jednak doświadczyła jakiejś

magii, romantycznego ładu szczęścia?

To zazwyczaj przytrafia się Cassie. Gdy myśli, że to koniec, znikąd zjawia się Jake Hunter i deklaruje dozągonną miłość. Chciałabym choć raz, aby to było takie proste. Niech moja pokrewna dusza nosi wielki neonowy znak, abym od razu wiedziała, że to on, i nie musiała nic robić. Czy żądam zbyt wiele? Tak ciężko pracowałam przez te wszystkie lata.

Pojawia się tort z iskrzącą świecą, a wraz z nim kelner śpiewający *Happy Birthday* po francusku. Wszyscy śpiewają.

Tort stoi przede mną.

– Pomyśl jakieś życzenie, Payshie – mówi Carlos.

Jest taki słodki.

Hmm. Czego tak naprawdę chcę? Wejściówki za kulisy na koncercie Duran Duran. Tak, wiem, moja obsesja na punkcie tego zespołu przeraża większość ludzi. Chyba mogłabym mieć dużo pieniędzy – oczywiście. Coś ważniejszego? Mogłabym życzyć sobie, aby na świecie zapanował pokój (ale to trochę nudne). Mama chce, abym została menedżerem wysokiego szczebla, lecz to do mnie nie pasuje. Mogę sobie życzyć, że otworzę sklep z włóczką jak Cassie McBride. Jednak nie w tej sytuacji ekonomicznej, a ponadto to było jej marzenie.

Mam, coś w sam raz dla mnie:

„Niech się zaręczę w ciągu roku”.

No tak. Skąd ten pomysł? Uśmiech szczęścia w kolejnym romansie – czemu nie, ale zaręczona, z pierścionkiem? To stanowczo zbyt wiele. No cóż, nie mogę cofnąć życzenia.

Gaszę płomień świeczki i rzucam się na tort, zupełnie zapominając o swoim życzeniu. Jednak świeczkę zatrzymuję, na wszelki wypadek.

Kilka tygodni później, dziesiąty sierpnia, poniedziałek, dzień jak co dzień. Jadę pociągiem do biura, redaguję romanse, po ośmiu godzinach wracam do domu. Wpadam w euforię. Rok w zasadzie zbliża się ku końcowi – z mojego punktu widzenia. Żadnych konferencji, zjazdów rodzinnych, podróży. Tylko książki do redagowania. Minęło prawie sześć miesięcy od rozstania z Supermanem i przyznaję z radością, że nie bzikuję na punkcie chłopaków. Nie mam nikogo.

Po powrocie wieczorem do domu oglądam filmy i czytam tabloidy. Cheeseburger i frytki wymagają jednego telefonu, więc nie muszę gotować. Mieszkanie w Chelsea jest warte każdego grosza, który płacę za czynsz – a płacę niemało. Dług na karcie kredytowej na poziomie dwudziestu tysięcy jest najniższy w mojej historii, co się dobrze składa, bo dwie przecznice od

domu odkryłam nowy sklep Anthropologie³⁷. Mam kota, który nie jest gnojkiem. Mam święty spokój i wszystko, czego mi trzeba.

Wystarczy jedna chwila, aby złączyć te spokojne wody. Jak większość, sprawdzam e-mail i Facebooka co kilka minut. Przyznaję, wiadomości i lajki podnoszą moje poczucie własnej wartości. Jest wczesny wieczór, dostaję intrygującą prośbę, aby zostać czyimś przyjacielem na Facebooku.

Sam ktoś tam.

Nazwisko brzmi znajomo. Rozpoznaję je, ale nie okoliczności. Mam wrażenie, czytając jego imię i nazwisko, że go znam. Przyjaciele ze szkoły średniej i z college'u mieszają mi się w jedno. Zaciemnienie umysłu nie powstrzymuje mnie od akceptacji zaproszenia.. Kim jest ten fajny facet?

Pojawia się natychmiastowa wiadomość.

„Cześć!!!” – pisze Sam.

Ach, to jeden z tych, którzy lubią trzy wykrzykniki.

„Cześć!” – odpisuję z nadzieją, że szybko wrócę do tabloidów, lecz nadal zaintrygowana. Jestem pod wrażeniem jego entuzjazmu.

„Skąd się znamy – ze szkoły średniej czy college'u?”.

„Ze szkoły średniej”.

„Czy jesteś starszy, czy młodszy ode mnie?”. Może przecież palnąć mi komplement i udawać głupiego. Głupia nie jestem.

„Podoba mi się to pytanie. Starszy”.

Konwersacja w tym duchu toczy się, dopóki nie przypominam sobie bezczelnego, atletycznego chłopaka o brązowych włosach, wchodzącego do szkolnej stołówki. Cała sala wybucha aplauzem. Jest jednocześnie zawstydzony i zadowolony, jakby chciał dać do zrozumienia, że przecież to nie pierwszy raz. Uśmiechy na korytarzu. Wrażenie, że mnie lubił. Bal.

Znam Sama. To ten chłopak, który wirował ze mną na parkiecie podczas balu. To on był tym odważnym wcieleniem Ewela Knievela³⁸ w naszej idyllicznej szkole średniej. I oto zostaje teraz przyjacielem panny podpierającej ścianę w czasie balu.

Ale dlaczego? To chyba nie ma znaczenia. W szkole średniej puściłabym wodze fantazji, aby rozgryźć ten problem. Cassie i ja nie poświęcamy temu zbyt wiele czasu. Uznajemy ten kontakt za nieistotny. On odejdzie lub znajdzie kolejnego wyjątkowego przyjaciela. Już to przerabiałam. Nie oszukasz mnie, Jake'u Hunterze. Jesteś mirażem, zbyt wiele razy dałam się na to nabrać. Ten Jake jest po prostu grzeczny, nawiązuje lekki kontakt towarzyski, tak aby zaproszenie mnie do grona przyjaciół nie wypadło zupełnie bezosobowo. Prawdopodobnie siedzi w barze, czuje się samotny,

przypomina sobie o rudowłosej ze szkoły średniej. Z początku wyda mi się niezwykły, uprzejmy, pewny siebie, przypochlebiający się, przystojniejszy z każdym e-mailem. Z każdym kolejnym krokiem będzie tracił zainteresowanie, a potem zniknie. Spodziewam się małego deszczu z wielkiej chmury.

Sam jednak zaskakuje mnie, bo prosi o mój numer telefonu, abyśmy mogli odnowić znajomość i nadrobić zaległości. Zaległości w czym?

Przynajmniej raz zapominam o ostrożności i rozważam podanie mu numeru. Kto by pomyślał? Nie musiałam nic robić, aby zwrócić jego uwagę... uwagę legendy. To dziwne.

Jestem na sto procent pewna, że nic z tego nie będzie, ale nic nie szkodzi, czekają na mnie *The Real Housewives of New York City* i cały szereg niedozwolonych przyjemności do towarzystwa.

Rozdział dziewiąty

Głos odległy o pięć tysięcy mil i dwadzieścia sześć lat

Sierpień 2009

W środę pracuję w domu, ale to nie znaczy, że mam wolne. W ciągu miesiąca redaguję przynajmniej dwie książki – zwykle trzy – więc mam co robić. Muszę również zebrać dodatkowe informacje, jak dedykacje, biografię autora, zaakceptować tekst na tylną okładkę. Z miesięcznym wyprzedzeniem mogę przygotowywać koncepcję pierwszej okładki. Czy para ma być w uścisku, czy raczej pokazać męskiego ogiera w czarnej skórzanej kurtce, spoglądającego wyglodzionym wzrokiem na czytelniczkę? Zawsze mam stertę rzeczy do czytania: romansidła, maszynopisy autorów do przygotowania do druku jesienią (w sierpniu mam mnóstwo roboty), propozycje kontraktów. Z rzadka piszę artykuły do newsletterów z naszej branży. Jutro mam poważne spotkanie, na które wolałabym być trochę bardziej przygotowana niż zwykle. Za chwilę napiszę o tym więcej.

Zazwyczaj jestem skupiona na konkretnych zadaniach, ale dzisiaj po prostu siedzę i patrzę w przestrzeń. Mogę, prawda? Nikt się nie dowie. Nie muszę ganiać dzieciaka po mieszkaniu, bo go nie mam. Nie ma żadnego powodu, dla którego miałabym zdjąć piżamę. Podoba mi się ten pomysł, leżenia na kanapie i gapienia się bez ryzyka, że ktoś mnie podejrzy. Ale w głowie słyszę głos mamy. Mówi mi, abym się ubrała, zabrała ostro do roboty, dostarczyła przed czasem, przekroczyła granice, zaczęła nowego bloga, olśniła rówieśników, pracowała do północy każdego dnia – mam być tym koniem pociągowym, który nigdy nie ugina się pod ciężarem (jak ona).

Ale nie jestem taką dziewczyną. Nie muszę nią być. Przez dwadzieścia lat byłam pilnym pracownikiem, zarywającym niejednym weekend i niejedną noc dla roboty. Mam mnóstwo czasu na to, aby znowu być doskonałym pracownikiem, zwłaszcza że miłość nie jest już najważniejsza. Jestem wolna, szczęśliwa, że nie mam męża, chłopaka lub – co najważniejsze – kiepskiej randki. W tę jedną nieistotną środę będę się kontentować spokojem.

Potem dostrzegam na stoliku przy łóżku najlepszą obok życia towarzyskiego rzecz: książki Emily Giffin, w jednej z nich – *Coś niebieskiego*

– spotkałam nikkczemną Darcy Rhone, nową bohaterkę w moim życiu, której głos chciałabym słyszeć w głowie razem z głosem mamy.

Darcy sięga po to, czego pragnie, i to dostaje. Kieruje się impulsem, nie bacząc na to, że może kogoś urazić. Gdy widzi w oknie wystawowym ładny szal, kupuje go, korzystając z karty kredytowej swojego byłego. Słowa, które zawsze padają z jej ust, to zimna, okrutna prawda. Nie owija w bawełnę, a jednocześnie jest najbardziej zabawną osobą na przyjęciach... dopóki nie przesypia się z facetem, w którym się kochasz. Nie za to ją lubię. Jej postawa rozwydrzonej księżniczki to dla mnie coś nowego. Będąc całe życie popychadłem, choć raz chciałabym być nieposłuszna. Kup mi tę sukienkę. Teraz. Daj mi tę czekoladę, tak, zaraz, i rzuca przekleństwo. Darcy zachodzi w ciążę i nie mając innego wyjścia, wyjeżdża do Anglii sępić na przyjacielu. W efekcie zakochuje się w nim, a on odkrywa lepsze strony jej charakteru niż złośliwość. W jaki sposób Emily rehabilituje taką wstrętną – ale też łatwą do pokochania – postać? Choć lubię charaktery cnotliwe, cenię sobie również bohaterki niedoskonałe, o szerokim spektrum cech. Potrafią się postawić, potrafią być miłe. Od niej mogłabym się dużo nauczyć. Nie traciłabym czasu na ludzi, którzy marnują mój czas. Moje jedyne zobowiązanie to zadowolić samą siebie. I zaaplikować sobie delikatną dawkę tortur.

Milionowy już raz podchodzę do komputera i czytam *jego* mail:

Oglądałem Nadchodzi Polly³⁹ i ten film przypomina mi Ciebie. A propos, Twoje włosy wyglądają świetnie! – Superman.

To było trzy tygodnie temu. Wyobraź sobie, sześć miesięcy i nic, a tu nagle były chłopak pojawia się ponownie, dokładnie tak, jak przewidziałam. I nadal przeglądam ten mail... chyba z nudów.

Przynajmniej Superman nie zapomniał o moich czterdziestych pierwszych urodzinach i wchodzi na mój profil na Facebooku. Minął prawie miesiąc od jego maila, więc staje się jasne, że chciał jedynie wysłać mi wiadomość, a nie spotkać się ze mną. Nawet bym tego nie chciała. Ale dlaczego teraz?

A potem ten Sam zaprzyjaźnił się ze mną dwa dni temu.

Odkąd pomyślałam życzenie urodzinowe, dzieją się różne dziwne rzeczy. W ubiegłym tygodniu pojechałam pociągiem na niespodziewaną wycieczkę (coś, co zrobiłaby Darcy). Zażyłam ambien i w delirycznych oparach zamówiłam sobie wyjazd z miasta do przyjaciół – zawstydzające, ale gorsze rzeczy robiłam po zażyciu ambienu (wysłałam e-mail do ojca z subtelnymi

sugestiami na temat mojego życia seksualnego; napisałam wierszyk haiku z recytacją głosem Charlotte z *Seksu w wielkim mieście* i wysłałam go do mojego starego przyjaciela geja Langdona, znanego prezentera radiowego z rozjaśnionymi włosami w Los Angeles; zjadłam całą zawartość swojej lodówki). Dzięki ambienowi naciskam guzik „Zamów bilet”. Pojechałam, napawałam się nicnierobieniem i odrodzona wróciłam do domu. Posłuchałam impulsu, jak Darcy.

Impulsy nie zawsze umożliwiają opłacenie czynszu, więc redaguję cały dzień, co pół godziny robiąc przerwę na sprawdzenie Facebooka. Koło południa czuję się wyczerpana i nagle słyszę „dzyń”. Ktoś wysłała wiadomość. Wybudzam komputer ze snu.

Sam: Cześć!!!!

Ja: Cześć.

Sam: Czy mogę do Ciebie zadzwonić, Ruda?

Hmmm. Czy może do mnie zadzwonić, czy może nazywać mnie „Ruda”⁴⁰? Wszystko sprowadza się do jednego przecinka. Ten Sam z Taft School wydaje się drobnym psycholem. Dlaczego chce ze mną rozmawiać na tak wczesnym etapie znajomości? Jesteśmy facebookowymi przyjaciółmi zaledwie dwa dni. Czy jest aż tak pijany lub zdesperowany? Powiedział mi, że mieszka w Izraelu – może gdybym mieszkała pięć tysięcy mil od domu, też bym chciała skontaktować się ze znajomymi. Biedny facet. Co zrobiłaby Darcy?

Ja: To dość wczesna faza znajomości.

Sam: Jestem w Izraelu. To kraj znany z agresji.

Śmieję się na głos. Nic nie wiem na temat Izraela poza tym, że jest tam konflikt z Palestyńczykami. Nie jestem pewna, czego ten konflikt dotyczy. Bardzo w stylu Darcy. Ale wszystko, co mówi ten facet, wydaje się właściwe. Dowiaduję się, że po francusku mówi równie płynnie jak ja. Ten Sam chyba nie ma stałego zatrudnienia; może pisze książkę. Ludzie ciągle do mnie piszą, prosząc o radę. Sama bym tak zrobiła i nie mam nic przeciwko temu. Ale dobrze jest wiedzieć od początku, o co chodzi. Muszę zdobyć więcej informacji na jego temat, bo moje wspomnienia są bardzo mgliste.

Ja: Może pogadamy w czasie weekendu? Gdy już poznam Cię trochę lepiej.

Sam: Dobra!!!

Przepelnia mnie uczucie radości, gdy widzę te wszystkie wykrzykniki, to „dobra”, bo mam wrażenie, że on rzeczywiście jest gotów poczekać, aż poczuję się nieskrępowana. Jest mi też trochę smutno, bo pewnie zależy mu wyłącznie na przyjaźni. Niemniej jednak wyrażenie chęci czekania na pogawędkę ze mną to miły gest. Sam wcale nie musi być utrapieńcem. Jak mógłby mnie nachodzić? Przecież mieszka w Izraelu. Możliwe, że siedzi w domu i odczuwa samotność równą mojej. Ale przecież jestem teraz Darcy, więc wyrzucam z głowy myśli o Samie.

Pamiętam, że jutro mam spotkanie z przystojnym modelem w średnim wieku i guru randkowania w jednym Tarkenem (to nie jest jego prawdziwe imię). Przez sekundę chcę je odwołać, ale nie mogę. To może oznaczać postęp, a muszę przecież podchodzić do spraw inaczej, skoro chcę się zmienić. Chociaż zajmuję się wyłącznie romansami, Harlequin wypuścił nową linię książek – literaturę faktu. Uwielbiam literaturę faktu i gwiazdy, a chyba nie ma lepszej kombinacji niż biografia napisana przez gwiazdę? Część wolnego czasu spędzam na wyszukiwaniu co ciekawszych pamiętników – Star Jones, sióstr Kardashian, Jackie Chana, Joego Torre. Wybór jest olbrzymi i chciałabym wszystko przeczytać.

Praca i profil Tarkena od razu zwróciły moją uwagę. Jak randkować skuteczniej? – tak jakby na świecie jeszcze za mało było takich poradników książkowych, ale co znaczy jeden więcej? Dlaczego to właśnie ja mam zrecenzować ten projekt? Gdy po raz pierwszy kartkowałam jego maszynopis, jawił mi się jako ten pan młody, o którym całe życie marzyłam: białe, lśniące zęby; jeden z tych, którzy wychodzą z łóżka i mogą od razu spacerować po czerwonym dywanie, włosy perfekcyjnie zaczesane, chyba przez westalki. Moje serce raduje się, że poprosił, abym to właśnie ja kupiła jego projekt. Propozycja pojawia się raczej w dziwnym momencie.

Mając na uwadze nauki Darcy Rhone, godzinami przygotowuję się na spotkanie z Tarkenem następnego dnia. Czy założyć spodnium? Nie, będzie zbyt oficjalnie. Jeżeli włożę zbyt obcisłe ciuchy, będę wyglądać jak nieprofesjonalna latawica. Mama zawsze ubiera się nienagannie i nauczyła mnie, aby nie garbić się na spotkaniach służbowych. Słyszę jej głos powtarzający: „To tylko facet. Rób to, co do ciebie należy”. Dojrzałość zwycięża, bo wybieram nudny, półkonserwatywny strój – czarne spodnie,

niebieski zakiet i szpilki. Ten facet będzie mnie oceniał na podstawie tego, co noszę, więc będę nijaka. Muszę wyglądać jak profesjonalistka po czterdziestce z wyjątkiem włosów. Przez trzy godziny prostuję długą rudą masę, dopóki się nie podda. Darcy chciałyby, abym to zrobiła.

Następnego dnia pytania są przygotowane, strój doskonały, paznokcie wymanikiowane. Gdyby to było dziesięć lat temu, nie spałabym całą noc, układając strategie, wymyślając, jak być czarującą jak te wszystkie dziewczyny w komediach romantycznych. Tarken miałby obezwładniającą niespodziankę, gdyby zobaczył, jaka jestem piękna. Zaczęlibyśmy się spotykać, ponieważ celebryci często randkują ze spokojnymi redaktorkami.

Tym razem nie tracę ani sekundy snu. Ale przesadzam z przygotowaniami, badam postać Tarkena, jak również rynek czytelniczy dla jego książki. Jestem idealnym redaktorem do tego projektu, ponieważ byłam singielką szukającą miłości. Miałam zbyt wiele randek. Popęłniłam za dużo błędów. Gdybym miała obok siebie takiego ogiera – modela, eksperta w tej dziedzinie, moje życie mogłoby wyglądać zupełnie inaczej. Przygotowuję całe strony pytań na to spotkanie. To nie w stylu Darcy, ona by improwizowała.

Nadeszła pora. Nawet nie jestem zdenerwowana, raczej szczęśliwa z powodu nowego doświadczenia redaktorskiego. Dojrzałość to wspólny środek uspokajający.

Recepcjonistka dzwoni, oznajmiając, że moi goście przybyli. Gdy tam wchodzę i rzucam pierwsze spojrzenie, przez chwilę czuję skok adrenaliny – nowa osoba. Tarken podchodzi i ściska mnie. Moje wstydlive, podpierające ściany „ja” cieszy się, w głębi duszy uznaje go za jeszcze piękniejszego na żywo: ciemne oczy, mocna budowa ciała, opalony, uśmiech gwiazdy filmowej. Wtedy on obejmuje recepcjonistkę i moją koleżankę. W biurze fruwają feromony, przezabawne, gdyż, no cóż, na naszym piętrze nie ma zbyt wielu facetów (choć ci, którzy są, to wyjątkowi panowie). Staje się jasne, że Tarken w najmniejszym stopniu nie przypomina mojego Księcia z Bajki. Poważnie. Ile nerwów by człowiek stracił? Odgrywanie roli jego dziewczyny oznaczałoby dzielenie się nim z wszystkimi innymi. Ponadto musiałabym mieć się cały czas na baczności. Zero ataków paniki. Żadnego łożenia z niechlujnymi włosami i w piżamie. Wyobrażasz sobie? Pójdziemy do restauracji i wszyscy będą patrzeć na niego, a nie na mnie. Popęłniłam ten błąd z Supermanem. Na dodatek wszędzie musiałabym nosić bikini! Wyjście z Supermanem na kolację wystawiało moją cierpliwość na próbę, gdyż cały personel kelnerski pożerał go wzrokiem, a mnie ignorował.

Przeczuwam również, że Tarken należy do tych facetów, którzy trzy razy odsyłają stek do podsmażenia. Doprowadzałoby mnie to do szaleństwa.

Szczerze, zasługuję na dużą porcję lodów waniliowych z polewą czekoladową, gdy przynajmniej raz nie traktuję mężczyzny jako potencjalnego kochanka. Nie mam chorych snów, przecucia, że będę z nim szczęśliwa. To by nie wypaliło.

Nie ma romantycznych perspektyw. Żadnych. I jest mi z tym wspaniale.

Zmierzamy w kierunku sali konferencyjnej. Jestem tylko kobietą idącą korytarzem. Szczęśliwą, zadowoloną z tętnącego życiem wnętrza, które woli zachować dla siebie. Oglądam się na Tarkena ucinającego pogaduszki z wszystkimi dookoła, jakby urodził się w babinie.

Kobieta marzeń Tarkena jest zapewne bardziej wyluzowaną dziewczyną. Podobnie jak Darcy wskakuje do samolotu do Fidżi i śmieje się na całe gardło wśród szalonych fal. Zalewa się w pestkę, pijąc tequilę, lubi egzotyczne skorupiaki i ślizga się po ulicach w szpilkach na niebotycznych obcasach. Bikini w cętki pantery – ma ich kilka – natychmiast daje się zdjąć. Gdy opala się na jego jachcie, nie martwi jej choroba morska ani to, że na środku oceanu nie ma dokąd uciekać. *Titanic* i *Szczęki* nie wywołały u niej urazu. Na drugie imię ma Depilacja. W zasadzie wszystkie zabiegi pielęgnacyjne traktuje priorytetowo. Ma doskonałe brwi i je mnóstwo surowych warzyw, które nazywa „veggies”. Pewnie czytała jedną z tych książek, które redaguję, ale nic więcej nas nie łączy – poza tym, że prawdopodobnie polubiłabym jej towarzystwo i ducha przygody.

Nie chciałabym być w typie Tarkena. Pomysł, aby uczyć się od niego i jego wymyślonej dziewczyny, jest bardziej ekscytujący. No to ruszamy. Jestem otwarta na zdobycie nowej wiedzy.

Rozmawiamy co najmniej przez godzinę – jego świta, moi koledzy – często wybuchając salwami śmiechu. Zapominam o nerwach dzięki Tarkenowi. Jest dobrze wykształcony, co okazuje się miłą niespodzianką, poza tym czarujący i zabawny. Moja neuroza zostaje za zamkniętymi drzwiami, uśmiecham się. „Nie będziesz moim chłopakiem. Nic nie szkodzi. Raz próbowałam włożyć bikini. Może zrobię to ponownie, ale na razie wolę hamburgery”.

Spotkanie dobiega końca, wraz z grupą idę do wyjścia. Reszta dnia przebiega spokojnie. Pamiętam główne przesłanie jego projektu: pokaż się od najlepszej strony (nie zapominaj o cyckach). Mimo że w końcu nie pracuję nad jego książką, przyswajam sobie jego nauki.

Niespodziewanie nadchodzi weekend. Nie mam żadnych planów, więc już

się cieszę z dwóch i pół dnia samotności. Zjem naleśniki, obejrzę telewizję, będę robić na drutach i redagować. Czy to nie wspaniała perspektywa? Nikt nie zakłóci mojego programu, a potem wrócę do pracy odświeżona, gotowa na kolejny tydzień. W sobotę rano czołgam się do delikatesów po śniadanie. Potem czołgam się do domu, aby je zjeść. Po filmie numer jeden i projekcie książki numer jeden ponownie pełnę do delikatesów po obiad, ale tym razem jestem bardziej świadoma ludzi wylewających się z restauracji, parujących się posiłkiem po nocy pełnej namiętności.

Nie ma to już nic wspólnego ze mną. Z obiadem pod pachą wracam do domu, gotowa na film numer dwa i maszynopis numer jeden, który muszę zredagować. Niewykluczone, że posprzątam mieszkanie.

Na pewno natomiast nie będę myślała o tym, w jakiej sytuacji byłam rok temu. Lub dwa lata. Lub trzy. Mój status nie jest wyjątkowy. Wszędzie żyją samotni ludzie. Bywa, że biegnę do domu jak na skrzydłach, szczęśliwa, że nikt mi nie przeszkodzi. Ale po dwudziestu czterech godzinach oglądania telewizji i pracy, mieszkania w czterech ścianach, interakcji z kotem, wysłania jednego, dwóch e-maili przenoszę się do krainy smutku – siadam przy komputerze i rozkładam pasjansa.

Pasjans nigdy nie wróży nic dobrego. Zdecydowanie kłóci się z rolą Darcy Rhone. Ona włożyłaby seksowną sukienkę, znalazła towarzystwo i urządziła imprezę. Nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać, dokąd mogłabym pójść. Po kilku minutach powtarzalnej gry zaczynam płakać. Płaczę z tęsknoty za straconymi szansami, z najzwyczajszej nudy, z powodu chłodnej postawy ojca, tych dziesięciu funtów, które przybrałam od czasu przeprowadzenia się do budynku z windą i związków, które nie powinny się skończyć. Może gdzieś tkwił jakiś potencjał. Dlaczego wyjechałam z Nowego Meksyku? Może Chris chce, abym wróciła. Ktoś może pragnąć, abym wróciła. Więcej łez spływa mi po policzkach. Wiem, że jestem żałosna, choć tak naprawdę nie czuję smutku. To вина spędzania *całego* czasu w samotności.

Niebo na zewnątrz zmienia kolor na szary, lekki deszcz puka w okno. Oglądam się, aby popatrzeć, przerywając pasjansa.

„Jakie okropne sobotnie popołudnie” – myślę.

Dzyń!

Sygnał z komputera ponownie przywołuje mnie przed ekran. Wycieram łzy i porzucam grę, aby odczytać natychmiastową wiadomość:

Cześć!!!!!! Ruda?????

Święty Jezu. Ten facet nigdy nie odpuszcza, prawda? Zaczynam się śmiać, łzy ściekają mi po twarzy. Czego ten świat nie wymyśli, aby odciągnąć mnie od stawiania pasjansa.

„Cześć, Brązowy!!!” – odpisuję.

Czy mogę teraz do Ciebie zadzwonić?

Trudno opisać uczucie wdzięczności, które mnie ogarnia. Ktoś na mnie czekał. Nie czekał na dziewczynę obok mnie albo kolejną po mnie „bufetowe danie”, lecz na mnie.

Dlaczego nie miałabym pogadać z Samem przez telefon, jeżeli ma ochotę zadzwonić?

Jasne, w porządku.

Nie dopuszczam do siebie poczucia winy, że siedzę sama w domu w sobotę. Inni ludzie tak by zrobili, jak Charlotte z *Seksu w wielkim mieście*, ale dla mnie to żaden kłopot. Sam i ja po prostu pogadamy. W końcu potrafię konwersować z nieznanym celebrytą, więc tym bardziej poradzę sobie z Samem. Co zrobiłaby Darcy? Zdecydowanie podniosłaby słuchawkę.

Podaję mu swój numer. Telefon dzwoni trzydzieści sekund później.

– Halo?

– Cześć...

– Sam. Jaka miła niespodzianka.

Oboje się śmiejemy. Przed balem i po nim prawdopodobnie nie rozmawialiśmy ze sobą dłużej niż przez kilka sekund. Teraz paplamy, jak gdybyśmy chcieli nadrobić dwadzieścia sześć lat. A może całe życie? Nie miałam pojęcia, że kocha Francję i pisaliśmy prace dyplomowe na temat tego samego francuskiego autora (Zoli), że ożenił się i rozwiódł, był pulchnym dzieciakiem, a teraz jest szczupły, że jego mama zmarła, zanim przyszedł do Tafta. Po szkole średniej zrobił studia podyplomowe i doktorat – dysertacja o Prouście – w Columbii. Uczył na uniwersytecie w Hajfie, zrobił sobie wolne, aby postudiować prawo, które znienawidził, więc wraca na pole edukacji, zaczynając od posady w szkole średniej w Szwajcarii, gdzie będzie uczył w jesiennym semestrze. Wędrowiec, oceniam, zdecydowanie inna ścieżka niż ta, którą sama wybrałam.

Wraz z pogłębieniem treści naszej konwersacji zdaję sobie sprawę, że to

jego głos sprawia, iż porzucam rolę kobiety w lekkim stresie i zmieniam się w uważnego słuchacza. Podoba mi się, jak mówi i co mówi. W jego narracji wyczuwam samoświadomość i lekko szydercze podejście do świata.

Najważniejsze, że jego głos poprawia mi humor w to deszczowe, sobotnie popołudnie. Czy to jakiś kolejny znak z odległej przestrzeni? Czy ten ktoś mówi mi, że jest dobrze, a droga, którą obrałam, okaże się właściwa? Czasami rozmowa przez telefon to tylko rozmowa przez telefon. Nie biorę pod uwagę tego, że relacja z Samem wykroczy poza to, co jest obecnie.

Zabawne, że na ogół unikam rozmów telefonicznych. Nie ma to związku z niechęcią do ludzi czy też nieumiejętnością podtrzymania konwersacji, po prostu nie wiem, co powiedzieć, gdy nie widzę partnera. Mój ojciec jest taki sam. Z łatwością mogę podać czas trwania naszych rozmów – najwyżej dwie minuty, bo zawsze są identyczne: jak się masz, dobrze, co chcesz zrobić, przyjedź w tym tygodniu, dobrze, o której cię odebrać, o jedenastej pięćdziesiąt pięć, koniec.

Z Samem zapominam o zdenerwowaniu, nie mam poczucia, że nasza rozmowa powinna jak najszybciej się skończyć. Zrelaksowana siedzę na fotelu, stopy na biurku, uśmiech na twarzy. Nie muszę nigdzie iść. Na razie mamy tylko telefon i natychmiastowe wiadomości. Jesteśmy ludźmi, którzy chodzili do tej samej szkoły średniej i mają za sobą zupełnie różne doświadczenia. Czasem nawet fajnie pogadać przez telefon. Nie oznacza to, że czeka nas wielki romans. Nie szukam go, pamiętasz?

Słuchawki odkładamy dwie godziny później, gdy za oknami jest ciemno, ale za to nasila się hałas. Dla niektórych ludzi wieczór dopiero się zaczyna. Moja noc kończy się, choć przewidywałam, że spędzę ją, płacząc przed komputerem i godzinami układając pasjansa.

Czuje się lekko. Szczęśliwie. Rozmowa z Samem pobudziła mnie.

Jakże ciekawy obrót wydarzeń. Tyle się wydarzyło w ciągu jednego tygodnia. Spotkanie z Tarkenem, przyjaźń z Samem na Facebooku zwieńczona tym jednym telefonem. Nie związę się z Samem – nie mogłabym, skoro on mieszka w tylu miejscach – ale podoba mi się, jak ludzie wyskakują znienacka i dają mi kolejne lekcje do wyuczenia.

Nadal trzymam się obranej drogi i pilnuję harmonogramu poza tą maleńką przerwą na rozmowę ze starym przyjacielem. Gdybym była Darcy Rhone, wskoczyłabym do samolotu do Izraela i niby przypadkiem trafiła do Hajfy, blisko Sama. A poważnie: trzeba by wołu, aby zmusić mnie do latania gdziekolwiek, a poza tym odbyłam już zbyt wiele romansowych podróży. Na razie pozostanę przy bohaterach ze stron powieści. Na razie

Sam to zaledwie przyjaciel, który pojawił się nieoczekiwanie na Facebooku. Niestety, gdy nie mam od niego wiadomości, robię się nerwowa. To mój głos Marge Simpson sprawia, że nie dzwoni po pierwszej rozmowie. To jedyne wyjaśnienie. Mój głos brzmi jak zgrzyt dla ludzkiego ucha. Lub Sam ma inne rzeczy do roboty jak przeprowadzka z Izraela do Szwajcarii.

Nie, na pewno chodzi o mój głos. Cokolwiek to jest.

Z początku brak kontaktu ze strony Sama mnie nie peszy. Moje oczekiwania są niewielkie, więc trudno, aby mieć nadzieję na ekstatyczną miłość z popularnym chłopakiem ze szkoły średniej. Nie kupuję ponadwymiarowych batoników Snickers – tylko normalne, a potem biegam, aby pobudzić endorfiny.

Wymieniamy się co prawda kilkoma e-mailami po tej rozmowie, ale czuję, że jego zainteresowanie spada. Próbuje go ponownie zachęcić, nawiązując do kilku francuskich osobowości. Biorę się do Prousta, bo on jest znawcą Prousta, ale to wszystko wydaje się po prostu głupie. Zamykam rozdział *W stronę Swanna* i... Sama.

Aby podbudować sobie nastrój, powracam do listy, którą sporządziłam tuż po moich urodzinach, tej z wariackim życzeniem. Teraz, gdy już nie chodzę na randki, co mogę powiedzieć o swoim życiu? Czytam uważnie, chłonąc każde słowo:

Gdybym jutro umarła, byłabym dumna z...

1. Moi ukochani wiedzą, że ich kocham.
2. Cieszy mnie praca.
3. Przeżyłam to.
4. Mieszkałam w Nowym Meksyku i Paryżu.
5. Kochałam całym sercem.
6. Nigdy nie podjęłam naprawdę okropnej decyzji.
7. Jestem dobra.
8. Mam naprawdę świetne włosy, gdy się je dobrze wysuszy.

Czy chciałabym być mężatką? Nie wiem. Widziałam zbyt wiele złych małżeństw. Za mało dobrych. Nie mogę żałować czegoś, czego nie znam ani nie kontroluję. Może nie byłabym szczęśliwa jako mężatka. Inna osoba osadzona na stałe w mojej przestrzeni mogłaby mnie doprowadzić do szaleństwa.

Nie mogę dłużej tracić czasu.

W restauracjach i w metrze często słyszę, jak kobiety tęsknią za zagubioną miłością, rozprawiają, dlaczego facet zadzwonił albo nie zadzwonił. Czuję się wtedy słodko-gorzko, ponieważ sama byłam taką dziewczyną – dlatego kocham moje nowe wydanie. Chcę więcej od życia. Więcej – dla mnie znaczy mniej kłopotów. Jeżeli Sam nie zadzwoni, nie wyśle maila, wrócę do czytania, pamiętając, że te książki dostarczają rozrywkowej ucieczki, ale w prawdziwym życiu romans nie istnieje.

Tygodnie mijają, jestem bardziej produktywna i znajduję wielką radość, pomagając pisarzom w ich karierach. Te powieści napisali utalentowani ludzie. Obiecuję sobie, że będę pracować ciężiej i spędzać więcej czasu z mamą i jej akademickimi przyjaciółmi. W czasie tej minidepresji chętnie przyjmuję zaproszenie mamy na jeden z jej wieczorków. Obecność bliskich to dobry początek kuracji.

Ponadto rozmyślam w szerszym kontekście o kierunku, w którym zmierza moje życie. Jestem w tym niepokojącym wieku, gdy rzeczy zaczynają się psuć. Czy jest takie miejsce, w którym chciałabym zamieszkać, może Kalifornia? Czy w ogóle chcę wyjechać? Odkąd moje życie miłosne przestało istnieć, zastanawiam się, co mogłoby wypełnić po nim tę przejmującą pustkę.

Zawsze mogłabym odbyć podróż rodem z filmu *Jedz, módl się, kochaj*, aby nieco wstrząsnąć swoim światem. Mogłabym pojechać w jakieś egzotyczne miejsce, gdzie przypadkiem potrafi mnie seksowny hiszpański importer mieszkający w Australii. Nie mam już urlopu i nie lubię latania, więc nie mogę przedsięwziąć podróży otwierającej mnie na świat, w którym mogłabym medytować, ciosać zabawki dla potrzebujących dzieci i mieszkać w szałasie. Może jednak wykrzeszę z siebie krzyknę odwagi i zdobędę się na coś innego.

Czekanie dobrze mi robi. Moja sytuacja musi się przecież zmienić, więc dlaczego nie zachować spokoju? Znajdę odpowiedzi i – tak jak moje imię wskazuje – cierpliwie czekam na nie przez większość września. Jestem wdzięczna za każde pchnięcie w nowym kierunku, byle dalej od Sama i Tarkena, ku nowemu.

W ciągu tych kilku tygodni dzikich myśli, wysokich wzlotów i średnich upadków moje myśli dryfują ponownie do Sama, próbuję rozgryźć, dlaczego w ogóle się ze mną skontaktował. To mógł być początek niezwyklej przyjaźni, ale nic z niej nie wyszło. Pochopnie, buntując się przeciw czekaniu, uaktywniam swoje profile randkowe i zapisuję się na miesiące romantycznych możliwości, bez zwrotu kosztów, na serwisach Match,

Chemistry, Nerve i eHarmony. Robię to bez przekonania, ale wmawiam sobie, że to dla mojego dobra.

Pomimo to nie mogę przestać myśleć o telefonie od Sama, o tym, jak łatwo się z nim rozmawiało, jaki efekt wywarł na mnie jego głos, jak sprawił, że poczułam się bezpieczna. Dlaczego ta osoba pojawiła się na mojej ścieżce, a potem z niej zniknęła? Lata czytania romansów podpowiadają, że jest jakiś powód, może nawet istotny, ale rozum każe mi o nim zapomnieć. „Nie zwracaj sobie głowy Samem. Już do niego napisałaś. Ledwo odpowiedział”.

Skoro wykluczyłam go z grona kandydatów na mojego Księcia z Bajki, mam prawo codziennie sprawdzać jego stronę na Facebooku. Czasem dwa razy dziennie. No dobra, dwadzieścia razy.

Zauważam, że aktualizacje na jego stronie są coraz bardziej posępne:

Wszystko ma związek z pieniędzmi...

Wszystko jest przerażające...

Dlaczego jest ponury? Widział świat i mówi po francusku. Może swobodnie przemieszczać się, dokądkolwiek zechce. Nie mogę go rozgryźć. Ale oczywiście próbuję i zastanawiam się, czy byłoby to takie straszne, gdybym jednak ponownie do niego napisała. Złamię w ten sposób wszystkie zasady randkowania. Ale im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem sfrustrowana. Spróbuję się z nim skontaktować po raz ostatni.

Nie mam nic do stracenia. Jeśli mnie odrzuci, będę robić to co do tej pory. Jeden gest ani nie zbuduje, ani nie zrujnuje mojego związku nie związku z Samem. Nie zostawi mnie wytaplanej w świńskiej krwi w sali gimnastycznej, w czasie gdy mam okres.

Po tym objawieniu siedzę długo w nocy i myślę o sposobach na nawiązanie kontaktu z Samem tak, by wyglądało to naturalnie. Przywołuję ulubioną bohaterkę powieści Emily Giffin, Darcy, która postąpiłaby na moim miejscu mniej więcej tak: zamieszała, aby dostać to, co chce, przerwała ciszę na łączach, zapewniła sobie więcej rozrywki. W końcu jestem redaktorem, potrafię wyrzeźbić e-mail, potem przerobić go tak, aby wyglądał na swobodną, radosną korespondencję.

Właściwy Moment nadchodzi następnego ranka. Przeglądając Facebooka, napotykam ostatni ponury wpis Sama:

I znów, wszystko jest zbyt przygnębiające.

Chichoczę. Dobrze! Jestem zadowolona, że jesteś w depresji, chłopcze. Zasługujesz na to. Szczególnie że mnie odrzuciłeś. Pewnie rzeczywiście jesteś przygnębiony, skoro tak otwarcie publikujesz ten fakt. Cóż za kiepska próba wyłudzenia współczucia.

Wykonuję pierwszy ruch i klikam na guzik „Like” pod jego ostatnim wpisem, nie mając pojęcia, że na zawsze zmieni to moje życie.

W ciągu kilku minut nadchodzi wiadomość od Sama:

Jesteś kobietą mojego serca!!!

Na ustach wykwita mi duży uśmiech. Wiem, że dla Darcy taka satysfakcja to chleb powszedni, ale dla mnie podjęcie takiego drobnego ryzyka oznacza wielkie zwycięstwo. Rozpoczynamy fazę zalotów.

Rozdział dziesiąty

Czy chodzi o romans, czy raczej o osobliwą przyjaźń, która prowadzi donikąd?

Wrzesień – grudzień 2009

Współczesne historie miłosne często zaczynają się przy komputerze. Eony temu zaczynały się od listów lub przedstawienia przez przyjaciół. Można było spotkać kogoś na przyjęciu, takie zderzenie dwóch obcych światów, a potem któreś podejmowało na nowo tę znajomość, umawiając się najpierw na niezobowiązujące spotkania, później na poważniejsze randki.

Dzisiaj jesteśmy bardziej leniwi. Wystarczy kliknąć myszką, aby wybrać się w nową podróż z nowym przyjacielem. Wybór jest dużo większy, nie trzeba nawet wstawać od biurka. Dla takiego leniwca jak ja flirt na odległość z Samem to idealne rozwiązanie. Minimalne ryzyko (a co takiego robię w nocy – *Real Housewives* z cheeseburgerem, frytkami i robótką na drutach), maksymalna rozrywka, gdyż poziom mojego zaangażowania nie jest tak wysoki jak kiedyś. W sposób logiczny odhaczyłam każdy możliwy scenariusz mojej przyszłości z Samem, choć nadal nie mogę pojąć, dlaczego pojawił się tak nagle. Nie jestem pewna, co się dzieje. Ale czuję się z tym dobrze. Każdej nocy mam wychodne. Sam został moim nowym, sekretnym przyjacielem płci męskiej, moim powiernikiem, wieczorną imprezą.

Czy to nie dobry początek powieści erotycznej?

Dobry z wyjątkiem tego, że z Samem łączy nas czysty romans. Już na początku odkrywam, że jest dżentelmenem nieprzekraczającym pewnych granic. Nigdy mnie nie pyta: „Co masz teraz na sobie?” – jak brzmi zwykle preludium do seksu przez telefon. Tego tematu nie poruszamy, choć nawet przez szerokość oceanu czuję między nami chemię. Zawsze mówi „proszę” i „dziękuję”, i „Mam nadzieję, że nie przeszkadzam”. Umie słuchać i nie znika bez powodu. Nasza rozmowa przypomina pogaduszki obcych przy kawie. Niczym wyjęta wprost z powieści romantycznej, z motylkami, oczekiwaniem i szybkimi, szalonymi e-mailami. Jako że moje życie osobiste ponownie się komplikuje, myślę o tej jednej kobiecie, która rozumie splendor pączkującej miłości: Marie Ferrarella, jedna z redagowanych przeze mnie autorek romansów, która popęłniła ponad dwieście powieści.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat zasypywałam Marie opowieściami o moich chłopakach, sama mnie o nich pytała jak każda dobra, bajkowa siostrzyczka w powieści. Przypochlebia, podnosi na duchu, wypowiada tę jednoliniową sentencję, która jak drogowskaz prowadzi mnie naprzód. Za każdym razem, gdy czuję się rozbita i wypalona, piszę: „No cóż, widać nie było nam pisane”. Ona bezzwłocznie odpisuje, że gdzieś tam czeka na mnie mój przyszły małżonek, a ostatnio napisała tak: *W tym tłumie ośmiu milionów ludzi musi być taki rodzaj mężczyzny, na którego zasługujesz, który potrzebuje dobrej osoby w swoim życiu. Gdybym mogła napisać scenariusz szczęśliwego życia dla Ciebie, uczyniłabym to w okamgnieniu, ale jedyne, co mogę zrobić, to zapalić świece i modlić się. Jesteś zawsze w moich myślach. Kocham Cię, Marie.*

Teraz wiesz, o co chodzi z tą bajkową dobrą siostrzyczką? Jej e-maile wywołują u mnie uśmiech, a każdy list podpisuje „Kocham Cię, Marie”.

Wiele lat temu, pewnie z piętnaście, studiując świat romansu, wszędzie natykałam się na nazwisko Marie. Na zdjęciach widziałam seksowną blondynkę o śmiałym spojrzeniu i nastroszonych włosach. Patrzyła prosto na ciebie, gotowa na pierwszy rzut oka ocenić twój charakter. Słyszałam, że nosi wyłącznie wysokie obcasy i krótkie spódniczki. Wyobrażałam ją sobie jako połączenie Ann-Margret i Doris Day, kobietę, która seksownym głosem rozmawia ze swoją maszyną do pisania i uwielbia pogawędzić z pracownikami poczty.

Przeczytałam nawet kilka jej książek przed przyjściem do Harlequina, nie podejrzewając, że nasze ścieżki się kiedyś skrzyżują. Na mojej pierwszej konferencji Romance Writers of America w Anaheim w 1998 roku weszłam do hotelu i stanęłam w lobby obezwładniona zgromadzoną masą pisarzy. Wyobraź sobie dwa tysiące kobiet w jednym holu, wszystkie handlujące umizgami na papierze, pragnące sprzedać swoje książki o miłości. Rozglądając się wokół, nagle zauważyłam ją, po przeciwległej stronie, w otoczeniu redaktorek Harlequina. Wielu ludzi składało jej hołd, ale też była znanym pisarzem romansów i była tego świadoma. Wydawała się szczęśliwa i skonsternowana poświęcaną jej uwagą. Miałam wrażenie, że widzę członka rodziny królewskiej. Przez trzy lata hołubiłam ten widok w pamięci dopóty, dopóki jedna z wyższą rangą redaktorek nie przyszła do mnie do biura, zamknęła drzwi i usiadła.

– Chcielibyśmy, abys przejęła pracę z Marie Ferrarella. Od razu – powiedziała.

Ręce zaczęły mi się trząść, jakbym nagle spotkała ulubioną gwiazdę,

Duran Duran lub Julię Roberts. Czy ona żartuje? Jasne, że będę pracować z Marie. Gdzie jest haczyk?

– Musisz być bardzo dobrze zorganizowana.

– Załatwione.

– Chodzi mi o to, że ona *dużo* pisze, ale jest taka kochana – powiedziała redaktorka.

– Dużo, czyli ile?

Nie miało znaczenia, ile pisze. Ogarnę to. Organizacja to moja mocna strona. Nie na darmo francuscy nauczyciele dyscyplinowali mnie w pierwszej i drugiej klasie.

– Pisze jedną książkę miesięcznie – powiedziała moja współpracownica.

Niezły kibel, Marie była szalona.

– Czyli publikujemy rocznie dwanaście książek?

– Tak.

Oparłam się o poręcz krzesła, przestraszona, z lekkim zawrotem głowy. Mam pracować z Marie, ja? Czyżbym była aż taką szczęściarą? Choć również zdawałam sobie sprawę, że jeżeli od tylu lat pisze co miesiąc jedną książkę, to pozostanie w tym kieracie z tą szybkością całą wieczność. Tak działa narkotyk pisania romansów i gdy wszystkie elementy ułożą się w głowie, siadasz, aby jak najszybciej przelać to na papier. Ona *musiała* napisać jedną książkę na miesiąc. Powstrzymać mogły ją jedynie grypa albo śmierć.

Potem po raz pierwszy miałam okazję rozmawiać z Marie przez telefon. Była jak zabawna sąsiadka, z którą chcesz codziennie spotkać się przy kawie i obgadać najświeższe nowinki, jedna z tych, które przyniosą ci zupełną, gdy jesteś chora, piszą liczne e-maile z zapytaniem, jak ci leci, przesyłają upominki za upominkami z każdej możliwej okazji. Zawsze czekoladki na Gwiazdkę i walentynki. Na Wielkanoc czekoladowe jajo z jakimś słodkim nadzieniem. Miałam rację, ona zdecydowanie jest połączeniem Doris Day, radosnej, zawsze z dobrym słowem, i Ann-Margret, uosobienia seksu.

Gdy Marie i ja nawiązałyśmy współpracę, byłam zakochana w Russellu Crowe i ćwiczyłam buddyjskie zaśpiewki w nadziei, że kiedyś się ze mną ożeni (Patrick powiedział, że to działa). To prawda. Filmy *Informator* i *Tajemnice Los Angeles* wywarły na mnie wielkie wrażenie aż do momentu, gdy zaczął spotykać się z Meg Ryan, wtedy odpuściłam, z szacunku dla Meg. Marie podtrzymywała moje hollywoodzkie zadurzenie przy życiu i w ciągu dwóch lat stałam się właścicielką większości jego filmów.

Jeżeli Marie miała jakiś problem, zawsze przepraszała. Redagowałam jej

książki z przyjemnością, choć tempo pracy było zawrotne. Jak w ogóle można nadażyć za Marie? Jak Marie nadaża za samą sobą?

– Kochana, potrzebuję tylko czterech godzin snu. Nie mam czasu na więcej. Gdybym miała, moja rodzina umarłaby z głodu, a mąż nie miałby koszuli na grzbiet.

Skoro już mowa o braku ubrania, jej romanse są z tej kategorii, które czytelnik pożera. Choć każdy jest inny, można zaobserwować kilka trendów w jej opowieściach: radosna bohaterka, często blondynka, często z pozytywnym stosunkiem do życia (w dużym stopniu jak Marie). Bohaterowie są szorstcy, ale da się ich lubić. Sprawia, że czytelnicy śmieją się na głos. Na ogół w swoich romansach koncentruje się na przyjemnościach, dzieciach, prawie, nauczycielach, nocach namiętności, lekarzach, ale od czasu do czasu wplata w nie obłąkańcze elementy – mordercę, który wycina kształty na ciałach swoich ofiar albo kradnie dziecko, które nadal jest w macicy, wtedy zastanawiasz się, jakimi drogami chadza umysł Marie.

Marie była dla mnie nie tylko autorką i bajkową siostrzyczką chrzestną, ale też lekarzem. W biurze niektóre z nas zawsze prosiły Marie o diagnozę i przepisanie kuracji na nasze schorzenia. Kiedy łapię katar, mam grypę lub kontuzję, Marie przesyła rekomendację leczenia, pudełko czekoladek See's, książkę lub DVD. Konsultowała mnie w kwestii mojej bezsenności, omawiając różne lekarstwa dostępne na rynku. Szczególnie pomogła mi, gdy złapałam grypę żołądkową w 2007 roku, i to na odległość, bo była wtedy w Kalifornii.

Łapię się na tym, że uważam ją za członka rodziny. W swoich książkach wykorzystowała imię mojego brata, moje, kilku redaktorów z biura. Zabawne, że jestem bohaterką jednego z romansów – weterynarzem, którą Marie łączy w parę z bohaterem o imieniu Brady. Podobnie z moim bratem, który jako detektyw Patrick Cavanaugh (brat jest gejem, lecz bohater w heteroseksualnych romansach nie może nim być) ulega wdziękom policjantki Maggie.

Obecnie, gdy rozwijam ten dziwny związek z Samem, Marie pisze książkę, której bohaterowie są wzorowani na mojej mamie i jej mężu: Bonnie Gene i Donald Kelley (to ich prawdziwe nazwiska). Zamówiłam u niej kiedyś konkretną powieść i dla żartu dostarczyłam charakterystykę członków mojej rodziny, których mogłaby użyć jako postaci drugoplanowych. Bohaterami powieści są słodka i cnotliwa dziewczyna i ponury ranczer. Marie pracuje na wyjeździe i przesyła mi to...

Do: Patience

Od: Marie

Co u Ciebie nowego? Nie słyszałam Ciebie od dawna i denerwuję się.

Kocham Cię, Marie

Zapewniam ją, że u mnie wszystko w porządku: „Staram się dotrzymać Ci kroku, Marie”. Takie e-maile dostaję od Marie co kilka tygodni. Tym razem chciałabym się jej zwierzyć z sytuacji z Samem, ale wydaje się to idiotyczne. Po prostu utrzymuję korespondencję z kimś ze szkoły średniej. Piszę o tym jedynie pobieżnie, w końcu nie dzieje się nic wielkiego.

Marie uparcie obstaje, że znajdzie swojego Księcia z Bajki, i trudno z tym polemizować. W końcu jest orędownikiem miłości. Gdybym była na bezludnej wyspie, zapewniłaby mnie, że ktoś przyplynie na łódce, aby mnie poślubić.

Na razie siedzę cicho. Chyba powinnam lekko dopasować swoją osobowość do bohaterki powieści Marie. Nadarza się wspaniała okazja, aby zmienić się w radosną, optymistyczną, tryskającą humorem. Może włożę szpilki i nie będę się zachowywać tak, jakbym chodziła na szrudłach. Zamiast tego będę zadowolona z zabawy, której dostarcza bycie wyższą. Na chwilę bohaterka Marie we mnie ożyła. Ale na razie będę pławić się w euforii wywołanej nowymi e-mailami od Sama.

We wczesnym stadium naszej znajomości odkrywam, że Sam jest próżny, i to na punkcie bardzo kuriozalnych detali, jak włosy na plecach czy pieprzyk na nosie, który mi się akurat podoba. Jak to możliwe, że taki śmiałek jak Sam ma obawy co do swojego wyglądu? Powinien próbować przeskoczyć dwadzieścia beczek na motorze. Oczywiście zamierzam się z nim podroczyć:

Do: Sam

Od: Patience

Dziękuję za telefon! Rozjaśnił bardzo drętwy dzień.
Życzę Ci wspaniałego weekendu i bezwłosych pleców!

p.

Do: Patience

Od: Sam

Cześć, też jestem zadowolony z naszej konwersacji. Czyżbyś była rozbawiona moją męską próżnością? Gdy byłem tu ostatnio, prowadziłem wewnętrzną debatę, czy mam zaaplikować sobie kolejną depilację pleców, czy wziąć lekcje nurkowania w powietrzu. Wybrałem rzecz męską i skoczyłem z samolotu. Ale teraz nie jestem pewien, co wybiorę...

Do: Sam

Od: Patience

Cokolwiek zdecydujesz, nie będę Cię już osądzać.

p.

Chcę opowiedzieć całemu światu, jak przewraca mi się żołądek za każdym razem, gdy widzę e-mail od Sama. Naprawdę czuję się bohaterką, po trosze jak Meg Ryan w filmie *Masz wiadomość*. Tylko czy nie powinniśmy się w sobie zakochać w inny sposób? Spotkać się przypadkiem na nowojorskiej ulicy lub w Taft School na koktajlu dla absolwentów. Zapamiętał mnie, podchodzi, aby porozmawiać, ponieważ noszę szpilki i nieodpowiednio krótką sukienkę jak na kobietę w moim wieku (czasem tak robię, dla jaj). Romans rozkwita. Albo nie.

Związek wirtualny umiejscawia nas w tkwiącym w bezruchu świecie fantazji. Do każdego spotkania przygotowuję się perfekcyjnie, co jest proste, biorąc pod uwagę, że dzielą nas tysiące mil. Nie widzi, gdy zmywam makijaż albo zakładam piżamę w misie polarne. W rzeczywistości swoje najlepsze cechy jestem w stanie zaprezentować przez godzinę lub dwie, potem wychodzi na światło dzienne okrutna prawda – że nienawidzę marynowanych buraczków, a on uwielbia, że nie jestem zbyt towarzyska. I czy mój tusz przypadkiem nie spływa na twarz? (No cóż, spływa).

Sam wie bardzo niewiele na mój temat, ale w czasie długich godzin na telefonie wymieniamy mnóstwo informacji. Wyciekają nawet tematy sporne... co potęguje cyberintymność. Wiem, że ryzykuję przywiązanie, większe zauroczenie osobą na ekranie. Moje życie miłosne ponownie się skomplikowało.

Przynajmniej czekają mnie wyzwania w pracy, trzy książki, które wymagają ogromnego redagowania. A to tylko dokładka do morza książek Marie. Jestem wdzięczna losowi. Pod koniec roku dojdą przyjęcia świąteczne, prezenty, które trzeba kupić, i rodzina, z którą trzeba się zobaczyć. Jak dobrze być zajęta. Wkrótce zostanę poddana rocznej ewaluacji pracy i muszę przygotować się do tego wydarzenia. W istocie nie powinnam w ogóle zadawać się z tym chłopakiem. Jakie są szanse, że będzie oczekiwał więcej niż zakrapianego, sprośnego tygodnia w Nowym Jorku z szaloną rudowłosą? Prawie żadne.

Analizując wszystkie znane mi romanse i filmy, dochodzę do wniosku, że romantyczna bohaterka prawie nigdy nie wybiera pragmatycznych rozwiązań. Idzie do domu, w którym czeka na nią seryjny morderca.

Jeżeli bohater jest łobuzem, nie opuszcza go i nie ignoruje. Doprowadza do konfrontacji, mówiąc mu, że jest totalnym dupkiem, a potem on ją całuje, ponieważ bohaterowie w duchu uwielbiają kobiecą złość. Mimo że próbuję okiełznać, na ile się da, moje zakochane serce, zawsze biegnę do domu z nadzieją, że zadzwoni o umówionej porze.

– Co sądzisz o tym, abym wprowadził się do ciebie i został ojcem twoich dzieci? – pyta Sam w trakcie jednej z naszym rozmów telefonicznych.

– Jasne, czemu nie? Mam miejsce w mojej kawalerce. Jeżeli chodzi o dzieci, to musisz poszukać kogoś młodszego.

Mówię półzartem, w istocie chcę postawić sprawę jasno, w razie gdyby snuł jakieś dzikie fantazje o zapłodnieniu mnie. Widziałam zmagania z bezpłodnością u zbyt wielu koleżanek w moim wieku. Mam zresztą ambiwalentny stosunek do posiadania dzieci.

– Jestem pewien, że sobie poradzimy.

Pomimo że pełna humoru i nie całkiem serio, wybucha między nami gorączka miłości rozdzielona oceanem – dzięki długim rozmowom telefonicznym. Być może w ten sposób ułatwiamy sobie życie w samotności. Czy ma jeszcze coś w zanadrzu poza dobrą wolą dziewczyny gotowej go słuchać? Opuścił Izrael, aby uczyć w odosobnionym regionie Szwajcarii dzieciaki ze szkoły średniej. Jak głębokie musi być uczucie samotności nocą? Prawdopodobnie jestem najbliższa definicji dziewczyny, jaką posiada. A jeżeli jest zajęty, no cóż, to byłoby okrutne.

Jeszcze dziesięć lat temu takie gdybanie by mnie zabiło. Dręczyłabym się całe wieki, w efekcie sabotując cały związek. Teraz staram się mieć otwarty umysł. Może tak, a może nie. Maszeruję korytarzem w biurze i zastanawiam się, kto byłby zainteresowany opowieścią o najnowszej pączkującej historii

miłosnej. Szczerze mówiąc, nie jesteśmy jeszcze parą, ale ten związek to więcej niż zwykła przyjaźń. Dzwoni codziennie i godzinami rozmawiamy. To przecież coś. I trzeba opowiedzieć przyjaciółkom o wszystkich szczegółach, prawda?

Komuś.

Nie mogę zwierzyć się mojej zameężnej ciężarnej przyjaciółce Rachel, którą znam od pieluszek. Dużo sobie mówimy na tematy osobiste, ale teraz ona ma sporo na głowie, a to jest trywialny nonsens. Mama i Patrick odpadają. Już na maksa wykorzystałam ich przyjaźń do tych celów.

Melissa jest jedną z moich najlepszych kumpelek w biurze. Niewykluczone, że spodoba się jej ta historia czy też początek historii. Na ogół zwierzę się jej z dziewięćdziesięciu pięciu procent wszystkiego, co robię. Pozostałe pięć procent nawet mnie wydaje się nudne. Melissa opisałaby się jako miła żydowska dziewczyna z Brooklynu i dokładnie taka jest: przyjazna, zabawna i singielka jak ja. Ma przepiękne, falujące brązowe włosy, ciemne oczy i cerę Królowy Śnieżki, za którą wiele z nas – w tym ja – mogłoby zabić. Obie jesteśmy uzależnione od makijażu i często razem wychodziłyśmy w celach rozrywkowych, ale im starsza się robiłam, tym bardziej leniwa, aby opuścić mieszkanie. Melissa nie lubi bierności. Jej mogłabym powiedzieć.

Tyle że nie jestem pewna, czy to takie ważne. Melissa odpowiada za olbrzymi dział powieści chrześcijańskich. Nie mogę zawracać jej głowy, nawet tym, że za chwilę eksploduję... tak jakby.

Prędzej, niż oczekiwałam, Sam i ja poważnie dyskutujemy na temat odwiedzin. Tak każe logika. Jeżeli tyle się z kimś rozmawia, to chyba następstwem powinna być wizyta? W tej materii nie ustąpię. Nie polecę do Szwajcarii. On musi przyjechać do mnie. W grudniu na przykład, gdy skończy się semestr i będzie miał trochę wolnego. Czy powinien zamówić pokój w hotelu, czy też jesteśmy wystarczająco dorośli, aby być z sobą w pokoju przez kilka dni i abym nie straciła (zbyt wiele) ze swojej cnoty?

Zbaczam z kursu wyznaczonego przez romans Marie Ferrarella i zapraszam go do siebie. Wiem, że to może być straszna pomyłka. Czy po tak krótkiej znajomości jestem gotowa, aby się z nim spotkać? Oczywiście. Zwłaszcza że nie w pełni dociera do mnie, że on i ja zakochujemy się w sobie przez Skype'a. Przewiduję, że skończę, płacząc nad komputerowym pasjansem oraz z Kim i Kourtney wsuwającymi hamburgery z In-N-Out Burger na drodze Escalade do Kmartu. Wystarczy jeden fałszywy krok, jedno nieporozumienie w e-mailu, jedna śliczna Miss Szwajcarii, która go

uwiedzie blond warkoczami, a naszą wyjątkową przyjaźń diabli wezmą. Żarliwe komplementy Sama na mój temat nie trafiają mi do świadomości, ale chyba trzeba iść za ciosem?

Skoro w grę wchodzi wizyta, może powinnam wspomnieć o Samie kilku osobom. Wraz ze stopniowym rozpadem moich władz umysłowych (Budda twierdzi, że zawsze umieramy) mogłam zboczyć ze ścieżki normalności. Ludzie mogą być przerażeni tym, co robię. Przede wszystkim nie chcę nikogo zanudzać. Istnieje jednak taka osoba, która nie będzie znudzona moją ostatnią romantyczną intrygą. Skontaktuję się z Nici, moją najlepszą przyjaciółką z Taft School, dziewczyną, która pierwsza zwróciła moją uwagę na romanse Harlequina. To ona również odpowiada za moją obsesję na punkcie Duran Duran. Przez te lata utrzymywałyśmy kontakt, ale nie taki jak dawniej. Swojego męża poznała na uniwersytecie, poślubiła go, gdy miała koło dwudziestki, a potem urodziła trzech chłopców. Nie widziałyśmy się już przez jakiś czas, ale zawsze odnawiamy naszą przyjaźń w momencie, w którym ją zostawiłyśmy, chociaż zachowujemy się tak, jakbyśmy nadal były w szkole średniej. Piszę do niej ostrożną wiadomość, podając szczegóły przyjaźni z Samem i to, jak rozwija się w związek, który zwieńczy wizyta. W ciągu kilku minut odpowiada:

Do: Patience

Od: Nici

PATIENCE!!! TO TAKIE ROMANTYCZNE!
JASNA CHOLERA!

Mam nadzieję, że rozkoszujesz się tymi zawrotami głowy... powinnaś się tym napawać bez względu na to, w jakim kierunku się potoczy; radość i podniecenie to uczucia warte świeczki. I kochana, jesteś taka cholernie zabawna. Mam przeczucie, że on siedzi przed komputerem i szczerzy zęby, czytając Twoje wiadomości. Czuję, że jego serce wali, gdy wykręca do Ciebie numer. Czuję, że zasypia, myśląc o tym, kiedy Ciebie zobaczy, i o tym, jak trudne jest czekanie.

Chętnie Cię zarekomenduję; może się ze mną skontaktować o każdej porze, a ja wyśpiewam mu peany na Twoją cześć. Jakże to ma szansę? Nie wyobrażam sobie, że nie jesteście podekscytowani myślą o tym, że się znaleźliście!

Jako Twoja przyjaciółka, która kocha Cię więcej niż trochę, w tej chwili

odczuwam miłość również do Sama za to, że był na tyle mądry, aby dostrzec, jaki z Ciebie skarb, i za odwagę, aby wyrazić swoje uczucia, i za to, że nie pozwolił, abyś mu uciekła. Jestem kompletnym naiwniakiem, beznadziejną romantyczką i gdy widzę jakąś gwiazdę, to zawsze wypowiadam życzenie, abyście oboje żyli długo i szczęśliwie.

Nigdy nie rezygnuj z tego pomysłu!

Kocham Cię do bólu.

Nici

Wiem, że Nici prawdopodobnie już planuje nasz ślub i za to ją kocham. Pamięta Sama jako dobrego chłopaka, przypomniała mi też, że wystawił goły tyłek za okno i założyli mu szwy. Ponadto, jak już pewnie wspomniałam, Nici jest prawdziwą romantyczką w gronie moich przyjaciół, nawet większą, niż myślałam. Ponieważ czytam tyle powieści, nie mam bladego pojęcia, co można uznać za prawdziwie romantyczne, a co za bzdurę. Ona oddziela dla mnie ziarno od plew.

Najlepsze w e-mailu Nici jest to, że pamięta Sama, potwierdza, że on w istocie jest wartą zachodu inwestycją, nawet jeżeli będzie to tylko przyjaźń. W głębi duszy wiem jednak, że chodzi o dużo więcej niż przyjaźń. Nie definiujemy tego, co się dzieje, w kategoriach „Chodzimy ze sobą” czy też „Nie umawiamy się z nikim innym”. Nie śmiałabym znowu poruszać tych kwestii. Raz w życiu chcę poczekać i zobaczyć, jak to się rozwinie. Może nic z tego nie będzie. A może wyjdzie coś wspaniałego.

– Moglibyśmy się zobaczyć przez kamerę, chodzi mi o tę w komputerze – sugeruje Sam którejś nocy.

To mi pachnie pornografią. Absurdalne, że powoli zmieniam się w świętoszkę. Po prostu już nie lubię oglądać golasów. Może powinnam podnieść poziom omega-3 lub zapisać się do Szkoły Sztuk Kobięcych Mamy Geny. Kamera, też coś. Niedawno Peter Cook, mąż Christie Brinkley, został przyłapany na robieniu wielu wulgarnych rzeczy z kamerą. Naprawdę te wszystkie lata samotności przemieniły mnie w dziewięćdziesięciolatkę. I co z tego, że chce obnażyć swoje części ciała albo zobaczyć moje? Zawsze mogę przerwać ten wideotelefon, jeśli poczuję dyskomfort. To wspaniała cecha połączeń długodystansowych.

Gdybanie, czy on może być zboczeńcem, nie powstrzymuje mnie od wyprawy do sklepu J&R, aby kupić sobie kamerę. Mamy końcówkę

września i już mogę powiedzieć, że reszta 2009 roku będzie interesująca. W sezon świąteczny wkroczę z klasą, i to zaledwie sześć miesięcy po zniknięciu Supermana.

Pierwszej nocy, gdy mamy skorzystać z kamery, idę do łazienki, aby się wypięknąć. Biały T-shirt, dżinsy, proste włosy, dużo makijażu. Przygotowuję się jak na randkę, ale tym razem nie robi mi się niedobrze. Nie chcę, aby Sam zobaczył, jaka rzeczywiście jestem, z jasnymi rzęsami i cerą typu Casper Przyjazny Duszek. Jednocześnie chodzę w tę i z powrotem do biurka, testuję kamerę i czekam na telefon.

Wreszcie jest, podniecające dzwonięcie i migotanie na ekranie. Za chwilę doświadczę Sama w ruchu, jego ciała, które idzie w parze z głosem. Najpierw widzę czarny obraz, potem coraz wyraźniej pojawia się jego pokój – oto technologia w praktyce. Mieszkanie jest ciemne, ale widzę znajome rysy, dokładnie takie same, jakie wyobraziłam sobie po obejrzeniu zdjęć na Facebooku. Nos, ekspresyjne oczy, krótkie kręcone włosy i szeroki uśmiech.

– I oto ona!

Wibruję w środku z podniecenia, że mamy połączenie. Przez kilka minut po prostu przyglądamy się sobie i śmiejemy jak dzieciaki odkrywające nową zabawkę. Czy możemy jednocześnie rozmawiać i patrzeć na siebie? Możemy. Nie przestajemy gadać przez dobre dwie godziny, a w tym czasie on bierze laptopa do łazienki i sika.

Załatwia się, gdy na to patrzę, w czasie pierwszej randki z kamerą.

Nie widzę żadnych części ciała, ale słyszę dźwięki odlewania w stereo. Najpierw myślę: „Zrobił to. Sika przede mną. Jestem w środku filmu Billa Murraya. Kto się tak zachowuje?”. Och. Na pewno jest trochę dziwaczny, ale nie na tyle, aby zakończyć rozmowę. Z moich doświadczeń wynika, że faceci często przekraczają granice i pasuje to do tego Sama, którego pamiętam ze szkoły.

Pęcherz moczowy Sama, wielkości ziarna grochu, nie powstrzymuje mnie przed podjęciem ryzyka na własną rękę. Anuluje wszystkie swoje profile randkowe, także te płatne w serwisach Match, Chemistry i eHarmony. Tracę co najmniej dwieście dolarów, bo wpisowe jest bezzwrotne. Rezygnuję z tych usług z myślą o sobie. Cóż, głównie o sobie. Odczuwam wyraźną ulgę.

Nawet łamię dziewczynskie zasady i mówię mu o tym, co zrobiłam. Nie chodzi tu o wywieranie nacisku, raczej o wyraz oddania. Jeżeli to go spłoszy, to i tak nie jest facetem dla mnie, szczególnie że załatwia się publicznie. Nie oczekuję, że wygłosi nagle deklarację miłości, ale ta

korrespondencja wiele znaczy. Uważam, że to byłoby nie fair, gdybym spotykała się z innymi. On również nie powinien, a przynajmniej nie chcę się łączyć nadziejami, inwestować czas w ten związek, podczas gdy on będzie randkował z panienką na oślej łączce w Szwajcarii. Wydaje mi się ważne, by mu to przekazać, żeby wiedział, że traktuję nas na serio.

– Aby wszystko było jasne, kilka tygodni temu ponownie zarejestrowałam się w serwisach eHarmony, Match i Chemistry, wtedy, gdy nie kontaktowaliśmy się z sobą – spowiadam się.

Sam reaguje. Potakuje, trybiki obracają się w jego mózgu. Czy ona okaże się kłamczuchą – po tym wysiłku, który w to włożyłem?

– Ale już wszystkie anulowałam – dodaję.

Uśmiecha się.

– Dostałaś zwrot?

– Nie.

Staje się nawet bardziej ożywiony, przybliża twarz do ekranu.

– Ile straciłaś?

– Około dwustu dolarów. Co najmniej.

Oczy mu się zaszklily i kieruje wzrok na bok. Twarz mu się zmienia, a gdy ponownie na mnie spogląda, widzę łzy w jego oczach.

– Straciłaś tyle pieniędzy dla mnie...

Zaczynam się śmiać. Większość facetów byłaby moim czynem przerażona. Gdyby Sam był dziewczyną, płakałby nad moim poświęceniem dla niego. Sam jest inny. Moja strata finansowa wyraźnie go poruszyła. Wyrzucając cenne dolary w błoto, uderzyłam w jego czuły punkt.

Wyjaśniam, że umawianie się z innymi facetami wydaje mi się nie na miejscu. Nie chcę randkować i kropka, ale jestem gotowa sprawdzić, co wydarzy się między nami. Pomiedzy jego sikaniem omawiamy nasze rodziny, przeszłość w kratkę, śmieszne codzienne rzeczy w życiu. Nie drażymy spraw poważnych, chociaż wiem, że to tylko kwestia czasu. Na pewno jest jakiś powód, dla którego znaleźliśmy się w obecnej sytuacji.

I jest jakiś powód, że wszystko toczy się tak szybko.

Czy chodzi o samotność, czy o coś więcej? W powieści Marie Ferrarella pojawia się w tym miejscu konkretny konflikt, przeszkoda, która oddziela nas od siebie. Naszą największą zewnętrzną przeszkodą jest odległość, brak wspólnej przeszłości poza szkołą średnią.

Łatwe rozwiązania konfliktów wewnętrznych sprawiają, że romanse wydają mi się nierzeczywiste (pewnie dlatego lubię je czytać). Bohaterka jest sierotą, ale jakoś daje radę przewyciężyć kwestie związane

z opuszczeniem i zaufać bohaterowi. Wszystko, czego jej trzeba do uzdrowienia, to prawdziwa miłość. Z kolei bohater w przeszłości był bity przez ojca pijaka, lecz dzięki miłości wpada w objęcia bohaterki.

Z moich doświadczeń wynika, że w taki sposób to nie działa. Problemy trwają bez względu na to, jak jest się szczęśliwym. Miłość pomaga, ale to przejściowy przyjaciel, przychodzi i odchodzi. W naprawdę strasznych chwilach mogę polegać tylko na sobie. Poza tym już nie mam pojęcia, jak to jest polegać na kimś innym. Zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że ktoś odejdzie. Zwłaszcza Sam.

Owszem, rozjaśnia moje dni, ale nie potrafię sobie wyobrazić szczęścia z nim na zawsze. Więc co mamy do stracenia? Dlatego mówimy sobie o wszystkim.

Opowiada mi o śmierci swojej matki i jaki to miało wpływ na jego rodzinę. Sam dorastał w Miami z dwoma braćmi, jeden z nich o siedem lat starszy, drugi niepełnosprawny. Jego ojciec zajmuje się sprzedażą ubezpieczeń. Matka chorowała przez wiele lat, więc bracia musieli w dużej mierze zajmować się sobą. Choć ojciec jest kochającym, ciepłym mężczyzną, wychowanie trzech chłopców nie było łatwe.

Po szkole średniej Sam uczęszczał do kilku college'ów, a dyplom zrobił w Columbii, jego główna specjalizacja to literatura francuska. W Columbii spotkał swoją przyszłą żonę, pobrali się tuż przed trzydziestką i prawie od razu przeczuwał, że popełnił błąd. Od początku wiedziałam, że Sam jest po rozwodzie, i specjalnie się tym nie przejęłam, zwłaszcza że nie mieli dzieci. Pod wieloma względami jego doświadczenie przypomina „małżeństwo dla początkujących”, gdzie mąż i żona pobierają się bardzo młodo, aby po trzydziestce zorientować się, że zupełnie do siebie nie pasują. Ale widać, że Sam był bardzo wstrząśnięty swoimi przejściami, pierwszą pracą nauczycielską w Izraelu, nową żoną i burzliwym rozpadem związku. Pod koniec ich małżeństwa, mieszkając i ucząc w Izraelu, Sam budził się otoczony trzynastoma kotami i ze świadomością, że jakoś musi się wyrwać z tej okropnej sytuacji.

Po rozwodzie pośpiesznie wszedł w kolejny związek, który również rozpadł się po paru latach. Nawiązywał liczne przelotne znajomości, a ja przecież najlepiej wiem, dlaczego wchodzimy w relacje z konkretnymi osobami. Jego były dziewczyny musiały mu dawać trochę szczęścia i pewnie pasowały do ogólnego wzoru. Ja też mam taki wzór.

Otwiera swoje serce przede mną z nadzwyczajną lekkością, jakby już uporał się z przeszłością. Wiem, że nadal jest smutny i zdezorientowany co

do kilku rzeczy, ale to typ faceta, który ląduje bezpiecznie jak kot i nie traci poczucia humoru.

A co ze mną? Co mi spieprzyło życie? Dlaczego ciągle jestem singielką?

Właśnie, w którym momencie powinnam zacząć? Pytanie jest najbardziej idiotyczne z możliwych, naprawdę. „Jestem singielką, ponieważ jestem kompletnym nieudacznikiem” – chciałabym powiedzieć. Łatwo by było moje staropanieństwo przypisać rozwodowi rodziców, ich ponownym związkom, ale to się wydarzyło trzydzieści lat temu. Ludzie są popieprzeni. Ja też... i próbuję unikać błędów moich rodziców. Mam za sobą ciężkie bóle wzrostowe, ale przecież każdy je ma.

Skoro powiedział mi tak wiele, dochodzę do wniosku, że czas przekazać moją Wielką Opowieść, tę, która towarzyszy mi każdego dnia i w każdym związku. Przestała być co prawda najważniejszą częścią mojego życia, ale zawsze krąży po moim systemie.

Zaczynam, postaram się, aby było krótko, po dorostemu i bez łez.

Sam słucha z uwagą, gdy próbuję wyjaśnić, jak wszystko potoczyłoby się inaczej, gdybym z Jane nie wybrała się na drinka pewnej styczniowej nocy w 1991 roku, zaledwie siedem miesięcy po ukończeniu uniwersytetu.

Razem z Jane chodziłyśmy do tej samej szkoły, urzędowałyśmy w tych samych kręgach i obie paliłyśmy parlaments. Zdobyła tytuł najlepszego reżysera teatralnego i po uniwersytecie zamierzała wystawić sztukę w Cleveland, gdzie się przenieśliśmy. Ponieważ mieszkałam po sąsiedzku, poprosiła mnie o pomoc w swoim przedsięwzięciu. Kręciłam się w czasie prób, załatwiałam sprawy i pilnowałam szczegółów. Najbardziej podobało mi się, że jest moją przyjaciółką. Wokół niej zawsze było zabawnie, a w tym nowym mieście czułam się samotna.

Okolo jedenastej w nocy w poniedziałek, w styczniu, gdy szłyśmy do baru we Flats – niezbyt zaludnionej i bezpiecznej części śródmieścia Cleveland – podjechał do nas samochód. Wyskoczył z niego mężczyzna i machając pistoletem, powiedział: „Włazić do samochodu”.

Przez chwilę patrzyłyśmy na siebie. Czy uciekać? Żadna z nas nie czytała w cudzych myślach, a w naszą stronę skierowana była broń, więc wsiadłyśmy do samochodu prowadzonego przez innego mężczyznę, podczas gdy tamten celował do nas z pistoletu.

„To koniec” – pomyślałam.

Przez kolejne dziewięćdziesiąt minut zatrzymywaliśmy się przy bankomatach, opróżniając moje konta. Wklepywałam numery PIN, podczas gdy na plecach czułam lufę. Rozmawiali z jamajskim akcentem, puszcza

album *Purple Rain* Prince'a – jeden z moich ulubionych – i straszili, że znajdą naszych przyjaciół i zabiją ich. Pod koniec tej wycieczki zatrzymali się w opuszczonym zaułku i obie nas zgwałcili. Potem rozkazali nam wysiąść z samochodu, więc pobiegłyśmy, kryjąc się za samochodami, na odosobnionym parkingu. W końcu znalazłyśmy bar, gdzie barman pozwolił nam zadzwonić pod numer 911.

Resztę 1991 roku pamiętam jak przez mgłę, dopóki nie przeprowadziłam się do Nowego Meksyku. Razem z Jane spędziłyśmy pół roku w sądzie jako świadkowie, pomagając wsadzić tych dwóch mężczyzn za kratki.

Droga była wyboista. Jeden z sędziów wydał szokujący wyrok, na mocy którego jeden z gwałcicieli (wobec którego bez naszej wiedzy uchylono oskarżenie o gwałt) mógł zostać zwolniony wcześniej. W mediach wybuchła dyskusja, w wyniku której dodano mu parę lat.

W 2004 roku biuro prokuratora odszukało mnie i poinformowało, że mój gwałciciel dostał zwolnienie warunkowe. Dopadła mnie wyczerpująca bezsenność, opuściłam wiele godzin pracy w Harlequinie. Wstydziłam się, że nie mogę wyleżeć z łóżka. Z każdym wyjściem na zewnątrz czułam na sobie oko przytłaczającego mikroskopu. Chciałam wczłogać się pod kołdrę i tak właśnie robiłam.

W dniu jego zwolnienia warunkowego, pewnego czerwcowego poniedziałku, nie mogłam zostać w domu, ponieważ wykorzystałam cały urlop. Dobry znajomy w dziale personalnym, też Sam, bardzo grzecznie przekazał mi, że albo przyjdę do pracy, albo załatwię sobie zwolnienie lekarskie, a to przeraziło mnie do tego stopnia, że zmusiłam się do działania. Co bym powiedziała mamie? Że nie mogłam spać? Matki również nie śpią. To one powinny brać dni wolne, nie ja. Nie spałam przez kilka dni i żadne lekarstwo nie mogło mnie powalić. Musiałam pójść do pracy nawet w tym okropnym dniu.

Przysnęłam około drugiej nad ranem na odcinku *Skrzydeł*, ale obudziłam się już o czwartej, sztywna jak deska. Po kilku dniach odosobnienia nie mogłam już dłużej przebywać w mieszkaniu, więc wzięłam prysznic i się ubrałam. Jeżeli tylko przebrnę przez kolejne dwanaście godzin, będę mogła wrócić do domu.

O piątej trzydzieści rano poczłapałam do metra i pojechałam do pracy, mając nadzieję, że wśród ludzi będzie bezpieczniej. Biuro prokuratora nie mogło mnie odszukać. Nie odbierałam telefonów w pracy i nie sprawdzałam wiadomości w komórce. Może, zanim wszyscy się zejdą, prześpię się na podłodze w biurze. Całą drogę do biura Harlequina w okolicy ratusza trzęsły

mi się nogi, choć możliwe, że to przez to, iż od jakiegoś czasu nic nie jadłam. Stałam się kruchym, zabiedzonym człowiekiem przez jeden głupi telefon, który mógłby mnie powiadomić, że *on* wyszedł na wolność.

Gdy doszłam do biura, zamknęłam drzwi i próbowałam przespać się na podłodze, myśląc, że jestem kompletnie obłąkana. Ale znowu, pewnie nie byłam najbardziej szalona w tym pokoju. Mój stres był zrozumiały. Jak często przytrafiał mi się taki krach? Rzadko, więc wszystko w porządku.

Godziny mijały, ciemność zmieniała się w światło i przybyli moi koledzy. Koło dziesiątej siedziałam na kolegium redaktorskim, ciągle drżąc, obawiając się, że rozpadnę się na dwie połówki. Drzwi zamknięte, ludzie zaczynają rozmawiać, a ja udaję, że czuję się normalnie.

Moja koleżanka z pracy i przyjaciółka Gail siedziała obok mnie. Pracuje w Harlequinie już od ośmiu lat, zanim ja zaczęłam. Porównuję ją do Rhody – zabawna, emocjonalna, oddana, taki jasny promyczek. Należy przysłuchiwać się jej konwersacjom, wszystko, co mówi, jest interesujące i niesamowicie śmieszne. W przeszłości nie rozmawiałyśmy ze sobą zbyt często, ale z jakiegoś powodu tego dnia po kolegium pociągam ją na bok. Poszłyśmy do mojego biura i zamknęłam drzwi.

– Czy czasem czujesz się, jakbyś kompletnie straciła zmysły?

Chwyciła moje ręce – zawsze to robi, a ja to uwielbiam; inni również – i rozwiązała moje obawy.

– Żartujesz? Co najmniej raz w tygodniu. Bez względu na powód będzie dobrze. Obiecuję. Nie martw się, cukierku, dobrze?

Odpowiedź była standardowa, ale ponieważ pochodziła od Gail, zabrzmiała jak wiekowa mądrość i wiele dla mnie znaczyła. Właśnie dlatego nigdy nie czułam, że powinnam odejść z Harlequina. Nawet gdy się miało dość romansów, zawsze pozostawali ludzie, którzy z tymi romansami pracowali. Spotkałam tam tłumy ludzi pokonujących zalew romansów i własne problemy życiowe. Odwiedzamy się w swoich biurach, gromadzimy w kuchni, nieustannie przesyłamy sobie e-maile, utrzymujemy kontakt na wiele innych sposobów. Często czytamy te same książki, oglądamy te same programy, chodzimy do restauracji, konspiracyjnie kiwamy głowami w czasie posiedzeń i konferencji. Gdy przechodzę jakiś wstrząs, zawsze mogę liczyć na nieustanną przyjaźń moich kolegów z pracy.

Gail i tym razem miała rację, podobnie jak inni koledzy w takich przypadkach. Było dobrze. Czasem nadal dopadają mnie takie obłąkane chwile. Ataki paniki, problemy ze snem. W nocy, bez lekarstwa za to pod całkowitym panowaniem podświadomości, śnię o intruzach nawiedzających

moje mieszkanie, mój samochód, podsuwających mi broń, noże pod nos, brzęczą mi myśli, które tylko obawa przed dalszym pogwałceniem mojej wolności może aktywować w głowie. Z moimi wyimaginowanymi napastnikami próbowałam nawet pić herbatę. Próbowałam powiedzieć, że im wybaczam (choć to nieprawda). Próbowałam wczuć się w trudną sytuację kryminalisty. Ale jedyne, co mogę powiedzieć, to: „Pieprz się”. Już kilka razy to powtarzałam, ale nadal mnie nawiedzają.

Obaj napastnicy dostali po trzynastu lat więzienia. Aby uzyskać ten wyrok, musiałam wiele razy stawić się w sądzie, pisać listy do sędziów, uczestniczyć w posiedzeniach na temat zwolnienia warunkowego i pozyskać zainteresowanie mediów. Po kilku pierwszych latach przestało mnie to wszystko obchodzić do tego stopnia, że nie przekazywałam nowego adresu zarządowi do spraw zwolnień warunkowych. Na ogół jakoś mnie odnajdywali i w 2004 roku byłam pewna, że jeden z nich lub nawet obaj zostaną zwolnieni. W końcu kiedyś musieli wyjść. Choć nie mam problemu z rozmową na temat tego okresu w moim życiu, paraliżuje mnie rzeczywistość z nim związana, na przykład jeden telefon z Ohio sprawia, że czuję się niezdolna do życia przez kilka dni.

Trudno się dziwić, że szukałam schronienia w świecie romansu. Te opowieści podnoszą mnie na duchu bez względu na nastrój, osobę, z którą się spotykam, i sytuację, w której w danym momencie jestem. W ciągu lat niektórzy autorzy uchwycili część moich doświadczeń w swoich powieściach o sposobie na życie po gwałcie.

Dzięki powieściom *The Holding* Claudii Dain i *Yeager's Redemption* Davisa Claya wyplakałam wiadra łez, gdyż ich bohaterki ponownie uczą się wiary w miłość po przejściu traumy.

Gdy wyrzucam z siebie te słowa, czuję się silniejsza. Jakaś cząsteczka ukryta głęboko w moim jestestwie zastanawia się, czy Sam nie uzna mnie za zbyt patetyczną po tej opowieści? Chodzi mi o to, że temat nie jest wesoły. Opowiadałam o tym już z milion razy – w kilku wypadkach po to, aby nawiązać intymność, której i tak od początku nie było – ale relacjonowanie tej historii Samowi to inna sprawa. Nie chcę, aby płakał nade mną. W ogóle nie musimy rozmawiać na ten temat. Powinniśmy zmienić temat. Ale Sam reaguje w sposób, który wydaje się najwłaściwszy.

– W tej chwili trzy tysiące mil to zbyt duża odległość.

Posyła mi uśmiech z rodzaju tych, które niezbyt wyraźnie wypadają przez kamerę, ale wiem, że troszczy się o mnie. Moje serce topi się jak wosk. Czuję się kompletnie spowita w jego wrodzone ciepło. To dobry facet. Być

może nie zostaniemy parą, ale i tak jestem wdzięczna za kontakt z na wskroś ludzką osobą, bez względu na odległość. Warto było opowiedzieć moją okropną historię.

Dalej rozmawiamy o tym, co się stało, a on zadaje pytania. W końcu pozostawiamy tę odsłonę w spokoju, omawiamy lżejsze kwestie, jego studentów, powieści Marie, które ciągle redaguję obok sprawowania pieczy nad thrillerem romantycznym. Sam staje się częścią mojej rutyny. Gdy go nie słyszę, mój dzień nie jest taki, jak powinien być.

Gdy rezerwuje bilet do Nowego Jorku na siedemnastego grudnia, zdaję sobie sprawę, że to jest poważniejsze, niż myślałam. Będzie tu jutro. I może następnego dnia również. I kolejnego.

Planuje tygodniowy pobyt w Nowym Jorku, ze mną. Po wizycie wróci do Szwajcarii lub Miami w poszukiwaniu kolejnej pracy w szkole. Jego plan doskonale koresponduje z moim harmonogramem. A ponieważ mój harlequinowy bohater bierze całe ryzyko na siebie, nie mam nic do stracenia.

Zaciskam zęby i opowiadam Marie o nowym, potencjalnym romansie. Oczekuję maskującej krytykę radości, gdyż nasza historia jest dość... niekonwencjonalna. Zamiast tego otrzymuję klasyczne poparcie w wydaniu Marie:

- Czy mogę opisać twoją historię? – pyta.
- Oczywiście, Marie.
- A może sama ją napiszę.

Część trzecia

„Czasem nadciąga wiatr, spycha cię z kursu. Nie jesteś na to gotowa, ale jeśli masz szczęście, skończysz w ciekawszym miejscu, niż planowałaś.

Nora Roberts, *The Calhouns: Suzanna & Megan*

Rozdział jedenasty

Scena na lotnisku

Jeżeli chodzi o komedie romantyczne, jestem wierną wielbicielką Julii Roberts. Na ekranie lśni jak promień słońca. Jej filmy oglądamy razem z bratem i przez dwie godziny nawet katastrofa ekologiczna nie powstrzyma nas od oddania czci tej bogini.

Gdy pierwszy raz zobaczyłam Sandrę Bullock w filmie *Speed: Niebezpieczna prędkość* w 1994 roku, pomyślałam: „Boże, to przecież ja”. Tyle że mam rude włosy i nie jestem taka elokwentna.

W czasie kryzysu staję się melodramatyczna (choć nawet w trakcie ataku paniki jestem w stanie prowadzić po Manhattanie). Dużo czasu spędzam w piżamie, płacząc nad zerwanym związkiem podobnie jak Sandra w *Ulotnej nadziei* i *Totalnej magii*. Zostałam upokorzona już w różnych sytuacjach – chodząc na randki z łobuzami, przemierzając cztery stany, aby spotkać się z łobuzem, wydając tysiące dolarów i mnóstwo czasu na łobuzów – więc nauczyłam się uciekać do piżamki i torby z robótkami na drutach. Z wiekiem moje pustelnicтво się nasila. Oprócz tego, że jestem samotna (co lubię i czego nienawidzę jednocześnie), nawala moje ciało. Na Boga, przecież nawet narzekam na stawy. Czy Julia by to zrobiła? Nie. Sandra – tak. Może nie powiedziałaaby tego głośno, ale tak pięknie stroi miny.

Należę do tych dziewczyn, które w szpilkach wyglądają jak niedźwiedź mocno kopnięty w zadek. I wywracam się w nich tak jak Sandra w *Miss Agent*. Łatwo zranić moje serce, a kiedy jestem sama, beczę z powodu drobiazgów, na przykład gdy przy wyjmowaniu ciasteczka z torebki lukier zmienia się w papkę.

Julia wzrusza się do łez wzniosłymi sprawami – w operze z Richardem Gere’em, rozmawiając o świetnych dzieciakach Susan Sarandon w *Mamuśce*, pod wpływem stresu, gdy walczy o sprawiedliwość w *Erin Brockovich* albo gdy paparazzi publikują jej rozebrane zdjęcia w *Notting Hill*. Sandra głośno ryczy przez cały dzień przez durnych facetów albo dlatego, że dostała główniane rozdanie w kartach.

Każda z nas chciałaby być Julią. Sandra to wariatka, z którą od razu się utożsamiamy, i właśnie dlatego – moim zdaniem – tak wielu ludzi ją kocha.

W czasie rozmowy z Samem staram się jak najbardziej emanować Julią – bawię się rudymi włosami, noszę wspaniałą makijaż, optymalne czarne golfy i twarzowe T-shirty. Gdy nie rozmawiamy, wszędzie mnie pełno, szczęśliwej i spokojnej, bo po prostu dobrze się czuję. Wdzięcznej za to, że trafiła mi się taka przyjaźń. Zatraskanej tym, co może się nie zdarzyć. Rozmyślałam o tym, gdzie uda się Sam po tygodniowej wizycie u mnie.

Nic więc dziwnego, że w czasie tej trudnej próby czerpię inspiracje i z Julii, i z Sandry. Ponownie wypożyczam *Narzeczonego mimo woli*, komedię, w której Sandra jest pracoholiczką, nie prowadzi życia towarzyskiego i nagle prosi swojego asystenta, by się z nią ożenił na pokaz, ponieważ chce zostać w kraju. Sandra jest Kanadyjką. A ja pracuję dla Kanadyjczyków. Tyle mamy wspólnego.

Jedyna różnica między nami to – cóż, wiele nas różni. Ale tak się składa, że sama gram w komedii romantycznej. Znajomość z Samem się rozwija. Czuję motylki w brzuchu jak zawsze, gdy ma się zdarzyć coś wyjątkowego. Za motylkami podążają przeszkody w postaci dzielącej nas odległości i prawdopodobieństwa, że znowu zaufam jakiemuś chłopakowi. Podobnie jak Sandra znajduję solidny grunt, gdy poświęcam się pracy. Nawet jeśli wszystko diabli wezmą, przynajmniej pójdę do biura i będę czytać kliwne romanse. Historie miłosne czytuję nawet wtedy – a raczej zwłaszcza – gdy przechodzę najbardziej druzgoczące rozstania. Łatwo mi oddzielić pracę od prawdziwego życia. Nie mam żadnych złudzeń, że moje życie kiedykolwiek będzie powieścią romantyczną. Jakim cudem?

Niewykluczone, że sprawy miłosne zbyt głęboko przeniknęły do mojej świadomości. W tej sytuacji powinnam okazywać zachowania typowo neurotyczne. Dlaczego nie jestem bardziej przerażona? Za każdym razem, gdy rozmawiam z Samem, czuję się świetnie. Zawsze jestem pewna, że on zadzwoni znowu następnego dnia, więc nie wyczekuję przy telefonie.

Jest sam, w środku Szwajcarii. Gdy wyjedzie po skończonym semestrze, chce zacząć od początku, poszukać nowej szkoły, dostać pracę nauczyciela. Jak to się potoczy? Będzie potrzebował mnie bardziej niż ja jego. Sama zaczynałam kilka razy. Wiem, że mogę na sobie polegać. Nawet jeśli on zniknie z mojego życia, wrócę do filmów, książek, pracy i rodziny. Nie ma sprawy.

Niewykluczone, że jednak stałam się Julią.

Z Samem nadal codziennie szybko i szaleńczo rozmawiamy przez Skype'a. Jego bilet już zarezerwowany, więc wspomniałam kilku osobom, co i jak – Melissie w pracy, mamie, bratu, moim przyjaciółkom Nici, Racheli

i Marie – ale z podekscytowaniem narastającym z dnia na dzień staram się jednak nie obnosić. Cały ten pomysł jest szalony. Jak może potoczyć się związek nawiązany przez Skype'a?

Wiemy, co zrobiłaby Julia. Nadal by błyszczała, pewna, że facet się zjawi.

Ponieważ przez tyle lat byłam Sandrą, lekcje wyciągnięte z jej filmów mocno we mnie tkwią. On może się zjawić i przez tydzień będzie wspaniale, dopóki nie polecą za sobowtórem Pameli Anderson z szóstego piętra naszego biurowca. Pod wpływem ambieny rozmażę kocie gówno na drzwiach i będę wałęsać się w szlafroku bez żadnej wiedzy o tym, co zrobiłam. Rzecz jasna, Keanu Reeves będzie tym gliną, który przyjdzie aresztować mnie za wandalizm i nękanie.

Dni mijają, poznaję kolejne odsłony Sama. Na Facebooku zamieszcza zdjęcia z wyprawy na narty. Ponieważ był takim ryzykantem w przeszłości, martwię się, że zginie na stoku. Czy to nie byłoby optymalne rozwiązanie? Facet, w którym się zakochuję, uderza w drzewo zaledwie na kilka tygodni przed tym, kiedy ma mnie zobaczyć pierwszy raz po dwudziestu sześciu latach. Zapewnia mnie, że tym razem zakłada kask ochronny. A ponieważ chodzi o Sama, to na pewno go potrzebuje.

Wymiana e-maili między nami jest coraz rzadsza, wyparta przez o wiele bardziej satysfakcjonującą komunikację via Skype.

Do: Sam

Od: Patience

Kupiłam batonik Snickers z okazji Pełni Księżyca, tak, to prawda. Zjem tylko połowę, drugą zakopię w doniczce. Trochę to podpada pod wicę.

Miłej wyprawy!

xoxoxop

Wątek ze snickersem nie jest prawdą; nie zrobiłabym tego, chyba że czułabym się bardzo powiązana z naturą. Julia oddałaby naturze swoją czekoladę. Ja zjadam całego snickersa i powtarzam sobie, że i tak idę do piekła, zupełnie jak Sandra.

Do: Patience

Od: Sam

Temat: wysłane z mojego Yahoo na twój Hotmail

Chandra po wędrownicy. Myślałem o Tobie w drodze powrotnej, schodząc w dół z góry. Myśl o Patience podniosła mnie na duchu.
(Nie skomentuję tego o snickersie).

I to jest czerwona flaga – oznacza, że Sam jest uzależniony od zdrowego jedzenia. Robię od czasu do czasu aluzje na temat mojego fanatycznego przywiązania do czekolady, ale on nie wydaje się podzielać tej obsesji. Martwię się, że je nasiona i jest wegetarianinem. Nie jest to jeszcze powód do rozstania, ale dla mnie wtopa, gdyż uwielbiam cheeseburgery. Eksperymentowałam z wegetarianizmem wiele, wiele razy, ale ponieważ od dzieciństwa biegam, od kiedy tata zabrał mnie na bieżnię, to robię się zbyt słaba na diecie z tofu i warzyw.

Do: Sam

Od: Patience

Cała przyjemność po mojej stronie, że udało mi się wyciągnąć Cię z chandry. O snickersie to prawda.

Tygodnie mijają, a ja tłamszę w sobie uczucia, których nie mam odwagi wyznać. „Chcę z tobą normalnie chodzić na randki. Chciałabym, abyśmy mieszkali w tym samym mieście. Zakochuję się w tobie przez Skype'a”.

Uważam te uczucia za zupełnie zwyczajne, ale trochę śmieszne. Już to przerabiałam. Jednak nie. W końcu nic nie mówię, a i tak jestem w radosnym nastroju. Z Samem wszystko jest proste. Wylewne okazywanie uczuć to nie problem. Kilka razy balansuję na granicy wyznania „Kocham cię”, ale wiem, że to przedwczesne. Chodzi o to, że jeszcze nawet się nie spotkaliśmy. Mimo że boję się lub raczej utrzymuję rezerwę, kilka razy wspominam mu, jak wiele znaczy dla mnie jego przyjaźń, bez względu na to, co z niej wyniknie.

W czasie tych jesiennych konkurów oprócz trzech książek do zredagowania mam jeszcze jedną przeszkodę – konferencję pisarzy w Nowym Meksyku. Przyjęłam zaproszenie na długo przed pojawieniem się Sama. Chciałam tam pojechać, bo uwielbiam Albuquerque i pragnę tam spędzić moje złote lata. Ponadto w Nowym Meksyku przebywa moja

przyjaciółka i mentorka Lou, której nie widuję zbyt często.

Teraz jestem przerażona, bo co będzie, gdy zginę w katastrofie samolotowej? Byłoby to doskonałe zakończenie opowieści o nieodwzajemnionej miłości. Wiatry wiejące koło Albuquerque są zmorą i z pewnością mogą doprowadzić do katastrofy nawet odrzutowca. W dniach poprzedzających lot czuję się nędznie, jak Sandra płacząc, przeklinam, kombinuję, jak by tu anulować tę konferencję ze względu na jakąś chorobę, na przykład skrzep w nodze (wcale nie jest zabawne, wiem). To wstyd, mam czterdzieści jeden lat i nadal czuję się krucho na pokładzie. Chciałabym się z tego jakoś wywinąć.

Nie udaje mi się. Muszę wykonać swoją pracę i polecieć na konferencję. Jeżeli już, praca pozwoli mi zachować zdrowy rozsądek, żebym nie poświęcała wszystkiego dla faceta, z którym wcale nie musi się ułożyć.

Wieczorem na dzień przed wylotem kupuję pocztówkę specjalnie dla Sama, na której piszę wiadomość z głębi serca: „Jeśli zginę, wiedz, jak wiele znaczyła dla mnie korespondencja z Tobą”.

Kartkę zostawiam na biurku, by mama, gdy ją zobaczy po mojej śmierci, wysłała ją do Sama. Naklejam potrójną porcję znaczków, aby się upewnić, że dojdzie do Szwajcarii. Wiadomość, która jest jednocześnie pożegnaniem i wyznaniem miłości, chociaż nigdy mu o tym nie powiedziałam.

Zabawne: po wejściu do samolotu czuję się dobrze (z niewielką pomocą środka uspokajającego i głębokiego oddychania), w pełni gotowa do wykonania mojego redaktorskiego zadania. Po pięciogodzinnym locie ląduję, wkładam spódniczkę ze sztucznej skóry i sweter w kolorze akwamaryny i wygłaszam przemówienie na konferencji. Zdarza się, że moje przemowy są trochę dziwaczne, jak wtedy, gdy zbyt długo myśli się o tym, co się chce powiedzieć, jakby uczestnicy pragnęli usłyszeć bardziej filozoficzny przekaz (nie chcą – chcą jedynie wiedzieć, czym się zajmuję i jak mogą coś opublikować). Tym razem mówię o tym, jak Facebook może zakłócać proces pisania. A co ja, do licha, o tym wiem? Im więcej mówię, tym więcej świerszczy słyszę w pokoju. Poważny błąd. Olbrzymi.

Facebook jest ważny dla autorów, tak samo jak Twitter. W rzeczywistości media społecznościowe są istotne w promocji książek. No i czy nawiązałabym kontakt z Samem bez Facebooka? Kocham Facebooka. Dlaczego więc zmroził mi się mózg? No jasne, Albuquerque leży pięć tysięcy stóp nad poziomem morza. Chodzi o wysokość. Żyj i ucz się.

Lot do domu przebiega spokojnie, nawet jeśli wziąć pod uwagę impulsywne zakupy na lotnisku, modlitwy do Bogini Kosmosu i nagły, lecz

cichy atak paniki na wysokości trzydziestu siedmiu tysięcy stóp w powietrzu. Gdy stawiam stopy na twardym gruncie, odczuwam podwójną euforię. Wróciłam bezpiecznie do domu. Spotkam się z Samem. Zostało tylko pięćdziesiąt dwa dni.

Potem trzydzieści.

Dwadzieścia pięć.

Przez to oczekiwanie, rosnące napięcie, pogłębianie się naszej znajomości ten związek przekształca się w prawdziwy romans – poza tym, że nie wchodzi w grę miliony Jake’a Huntera i jego protestanckie wychowanie, ale za to mamy osiem lat spędzonych przez Sama w Izraelu zakutego w kajdany ze swoją pierwszą żoną.

Bohater powieści Jake za żadne skarby świata nie pojechałby do Izraela. W grę wchodzi natomiast Afganistan, gdzie samotnie zmiotłby talibów za wszystkie zbrodnie popełnione przeciwko kobietom (Cassie zostaje porwana przez talibów, ale nic złego się jej nie przydarza). Historia Sama i moja to dobry scenariusz na romans, ponieważ zmierzamy ku szczęśliwemu zakończeniu (choć równie dobrze wszystko może pójść na opak). Spędzamy mnóstwo czasu na poznawaniu się, czasu, które mogłabym spędzać na oglądaniu Kardashianek lub *Housewives*. Jeżeli to nie jest miłość, to już nie wiem, co nią jest.

Nadciąga ten wielki dzień, a ja beztrudno zapominam o cynizmie, z jakim traktuję romanse – bo nie dotyczą mnie, bo już nie przeżyję tej wprawiającej w omdlenie czarodziejskiej opowieści. Nasze doświadczenie nie może być już bardziej prawdziwe. W wypadku kilku moich ostatnich chłopaków myślałam: „No cóż, to nie jest dobry związek, ale przetrwam”. Z Samem nie czuję żadnych ograniczeń, jedynie wszechogarniające podniecenie. Chcę budować życie na tym, czego do tej pory z nim doświadczyłam. Oczywiście możemy się przejechać i sparzyć. Oboje mamy liczne problemy, ale w głębi duszy wiem, że jesteśmy poważnymi ludźmi, którzy troszczą się o siebie.

Przewidujemy wszystkie możliwe katastrofy, które mogą się nam przydarzyć. W formie żartu przepowiadam, że zabije mnie we śnie; on żartuje, że jestem totalną wariatką, tylko utrzymuję to w tajemnicy. Mimo że flirtujemy jak szaleni na Skypie i tylko półserio rozmawiamy o wspólnym życiu, to jednak nie żartujemy z siebie. Zawsze można oczekiwać, że ten związek po prostu wyleci w powietrze, lecz wiemy, że przecież on może wtedy wrócić na Florydę, do Szwajcarii czy Izraela, aby dalej uczyć. Ja nadal będę redagować romanse, a jeden zawód miłosny więcej mnie nie

zniszczy.

W szesnastym dniu przed jego przylotem, choć oboje wykazujemy ostrożność, Sam zamieszcza na Facebooku swoje zdjęcie, na którym trzyma coś, co wygląda jak butelka do kroplówki, z podpisem: „Szwajcarski roztwór solny sprzedawany w butelkach do kroplówek pozwala mi zaoszczędzić na pielęgnacji szkielek kontaktowych. Po zużyciu roztworu butelka doskonale nadaje się na manierkę. Kocham Patience Smith”.

Zwrot „Kocham cię” już kilkakrotnie przewijał się w naszej znajomości, z zastrzeżeniem, że możemy się zniechęcić po jego przyjeździe. Po raz pierwszy Sam wypowiedział te słowa w połowie października, najpierw powtarzając wielokrotnie samo „kocham”, a później w zdaniu „Sam kocha Patience”, w trzeciej osobie, jak Juliusz Cezar. Osobiście nie lubię nadużywać tego zwrotu, a ponadto czuję zżegę po poprzednich deklaracjach „Kocham cię”, więc zajęło mi to kilka dni więcej. W końcu bez oporów powiedziałam te słowa przed kamerą, a teraz Sam ogłosił to publicznie via Facebook. To „Kocham cię” jest opatrzone znakiem gwiazdki. Gdy dojdzie do spotkania, możemy doświadczyć nudy, ambiwalencji, odrazy i zadać sobie pytanie: „Jak mogłem wdać się w taki związek?”. Najgorsze, co może mi się przytrafić, to puste mieszkanie, ale będzie ono zaledwie kropeczką na osi czasu mojego życia. Sam z kolei będzie musiał podjąć decyzję, dokąd pojechać. Nie planował jak dotąd nic poza znalezieniem pracy nauczycielskiej i odwiedzeniem ojca w Miami.

Rodzina. To zupełnie inna kwestia.

Przez ostatnie dwa miesiące wspominałam mamie i Patrickowi o „moim przyjacielu Samie ze szkoły średniej”, nie chcąc ich wciągać do pociągu, którym podróż może zakończyć się katastrofą. Niby mimochodem wzmiankowałam o nim w dyskusjach jak o dobrym znajomym. Z pewnością nie rozwodziłam się nad tematem, a tym bardziej o przyprowadzeniu i przedstawieniu go ani o tym, jak bardzo za nim tęsknię. Zbyt często wylewałam krokodyle łzy w ich obecności. Jednakże gdy Sam zarezerwował bilet, a nasza relacja nabrała rumieńców, poczułam się zobowiązana do większej bezpośredniości z rodziną. W moim życiu chyba pojawi się nowy mężczyzna. Historia może i jest dziwna, ale dzieje się naprawdę. Reakcja mojego brata jest jak zwykle dyplomatyczna: deklaruje wsparcie, ale nie ocenia. Biedny facet, był świadkiem tylu zawodów w moim życiu, wytrzymywał niekończące się rozmowy telefoniczne, gdy płakałam przez słuchawkę. Jakie są szanse, że to wypali? Bardzo skromne.

Carlos, chłopak mojego brata, to zupełnie inna historia. Nie wie o moich

wcześniejszych doświadczeniach, o tych zdesperowanych telefonach. Ten kochany mężczyzna ma słabość do dobrego romansu. Jest pyskаты i lubi wyrażać ostre opinie. Jego oczy rozjaśniają się, gdy słucha o szczegółach mojego związku z Samem, o jego rozwoju – od e-maili, przez Skype’a, po wizytę. Ma również w zanadrzu radę: „Jeżeli cię wykorzysta, spierz go na kwaśne jabłko”, wypowiedzianą z silnym peruwiańskim akcentem.

Carlos podpytuje mnie regularnie, jak się sprawy mają z Samem. Czy jestem podekscytowana? Czy teraz jest taki ładny jak w szkole średniej? Nawet bardziej seksowny, odpowiadam. Przynajmniej sądząc po tym, co widzę przez kamerę.

Inny mój przyjaciel gej, Jose, z którym uczyłam w Albuquerque, także bardzo mnie wspiera i przesyła optymistyczne e-maile, prosząc o więcej szczegółów. Intrygują go możliwości sprośnych pokazów przez kamerę, jest ciekaw, czy podobnie jak Charlotte z *Seksu w wielkim mieście* zostaną Żydówką. Chciałabym, aby to było takie proste, bo zawsze podobał mi się pomysł wyznawania jakiejś religii. Jose ciągle podsyła mi pozytywne e-maile. Czy przynajmniej obnażyłam piersi? Czy obchodziliśmy Yom Kippur przez internet?

Nigdy nie ujawnię takich szczegółów.

W czasie zabiegów manikiur/pedikiur z mamą przemycam drobne detale na temat Sama – jest nauczycielem akademickim, frankofilem, bon vivantem – ale ona nie zwraca na to większej uwagi. Słucha, ale nie jest zainteresowana. Mógłby być kolejnym Barrym Nauczycielem, Supermanem od Finansów, Nathanem Klapsem.

– Za dużo mnie to kosztowało. Nie mogę przez to znowu przechodzić – mówi.

Utrata potencjalnego zięcia musi boleć, szczególnie odkąd kupiła Barry’emu Nauczycielowi bardzo kosztowny krawat w Barneys na kilka miesięcy przed zerwaniem. Inwestowanie w Sama nie wchodzi w grę.

Jednak pewnego piątkowego wieczoru w listopadzie dzwoni do mnie, bez tchu.

– Rozmawiałam z Nancy... z zarządu uniwersyteckiego... i (świst) *ona zna Sama!* Powiedziałam jej, że moja córka ma przyjaciela, który przyjedzie z wizytą. On uczy francuskiego. „Czy go znasz?” – zapytałam.

Okazuje się, że Nancy zna Sama z czasów Columbii i zapewniła mamę, że to „wspaniały facet”.

Czy można mówić o większym przypadku?

Teraz mama jest zaangażowana w przyjęcie potencjalnego zięcia

wykładowcy. Moim zdaniem Nancy to kolejny anioł. Pojawiła się w odpowiednim momencie i dała mamie gwarancje, których ja nie mogłam jej dać.

Po tym mama googluje doktora Sama jak szalona, analizuje jego stypendia, widzi, że ma potencjał w swojej dziedzinie jako znawca Prousta, że miał ciężkie małżeństwo, wypadł z obiegu na chwilę, ale wrócił, aby zacząć od nowa, a teraz jest gotów ponownie żyć.

Oprócz Nici także moja najlepsza przyjaciółka z pracy Melissa i z dzieciństwa Rachel wykazują duże zainteresowanie tym kiełkującym romansiem. Nagle mam za sobą całą armię. Wszyscy chcą wiedzieć, co nastąpi. Jak długo rozmawialiśmy wczoraj wieczorem? Bokserki czy slipki? Czy nadal jest takim śmiałkiem? Czy po tak długim czasie spędzonym na Skypie będzie między nami chemia na żywo? Co się stanie, gdy Sam się sprowadzi i nic nie będzie robił? Co, jeśli wykorzysta mnie? Co, jeśli to tylko przelotna miłośćka bez przyszłości? Co, jeśli jest menelem i zechce spuszczać się z budynków dla zabawy?

Co, jeśli...

Wszystkie te pytania już sobie zadałam w głowie – i to nieraz. Nie jestem głupkiem. Jeżeli Sam chce ukraść moją fortunę, to jest idiotą, bo nie ma tego wiele. Jeżeli ma jakieś złe ukryte motywy, to trudno. Nie mam nic do stracenia. Nie oczekuję małżeństwa ani dzieci. Przykre wydarzenia już mnie naznaczyły. Nie może mi za bardzo zaszkodzić, a jeśli nawet, to zdołam się pozbierać.

Nie spodziewam się cudów, ale dzielenie się tymi ekscytującymi nowinami sprawia mi dużo radości. Moi przyjaciele są ze mną. Z wyjątkiem Patricka. Nie chodzi o to, że mnie nie wspiera, jest po prostu ostrożny i nie obwiniam go. Nasze relacje są skomplikowane – w dziewięćdziesięciu pięciu procentach jesteśmy kochającym się rodzeństwem, w pozostałych pięciu czujemy do siebie dziecinny wstręt. Wyrośliśmy z tego wstrętu do tego stopnia, że gdy mój ojciec zarzucił swoją rodzicielską rolę, Patrick przejął ją po nim.

To on doradza mi w dużych sprawach, gdy zrobię coś wspaniałego, jest dumny jak rodzic. Pragnę jego aprobaty coraz bardziej z biegiem lat. Przez cały ten czas Patrick był najważniejszą mężczyzną w moim życiu. Mój ojciec powinien był przejąć trochę tych obowiązków, prowadzić ze mną podnoszące na duchu rozmowy, gdy miałam dwadzieścia, trzydzieści lat: „Dobrze ci idzie”, „Może odwiedzę cię w mieście”, „Jakich masz przyjaciół?”. Patrick zawsze miał dla mnie czas. Teraz liczę na jego

błogosławieństwo w tej ostatniej podróży, bo z pewnością już nigdy nie narażę się na taką emocjonalną torturę.

Albo prawdziwa miłość z Samem, albo będę singielką.

Jest środa, dzień przed spotkaniem z Samem na lotnisku. Przylatuje w czwartek o jedenastej w nocy, wezmę pociąg linii A na lotnisko JFK. Moja szefowa zgodziła się, abym wzięła wolne w piątek i w poniedziałek. Normalnie zrobiłabym sobie wolne również w czwartek, aby przeżyć w spokoju załamanie nerwowe, ale nie tym razem. Nie wypada zostawać znowu w domu, skoro w środy pracuję w domu. I co robiłabym cały dzień w czwartek – oglądała komedie romantyczne, ćwiczyła przemowy w lustrze, poszła zrobić manikiur? Nie, jestem dorosła. Pogadać do lustra mogę po godzinach. Teraz potrzebuję oderwania, tych romansów, dzięki którym płacę rachunki.

W środę jak zwykle budzę się późno. Pewnie mam zainstalowane jakieś urządzenie naprowadzające, bo dzwoni do mnie Lesley, jeden z regularnych Wracaczy. To żelazna zasada, że minutę po tym jak stajesz się „zajęta”, wysypuje się zalew propozycji i padają pytania: „Czy jesteś tego pewna?”.

Coś się u niego dzieje, bo inaczej przecież by do mnie nie dzwonił. Wie wszystko o Samie, także to, że za dzień – dwa będę z nim pomieszkiwać co najmniej przez tydzień (a może na stałe). Wkrótce Lesley nie będzie tutaj zapraszany. Nie bzykaliśmy się od lat, więc nie o to chodzi. Czy utrzymywanie z nim relacji wyłącznie przyjacielskich jest właściwe?

Z naszych rozmów wnioskuję, że Sam nie akceptuje moich przyjaźni z mężczyznami. Wydaje się, że niektórych – jak Lesleya i Supermana, z którymi jestem w kontakcie – uważa za zagrożenie. Dla mnie moi byli to pieśń przeszłości i, do licha, z Lesleyem przyjaźnimy się od ośmiu lat. Czy nie mogę nawet z nim rozmawiać, jeśli mam na to ochotę? Sam i ja nie jesteśmy jeszcze małżeństwem. Nawet nie spotkaliśmy się osobiście! Nie mam poczucia winy.

Idziemy z Lesleyem do najbliższej kawiarni, gdzie opowiada mi o swojej ostatniej książce, nad którą pracuje. Tu jest pies pogrzebany. Prawie ją skończył, siedmusetstronicowe arcydzieło. Jestem samotną dziewczyną, która nie ma nic lepszego do roboty niż wyświadczyć mu wielką przysługę. Zazwyczaj nie mam nic przeciwko temu, gdy ludzie dają mi rzeczy do przeczytania. To moja praca, moja pasja. Jednak teraz zastanawia mnie to niezrozumiałe wyczucie czasu, zaczynam się czegoś obawiać. Wyczuwam prośbę i kieruję konwersację na Sama i moją monogamię. Zostaje przekierowana ponownie na książkę, z której byłby niezły film, i czy nie

byłoby fajnie, gdybyśmy napisali wspólnie scenariusz?

Fakt, że zapraszam Lesleya do mojego mieszkania, aby nie robić nic poza oglądaniem zdjęć i prowadzeniem dalszej opowieści o Samie, musi być zasługą krwotoku mózgowego. Mam niejasne wrażenie, że zaproszenie go do domu w przeddzień przyjazdu Sama to zły pomysł.

Gdy Sam dzwoni wieczorem przed wylotem, jestem zarówno podekscytowana tym, że go zobaczę, jak i świadoma swojego faux pas. Nasza wielka chwila nastąpi za dwadzieścia cztery godziny. Pyta mnie, jak minął dzień, a ja nie potrafię trzymać buzi na kłódkę.

„Lesley wpadł, aby pogadać o swojej nowej książce. Potem trochę redagowałam, poszłam do klubu fitness...”. Zatuszować najważniejsze wydarzenie najdrobniejszymi szczegółami. To dowód, że wizyta Lesleya nie miała żadnego znaczenia. Ale widzę, że Sam jest zmartwiony.

– Wpadł do ciebie był chłopak dzień przed tym, gdy przyjeżdżam cię zobaczyć...?

– On nie jest byłym chłopakiem. Między nami nic nie ma. Po prostu wpadł. Od wielu lat to znajomość platoniczna.

– Nie uważasz, że to głupie?

Boże, pewnie, że tak. Widzę, jak po drugiej stronie kamery Sam się krzywi. Czy wszystko dokumentnie spieprzyłam? Przecież musi być świadomy, że jego wizyta to jedyna rzecz, na jaką czekam od lat. Lata. Ostatnio tak było w 2005 roku, gdy w Madison Square Garden występował w oryginalnym składzie zespół Duran Duran – cudowne wydarzenie. Spotkanie z Samem jest cudownym wydarzeniem.

– Przepraszam. – Nie wiem, co jeszcze dodać. – Nie powinnam była tego robić. Proszę, mam nadzieję, że przyjedziesz jutro.

Konwersacja staje się niezręczna, a pod koniec zastanawiam się, czy on się zjawi. Nie rozumiem, dlaczego miałby zrezygnować z przyjazdu. Powiedzieliśmy sobie „Kocham cię” tyle razy. Ani on nie jest doskonały, ani ja. Związki są skomplikowane, prawda? Taki problem, a przecież w ogóle mi na Lesleyu nie zależy. Znamy się od dawna, ale oboje przyznaliśmy, że iskra między nami dawno wygasła. Pragnę Sama.

Po zakończeniu rozmowy puszcza mi nerwy. Jeżeli Sam się nie zjawi, to znaczy, że jest łobuzem, niewartym zachodu. Podjęłam głupią decyzję – na pewno nie ostatnią – ale to tylko oznacza, że jestem głupia jak but i nadgorliwa w zadowalaniu innych. Gdy przyjaciele dzwonią do mnie, prosząc o przysługę, nawet ci mniej altruistyczni przyjaciele, dają się zrobić za każdym razem. Najgorsze, na co Sam może trafić, to durnowate decyzje,

które hamują mój postęp. Jeżeli czuje się zagrożony przez faceta, z którym miałam przelotny związek, to nie o mnie tu chodzi.

Próbuję się uspokoić, zracjonalizować swoje obawy i zasnąć. Ale prawda jest taka, że jestem lekko porąbana.

– Jesteś przejęta? – pyta moja przyjaciółka Melissa w biurze następnego dnia.

Cała w uśmiechach, ściska mnie serdecznie. Teraz całym sercem wspiera mój związek z Samem. Z pewnością widziała jego zdjęcia na Facebooku, zna każdy detal naszej korespondencji.

Przez noc Sam chyba przebaczył mi Lesleya. Może gdy przyjedzie, zdołam go przekonać, że pragnę tylko jego i nikogo więcej.

– Tak. – Trudno mi wyartykułować, co czuję.

Przepęlnia mnie wewnętrzne szczęście. O tym właśnie pisze się w romansach pod koniec. Pozostawiają czytelników z tym uczuciem. Ja też je teraz dzielam.

To uczucie szczęścia nie jest ani dziwne, ani źle skierowane, nie jest narażone na niebezpieczeństwo. Po prostu szczęście. Tak, nadal jestem zdenerwowana, ale wiem, że zmierzam we właściwym kierunku bez względu na to, co się stanie. Powinnam mieć teraz przytwierdzoną kamerę. Poważnie, moja stoicka postawa jest godna polecenia. Zawsze należy iść do pracy w obliczu wielkiego wydarzenia. Skutecznie odwróci od niego uwagę.

Nie jestem pewna, jak to możliwe, ale w tym dniu robię wszystko tak jak zwykle, choć w żadnym razie nie jest to dzień normalny. Redaguję część książki, zlecam mojej asystentce drobiazgi, przetykam jogurt na obiad (nie jestem w stanie jeść) i uczestniczę w spotkaniu redakcyjnym.

W czasie spotkania omawiamy zakupione książki, cykl wydawniczy i wiadomości z firmy. Na koniec chodzimy wokół pokoju i opisujemy dobre rzeczy, które się wydarzyły. Zazwyczaj próbuję być zabawna, bo inaczej czułabym się niezręcznie. Tym razem, gdy nadchodzi moja pora, mówię: „Niedługo spotkam się ze starym przyjacielem, po dwudziestu sześciu latach, i będziemy razem mieszkać”.

Wiem, wyrzucić to z siebie w obecności kolegów to szalony pomysł. Wszyscy znają tę historię, w mniejszym lub większym stopniu, przecież nie dzielę się szczegółami z mojego życia osobistego, oprócz krótkich wzmianek przy obiedzie, w czasie przyjęć świątecznych lub w momentach skrajnej paranoi. Melissa i mój przyjaciel z personalnego Sam wiedzą prawie wszystko. Koledzy dzielają moje szczęście i mają nadzieję, że to wypali, choć w głębi duszy pewnie myślą, że zwariowałam. Biuro jest pełne

niedźwiedzie współdziałających na rzecz mojego szczęścia.

Po pracy pędzę do domu na pięciogodzinne upiększanie i strojenie. Robię sobie kilkudniowy urlop, zbliża się okres świąteczny, nikt nie kręci się wokół. Pora spotkać się z Samem.

Dzwoni telefon. Mama.

– Musimy pójść na mani i pedi przed twoim wielkim spotkaniem, nie uważasz? – mówi mama.

Jest niesamowita. Ostatnio zaczęła się bardzo ekscytować jego przyjazdem. Siedzimy w salonie kosmetycznym na parterze budynku, w którym mieszkam. Widzę, że chciałaby być muchą na ścianie. I w pewien sposób nią jest.

– Może przyjedziecie z Samem na cappuccino jutro rano? Pomyśl o tym – mówi z uniesioną brwią.

Jasne, mamó. Spędzimy z Samem pierwszą wspólną noc, a potem przyjdziemy do ciebie na poranne cappuccino. Co dziwne, Samowi spodobałaby się taka pokręcona propozycja. To facet, który może wejść do pokoju pełnego obcych i przekonać kogoś, aby siłował się z nim w błocie.

Z paznokciami czerwonymi jak grzech przez chwilę jestem sama. Wyłożyłam ubrania: ciemne dżinsy, biały sweter. Umyłam i wyprostowałam włosy i ciągle mam dwie godziny na zbyciu.

Jedyna rzecz, która mnie ukoi, to film. Coś odpowiedniego – nie *Obywatel Kane* – ale też nie *badziewie*. Nie mogę oglądać filmu z Julią, bo w swoim dążeniu, aby się nią stać, wyuczyłam się na pamięć każdej linijki tekstu z jej filmów.

Tym razem potrzebuję Sandry. W ten sposób uhonoruję lata spędzone w szlafroku, gdy jęczałam z powodu utraconej miłości. Ale także tę dziewczynę, która zaczynała milion razy z kolejnym nowym partnerem. Z zewnątrz wydaję się lekko otępiała, ale w mojej słodkiej wewnętrznej jaskini pulsują same emocje. Chcę być przystępna, pragnę być dziewczyną, która nie musi być doskonała. Sam zobaczy mnie taką, jaka jestem, ponieważ doskonałość wychodzi mi najwyżej przez godzinę lub dwie.

Przebieram wśród DVD i wyciągam *Dom nad jeziorem*, prezent od Marie. Pamiętam, że wydałam kasę, aby zobaczyć to w kinie. Czego oczekiwałam? Fajerwerków jak w *Speed*? Nie, ale Keanu i Sandra są wspaniali razem na ekranie. Tyle ciemnowłosych piękności w jednym kadrze; oni po prostu do siebie pasują.

Wsuwam DVD i natychmiast zalewam się łzami, dzięki Bogu, mam zapas maskary i zimny krem Pond's, aby łatwiej nakładać i zmywać makijaż.

Sandy (chyba mogę ją tak nazywać, przecież w mojej wyobraźni jesteście najlepszymi przyjaciółkami) nie uśmiecha się przez większość filmu. Z jakiegoś powodu ona i Keanu nawiązują kontakt ponadczasowy i pisują do siebie wielce literackie listy. Na papierze prezentują swoje najlepsze strony, podczas gdy na co dzień mierzwią się z nieciekawym życiem. Sandy jest lekarzem, zbyt współczującym. Keanu pracuje w budownictwie, ale również jest architektem. Jego ojciec Christopher Plummer jest bryłą lodu i w końcu umiera, ale Keanu odczuwa głęboki smutek. Sandy go pociesza. Odkrywają, również, że już kiedyś się spotkali, choć to wydaje się przesadą. Jak mogłabyś zapomnieć o tym, że całowałaś się z Keanu i ratowałaś mu życie? Jeżeli raz zobaczysz Keanu, zapamiętasz go na zawsze.

Niemniej jednak piosenka Paula McCartneya *This Never Happened Before* i ostatni pocałunek sprawiają, że beczę jak nigdy dotąd. Film odzwierciedla wiele z tego, przez co przeszliśmy z Samem przez ostatnie cztery miesiące, a także mój obecny nastrój. Przy ostatniej scenie nie radzę sobie i szlocham, bo Sandy jest wreszcie szczęśliwa. Nie ma już na sobie szlafroka, lecz zdumiewający czerwony płaszcz, który wyróżnia się w wysokiej, suchej trawie. Keanu praktycznie druzgocze ją w objęciach, bo tak długo na nią czekał.

Ta wielka ostatnia scena należy do *mojego* filmu. Nie mogę w to uwierzyć. Moment, na który czekałam całe swoje życie. Nie na wesele. Nie na dzieci czy majątek, ale na to głębokie przekonanie, że *to jest to*. Moje serce należy do Sama. Wreszcie ujrzę *mojego* Księcia z Bajki.

„Jestem w drodze” – pisze w SMS-ie mój brat pół godziny później, gdy już doprowadziłam się do porządku. Chciałam pojechać na JFK pociągiem, ale Patrick niespodziewanie zaoferował, że mnie podwiezie.

Zazwyczaj, gdy czeka mnie wielkie wydarzenie, robię się nerwowa, chorobliwie nerwowa, do tego stopnia, że nie wychodzę z domu albo odwołuję spotkanie w ostatniej chwili lub po prostu cierpię, gdy muszę w tym uczestniczyć. W odróżnieniu od tych poprzednich wydarzeń teraz czuję się wspaniale, gotowa na spotkanie przeznaczenia. Nie mam problemu z wyjściem z domu.

Patrick pojawia się koło dziewiątej trzydzieści. Uśmiecha się, już nie widać po nim wahania. Wszystko pasuje – jest jak ojciec, który odwozi dziecko na randkę, oddaje je innemu.

Nie daje mi żadnych ojcowskich rad. Nie ronimy łez nad doniosłością tego wydarzenia. On po prostu prowadzi, gra muzykę i odwraca moją uwagę. Tak się składa, że przyszłość jeszcze nie nadeszła. Może mnie wiezie na

spotkanie z przyjacielem, z którym się dogadam, ale potem wrócę do dotychczasowego życia.

– Baw się dobrze! Daj znać, co się dzieje!

– Dam. Życz mi szczęścia.

– Będzie wspaniale. A jeśli cię skrzywdzi, potnę go – mówi przed wysadzeniem mnie przed terminalem i przesyła mi całusa w powietrzu.

Mój brat nie należy do tych, którzy wożą ludzi na lotnisko w Nowym Jorku. Transport publiczny działa zbyt sprawnie. Jest bardzo zagoniony i nie ma na to czasu. Wiele dla mnie znaczy, że zrobił wszystko, co w jego mocy, w tę potencjalnie niezwykłą noc. Patrick zawsze znajdował czas w ważnych momentach mojego życia, zwłaszcza gdy dotyczyły kiepskich związków. Słuchał cierpliwie moich powtarzalnych tyrad, gdy pytałam: „Czy sądzisz, że on mnie lubi?”. Poznał paradę głupców, a niektórych nawet polubił. Wychodził ze mną, gdy czułam się podle. Wybawiał mnie z opresji wtedy, kiedy nie musiał, bo przecież również ma swoje życie. Powiedział mi wprost, w których momentach się o mnie martwił. Także jak rodzic zaufał mi, że sama rozwiążę swoje problemy, i czekał na mnie po drugiej stronie piekła.

Mój ukochany brat – ten cichy, lecz ekspresyjny chłopak, który wystawiał sztuki dla całego sąsiedztwa – wyrósł na silnego mężczyznę. Mogę sobie wyobrazić nas dwoje w końcu życia trzymających się chodzików w domu opieki. Szczęście mi dopisuje na wiele różnych sposobów.

Teraz moja kolej, aby dościsnąć marzenie.

JFK po jedenastej wieczorem to interesujące miejsce. Ruch nie jest już taki gorączkowy, ale ludzie nadal podróżują, starając się przezwyciężyć niedogodności związane ze zmianą czasu i przybyciem do innego kraju. Czekam przy przejściu, tłumiąc okrzyki zachwyty, gdy grupki ludzi przemieszczają się do wyjścia, szukając najbliższych lub toalety. Sam może być wszędzie. Najpierw musi przejść przez kontrolę celną, co zajmuje dużo czasu. Przyniosłam z sobą książkę *Jedz, módl się, kochaj*, ale nie jestem w stanie przeczytać ani jednego słowa. Zamiast tego co chwila wysyłam SMS-y do brata: „Jeszcze go nie ma”.

Po głowie krąży mi piosenka Paula McCartneya *This Never Happened Before*. Tego rodzaju romans na pewno nigdy mi się nie przydarzył. Chodziłam na wiele, wiele randek, ale żeby spieszyć się na lotnisko, aby spotkać się z kimś, kto wydaje się tak odpowiedni – nigdy.

Mija jedenasta trzydzieści. Nawet jedenasta czterdzieści pięć.

Tłum się przeredza. Tylko nieliczni pasażerowie przemieszczają się po

terminalu. Może nie zdążył na połączenie z Londynu. Jestem pewna, że jego samolot wylądował. Wiem to na pewno. Może coś się stało w drodze. Zatrzymali go celnicy – jedna przeszkoda na naszej drodze więcej.

Po dwudziestu sześciu latach nie ma gwarancji, że ten związek zadziała. Już zapomniałam, że przecież Sam i ja tak naprawdę nie znaleźliśmy się w szkole średniej. Jeden bal i jedno wspólne zdjęcie. Rozmawialiśmy o tych wspomnieniach, chociaż wydają się bardzo odległe jak wspólne zabawne pamiątki. To, co dzieje się obecnie, jest znacznie barwniejsze. Stawka w grze raczej wysoka. Powinnam być bardziej zdenerwowana, bo przecież mogę samotnie wracać do domu w wagoniku Skyline.

Nagle widzę samotnego faceta w oddali, trzymającego się na uboczu. Ma na sobie sweter w paski, który rozpoznaję. Te krótkie, kręcone włosy z sesji przed kamerą. Oliwkową skórę, szczupłą sylwetkę. Zbliży się i wiem, że to on.

Widzi mnie, uśmiecha się.

Moje ramiona nie wyciągają się raptownie. W głowie nie gra żadna muzyka, a serce nie przyspiesza.

Wszystko jest takie dziwne.

– Cześć – mówię.

– Cześć – mówi, zanim się obejmujemy.

Nie jest to uścisk druzgoczący, którego można się spodziewać po parze odseparowanej przez ocean przez cztery długie miesiące. Nie jest to scena w stylu Keanu – Sandra z końcówki filmu *Dom nad jeziorem*. Nie ma pocałunku. Może nie byłoby to naturalne, skoro, cóż, nie znamy się jeszcze fizycznie.

– Rety – mówi. – Jesteś w trzech wymiarach.

Śmieję się stosownie i zauważam, że jest oszołomiony. Przed kamerą pojawiał się taki żywy, uśmiechnięty, rozentuzjasmowany i prowokował mnie. Sam z JFK jest powściągliwy, pewnie zmęczony. Właśnie odbył czternastogodzinną podróż. To zupełnie normalne.

– Czy chcesz skorzystać z toalety, zanim pójdziemy do samochodu? – pytam. Bardzo romantycznie.

– Tak. – Idzie do toalety, a ja czekam na jednym z siedzisk.

Co za przykry kontrast. Boże, zebrało się we mnie tyle uczuć. Jestem WASP⁴¹, co oznacza, że skrywam w sobie czterdzieści lat uczuć. Odnowi mi się wrzód. Albo dostanę wylewu, właśnie tutaj na JFK.

Sam jest taki przystojny w rzeczywistości. To możliwe, że byłam tylko rozrywką niezbędną, aby przetrwał te ostatnie miesiące w Szwajcarii. Lub

potrzebuje mety, zanim pojedzie na Florydę. Jeśli będę o tym za dużo myśleć, rozbeczę się. Cztery miesiące komunikacji i świruję. Prawda jest taka, że on może nie podzielać moich uczuć. Sprawa Lesleya pogmatwała nasze relacje. Prawdopodobnie przytłoczyło go to wszystko i chce jechać do domu. I to jest największy problem wynikający z wiary w romans. Rzeczywistość rozczarowuje. Przynajmniej straciłam tylko cztery miesiące. Teraz muszę zdecydować, jak przebrnąć przez ten kolejny tydzień z Samem.

Powinnam to rozegrać spokojnie, jak dobra pani domu, która chce się zabawić na stare lata. Muszę wziąć pod uwagę, że on może wygadać się przed ludźmi z Taft School, i choć z nikim nie utrzymuję bliskich kontaktów, to nie chciałabym zyskać określonej reputacji. Jestem paranoikiem. Zapamiętać: bądź jak mama, która zawsze stara się znaleźć dobrą stronę w niewygodnej sytuacji.

Gdy wyłania się z łazienki, nadal przypatrujemy się sobie, jakbyśmy byli z innej planety. Rzeczywiście, lepiej wygląda na żywo. Do tego stopnia, że mogłabym ponownie go uściskać. Pomyśleć, wszystkie te godzinne rozmowy w nocy... A teraz jest tutaj. To będzie trudny tydzień, bo on jest taki uroczy.

– Chodźmy do samochodu – mówię.

Ponieważ ledwie mnie dotknął i na pewno nie pocałował, zakładam, że mu się nie podobam. Nie każdemu muszę się podobać. Przeliczyłam się, ale jeszcze nie wszystko stracone.

Wsiadamy do dużego samochodu i kierowca prowadzi nas szybko ulicami. W powietrzu czuć zimę i wilgoć, ale nie spadł jeszcze śnieg. W weekend ma padać i już ostrzegłam Sama, aby wziął zimowy płaszcz, tak jakby nie przyjechał właśnie ze Szwajcarii.

Samochód jedzie drogą ekspresową, przejazd jest płynny, możliwy w Nowym Jorku tylko nocą. Zastanawiam się, co się dzieje. Kim jest ten obcy człowiek w samochodzie? Tyle o nim wiem, a on wydaje się nieomal nieśmiały. Jest jasne, że nie podobam mu się jako dziewczyna, po prostu to wiem.

Jeden gest może wszystko zmienić. Sam przesuwa się bliżej mnie, kładzie rękę na mojej nodze, a głowę na moim ramieniu. Teraz *wiem*, że mnie lubi. To jak odbicie Sama z kamery. Dotyk to jednoznaczna wskazówka, czuję motylki w brzuchu oraz ulgę. Lubi mnie. Konwersacja opóźnia się, ale zdaję sobie sprawę, jak musi być wyczerpany, więc siedzę cicho i nie narzucam się. Jedzie ze mną do domu. Jego ręka nadal na mojej nodze.

Samochód dowozi nas przed budynek w Chelsea. Pomagam mu w przeniesieniu ogromnych waliz i plecaka. Wsiadamy do windy i jedziemy

na szóste piętro. Uśmiechamy się do siebie, po cichu rozmawiamy o jego długiej podróży. Zbliża się pierwsza w nocy.

Nie jest gadatliwy, tak bardzo różny od Sama zza kamery, a nawet tego z Taft School.

Wyciągam klucz i otwieram drzwi do mieszkania. Jest ciemno jak w studni i kusi mnie, aby nie zapalać światła, jak w seksownym dreszczowcu. Ale jestem rozsądną osobą. Kot się pewnie chowa za kanapą, słysząc te dziwne odgłosy i węsząc nową osobę.

– Powiedziałaś, że masz jedną sypialnię – komentuje Sam, śmiejąc się i żartując tak jak przed kamerą, gdy ciągnie swój bagaż na kółkach. – Kłamałaś.

– Nie kłamałam.

Uśmiecha się i kręci niespokojnie, nie za bardzo wiedząc, co z sobą zrobić. I oto nadeszła moja wielka chwila w stylu Keanu i Sandry, po czterech długich miesiącach bezdotykowego gadania podchodzę i całuję go.

Bohaterki romansów na ogół nie całują pierwsze, ale nie mam nic do stracenia. Odnoszę wrażenie, że w relacjach osobistych mój chłopiec jest wstydlivy. W romansach pierwszy pocałunek wywołuje fajerwerki i fale ekstazy tak silne, że bohaterka odczuwa skurcze w łonie. Nie doświadczam dokładnie takich uczuć, lecz gdy całuję (przywieram do muru) Sama, wiem, że pragnę więcej, tak dużo, że najchętniej zamknęłabym go od zewnątrz w swoim mieszkaniu, aby nie wyszedł. Co się stało z zasadami randkowania, według których powinnam postępować? Przyznaję się do niewielkiej amnezji. Jeżeli mam zmarnować związek, to przy okazji chcę się zabawić.

Rozdział dwunasty

Jedź, módl się, zamieszkać wspólnie na pierwszej randce

Na każdej stronie romansu dochodzi do pikantnego konfliktu. Bohater i bohaterka odkładają gniew na później, aby uprawiać seks lub zjeść posiłek (zwykle sałatę, proteiny, chrupiący chleb i mnóstwo mrożonej herbaty – kto by pomyślał? Nie ma miejsca na weganizm, bo to zbyt wybredne. Niestety, bohaterka wybiera jabłko zamiast ciasta i czasem musimy ją za to znienawidzić). Po tych szczęśliwych reklamówkach bohaterowie zmagają się z kwestią mamy lub taty, straconej miłości, uczucia niższości, traumą w rodzinie – czyli z tym wszystkim, co ich ucłowiecza.

Główny konflikt pomiędzy Samem a mną dotyczy zwykłych spraw, a więc tego, czy jesteśmy zbyt popieprzeni i czy to się skończy? Nie chciałabym tego, nie wydaje mi się, że to związek tymczasowy, ale oczywiście martwię się. I ponieważ nie mogę zgubić takiego prezentu od Pana Boga, zaklinam się, że zawsze będę dobrze wyglądać – robić makijaż, nosić podkreślające figurę ciuchy i – westchnienie – prostować włosy, czynność, która zabiera godziny. Przyrzeczenie pali na panewce – tu szybkie dziękuję – ze względu na rozmiar mojego mieszkania. Widzi moje oczy szopa pracza, gdy wychodzę spod prysznic. Widzę chrapiące ciało, gdy zasypia z otwartą buzią. Nie możemy nic przed sobą ukryć.

Odkładam na chwilę romanse i czytam książki, które uczą szczęścia: *Jedź, módl się, kochaj* Elizabeth Gilbert i *Projekt Szczęście* Gretchen Rubin. Książkę Gilbert zaczęłam już wcześniej, ale nigdy nie mogłam skończyć. Teraz pożeram każde słowo i czuję się zainspirowana. Podobnie z Rubin. Ich główny przekaz dla czytelnika to: „Zrelaksuj się i podążaj za szczęściem”.

Mówiąc o szczęściu, w zasadzie nie rekomendowałabym wspólnego mieszkania na pierwszej randce. Okoliczności, w jakich się znaleźliśmy, są wyjątkowe, więc nie przestrzegam wszystkich zasad. Po kilku dniach jestem prawie pewna, że zostanie ze mną na zawsze. Choć jest wiele kanap, na których mógłby się rozłożyć, pragnę go na mojej.

Nasza strategia „wyjścia” przewiduje, że on znika, gdy pojawiają się pierwsze kłopoty. Jest popularnym facetem, może znaleźć przyjaciół nawet w miejscach trudno dostępnych na całym świecie. Nie mam wątpliwości, że

lubi być wśród innych ludzi. Czy spodoba mu się mieszkanie ze mną, tulenie się w czasie oglądania telewizji, gotowanie obiadu, wspólne pranie i spacerowanie po sąsiedztwie? Sam nie jest pustelnikiem jak ja, cieszy się z towarzystwa innych. Mój problem jest inny, gdyż zwykłam mieszkać sama. Dostosowanie się to wyzwanie dla nas obojga.

Uwielbiam mieszkać sama i zawsze unikałam przyjęcia współlokatorki. Nikt nie chrapie, nie uprawia seksu w sąsiednim pokoju, nie trzeba martwić się o rozliczenie rachunków, nie ma bitew o to, czyje jest jedzenie w lodówce albo kto posprząta brudną łazienkę. W moim wieku pomysł zamieszkania z mężczyzną jest nieco przerażający. Mój ojciec i brat byli schludni, dbali o higienę, ale wielu ludzi – za zamkniętymi drzwiami – to flejtuchy jak ja. Tyle lat mieszkam sama, że szanse na to, aby wspólne zamieszkanie zakończyło się sukcesem, są niewielkie.

Pierwsza wspólna noc i dzień minęły gładko. Jesteśmy szczęśliwi, wreszcie razem i jak większość przyprawiających o mdłości par ciągle demonstrujemy, jak wspaniale do siebie pasujemy. Czy idziemy na cappuccino do mamy? Oczywiście, Sam nalega. Spotkanie z rodzicami w drugim dniu znajomości odbiłoby się czkawką moim byłym. Ale nie Samowi.

Z trudem brniemy pięć przecznic na Horatio Street w West Village. Oto jesteśmy – tu się wszystko może skończyć. Przedstawiłam Samowi całą moją rodzinę, pokazując zdjęcia i opowiadając historyjki, więc wie, czego oczekiwać. Idziemy korytarzem i otwieramy drzwi mieszkania, wita nas jasny, przewiewny pokój.

– Och, witaj, Sam. Miło cię poznać – mówi mama w ten wyjątkowy sposób.

Jest niewiarygodnie urocza już od pierwszej sekundy i przygotowuje mi pienne cappuccino.

Liczę na to, że Sam ulegnie jej urokowi, ponieważ nie ma matki od dobrych trzydziestu lat, a moja mama bardzo chce powiększyć swoją trzódkę.

Potem Sam i mój ojczym krzyżują spojrzenia. Tak, *ten* ojczym, zrzęda, który szczeka na psy i ludzi, uwielbia swoje tajemnice i jest uparty. Czas się zatrzymał, gdy mój współlokator podchodzi, aby ucisnąć rękę tego zamroczonego historyka intelektualisty. Ojczym nie uśmiecha się często, ale tym razem robi to. Może chodzi o miłość, którą widzi w oczach Sama, a może dlatego, że Sam angażuje go w rozmowę. Sam chłonie każde słowo Dona i tak oto buduje się porozumienie między nimi.

Taka męska miłość jest nieco pokręcona. Prawie wybucham śmiechem na widok tego dziwnego heterotańca między dwoma mężczyznami. Sam nie spuszcza oka z mojego ojczy, jakby był modelką ze „Sports Illustrated”, zniewalającą istotą, której do końca nie pojmujesz, ale nie możesz przestać na nią patrzeć. Oczywiście, facet jest geniuszem, ale również gigantycznym zrzędą. Na czym polega jego czar?

– Nie rozumiesz. On cię wciąga – mówi Sam w powrotnej drodze do domu.

– Zakochałeś się w nim.

– Wreszcie spotkałem właściwą osobę – mówi Sam.

Jestem niemal pewna, że w tym momencie Sam jest z lekka obłąkany, ale poradzę sobie z tym, gdy tylko wrócimy do naszego domowego zacisza.

Najbardziej zdumiewającym zwyczajem Sama, który od razu zauważam, jest to, że on nie jada. Przez pierwsze dni jesteśmy przyklejeni do kanapy. Powstrzymuję zamiłowanie do kiepskich programów telewizyjnych i czytam wraz z nim. Dobrze mi to robi. Żadnych więcej głównianych programów reality. Wyciągam torebkę M&M’s i częstuję go.

– Nie, dziękuję, nie przepadam za słodyczami – mówi.

No cóż, jasne, ja też nie. Czuję głęboki wstyd z powodu swojego uzależnienia od cukru. Jak, do licha, mam zamawiać naleśniki co niedziela? Pałaszować lody o jedenastej w nocy przed pójściem spać? Może ograniczę spożycie śmieciowego jedzenia do godzin popołudniowych – w sekrecie, gdy nie ma go obok. Co by na to powiedziała Elizabeth Gilbert? Nie mogę przejść na głódówkę. Jestem dziewczyną. Próbowалаm już wcześniej i nigdy mi się nie udało.

Mijają godziny pierwszego weekendu. Przemijają pory posiłków. Sam, chudziutki, siedzi na kanapie i czyta mądre książki. Magazyn „People” to nie jego lektura, więc chowam swój egzemplarz za półką na książki. Nie odróżnia Julii Roberts od Sandry Bullock, na litość boską. Nie było go w kraju, gdy wybuchła moda na *Seks w wielkim mieście*, nie łączy nas zbyt wiele. Temu mogę zaradzić. Włączam pierwszy odcinek pierwszej serii. Gdy tylko słyszy muzykę, widzi Sarah Jessicę Parker w spódniczce baleriny, jego twarz wyraża pogardę. Nie może znieść gdakania, trajkotu, zakupów, czyli tych wszystkich rzeczy, które większość dziewczyn uwielbia. Potencjalna miłość mojego życia nie robi nic z tych rzeczy, które ja lubię: jeść, oglądać kiepskie programy telewizyjne. Chyba jednak bardziej przypomina Liz z *Jedz, módl się, kochaj* – miłośnik podróży, obserwator kultury, wędrowiec po wspaniałych stronach.

– Może powinniśmy wyjść na zewnątrz – podsuwa w drugim dniu weekendu nowych kochanków.

Tego się obawiałam – wycieczek, spacerowania w kółko godzinami – a jeśli tak jak on przestanę jeść, to umrę. Niski poziom cukru we krwi doprowadza mnie do obłądu. Powiedzmy sobie szczerze, M&M's nie zastąpią obiadu (choć powinny). Mimo że zdecydowanie lepiej czuję się, gdy dobrze zjem, nie potrafię zmusić się do dziobania marchewki.

Od obaw tylko krok do paniki, ale utrzymuję blady uśmiech na twarzy.

– Pewnie. Chodźmy!

Nadal mam perfekcyjny makijaż i włosy, ale odstawiłam soczewki. Nawet gdy się kontaktowaliśmy za pomocą komputera, wiedział, że jestem krótkowzroczna i nie noszę soczewek kontaktowych cały czas.

Nocą, gdy spaliśmy, musiał padać śnieg, bo całe miasto jest otulone pierzynką. Tak jakby Gwiazdka nadciągała specjalnie dla Sama (on jest Żydem). Wychodzimy na zewnątrz, śnieg jest głęboki, na całym Manhattanie zalegają zasy. Na pewno nie zajdziemy daleko. Kilka przecnic co najwyżej i wrócimy. W końcu jesteście starzy. Niby przypadkiem zapominam, że Sam spędził semestr, wspinając się w górach, i jest niesamowicie wytrzymały. W połączeniu z niejedzeniem stanowi to wielką zagadkę.

Zakutani w zimowe ciuchy, brniemy przez śnieg i przez kilka przecnic daję radę. Nie zabawimy długo w tej białej zimowej krainie czarów. Jest mroźno, palce mi zdrętwiały, a w głowie mnoży się godna primadonny lista skarg. I nagle przypomina mi się moja najlepsza przyjaciółka Rachel, gdy była w ciąży po raz pierwszy. Dorastałyśmy razem, a teraz ona podjęła tę nową podróż (bez znieczulenia). Musi być jej ciężko. Sekretarz stanu Hillary Clinton spędza połowę życia w samolotach, spotykając ludzi, biorąc udział w życiu społecznym, jedząc kiepskie posiłki i próbując żyć na spalinach. Nie wahałaby się, gdyby miała przejść kilka przecnic. Naprawdę jestem rozpieszczona.

W sumie przechodzimy dwie mile do Central Parku. Mam niski poziom cukru z winy Sama i jego manoreksji oraz swoich własnych prób dostosowania się do jego głodowego reżimu. Przywołuję moją wewnętrzną Julię i pozostaję stoicka i pogodna, ani razu nie narzekając (no może ze dwa razy). Chcę, aby myślał, że jestem radosną dziewczyną, gotową na wszystko – co oczywiście nie jest prawdą.

Czerpię zadowolenie z tych chwil, z przyjemnością myślę o szczęściu, które zbuduję, jeśli tylko postąpię zgodnie z maksymą Gretchen Rubin –

znaleźć czas na rzeczy, które nas uszczęśliwiają (nawet robię listy tak, jak ona sugeruje). Lubię być na powietrzu. Śnieżna pogoda ma dla mnie posmak nieba. Lubię i Kocham Sama. Co najważniejsze, jestem z mężczyzną moich marzeń. Raczmy się słońcem i śliczną śnieżną pogodą. Dzień jest piękny, mimo że on rzuca we mnie śnieżką. Jestem szczęściarą. Rok temu moja sytuacja była zdecydowanie inna.

Robimy sobie zdjęcia. Na każdym mam wielki uśmiech na twarzy i czuję go również w sobie. Dokazujemy w śniegu, dużo się śmiejemy i w końcu wracamy metrem do domu. Zanim docieramy do Chelsea, umieram z głodu. Nie można tracić czasu na głodzenie się. Sam również porzuca manoreksję i zamawiamy tłuste hamburgery z frytkami.

Kolejna przeszkoda to odsłonięcie szafki z DVD (wszystko z Duran Duran zostawiam na później, gdy zakotwiczę go w domu). Niektóre wstydlive filmy chowam, ale i tak zauważy moją obsesję na punkcie Stevena Seagala, komedii romantycznych, *Queer as Folk*, *Słowa na L* i dziewięćdziesięciu pięciu procent repertuaru Julii Roberts.

Nie spieszę się. Przekonuję go do obejrzenia łagodnej komedii romantycznej. Zachowuje się grzecznie i posłusznie i ogląda *Pokojówkę na Manhattanie*. Kocham Jennifer Lopez w filmach, więc on również powinien ją podziwiać. Nie ma ani jednego powodu, żeby tak nie było, skoro ona jest zaraźliwa, a jej uśmiech rozjaśnia ponure korytarze w hotelu, gdzie pracuje jako pokojówka (metafory i stereotypy w tym filmie wołają o pomstę do nieba, ale gra w nim J. Lo i muszę ją zobaczyć).

Chociaż Sam wydaje się zainteresowany filmem, po dwudziestu minutach pyta: „Czy to nie było przypadkiem nominowane do Oscara?”

Ha, ha, bardzo śmieszne.

Jednak ulega magii J. Lo. Spoglądam na niego i widzę łzy płynące po policzkach w momencie, gdy Jennifer zostaje zwolniona ze sprzątanania hotelu Ralpa Fiennesa i wyzywająco oznajmia matce, że nie będzie sprzątać domów.

Totalny cykor. Też pewnie bym tak zrobiła. Wreszcie znajdujemy coś, co lubimy oboje, *Podkomisarz Brendę Johnson*, gdzie – niespodzianka – gwiazdą jest przyjaciel mojego brata (moja wcześniejsza miłość ze *Sprawiedliwych*) Jon Tenney jako cierpiący chłopak Kyry Sedgwick. Za każdym razem gdy J.T. pojawia się na ekranie, Sam krzyczy: „Jon Tenney! Taki męski i czarujący!”

Lekcja pierwsza: Nigdy nie wyjawiaj wszystkich szczegółów ze swojego życia...

Pod koniec pierwszego wspólnego tygodnia już wiadomo, że Sam zostanie dłużej. Radzimy sobie razem wspaniale, ale nie zgadzamy na tyle często, że jest interesująco. Pierwotnie Sam miał wyjechać w Wigilię, teraz będzie musiał doświadczyć świąt z moją rodziną.

Gwiazdka to okres wyjątkowy dla Smithów/Kelleyów, bo wiąże się z urodzinami Patricka, co sprawia, że liczba prezentów zmieniających ręce i owijanie ich w papier to istna jatka. Zbieramy się w Wigilię, a uroczysty obiad jest następnego dnia. Nie wiem, jak Patrick to robi, że zawsze obchodzi urodziny przez kilka tygodni, w tym są minimum dwa przyjęcia honorujące jego przybycie na ten świat.

Powinam martwić się pierwszym spotkaniem Sama i Patricka. Chciałabym, aby się polubili, ale jestem już przyzwyczajona do wstrzemięźliwości Patricka. Nie chce, aby ktokolwiek mnie skrzywdził, co zrozumiałe. W przeszłości nie błysnęłam dobrym osądem. Natomiast Carlos już kocha Sama, więc liczę na to, że subtelnie nakłoni Patricka, aby i on go zaakceptował.

Gdy nadchodzi ten dzień, oboje przypadkiem wkładamy niebieskie stroje i nawet tego nie zauważamy, dopóki nie docieramy do mieszkania mamy. Wchodzimy, Don podnosi na nas oczy znad swojego ostatniego kryminału. Odkłada książkę, aby wstać, uśmiecha się i podaje rękę Samowi. Tak właśnie zachowują się zakochani. Jest jasne, że Don i Sam nadają na tych samych falach, które pozostają poza moim zasięgiem.

Wiem, że w drodze do domu Sam będzie rozmawiał o Donie cały wieczór: „Zauważyłaś, z jaką delikatnością Don nakłada sól wokół margarity?” lub „Podoba mi się, gdy odmawia czegoś Bonnie, a potem robi to, o co go prosiła. Zauważyłaś to?”. Jest bardzo zakochany. Nie ma dnia, aby nie pytał o Dona, o jego zdrowie, zainteresowania.

Patrick i Carlos zawsze się spóźniają, gdy wreszcie przychodzą, wyczuwam ekscytację – ale nie napięcie jak wtedy, gdy przyprowadzałam innych facetów, lecz pozytywną energię, jakby tym razem to była najlepsza osoba do przedstawienia rodzinie.

Napawam się chwilą, gdy Patrick i Sam podają sobie ręce. Ich uśmiechem, lekką kpina. Gdy Patrick uderza pięścią w ramię Sama – jakby to był młodszy brat – wiem, że mój brat wchodzi w ten interes.

Sam uwielbia spędzać czas z rodziną – swoją, moją lub innych krewnych, jakich tylko może znaleźć. Ze swoim bratem Warrenem rozmawiają co

najmniej dwa razy dziennie, już nawet potrafię przewidzieć, kiedy zadzwoni telefon – gdy Warren jest w drodze z domu lub z pracy, gdy Sam przychodzi z siłowni do domu lub o siódmej czterdzieści pięć rano. Bloomowie również odwiedzają się często, planując na ostatnią chwilę podróże do Nowego Jorku lub Orlando, gdzie mieszka brat Sama z rodziną. Jego rodzina chętnie poznałaby moją, a przynajmniej sprawdziła, w co Sam się pakuje.

W ciągu niespełna dwóch tygodni od przybycia Sama do Nowego Jorku jego brat, bratowa i dwie bratanice przylatują z Florydy i spotykają większość klanu Smith/Kelly. Mama z moją pomocą nerwowo aranżuje kolację w restauracji West Village. Patrick i Carlos nie mogą przybyć.

Jak zwykle zażywam środek uspokajający, bo nie wiadomo, jak się sprawy potoczą. Czy wszyscy się dobrze dogadają? Czy mój ojczym będzie się porządnie zachowywał? Jak bardzo znudzone będą bratanice? Czy wszyscy mnie znienawidzą? Czy mama zmusi mnie do zamówienia przekąski? (Jeżeli nie, to znaczy, że coś jest nie w porządku).

Starsza bratanica Kyra niedomaga i zostaje w hotelu, dorosłym towarzyszy Gaby, niebieskooka dziewczyna z jasnobrązowymi włosami, nastoletni cherubinek. Gaby jest opanowana w trakcie całego posiłku, nawet gdy mój ojczym używa słowa na P. Nie peszy jej to nawet na sekundę i spokojnie kontynuuje wysyłanie SMS-ów do znajomych. Mama jest niesamowitą rozmówczynią, dzięki czemu wszystko gładko się toczy, zabawia Elise, żonę Warrena, która przypomina Gaby. Nie sądzę, abym cokolwiek przełknęła, ale czuję głęboką satysfakcję, że wszyscy się dobrze dogadują. Wieczorem spotykamy się z Kyra, piękną brunetką zakochaną w teatrze. Spotkaliśmy już tych, których mieliśmy spotkać, i jakoś nie zniszczyło to naszej relacji.

W każdym związku dochodzi do poważnego starcia, choć odbywa się to w sposób kulturalny. W książkach, które redaguję, pary skazane na bliskość idealnie do siebie pasują. Gdy Jake Hunter musi wykorzystać dom Cassie, aby szpiegować złego sąsiada (który pod przykrywką firmy ogrodniczej handluje tonami heroiny), żyją sobie w harmonii, czasem się sprzeczą, ale chyba tylko dlatego, żeby przykryć gorące pożądanie. Zaskakują się miłymi drobiazgami. On wie, jak zrobić omlet (wszyscy bohaterowie wiedzą, co jest dziwne), a ją tak łatwo pokochać.

W ciągu pierwszych tygodni mościmy sobie rozkoszne gniazdko

i akceptujemy fakt, że nasz związek nie podlega ograniczeniom czasowym. Sam cudem znajduje pracę w semestrze wiosennym i ma kilka dni, aby przygotować się do wykładów. Ja mam swoją pracę i w ten sposób oboje mamy zajęcie. Podobnie jak Cassie i Jake z łatwością się zgadzamy, dopóki na drodze nie staje rzeczywistość. Nocami Sam chrapie pod sufit. Muszę go szturchnąć i poprosić, aby przewrócił się na bok. Czasem wrzeszczy na mnie, że tego nie robi. Czasem ulega.

Po porzuceniu głodówki Sam zjada moje jogurty, wszystkie resztki i spakowane drugie śniadanie. Gdy kupuję artykuły spożywcze, znikają w mgnieniu oka. Zjada moje rzeczy i za to nie przeprasza. Kupuję więc podwójne porcje. Jednak mój harmonijny krajobraz zostaje zakłócony.

Szybko do niego dociera, że mam kłopoty ze snem, zwlekam z pójściem do łóżka w nieskończoność i aby zasnąć, serwuję sobie końską dawkę środków uspokajających. Nie zawsze działają. Sam odpływa w pięć minut po przyłożeniu głowy do poduszki. Około drugiej w nocy budzi się i czyta, a potem ponownie zasypia. Twierdzi, że wystarczy mu pięć godzin snu, aby dobrze funkcjonować, ale naprawdę śpi osiem godzin i jeszcze ucina sobie drzemkę po południu. To nie w porządku. Cassie i Jake nigdy nie mieli problemów z zasypianiem.

Codziennie biorę prysznic, czasem nawet dwa. Sam bierze więcej. Uwielbia brać prysznic, czystość, słodko pachnące włosy i pustą umywalkę. Ma obsesję na punkcie swoich ręczników, mydeł i żeli do mycia twarzy. Nie myję włosów częściej niż co trzy dni, bo są tak gęste. Sam kręci nosem już po drugim dniu. Moje kąpiele w pianie i przy świecach odbywają się w sekrecie, od kiedy Sam, obserwując mnie, skomentował: „Kąpiesz się we własnym brudzie”. Miło. Jake nigdy by czegoś takiego nie powiedział. Sam – co oczywiste – nie ma pojęcia, jak dziewczyny lubią sobie dogadzać.

Po jedzeniu zostawiam naczynia na stole, no wiesz... na kilka dni. Sam od razu wszystkie zbiera, zanim zabierze się do czegokolwiek innego. Prawie w ogóle nie gotuję, wolę, gdy jedzenie do mnie przyjeżdża, co oznacza, że nie ma brudnych naczyń. Sam gotuje tajskie od podstaw i w zasadzie mógłby być szefem kuchni. Ma taki talent, że mama czuje się nieswojo, gdy odwiedza ją w jej kuchni. Ale uwielbia jego potrawy.

Zanim Sam przyjechał, robiłam gruntowne porządki w domu raz na tydzień. Teraz, gdy na stole piętrzą się filizanki, ciągle się jada, kurz się zbiera, łóżko niezastane, stosy bielizny do prania, nie robię nic. Chodzi o to, że nie mogę jednocześnie pracować, sprzątać i być w związku. To znaczy mogę, ale nie chcę. Staramy się, jak możemy, ale jest trudno. Nie

zapraszamy nikogo do domu, bo jesteśmy bałaganiarzami. Należy dodać, że w ogóle nie interesuje nas dekorowanie wnętrza, co w praktyce oznacza, że mieszkamy w jaskini pełnej zniszczonych, dwudziestoletnich mebli.

Każdego dnia żyję bardziej spontanicznie, lekko i wprawia mnie to w dobry nastrój. Nie musimy być tak perfekcyjni jak Jake i Cassie. Akceptujemy nasze preferencje bez słowa protestu. Staram się być tolerancyjna a on jest najbardziej wyluzowanym facetem, jakiego znam. Dogadujemy się doskonale dopóty, dopóki którejś nocy nie wychodzi ze swoim kolegą z Taft School Reidem.

Przez większość życia towarzyszył mi w nocy hałas. Normalne dźwięki miasta, ludzie kłócący się lub mówiący głośno, imprezy, wybijające ze snu zmyślenia i dziwaczne telefony o trzeciej nad ranem. Złe sny sprawiają, że zaczynam się trząść i co najmniej przez godzinę nie mogę ponownie zasnąć. Teraz gdy stuknęła mi czterdziestka, nienawidzę przerwane snu.

Ponieważ jestem w nowym związku i ciągle odgrywam rolę radosnej dziewczyny, cieszę się, że Sam chce spotkać się z kumplem. Dlaczego nie? Musi wyjść z facetem i spuścić parę. Czy ze względu na to, że muszę pójść jutro do pracy, mógłby wrócić przed północą? Jasne, kochanie, nie ma sprawy. Każde z nas cieszy się z zaplanowanego osobno wieczoru.

Noc upływa, a ja czekam i czekam. Ani słowa od Sama. Wreszcie zapadam w sen z nadzieją, że mnie nie obudzi, ale gdyby tak się stało, to też w porządku, bo z większym wyluzowaniem podchodzę do rzeczywistości.

Około drugiej otwierają się drzwi i po cichutku wchodzi Sam. Prawie nic nie mówi, natychmiast zdejmuje spodnie i marynarkę, kładzie się do łóżka i leży nieruchomo przez kilka godzin. Sądząc po jego milczeniu i ostrożności, zgaduję, że jest totalnie pijany. Chce mi się śmiać, ale nie mogę, bo nienawidzę takich chwil.

Z jednej strony może poimprezować, jeśli chce. Z drugiej, czy to wejdzie mu w krew?

Nie odzywam się do niego prawie cały dzień, bo prześladowają mnie neurotyczne myśli: najpierw czekam, aż wróci do domu, zastanawiam się, czy jest pijakiem i dlaczego niby nie mogę wyluzować i pozwolić mu zabawić się z przyjacielem?

Te wszystkie zmartwienia rujnują mi dzień. Także to, że był taki nieczuły, nie wziął pod uwagę, że późny powrót mnie zasmuci. Gdybyśmy mieli osobne sypialnie, problem byłby mniejszy. Czy chcę się związać z kimś, kto wraca o drugiej nad ranem? Naprawdę jestem staroświecka i tylko transplantacja mózgu może to zmienić. Wie, że nienawidzę powrotów

w środku nocy. Dlaczego to zrobił?

Na szczęście to zdarzyło się tylko raz, a mnie udało się zemścić, gdy poszłam podziwiać, jak uczy klasę francuskiego o dziewiątej rano następnego dnia. Miał okropnego kaca.

Od dawna wiedziałam, że Sam jest tym Jedynym, być może już od tej chwili, gdy na Facebooku zadeklarował miłość razem ze szwajcarskim roztworem soli. W ciągu pierwszych tygodni i miesięcy wspólnego mieszkania delikatnie mnie zachęca do wyjścia ze skorupy – abym bardziej udzielała się towarzysko, porzuciła sztywność, więcej się śmiała. Lecz właśnie wtedy... zdarza się coś, co mogło stać się powodem do rozstania.

– Jedźmy do Miami – mówi Sam, a ja widzę jasny błysk w tych jego zielonych oczach.

Mój opór rośnie. Co, do licha, mam podróżować? Z mojego punktu widzenia to negatywna strona w związku, choć normalna osoba uznałaby ją za pozytywną – trzeba bywać w różnych miejscach, gdy się z kimś jest. Och, dobry Boże. Mam przebywać w samolocie z tym mężczyzną. Albo mi zaklepie miejsce przy oknie, albo jest martwy. Z jakiegoś powodu, jeśli mogę wyglądać przez okno samolotu i widzieć, dokąd zmierzamy, mam przeświadczenie, że mentalnie kontroluję tę metalową tubę. Nie jestem jak Elizabeth Gilbert, choć tak bardzo bym chciała nią być.

Tym razem nie mam wyjścia, muszę lecieć na Florydę na konferencję pisarzy romansów. Myślałam, że polecę sama i sama będę cierpieć w samolocie jak zwykle. Dlaczego tylko ja? Oczywiście, do Miami polecimy razem.

– Jasne, muszę poznać twojego ojca – mówię.

Skoro mam lecieć z Samem, to zapinam pasy i lecę. Muszę się spotkać z jego ojcem. Pomijając to, że Sam i jego brat mają obsesję na punkcie swojego ojca, rozmawiają o nim ustawicznie, sama też chciałabym spotkać mężczyznę, który dał mi Sama.

– On chce cię poznać.

Zawsze chciałam spędzić trochę więcej czasu na Florydzie, a to jedyny sposób, aby to osiągnąć. „Bardzo chcę pojechać”. I przyrzekam sobie, że będę zachowywać się jak opanowany, dorosły człowiek w pogodnej piątej dekadzie życia. Jakie są szanse, że będzie padać w trakcie lotu? Nienawidzę latania w czasie deszczu.

Jak na ironię w dniu wyjazdu leje jak z cebra. Moi duchowi przewodnicy

zaśmiewają się do rozpuku z tej mizerii, którą mi zgotowali. Niebo łzawi, co mi przypomina mgłę, która zabiła Johna Kennedy'ego Juniora, jego żonę i jej siostrę w 1999 roku, gdy ich samolot runął do Atlantyku.

Takie oto myśli prześladują mnie, gdy siedzimy w korku w drodze na lotnisko LaGuardia. Mamy dwie godziny zapasu i z uwagą przyglądamy się niebu, z tym, że ja mam nadzieję, że lot zostanie odwołany i podróż się opóźni.

Niestety, szczęście mi tym razem nie dopisuje.

Na lotnisku mamy dużo czasu. Sam kupuje piwo, a ja cztery magazyny o gwiazdach w ramach gorączkowej próby „zeczytania” tego dwuipółgodzinnego lotu. Powtarzam starą mantrę: „Będę się zachowywać jak dorosły człowiek”. Mimo że już formuje się we mnie wir strachu, nie pozwolę, aby to dostrzegł. Jeżeli będę musiała wymiotować, z gracją udam się do toalety, choć mam wrażenie, że Sam bez oporu chwyciłby mnie za koński ogon, przytrzymując głowę, gdy rzygam do torebki. Gdybym miała mu na to pozwolić, spięłabym włosy z tyłu i włożyła soczewki, ponieważ okulary mogą spaść w trakcie ciężkich wymiotów, jak to pokazują w horrorach.

Już jesteśmy na pokładzie. Spoglądam przez okno i widzę niebo upstrzone rozeźlonymi chmurami. Latam całe życie, po całym świecie. Kiedyś wpadliśmy w system trzech burz (dziękuję ci, Toronto, to było dwudziestego szóstego października 2005 roku) i nic się nie stało. Czy jedna mała podróż do Miami może mnie zabić?

Przeżuwam połowę puszki altoidów, to nieoceniona pomoc w sytuacji kryzysowej i – owszem – połykam połowę przeznaczonego dla zwierząt środka uspokajającego. Nerwy mi trochę puszcza, ale jeszcze je kontroluję. Sam czyta gazetę i wygląda na to, że za chwilę zaśnie. Głowa przechyla mu się do tyłu, gdy podchodzimy do startu, podczas gdy mnie ogarnia przerażenie.

W pierwszych minutach podskakujemy jak na wyboistej drodze. W głębi duszy przeklinam i modlę się do białego pochmurnego nieba, aby okazało litość. Sam, zanim zapada w sen, bierze mnie za rękę. To delikatne wsparcie, które sprawia, że natychmiast się relaksuję.

Moje serce wie, że go kocha. I będzie zawsze kochać. Jest tym jedynym dla mnie. Nie mam wątpliwości. Nie zraza go moja zwariowana natura. Jest wystarczająco mądry, aby pozwolić mi samej uporać się z atakiem paniki.

Po wyjściu z burzy podziwiam piękny widok za oknem. Czuję ulgę po traumie i zauważam pozytywną stronę przygody. Oddycham. Skręcamy nad

Ocean Atlantycki, co mi się nie zdarzyło od wielu lat, i przez chwilę mam ogromną ochotę wrócić do Francji, kraju, który kiedyś nazywałam domem. W Miami lądujemy nocą, natychmiast uwodzą mnie światła miasta. Cały czas się uśmiecham. Przetrwaliśmy!

Sam szybko zabiera mnie do dużego kondominium ojca położonego w dzielnicy Miami zwanej Coconut Grove. Jego ojciec, Bill, grubo po osiemdziesiątce, wychodzi z pokoju na tyłach i wita nas serdecznie.

Czarujący w klasyczny sposób, po prostu „gość”. Już w ciągu pierwszych minut wiem, skąd u Sama ten błysk w oku. On też tak będzie wyglądał, gdy stuknie mu osiemdziesiątka. Jego ojciec ma charakterystyczne dla całej rodziny jasne zielone oczy, czystą, opaloną cerę i szeroki uśmiech.

– Miło cię poznać, kochanie – mówi.

Gdy starszy pan nazywa mnie „kochaniem”, to już po mnie. Łapie mnie za rękę i pokazuje dom.

Pierwszej nocy w Miami kładę się do łóżka i natychmiast zasypiam. Nie myślę o przyszłości z Samem, o tym, czy się pobierzemy, kupimy dom, spędzimy wszystkie dni razem. Nie odczuwam żadnej presji, chcę tylko odpoczywać. Jestem pewna, że zmierzamy w dobrym kierunku, bez względu na to, co nas czeka na końcu tej drogi.

Przez trzy dni dokazujemy po Miami. Każdego poranka spacerujemy wokół Grove Isle, ćwiczymy w klubie fitness, pływamy w błyszczącym basenie, chodzimy do eleganckich restauracji w South Beach. Oczarowują mnie drzewa palmowe, dotąd znałam tylko północnowschodnie lasy liściaste i roślinność pustynną Nowego Meksyku. Temperatura powietrza oscyluje wokół dwudziestu pięciu stopni, więc bez problemu zakładamy szorty i T-shirty. Sam powtarza, że Miami się nie zmienia, ale jestem pewna, że czuje radość z powrotu do domu po pobycie w Dużym, Złym Nowym Jorku.

Jeżeli podróż może sprawiać tyle radości, to chętnie z nim będę jeździć.

W którymś momencie Sam przegląda rzeczy w starej szafie. Ponieważ tak dużo podróżował przez te wszystkie lata, jego rzeczy są rozproszone – w magazynie, u brata, u ojca, a teraz również u mnie. Pamięta jednak, gdzie włożył zdjęcie nas obojga z balu w szkole Taft wiele lat temu.

Wyciąga pudełko od butów i stawia je na łóżku. Przegląda zdjęcie po zdjęciu i wyciąga to, na którym jesteśmy razem. Nawet nie pamiętam tej chwili, ale jestem wzruszona, że jemu utkwiała w pamięci. Nie byłam dla niego jedynie przemijającym kaprysem, zostałam z nim przez lata.

Zdjęcie jest bardzo zabawne. Oto jestem – z fajnymi włosami,

w niebieskiej sukni, a Sam w smokingu. Każde ma inny wyraz twarzy – moja szczęka opuszczona z zaskoczenia, Sam z nieomal stoickim uśmiechem na ustach. Przez kilka miesięcy dzieliliśmy się swoimi wspomnieniami o nas z tamtych lat. Moje są bardziej mgliste niż jego. Pamiętam tańce, jego w roli szkolnej legendy, ale nie kojarzę momentu zrobienia zdjęcia. On ten moment pamięta, także inne, gdy idę korytarzem, gdy nawołuje mnie koło stawu i przyłapuje na paleniu z innym chłopakiem. Gdyby to wszystko zsumować, to wychodzi, że Sam był we mnie lekko zakochany. A gdyby ktoś mi wtedy powiedział, że ten popularny chłopak jest do wzięcia, pobiegłabym za nim w te pędy.

Kto by przypuszczał, że wiele lat później znowu się spotkamy, zamieszkamy razem i być może będziemy dzielić przyszłość?

Rozdział trzynasty

Gdy w grę wchodzi pierścionek

Zawsze będę oglądać *Seks w wielkim mieście*, nawet nudne kontynuacje, nawet milion nędznych imitacji. Uwielbiam opowieści o kobietach, które trzymają się razem, noszą świetne ciuchy i rozwalają swoje związki. Teraz w kinach grają *Seks w wielkim mieście 2*, muszę więc to zobaczyć. Ponieważ moje biuro zajmuje się romansami, na najnowszy film udajemy się całą wycieczką.

Muszę przyznać, że z naszą pracą wiąże się pewien luksus. Jesteśmy zobowiązani do szukania trendów, czyli wskazywania, które programy, filmy i książki wskoczą na szczyt rankingów. W jaki sposób ta wiedza pomaga w biznesie?

Raz w miesiącu całą grupą oglądamy w pracy film i omawiamy go w powiązaniu z naszą dziedziną – to taka minilekcja angielskiego. Dotyczy to także książek, które czytamy, wydanych przez nasze wydawnictwo lub inne. Gdy pojawia się taka gratka jak *Seks w wielkim mieście*, nie podlega dyskusji, że wszyscy musimy go zobaczyć. Maszerujemy w grupie do kina Regal koło West Side Highway i zajmujemy miejsca.

Wielu z nas pracowało dla Harlequina, gdy *Seks w wielkim mieście* był na topie, więc rzecz jasna, trajkoczemy najgłośniej. Serce mi zamiera, gdy Liza Minnelli śpiewa *Single Ladies*, choć nigdy bym nie pomyślała, że Stanford i Anthony będą pracować jako para. Potem Big i Carrie mają kłopoty małżeńskie, ona chce wyjść na miasto, on woli zostać w domu i leżeć na kanapie (jakby to naprawdę było takie złe). Gdy nuda staje się nie do zniesienia, dziewczyny jadą do Abu Dhabi. Po prostu zbierają się i jadą, bo mogą sobie na to pozwolić. Tam, na pustyni, noszą powiewne suknie i artystycznie udrapowane szale i jeżdżą na wielbłądach. Zatrzymują się w pałacowym hotelu i każda ma swojego kamerdynera.

Zadaję sobie odwieczne pytanie: którą z tych dziewczyn jestem ja?

Oglądam film z wielkim zainteresowaniem i utożsamiam się z głównymi bohaterkami. Nie brakuje w nim pokazów mody znanych z poprzedniego filmu, biadolących kobiet i trochę kulawo postawionych problemów: jeżeli jesteś żoną Biga (alfa, ale zmienia się w beta z pazurem), to czy warto spieprzyć takie życie z Aidanem? Pytam serio, warto? Nie przekonuje mnie

to, ale oglądam dalej, zadowolona, że Aidan wrócił, bo zawsze uważałam, że to wspaniały facet, w sam raz dla Carrie. Przynajmniej Samantha uprawiała seks z tym gorącym biznesmenem na jeepie w święto Czwartego Lipca.

Po filmie mam złe przeczucia jedynie co do Carrie i jej niechęci do prowadzenia prozaicznego życia po wyjściu za Pana Odpowiedniego. Dlaczego jej to nie uszczęśliwia? Ja jestem gotowa na nudne życie, bo miałam już sporo ekscytacji – przeprowadzka do Ohio, Nowego Meksyku, Nowego Jorku, nie wspominając o wszystkich związkach. W mojej relacji z Samem pojawiają się prozaiczne chwile, ale znacznie częściej, głównie dzięki niemu, śmieję się do rozpuku. Zastanawiam się, czy jednak nie jesteśmy dziwakami lub czy małżeństwo stanie się z czasem nudne i będę szukać atrakcji gdzie indziej. Wstrząsam się na samą myśl o tym.

Wychodzimy z kina. Moje przyjaciółki Gail i Ann Leslie pytają, jak nam układa się z Samem. Obie kobiety noszą prześliczne letnie sukienki, bo dzień jest gorący. Ja mam na sobie spódniczkę khaki, którą od dawna zamierzałam wyrzucić, ale nie zrobiłam tego, bo jest taka wygodna. Wydają się zainteresowane, jak rozwija się moje życie miłosne. Ponieważ mieszkam z Samem i jesteśmy szczęśliwi, mam wrażenie, jakbym wstąpiła do wyjątkowego klubu.

Czy lubię mieszkać z kimś? Czy uważam, że ten związek rozwinie się w coś poważniejszego? Czy nie byłoby fajnie, gdybyśmy się pobrali? Pomogłyby mi w planowaniu wesela. J.Crew ma ładne suknie. A potem opowiadają, jak same wychodziły za mąż, dawno temu, i czy nie byłoby wspaniale, gdyby znowu ktoś z biura wziął ślub. A może dziecko? W Harlequinie co roku mamy co najmniej jedno małżeństwo, jedno zaręczyny i/lub jedno dziecko.

Jedną z korzyści pracy z kobietami jest możliwość gadania o takich rzeczach. W trybie natychmiastowym tworzy się grupa wspierająca, co jest istotne w takich okresach życia, gdy każda pomoc jest potrzebna.

– Sam i ja świetnie się bawimy – mówię Ann Leslie i Gail.

To prawda. Nie odczuwam innej presji niż ta, aby cieszyć się z tego związku na maksa.

Powieści, które czytuję, nigdy nie zajmują się tą stroną relacji męsko-damskich. Romans w miarę szybko musi doprowadzić do propozycji małżeństwa. W powieściach niewiele czasu poświęca się na gotowanie obiadu czy wspólne robienie prania. W poprzednich związkach pragnęłam szybko znaleźć odpowiedzi: „Muszę wiedzieć, co mnie czeka w przyszłości.

Czy ten facet podziela moje uczucia?”.

Żadna z tych kwestii nie prześladowuje mnie w relacji z Samem, nie czuję potrzeby, żeby to wiedzieć. Jesteśmy spełnionym marzeniem. Uwielbiam składać pranie, gdy przynosi je z pralni do domu. Uwielbiam wchodzić do kuchni, gdy gotuje i każe mi opuścić swoje terytorium. Uwielbiam jego obsesję na punkcie jedwabnych kalesonów na zimę. Uwielbiam, gdy bardzo głośno się śmieje. Chodzenie z nim do restauracji to przyjemność, bo rozmawiamy jak nieznajomi, którzy dopiero się poznają. Uwielbiam, gdy wywołuje mój śmiech i rozładowuje napięcie wtedy, gdy się na niego wściekam. Tyle rzeczy kocham w Samie, że inne – jak małżeństwo – byłyby bonusem, którego tak naprawdę nie potrzebuję.

Wracam z kina do domu i widzę, jak Sam wkłada do kieszeni małe pudełeczko.

Nie ukrywa tego przede mną, wydaje się pozbawiony emocji, a jednak jego palce nerwowo drżą. Gdy jest zdenerwowany, zwykle drży i unika kontaktu wzrokowego. Na koszuli ma kropelki potu. Nie chcę przyznać, że podejrzewam, co jest w tym pudełku, lub że domyśliłam się na podstawie wcześniejszych aluzji. Zamierzam cieszyć się tą chwilą od początku do końca.

– W Mary Ann mają teraz happy hour. Miałabyś ochotę na margaritę? – pyta.

Choć pogoda z początkiem czerwca jest ciepła, wkłada sportową marynarkę na białą koszulę, do ciemnych spodni. Formalny strój na normalny wieczór w restauracji meksykańskiej? Włosy ma szesane do tyłu, co jest dziwne, bo tego dnia nie pracuje. Jego zajęcia w Barnard skończyły się już w tym semestrze, a następne będzie miał dopiero od jesieni.

– Pewnie. Chodźmy na margaritę.

Cały czas się uśmiecham. Moje życie diametralnie się zmieniło w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy. Kosmos ma niezłą radochę, patrząc z wysoka, jak rozsypuje się w proch moje postanowienie bycia singielką, po tym jak nagle opuścił mnie Superman. Jak udało mi się znaleźć to szczęście? Czy miłość powinna wywoływać takie przyjemne uczucia? Przez sześć miesięcy raz było lepiej, raz gorzej, ale nie mogę sobie wyobrazić, że nie będzie go obok mnie.

W ciągu długiego spaceru trzy przecznice dalej przyglądam mu się i staram się zapamiętać każdą sekundę tego momentu. Ludzie kiedyś będą

pytali o naszą wspólną historię. Odnotowuję słońce lekko za mgiełką, moją zbyt obszerną spódniczkę khaki i czarną bluzkę. Sąsiadów, którzy nas mijają i rozpoznają. Zazwyczaj trzymamy się za ręce jak każda świeżo upieczona para, ale nie tym razem. Teraz jest inaczej. On trzyma ręce blisko swojego boku, jakby strzegł spodni.

Sprawdzam poziom swojego podenerwowania. Zero. Czy to nie dziwne? Na ogół wszystko wywołuje u mnie lekkie zdenerwowanie: spacer do metra, wyjście do siłowni, bieg na bieżni, obecność w pracy, wyjście z pracy, pójście do łóżka, spotkanie z kimś przy kawie. A teraz, gdy za chwilę mam się zareczyć, nawet nie drgnie mi oko. Zamiast tego czuję się jak mama wspierająca syna w pierwszym dniu szkoły. Sam zamierza się oświadczyć, chcę, aby miał ułatwione zadanie.

– Jak ci minął dzień? – pytam, a potem spoglądam w dół na swoje sandały.

Gorączka uderza mi do głowy. Sam jest taki przystojny, aż mnie zatyka, gdy to teraz dostrzegam. Patrzę na niego i myślę: „Rety”. Facet o tych atrakcyjnych, nieco surowych rysach, w których jednocześnie czai się dawny szkolny klaun. Równie dobrze będzie wyglądał wśród przystojniaków w „GQ” jak w jednym szeregu z Jimmym Fallonem⁴².

Czuję jego wzrok na sobie i spoglądam w górę. Jego uśmiech rozbraja mnie i natychmiast znika nieśmiałość. Ten uśmiech pozwala mi przetrwać każdy dzień. Jego uśmiech to śmiertelna broń, dzięki niej będziemy bezpieczni. No i te jego oczy... Na chwilę tracę zmysły, chcę stanąć i całować go na chodniku – czasem to robimy – ale tym razem idziemy dalej.

– Miałem *wspaniały* dzień – mówi, naśladowując maniery, z jaką moja mama wymawia słowo „wspaniały”.

W pewien sposób czuję się jego żoną od chwili, gdy pojawił się w moim życiu, gdy pierwszy raz rozmawialiśmy przez telefon lub od chwili, gdy nieco żartobliwie powiedział, że chce ze mną zamieszkać i być ojcem moich dzieci. Jestem tak pewna tego, co czuje, że nie muszę się denerwować.

Dochodzimy do czerwonego budynku, w którym mieści się restauracja Mary Ann's, serwująca potrawy meksykańskie. To sieć obecna na całym Manhattanie. Zawsze tu tłoczno, jakby klienci wracali raz za razem. Wystrój jest minimalistyczny, ale po detalach widać, że to meksykańska knajpka. Często tu z Samem jadamy. Ponadto serwują tu mrożone duże margarity, które on lubi wychylać po długim stresującym dniu.

Siadamy, udaję, że nic nie wiem o pudełku z pierścieniem. Ponownie

powtarzamy banały: „Jak ci minął dzień?”, „Jestem zadowolony, że już prawie lato”, „Podoba mi się ten świąteczny nastrój, gdy ludzie wylegają na ulice”. „Czy powinniśmy znowu pojechać do Miami? Twój ojciec jest taki kochany”.

No właśnie, oto wchodzę na wyżyny prowadzenia miłej pogawędki. Nieuchronnie zapada cisza, gdy kelner przynosi nasze drinki, tak jakby wiedział, co się szykuje. Popijam drinka i udaję, że pochłania mnie studiowanie powierzchni stołu.

Bum. Sam stawia pudełko na środku stołu, gdy jestem w połowie łyku.

– Zastanawiałam się, co to jest – mówię z fałszywą skromnością.

Sam nie potrafi utrzymać niczego w sekrecie i miałam okazję odkodować kilka jego rozmów telefonicznych z bratem. Mieszkamy w kawalerce. Nie ma w niej miejsca na tajemnice.

Bez wahania biorę pudełko i otwieram je, wiedząc, że spodoba mi się to, co zobaczę. Czterdzieści jeden lat. Moja wielka chwila. Mój książę. Otwórz się, Sezamie.

A tak on wygląda. I jest mój.

Okrążyły brylant mruga do mnie, zapraszając, abym go wzięła. Widziałam tuziny brylantowych pierścionków, kilka nawet nosiłam, choć należały do przyjaciół lub rodziny. Ten jest tylko dla mnie.

Mój pierwszy i jedyny.

Pokochałam ten kamień od pierwszego wejrzenia, złotą oprawę, to przejmująco piękne dzieło sztuki jubilerskiej. Ten pierścionek oznacza ochronę i miłość. Śmiejąc się, uradowana wkładam go na palec. Choć nigdy nie dbałam o tradycję, w tej chwili doceniam ją całym sercem. To moja przyszłość. Nie potrzebowałam pierścionka, ale biorę go.

– Och! – Jestem tak zahipnotyzowana, że zapominam spojrzeć na Sama.

– I chciałbym zadać pytanie... – mówi miękko, popijając swojego drinka, ręce mu drżą.

Można pomyśleć, że ktoś tak przystojny i mądry z łatwością podoła temu obrzędowi. Ale nie *ten* pan młody. Za chwilę narobi w spodnie.

– Czy wyjdiesz za mnie? – pyta, a jego oczy rzucają szybkie spojrzenia po całym pokoju.

Oświadczyły są rzeczowe, niemal warte śmiechu – zamawiamy chińskie czy tajskie? Sam na ogół przejawia większy entuzjizm, ale domyślam się, że jest zdenerwowany. Jako ktoś, kto łatwo ulega atakom paniki, uważam, że to doskonała forma oświadczyń – normalnie, bez fanfar, z wcześniej wysłanym do mnie sygnałem.

– Tak.

Dwie sekundy później czuję zawrót głowy, którego doświadczają wszystkie przyszłe panny młode. „O-mój-Boże-muszę-wszystkim-o-tym-opowiedzieć... i zmienić swój status na Facebooku na Zaręczona!”.

Nie myślałam – podobnie jak inni – że tak potoczy się moje życie. Rodzina oczekiwała, że już zawsze będę samotna, a ja chciałam pozostać samotna. Kto zniósłby towarzystwo szalonej dziewczyny, która nie lubi wychodzić z domu?

Sam to zmienił. Wyciągnął mnie z pułapki mojego umysłu. Zapominam, że powinnam się bać, i daję się ponieść tej fali miłości.

Siorb, siorb.

– Jak się czujesz? – pytam.

– Dobrze. Żadnego strachu tak jak za pierwszym razem, a potem za drugim – zauważył Sam, odnosząc się do swojej byłej żony i opuszczonej narzeczonej.

Nadal się uśmiecham i nie przestaję patrzeć na pierścionek na palcu. Przynoszą jedzenie – nie pamiętam, co zamówiłam – i zamiast jeść, patrzę na pierścionek, na Sama, rozmyślam o szoku, który przeżyje moja rodzina, gdy o tym usłyszy. Nie mogę się doczekać, aż wszystkim o tym opowiem. Czy możemy już wyjść? O rany, będę jedną z tych kobiet w pięknej sukni, która kroczy nawał otoczona rodziną. Moglibyśmy też potajemnie uciec do Vegas lub pójść do ratusza. Nie jesteśmy wystarczająco bogaci, aby wyprawić duże wesele.

To wywołuje dyskusję na temat daty ślubu.

– Gdy tylko będzie nam pasowało – mówi pan młody. – Może za rok, w maju.

Wolałabym luty, ale co tam. Rok oczekiwania to stanowczo zbyt długo. O Boże, byłam taką normalną dziewczyną, której nie zależy, która spokojnie czeka. Teraz jednak jestem przyszlą panną młodą, diwą.

– Może zaplanujemy wcześniejszy termin, na przykład w czasie długiego weekendu. Z okazji Dnia Prezydentów – sugeruję.

– Jasne.

Uśmiechamy się do siebie, w sercu czuję cudowne ciepło. Przygotował się na tę chwilę, przemyślał wszystko. Przyjaciółka powiedziała, że zaręczyny są nieważne bez pierścionka. Mam pierścionek.

Nie sądzę, abym cokolwiek przełknęła. Skubię trochę ryżu, a potem znowu zerkam na pierścionek. Gdzie podziało się zdenerwowanie? Podoba mi się ten nowy spokój i czuję, że to wielka zasługa pierścionka. Sam

delektuje się drugą margaritą, a ja zaraz wyskoczę z krzesła. Muszę. Dzwonić. Mama. Chyba urodzi krowę. Nie mogę się doczekać, aż wszystkich zszokuję. Typowy objaw narcyzmu zaręczynowego, ale jaka świetna zabawa.

Gdy tylko wchodzę do domu, dzwonię do mamy i przekazuję jej nowinę. Mama jest przyzwyczajona do żalonych telefonów, biadolenia na temat moich różnych traumatycznych przeżyć. Chcę jej natychmiast powiedzieć, że tym razem uśmiechnęło się do mnie szczęście. Na ogół wylewa z siebie potok słów.

Tym razem w kółko powtarza trzy słowa. „O mój Boże...”.

– A potem dał mi pierścionek...

– O mój Boże... – Mama rzadko traci umiejętność wysławiania się.

– Muszę zrobić sobie profesjonalny manikiur, a nie te okropne własnoręczne.

– O mój Boże...

Odzyskuje przytomność na tyle, aby zapytać, kiedy planujemy wesele.

– W lutym lub w maju – mówię.

– Może we wrześniu tego roku? – pyta. – My, starzy, musimy się spieszyć. Chyba dostanę zawału. O mój Boże...

Reszta konwersacji składa się z wielokrotnego powtarzania „O mój Boże...” i małych wybuchów emocji pełnych pochwał dla Sama. Ten chłopak zostanie jej zięciem. Będzie go miała na pełny etat, własnego wykładowcę akademickiego do zabawy. Nie jestem w stanie sobie nawet wyobrazić przyszłych miłosnych festynów między Samem a Donem. Teraz będą spokrewnieni.

Po rozmowie z mamą dzwonię do brata. Zamiast „O mój Boże...” słyszę „Och”. W tle słyszę krzyk Carlosa. Nasza rodzina się powiększa.

– Czy powinnam powiedzieć ojcu? – pytam.

Wolałabym nie, ale sądzę, że to byłoby niegrzeczne wobec niego, gdyby wszyscy jego krewni dowiedzieli się z Facebooka szybciej niż on. Moje wredne ja i tak nie chce mu powiedzieć.

– Musisz do niego zadzwonić.

Jasne, co miałabym powiedzieć? Im prędzej do niego zadzwonię, tym szybciej będę mogła zmienić swój status na Facebooku na Zaręczona. Narcyzm zaręczynowy pozycjonuje się tuż za narcyzmem facebookowym. Lajki wyniosą mnie w stratosferę szczęśliwości, mimo że już jestem szczęśliwa, ponieważ jestem zaręczona – dla pewności wyjaśniłam to ponownie. Zaręczona. Zaręczona. Zaręczona.

Zupełnie zapomniałam, że w pokoju jest również Sam.

Z telefonem w ręce wędruję do łazienki. Sam urządza w pozostałej części kawalerki, dzwoniąc do ojca i brata z nowinami. Słyszę, jak opisuje pierścionek ojcu i wyjaśnia, dlaczego nie zaoszczędził na jego zakupie, mimo że mógł wyciągnąć jakąś biżuterię z rodzinnego sejfów w Miami. Chce mi się śmiać.

Wykręcam numer do ojca, mając nadzieję, że nie odbierze macocha.

– Halo? – Dzięki Bogu, to ojciec.

– Cześć, tato. To ja.

Już wiem, że mam dwie minuty, aby przekazać wieści, gdyż po tym czasie ojciec zechce skończyć tę rozmowę. Wiem, że będzie grzeczny, ale nie wylewny. Wyświadczam mu przysługę, zanim wykrzyczę to wszystko z dachu świata.

– Zaręczyłam się z facetem, o którym pisałam ci w mailu.

– Och... no cóż, gratulacje. – Wydaje się zaskoczony, ale nie zatroskany.

Chciałabym wierzyć, że życzy mi szczęścia i cieszy się, że mimo tego wszystkiego, co mi się przydarzyło, znalazłam przyzwoitą osobę.

– Powiedz mi coś o nim.

– Uczy francuskiego w Barnard. Mieszkał w Izraelu przez osiem lat.

– Więc chyba jest po stronie Izraela.

– No cóż, więcej wie o Bliskim Wschodzie niż większość z nas. Kocha Izrael, ale uważa, że każda ze stron ma takiego wroga, na jakiego zasłużyła.

Ojciec tłumy śmiech. Słyszę, jak w myślach ocenia mojego narzeczonego, ale może chodzi o zwykłą zazdrość. Ojciec nigdy nie brał udziału w wojnie ani nie przebywał w prawdziwie niebezpiecznych miejscach. Najgorsze rzeczy, jakie mu się przydarzyły, miały miejsce w czasie wspinaczek w górach, ale chwile te zasługiwały co najwyżej na obgryzanie paznokci (choć znalazł się w kilku sytuacjach „życie albo śmierć”). Wątpię, aby kiedyś musiał uciekać do schronu lub żyć w strachu przed bombą samobójczą w restauracji. W głębi serca mój ojciec uwielbia przygody, ale przez ostatnie trzydzieści lat był przywiązany do domu.

– Gratulacje – mówi.

– Dzięki, wychodzę za mąż, prawdopodobnie na początku przyszłego roku. – Ani słowa na temat ceremonii i jego obecności.

Czas minął i teraz omawiamy nadchodzący zjazd rodziny Smithów, na który zamierzam zabrać Sama, aby go przedstawić. Wydaje się, że lepiej będzie, jeśli poznają go, zanim się pobierzemy. Ponadto nie mogę oprzeć się pokusie bogatego w skrobie jedzenia, no i Smithowie są naprawdę miłymi

ludźmi. Nie mam żadnych obaw przed przedstawieniem Sama rodzinie mojej mamy. Sullivanowie pokochają go, bo zje olbrzymie ilości jedzenia, które przygotowują. On ich pokocha za to, że będą go zachęcać, aby zjadł jeszcze więcej.

Załatwione. Ojciec już wie. Mama i Patrick wiedzą. Teraz mogę wejść na Facebooka i zmienić swój status na Zaręczona, zamknąć oczy i czekać na lawinę lajków i gratulacji. Wychodzę za Sama Blooma.

Pierścionek na palcu sprawia wielką różnicę. Zawsze myślałam, że niczego nie zmienia, ale się myliłam. Czy odważę się przyznać, że podoba mi się myśl o byciu czyjąś własnością? To byłoby z mojej strony bardzo nefeministyczne. Prowokacyjnie nosiłam na tym palcu różne pierścionki: z hematytem, z ametystem, a nawet fałszywą obrączkę, gdy chciałam, aby zostawiono mnie w spokoju. Nowy pierścionek zaręczynowy świetnie pasuje. Kiedyś te tradycje mnie niepokoiły, teraz poddaję się im z własnej woli.

Fantastycznie iść do pracy, gdy jest się zaręczoną. W metrze nie przestaję wpatrywać się w pierścionek. Wreszcie go mam. Z nową energią zjadam zaręczynowe śniadanie i piję zaręczynową kawę, wydaję kartę identyfikacyjną lewą ręką, migam pierścionkiem, ile się da.

Po wejściu do biura Harlequina świeżo zaręczeni są witani piskami i żadaniami, by pokazać pierścionek, opowiedzieć historię zaręczyn i szczegóły ślubu. Zaręczona dama nie jest w stanie pracować, bo wszyscy chcą podziwiać jej pierścionek. Moja sytuacja niczym się od tego nie różni. Choć siedzę w swoim biurze – nie chcę być mało subtelna i pretensjonalna – chętnie wyciągam rękę, gdy ktoś poprosi, i podaję wszelkie szczegóły.

Moja przyjaciółka Sarah, redaktorka literatury faktu, z uwagą ogląda pierścionek i mówi: „Oprawa jest bardzo dobra. Dzięki temu brylant może oddychać”. Gdyby nie Sarah, nie wiedziałabym, jakiego pierścionka sobie życzę. Podała mi adresy stron internetowych do przejrzenia, gdy usłyszałam, jak Sam rozmawia z Warrenem o „zjeżdżalniach”, a konkretnie o tym, czy ma kupić jedną „zjeżdżalnię”, czy „trzy zjeżdżalnie”. Zrozumiałam, że pod słowem „zjeżdżalnia” kryje się brylant.

Trudno opisać nieustanną przyjemność z bycia zaręczoną. To jakby raczyć się połączonymi w jedno kąpielą z pianą, ciastem i szampanem. Staliśmy się z Samem dla siebie miłsi, choć wcześniej też tacy byliśmy. Uśmiechamy się częściej, trzymamy za ręce częściej i jestem pewna, że przyprawiamy o mdłości wszystkich wokół.

Przez ostatnie miesiące Sam planował wizytę w Izraelu, w przychodni

zaburzeń snu. Dlaczego akurat on chce szukać pomocy w takiej przychodni? Tak między nami, nie jestem pewna, choć faktycznie ma problem z chrapaniem i budzeniem się w środku nocy. Przynajmniej wykazuje inicjatywę i szuka pomocy, choć w dość komiczny sposób. Jestem jedynie świadkiem tych starań, ale wspieram go, jak mogę. Opieka medyczna w Izraelu jest tańsza (jeśli nie bierze się pod uwagę tysięcy dolarów za bilet lotniczy), a Sam przekonał samego siebie, że ma poważne problemy ze spaniem. Wzięłam się na sposób i po prostu przytakuję jego najnowszej obsesji zdrowotnej.

Po dwóch tygodniach zaręczynowego szczęścia Sam wyjeżdża i zostaję sama przez dziesięć dni. Wydaje się dziwne, że po tak długim czasie to miejsce znowu należy tylko do mnie. Rozmyślam, jak to będzie cudownie – oglądanie filmów całymi dniami, czytanie do trzeciej nad ranem, jedzenie śmieci do oporu. Powróciła moja samotność, ale nie podróży Carrie z dziewczynami, powrotu do źródła, zanim wejdem w permanentny związek.

Przez pierwsze czterdzieści osiem godzin jestem szaleńczo szczęśliwa, wiodąc to dekadentkie życie. Gdy stawiam pasjansa w komputerze, nie płaczę. Oglądanie telewizji to jak wciągająca powieść przerywana jedynie przez różnych dostarczycieli posiłków na wynos. Z Samem rozmawiam jak przedtem, przez Skype'a.

Trzeciego dnia znienawidziłam ciszę. Gdzie jest mój Sam, pobudzający mnie do śmiechu, zmierzający ciężkim krokiem do lodówki, aby ją wyczyścić z wszystkich resztek? Pewnie, mieszkanie jest czystsze. Łóżko jest posłane i pozostaje posłane. Prawie nie gromadzę naczyń w zmywaku, a w łazience nie ma śladu po męskich włoskach i kto wie po czym jeszcze. Ale tęsknię za Samem, za jego głosem, jego wesołością, towarzystwem, nawet za jego chrapaniem.

I kolejna kwestia. Gdy myślę o niej zbyt wiele, trzęsą mi się nogi i czuję się chora. Coś z tym muszę zrobić. Wreszcie idę na drugą stronę ulicy do Duane Reade, aby kupić pierwszy test ciążowy.

Wybieram obcięte dżinsy, rozjaśnione i tak obszerne, że czuję się w nich chuda; moją ulubioną dopasowaną koszulkę i japonki. Włosy skręcam w koczek. Nie robię makijażu. Ten wygodny zestaw służy mi wtedy, gdy czuję się i wyglądam kiepsko, choć nic w tym złego, bo jestem na wakacjach i przechodzę miniatak paniki. Nawet jeśli to niezdrowe dla dziecka, połykam ativan, ponieważ zrobienie testu ciążowego sprawia, że nie mogę normalnie oddychać. Ledwo się poruszam.

Mój okres spóźnia się o pięć dni.

Już uzgodniliśmy, że jeśli „to się stanie, to się stanie”. Ale tak szybko? W sumie to chyba dobrze, ale i tak jestem sparaliżowana ze strachu. Równie dobrze mogę potwierdzić, czy jestem w ciąży, czy nie, więc wędruję do Duane Reade, nogi mi drżą, znajduję test, a do tego dokładam altoidy, batonik i trochę doritos. To absurd, żeby tak się denerwować. Jeżeli zaszłam w ciążę, to urodzę dziecko. Teraz, gdy mam prawdziwego partnera, nie będzie to lekkomyślne. Mamy pieniądze, mamy grupę wsparcia.

Szczerze, nie jestem jedną z tych dziewczyn, które chcą być w ciąży. To nie zbrodnia, wiem, ale i tak mam poczucie winy. Czy to pragnienie nie powinno być we mnie zakorzenione? Gdy wokół są dzieci, uwielbiam się z nimi bawić. Pomysł, aby wychować dziecko Sama, uszczęśliwia mnie, ale czy ono musi wyjść ze mnie?

Nagle staję w obliczu tego problemu i muszę się z nim uporać. Mogłam zajść w ciążę wcześniej, niż planowaliśmy. Możemy mieć tego rudego dzieciaka z wielkim nosem, biegającego dookoła z jedzeniem i siejącego zniszczenie. Lubię tę wizję, ale jestem przerażona. Po wypiciu galonów wody jestem gotowa do przeprowadzenia testu.

Przez ostatnie trzy dni udało mi się zaakceptować fakt, że nasza rodzina się powiększy. Tyle się zmieniło w tak krótkim czasie.

– Naprawdę się spóźnia – mówię do Sama.

– Och.... – odpowiada. – Możesz nosić moje dziecko.

Wydaje się szczęśliwy, więc zaczynam patrzeć w przyszłość z większym optymizmem. Temat dzieci zaczyna mnie ekscytować, ale nie na tyle, aby zmniejszyć moje obawy. Powiedzmy, że wyrównuje się różnica między nimi.

– Wcale nie zajęło nam to dużo czasu. Och. – Jest wyraźnie zszokowany.

– Jeszcze nie jestem pewna. Może to fałszywy alarm – mówię.

Gdy odkładamy słuchawki, czuję lekką presję. Jeśli nie jestem w ciąży, to go zawiodę. Jeśli jestem, z przerażenia stracę zmysły, ale z nim obok mnie będzie łatwiej. No cóż, nie pozostaje mi nic innego, jak zrobić ten test.

Postępuję zgodnie z instrukcją i czekam. I robię kolejny test, którego wynik też jest negatywny.

Odczuwam mieszanekę rozczarowania i ulgi. Chciałam być w ciąży, bo mogłabym stworzyć opowieść, jak to zaciążyłam i musimy się natychmiast pobrać. To by dopiero było... Ale nie jestem w ciąży. Gdy mówię o tym Samowi, wspiera mnie. Już wcześniej dyskutowaliśmy o tym, że ze względu na mój zaawansowany wiek możemy nie mieć dzieci. Zdecydowaliśmy, że spróbujemy i zobaczymy, jakie mamy opcje. Najbardziej chciałabym uniknąć wieloletnich starań przez in vitro lub w przychodniach leczenia

bezpłodności. Posiadanie dziecka nie jest głównym celem w moim życiu (choć na adopcję zdecydowałabym się bez wahania).

Panika odchodzi, napływa adrenalina i wraca mi apetyt na tyle, aby żarłocznie pochłonąć doritos. Znowu jestem spokojna, powoli staję się tą samą kobietą, którą byłam, zanim się to wydarzyło. Niemniej jednak to doświadczenie skłania mnie do rozmyślań o kwestii dziecka. Za kilka dni powróci Sam, więc zamierzam przemyśleć nadchodzące miesiące.

Najpierw muszę zaplanować wesele. Dziecko może trochę poczekać. Poza trzema książkami na temat planowania wesela, które dostaję od swojej autorki Marie, szukam porady w instytucji, która jest jak latarnia morska w ślubnej burzy: rejestruję się w serwisie Knot. Dopiero wtedy zaczyna się prawdziwa zabawa.

Ponieważ nie mam żadnych ślubnych doświadczeń, potrzebuję pomocy. Szybko.

Rozdział czternasty

Planowanie ślubu i wyjście z honorem

W książkowym romansie nie praktykuje się długiego okresu narzeczeństwa od chwili, gdy gburowaty bohater Jake Hunter oświadcza się Cassie McBride. Podarowuje jej pierścionek, a potem autor szybko przewija do przodu, do momentu szczęśliwego ślubu. Ustalenie powodu obrzucenia zarumienionej panny młodej daje gościom do myślenia – zbyt dużo kotlecików z ciecierzycy? Czy dziecko w brzuchu?

Ich rodziny szaleją z radości, prześcigając się w deklaracjach, kto jaką dostarczy potrawę na ucztę weselną (w romansach często pisze się o imprezach składkowych). Ciocia Cora przyniesie coś starego – na przykład chusteczkę rzuconą przez pannę młodą w 1874 roku – a rozwydrzona siostra da się naciągnąć na coś niebieskiego, czyli jej ulubioną zdirowatą podwiązkę, którą wkłada co noc, gdy wychodzi do baru Rocking G-Spot Saloon. Zaślubiny Cassie i Jake’a są niezwykle, na uroczystość przychodzi całe miasto, a potem nie mogą się doczekać miesiąca miodowego (mrugnięcie oka), choć przecież dla nich każdy dzień jest jak miesiąc miodowy, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

W naszym związku okres zaręczynowy inauguruje podróż Sama do Izraela i obawa przed ciążą. Po każdym ukłuciu strachu wywołanym przez zmianę w moim życiu spoglądam na pierścionek i powtarzam sobie: „Kocham Sama. Sam kocha mnie”.

Nie zapominam także o tym, że moja rodzina nie przypomina rodzin z powieściowych romansów. Mama jest niezwykle osobą, pełną energii. Jej zaangażowanie w wesele będzie największe. Na podorędziu mam też kilka ciotek à la Cora, które mają ikrę, mądrość i lubią zabawę. Kocham także moich wujków i kuzynów. Bez wyjątku.

Mój ojciec to inna para kaloszy.

Często bohaterki romansów są sierotami z nielicznymi krewnymi. Jeśli Cassie McBride miałaby ojca, to pasowałby do jednej z następujących kategorii:

1. Nie żyje.
2. Pijak, dysfunkcyjny.

3. Godny miłości i kochający, poślubiony tej samej kobiecie przez pięćdziesiąt lat.
4. Zimny drań.
5. Zimny drań, ale umiera.

Biedny Jake Hunter jest w tej samej sytuacji. Zazwyczaj Jake'owi trudno porozumieć się z ojcem, bo są bardzo do siebie podobni. Jake Hunter senior pracował na ranchu przez dekady i chce, aby po nim przejął je syn. Jake ma własne marzenia, które często musi porzucić ze względu na rodzinną tragedię i w zamian zająć się samemu wychowaniem pięciu braci i sióstr. Czasem pomaga ciocia Cora, ale ona się starzeje. Nie na tyle, aby zarzucić pieczenie puszystych muffinków jagodowych.

Mój ojciec nie pasuje do żadnej z tych kategorii. Był kochającym ojcem, dopóki nie osiągnęłam dorosłości i nie zaczęłam własnego życia. Wtedy on i macocha byli już małżeństwem od ponad dziesięciu lat, skąd więc to nagłe oziębienie? W domu nie mieszkałam od czasu pójścia do szkoły średniej, a przedtem byłam dziewczęciem, które głównie siedziało w swoim pokoju lub przebywało w domach przyjaciół tak długo, jak było to możliwe. Nie chciałam być ciężarem dla rodziców, wykonywałam swoje obowiązki domowe, starałam się być posłuszna i wydawałam swoje kieszonkowe na rzeczy, które były mi potrzebne, za które normalnie płaciliby rodzice każdej dorastającej panienki. Widocznie jako dorosła osoba popełniłam zbyt wiele błędów, ignorowałam ojca i macochę. Lub wybrałam złą profesję. Po wielu latach zdałam sobie sprawę, że ta patologia niewiele ma ze mną wspólnego. Nikt nie może zdiagnozować powodów, dla których wypadłam z łask ojca, więc radzę sobie bez tego. W sercu zawsze noszę miłość do ojca, ale lepiej, że nasze drogi się rozeszły.

Wyjście za mąż wywołuje rodzinne duchy, które lepiej byłoby pozostawić w spokoju. Teraz muszę sobie poradzić ze starym problemem, co oznacza ponowne zagłębienie się w problemy ojca. Przez ostatnie kilka lat czułam ulgę, że jesteśmy sobie obcy, zamiast zatracać się i próbować zadowolić ojca i jego żonę w czasie moich wizyt. Ojciec, którego kiedyś znałam, odszedł na zawsze.

Pomimo to nie mogę o nim zapomnieć: „Muszę postąpić z honorem. W ten sposób *będę miała czyste sumienie, że zrobiłam wszystko, co w mojej mocy*”.

Przygotowując listę gości, słyszę te słowa kilka razy również ze strony Sama i dopiero wtedy w pełni je pojmuję. Wiem, że ma rację. Muszę

zaprosić ojca na wesele. Powinien wcześniej poznać Sama, a idealna sposobność to zjazd rodziny Smithów w sierpniu. Jest wiele powodów, dla których powinnam zignorować ojca. Czułabym satysfakcję, nie wysyłając mu zaproszenia. Wyobrażam sobie to wesele, jego rodzeństwo przybywa, a on zdaje sobie sprawę, że został wykluczony.

No dobra, na samą myśl o tym ogarnia mnie smutek.

Ostatni promyk nadziei na poprawę relacji na linii ojciec – córka zaświecił siedem lat temu w czasie wesela mojej kuzynki. Jest odrobinę młodsza ode mnie i wreszcie znalazła Pana Odpowiedniego. Beczałam w czasie trwania całej ceremonii. Ta spokojna, superinteligentna i słodka – lecz i złożona – dziewczyna wreszcie wyszła za mąż. Była tuż po trzydziestce, pracowała, chodziła do kościoła, kochała przyjaciół i rodzinę. Pewnego dnia spotkała swojego męża i całe jej życie się zmieniło.

Gdybym tak nie cieszyła się jej szczęściem, nie zobaczyła jej wyraźnej radości, musiałabym patrzeć na nią wilkiem i być zazdrosna. Zamiast tego najadłam się do syta i spędziłam miły czas w towarzystwie jej brata i oczywiście Patricka. W pewnym momencie, po lekkim kukuśniku od swojej żony – która czasami robi właściwą rzecz – ojciec podszedł i poprosił mnie do tańca. Zawsze był fajnym tancerzem, lubił strugać durnia lub udawał bardziej naiwnego, niż był w rzeczywistości. Był taki, jaki powinien być każdy ojciec.

Tańczyliśmy wolny taniec, ja bardziej spięta niż zwykle ze względu na wielki ładunek emocji. Chciałam się dobrze bawić, ale w istocie ta chwila była dla mnie bolesna. W tym czasie już nie obejmowaliśmy się, a nawet ledwo się zauważaliśmy, chyba że w pokoju był mój brat, ale wtedy wszystkie oczy były zwrócone na niego. Teraz ojciec zwracał na mnie uwagę, mimo że ktoś inny podsunął mu ten pomysł.

Położyłam głowę na jego ramieniu tak jak kiedyś, gdy jeszcze potrafiliśmy się obejmować. Nagle zachciało mi się płakać. Ojciec rzeczywiście trzymał mnie, tańczył ze mną i sprawiał wrażenie, że dobrze mu z tym.

– Może któregoś dnia zatańczymy na moim weselu – wyszeptałam mu do ucha, nie będąc pewna, jak zareaguje na tę bezpośrednią wypowiedź.

– Chciałbym tego – odpowiedział szeptem.

Po siedmiu latach ta chwila jest wciąż żywa. Pamiętam o niej, gdy planuję wesele i gdy wysyłam mu kartkę z prośbą o odnotowanie w kalendarzu daty mojego ślubu.

Może on również przypomni sobie tę chwilę, gdy zobaczy zawiadomienie

o ślubie, że ta mała dziewczynka, którą nosił, brał na wycieczki, z którą biegał po bieżni, brał na zakupy, z którą płakał po porozwodowym piekle, oglądał w każdej kiepskiej roli na scenie – znalazła kogoś, to „czyste złoto”, którego kazał mi szukać w mężczyznach, gdy dorosłam do randek.

Teraz muszę uporać się z tym ojcem, jakim się stał. Tym, który w ostatniej chwili odwołuje przyjazd do Nowego Jorku, aby mnie zobaczyć. Tym, który ledwo przyjął do wiadomości obronę pracy magisterskiej i przeprowadzkę do Nowego Jorku. Tym, który nie odpowiada na e-maile lub listy i zastrzega sobie, że wspólne DNA nie zobowiązuje do niczego więcej niż przesłania kartki okolicznościowej raz do roku. Tym, który broni swojej żony, gdy przesyła mi wstrętne, obelżywe listy.

Jeśli mam postąpić z honorem, muszę ułatwić Samowi spotkanie z ojcem. Zjazd rodzinny Smithów. Sierpień. Już za miesiąc. Przypominam sobie *Małą księżniczkę*, dziewczynkę, która stara się z kiepskiej sytuacji wyciągnąć to, co najlepsze, i wiem, że też mnie na to stać.

Wydawałoby się, że planowanie ślubu wywoła euforię w naszym związku. Sam i ja nie podzielamy tej opinii. Wręcz odwrotnie, Sam staje się zaskakująco chłodny tuż po włożeniu pierścionka na mój palec. Może chodzi o obawy przed ciążą lub fakt, że już kiedyś był żonaty. Albo ma wątpliwości. Sam nie jest jednak facetem, który zaręcza się bez namysłu.

Podpytuję go, czy coś jest nie tak, ale zaprzecza. Wierzę mu. Kiedyś bym wariowała, gdybym dostrzegła u chłopaka pierwszy symptom takiego zdziwienia, teraz jestem mądrzejsza:

1. Zrobiłby z siebie wielkiego głupca, gdyby się wycofał.
2. Nie ma dokąd pójść, chyba że do ojca.
3. Wszyscy uzalaliby się nade mną, a ja bym nie protestowała.
4. Oznaczałoby to, że cała ta gadka o miłości to tylko fasada i gdyby odszedł, przeżyłabym (choć byłoby trudno).
5. Czuję, że mnie kocha.

Mając na uwadze te pięć punktów, kontynuuję planowanie naszego wesela. Sam nie przejawia tym zainteresowania, chyba żeby coś zawetować.

– Może powinniśmy po prostu pójść do ratusza – sugeruję Samowi któreś nocy.

Wygadywanie takich rzeczy jest bardzo w moim stylu. Istnieje szansa, że takie rozwiązanie złagodzi napięcie. Nie potrzebowałabym ativanu. Nie poniesiemy wielkich wydatków, gdyż – właśnie to odkrywam – wesele to finansowa pułapka. Wszystko kosztuje więcej, niż powinno. Ponadto w urzędzie stanu cywilnego nikt by nie zauważył, jak zatyka mnie w czasie składania przysięgi.

Sam spogląda znad książki, bada moją twarz i uśmiecha się.

– Sądzę, że wolałabyś bardziej pamiętne wesele.

Skoro tak mówi, to wierzę, że jednak chce tego ślubu. Sam przywiązuje wagę do pieniędzy. Czy chciałby urządzić drogie wesele po to, aby mnie porzucić?

– Dobra – mówię. – Masz rację.

Wyobraźcie sobie, zgadzam się na wesele, ponieważ jest ono gwarancją, że mnie nie rzuci. Poza tym to, co powiedział, po trosze jest prawdą. Chcę zrobić przyjęcie. Dla mnie to wielkie wydarzenie. Choć duże wesele to trudne przedsięwzięcie, byłoby niezapomnianym przeżyciem. Z pewnością już nigdy nie będę przez to przechodzić ponownie. Podchodzę do rezerwy Sama z większym spokojem... bez względu na to, co nas jeszcze czeka.

Obejrzałam setki filmów o weselach. Wiele moich zamężnych przyjaciółek podkreśla, jak ważne jest, gdzie się bierze ślub, i wspomina, że „katedrę trzeba zarezerwować z rocznym wyprzedzeniem”. Uważam, że to komiczne. Jak to możliwe, że wszystkie miejsca są zarezerwowane z takim wyprzedzeniem? Czy nie można znaleźć po prostu kawałka murawy i tam się pobrać? Nie, bo jest zarezerwowana w nieskończoność.

Tak więc pierwszy objaw stresu jest związany z lokalizacją, bo staje się jasne, że nie poślubię Sama w żadnym fajnym miejscu. Przeprowadzam śledztwo w internecie, próbując znaleźć kilka miejsc według następujących kryteriów:

- Mogę tam dojść pieszo.
- Nie jest zbyt drogie.
- Nie przypomina kaplicy fastfoodowej.

Dwa pierwsze nie istnieją. Licz się z tym, że jako panna młoda sporo się nachodzisz, a to oznacza, że potrzebny jest samochód. Ażeby mieć miejsce

lepsze niż fast food, trzeba na maksa obciążyć dwie karty kredytowe. Odwiedzamy z Samem jedno miejsce niedaleko domu, facet może nam poświęcić kilka minut. Widok jest cudny, na północną część miasta, ale sala ma dziwny układ i widziała już lepsze czasy. Dziękujemy.

Nie biorę pod uwagę innych dzielnic niż Manhattan. Wszędzie poza Manhattanem jest taniej, ale należę do tych denerwujących nowojorczyków, którzy rzadko przekraczają granice swojej dzielnicy. Nie mam już zbyt wielkiego wyboru. Jest lato; jestem spoconą przyszłą panną młodą i desperacko potrzebuję rozwiązania. Gdzie mam go szukać?

W tym momencie, w tajemnicy, do akcji wkracza moja mama. Miesza się w sposób staroświecki, wspominając o moich poszukiwaniach znajomym, krewnym i każdemu, kto zechce jej słuchać. „Moja córka ma wesele. Gdzie mogę zorganizować duże przyjęcie?”. Tak to właśnie prezentuje: duże przyjęcie. Bonnie Gene Smith, pani pełną gębą, chce całego tego kramu. W sumie nikogo bezpośrednio nie prosi o pomoc, ale jest osobą, której ludzie chcą sprawić przyjemność.

I tu pojawia się wujek Bob, mąż siostry mojej mamy, absolwent Yale, miłośnik polityki i życia rodzinnego, kolejna silna osobowość w mojej rodzinie. Mimo że ma dystrofię, nie można go powstrzymać od organizowania dużych rodzinnych imprez z pokładem jego skutera. Gromadzi, ułatwia, wszędzie wejdzie, przekona każdego do różnych teorii spiskowych, prosi menedżerów o ściszenie „tej przeklętej muzyki” w restauracjach, konwersuje do bladego świtu, opowiadając straszne historie z lat swojej młodości i o tym, jaką jaskinią szumowin jest polityka w Waszyngtonie. Uwielbiam oglądać go w akcji. Wkurza się z byle powodu i łamie sobie głowę, jak by tu znaleźć kolejny.

Wujek Bob wykonuje kilka telefonów i czaruje menedżera do spraw imprez w Yale Club. Nie mamy żadnego związku z tym klubem i dlatego zdumiewa mnie, że spotkamy się z menedżerem. Przypisuję to wielkiej sile perswazji wuja Boba.

Idziemy z mamą na spotkanie z Dari, śliczną, uśmiechniętą brunetką, która zaprasza nas do biura.

Wręcza nam pakiet informacji do przejrzenia. Przetykam ślinę na widok ceny, ale w sumie jest ona rozsądniejsza niż w wielu innych miejscach na Manhattanie. Tę ofertę można przyjąć. Ale nikogo nie zaproszę.

Spoglądam na mamę.

Przytakuje. „Tę ofertę można przyjąć”.

– Czy masz jakieś specjalne życzenia, na przykład jaki ma być motyw

wesela? – pyta Dari.

Nie wiem, jakie pastylki dzisiaj zażyłam. Może to efekt stresu lub gorączki. Pochylam się do przodu i deklaruję:

– Chcę wesele z motywem Duran Duran.

– Oczywiście. Wszystkie drogi prowadzą do Nickiego – odpowiada Dari.

Poszukiwanie lokalizacji zakończone.

Zjazd rodzinny Smithów w sierpniu, zaledwie pięć miesięcy przed moim ślubem, przypomina ten, na którym byłam tuż po przyjeździe do Nowego Jorku. Tym razem między ojcem a mną jest dodatkowe napięcie wywołane zaręczynową bombą, którą na niego zrzuciłam.

Z kostiumami kąpielowymi pod pachą przyjeżdżamy do domu nad jeziorem w Connecticut i widzimy Smithów siedzących przy długim stole i pałaszujących hot dogi i hamburgery. Jesteśmy lekko spóźnieni, co zwałam na kiepską umiejętność czytania mapy. Lepiej późno niż wcale. Oczy wszystkich są zwrócone na nas. W charakterystycznym beżowym kapeluszu, takim, który przykrywa całą głowę i ma szerokie rondo chroniące przed słońcem, ojciec je grecki jogurt.

Nikt nie wstaje nawet na chwilę, gdy wymieniamy pozdrowienia. Wyczuwam pewną niezręczność, jakby chcieli zapytać: kim jest ta dziwna osoba, którą z sobą przywiozłaś? I co się dzieje pomiędzy Patience a jej ojcem? Albo... obgadywali nas, gdy nadeszliśmy. Albo mam paranoję i jestem przewrażliwiona.

Chodzimy z Samem wokół stołu i przedstawiam go. Mój kuzyn Mike jako pierwszy oferuje, że zgrilluje nam hamburgery, i tym przełamuje pierwsze lody. Dosiadamy się i gawędzimy z moimi krewnymi. Wiem, że w którymś momencie do Sama podejdzie mój ojciec, aby z nim porozmawiać, jak należy. Dochodzi do tego w czasie przejażdżki łódką, której unikam, bo przypomina mi pułapkę, chyba że pływam sama. Na pokład wchodzi sześciu moich krewnych, obserwuję ich z doku i igrzm z kuszącym pomysłem wskoczenia do jeziora.

Już po tym, w jaki sposób ojciec i Sam ze sobą rozmawiają, mogę wnioskować, że ojciec go lubi. Gdy się nachyla, ma przyjemny wyraz twarzy, sprawia wrażenie prawie zadowolonego. Na mnie nie patrzył tak od długiego czasu. W porządku. Przynajmniej dzięki temu drobnemu gestowi wiem, że pochwała mój wybór. Łódź odbija od brzegu i płynie wokół jeziora.

Aby zrzucić trochę stresu, zdejmuję szorty i koszulkę (pod spodem mam kostium kąpielowy) i wskakuję do wody. Po powrocie łodzi Sam robi to samo. W nasze ślady idą kuzynowie i ich dzieci. Przez chwilę czuję się jak dziecko baraszkujące w wodzie, obawiając się mułu i węgorzy. Pływam i pływam, i przyglądam się członkom rodziny na brzegu. Lubią zabawę, są mili, fajnie się z nimi spędza czas. Przysięgam sobie, że będę tu przyjeżdżać częściej.

Po dwóch godzinach ojciec zbiera się do wyjścia. Musi dotrzeć do domu przed zmrokiem, gdyż pogorszył mu się wzrok. Ponieważ wychodzi szybko, nie jestem pewna, jak powinno przebiegać nasze pożegnanie. Dziwne byłoby, gdybym wyszła z wody, więc siedzę w niej nadal, zastanawiając się, jak on się z tym upora. Albo pochyli się z doku i cmoknie mnie w policzek, albo kiwnie głową i odjedzie. Jestem gotowa na każdy scenariusz.

Podchodzi jednak niezręcznie i chwiejnie, widzę, że jest skrępowany. Wiem, że wolałby uciec i mieć to już za sobą.

Mówi „do widzenia” pozostałym członkom rodziny, a potem pochyła się i ściska mi rękę, jakbym była zwykłą znajomą, a nie tą dziewczynką, która biegła z nim po górach. Nasze pożegnanie nie przypomina zakończenia w *Malej księżniczce*, gdzie córka i ojciec odnajdują się po latach. Jakiś czas temu taki uścisk dłoni doprowadziłby mnie do płaczu i na wiele godzin do biura terapeuty. Teraz tylko chichoczę.

Mam nieodparte wrażenie, że widzę go po raz ostatni.

Po jego wyjeździe znika ciemna chmura. Oddychamy z Samem z ulgą i dalej bawimy się z kuzynami, ich dziećmi, psiakami.

– Sam jest seksowny – szepcze moja kuzynka Leigh, uśmiechając się.

Jej mąż Jason podchodzi trzydzieści sekund później.

– Gorący chłopak, prawda? Jeśli ty za niego nie wyjdiesz, to ja to zrobię.

Budzą mój podziw. Zaproszę wszystkich Smithów na moje wesele. Zwłaszcza po tym, jak wujek Will, brat ojca, pyta mnie tym wyluzowanym głosem charakterystycznym dla wszystkich Smithów:

– Jaką datę wyznaczyłaś na ślub? – Wyjmuje iPhone’a.

– Szesnasty stycznia.

Uśmiecha się, gdy odnotowuje datę w swoim kalendarzu.

– Super. Jesteś zaklepana.

Wujek Will emanuje ojcowską czułością, której brakowało mi cały dzień.

Żegnamy się po ośmiogodzinnej zabawie. Choć spotkanie z ojcem trudno nazwać serdecznym, pozostali krewni autentycznie troszczą się o mnie

i przyjmują mnie ciepło. Chcę, aby byli na ślubie, a rodzinny konflikt niech szlag trafi.

– Jak ci się podoba ta? – pytam mamę, w głębi duszy wiedząc, że nie mogę na swój ślub włożyć tej krótkiej pokrytej cekinami sukienki zmęczonej dziewczyny.

Jesteśmy jednak w Bergdorfie⁴³. Skoro sukienka jest stąd, to musi być odpowiednia (i szalenie kosztowna).

Mama mruga. Podobają się jej te udrapowane suknie Eileen Fisher. Ja wolę krzykliwe, noszone przez tancerki rewiowe, których bym nigdy nie włożyła w miejscu publicznym. A to moje wesele, prawda?

Odkładam sukienkę zmęczonej dziewczyny i przesuwamy się przez wszystkie działki sklepu. Nic. Albo fasony z najwyższej półki, albo „bezy”. Wybór będzie trudny. Czas mam ograniczony, bo nienawidzę kupować ciuchów. Co powinna mieć na sobie czterdziestodwuletnia panna młoda? Eleganckie białe spodnium. Boże! Na pewno nie ja!

– Dobrze. Mam propozycję: najpierw idziemy do Macy’s, a potem do jakiegoś butik w Soho. Gdzieś musi być jakaś odpowiednia sukienka – mówię.

Mamy wrzesień. Kartki przypominające o dacie ślubu rozesłane, nawet do ojca i tej kobiety.

Dowiedziałam się, że sukienka to po lokalizacji najważniejsza sprawa, bo jej przygotowanie zajmuje masę czasu. Niby dlaczego, chyba że ktoś chce naszywaną koralikami? Moja babcia wyczarowała suknię w kilka minut. Nie potrzebuję żadnej bufiastej „bezy”. Chcę mieć zabawną, prostą suknię odpowiednią dla panny młodej w średnim wieku. Nie musi być biała ani skomplikowana.

Mama, królowa mody w naszej rodzinie, wydaje się zagubiona. Choć raz straciła rezon. Jeśli w grę nie wchodzi czarne spodnium, to nie wie, co zrobić. Mama jest posągowa, o wspaniałych nogach tancerki rewiowej, ja jestem niższa i zaokrąglona. Dobranie czegoś do mojej figury to droga przez mękę.

Pędzimy do Macy’s, gdzie łatwo mogę dostać ataku paniki. W Macy’s są zawsze masy ludzi. Na szczęście butik z sukienkami ślubnymi jest praktycznie pusty.

I oto pojawia się Tanya, sztywna autorka romansów historycznych z lokalnego oddziału stowarzyszenia Romance Writers of America, która uczyła mnie wszystkich zasad pisania ponad dziesięć lat temu. Czuję w tym

rękę Opatrzności. Spośród wszystkich osób, które poznałam, ją pamiętam najwyraźniej. Czy teraz pomoże mi wybrać suknię? Jak zawsze ma dobrze utrzymane włosy do ramion w kolorze popielatego blondu, figlarne oczy i błyszcząca inteligencją.

Wiem, że mnie nie rozpoznała, więc ponownie się przedstawiam.

– Racja. Pamiętam cię. Cóż, gratulacje! – mówi, a potem nawija o sukniach ślubnych.

Jestem pewna, że nadal nie wie, kim jestem, ale i tak słucham każdego jej słowa. Nie mam wątpliwości, że tylko ta kobieta dobierze mi moją ślubną „bezę”, ona i nikt inny. Los tak chciał.

Mama idzie za nami, zdumiewając mnie swoją powściągliwością. Na ogół narzuca mi swoje zdanie, więc to poniżające, że pozwala mi podjąć własną decyzję. Albo po prostu nie ma bladego pojęcia, co robić. Przemierzamy dziewicze terytorium, lecz dajemy się ponieść chwili i buszujemy w sukniach, takich, które nie upodobnią mnie do duszka Caspera, i innych mniej obrzydliwych. Dla zabawy przymierzam nawet jedną „bezę” z tafty.

Mama usiadła na kanapie, dla niej rzecz wyjątkowo trudna. Skrzyżowała nogi, jakby tłamsiła w ten sposób energię, którą w normalnych warunkach wydatkowałaby na bieganie po sklepie. Czeka i patrzy, gdy chodzę od wieszaka do wieszaka.

W pierwszej, drugiej i trzeciej „bezie” w kolorze kości słoniowej wyglądam jak jeden z tych staroświeckich duchów w *Poltergeist*, martwa kobieta szukająca drogi do naszego stulecia. Już słyszę uwagi gości: „Dlaczego jest taka blada? Chyba się denerwuje”.

Wystarczy. Żadnej bieli. Nawet żadnej dziwacznej kości słoniowej, którą wszyscy rekomendują. Odwracam się do mamy, ciekawa jej reakcji. Potakuję głową na znak zgody: biel i kość słoniowa są do niczego.

– Może powinnam wybrać jakiś prawdziwy kolor – mówię.

– Rzućmy okiem na suknie drухen – odpowiada Tanya.

Przeglądamy wszystkie suknie po kolei, całkiem dobre, ale nie w stylu panny młodej. Sprawa wygląda na beznadziejną, mijam jakieś bezkształtne spodnie w kolorze kości słoniowej i wreszcie zauważam ją.

Tę suknię.

Długa, bez rękawów, bez ramiączek, czarna, prawie bez pleców, z dopasowaną górą i mniej dopasowanym dołem. Słyszę, jak mnie woła. Uwielbiam ten kształt, ponieważ doskonale wyeksponuje moje zaokrąglenia i ukryje kilka fałdek tłuszczu.

Sklepowa znajduje mój rozmiar i rozkłada wszystko w przebieralni.

Zmysły mi się wyostają podobnie jak wtedy, gdy ludzie stają się wampirami. W butiku światło jest miękkie, klimatyzacja przynosi ulgę od gorączki ulicy. Pora na magię.

Z przelatującą przez głowę myślą, że teraz Tanya widziała mnie w majtkach, zdejmuję rzeczy i szybko wślizguję się w suknię. Potem spoglądam na siebie w lustrze i zatyka mnie.

O taką suknię chodziło.

Opina mi ciało jak ukochany koc, przytulny i wygodny. Czarny pasuje do mojej skóry, podkreśla bladość w korzystny sposób, eksponuje rude włosy. Jednak nie mogę włożyć czarnej sukni.

– Jest też w kolorze ciemnoniebieskim – mówi Tanya.

– Doskonale!

Taka jak suknia, którą nosiłam na balu w szkole, gdy tańczyłam z Samem. W tej sukni wydaję się wyjątkowo piękna, jak cudowna bogini, którą mam zostać, którą zawsze chciałam być.

Wychodzę z przymierzalni, czując lekki niepokój. Jeśli mamie się nie spodoba, cóż, co mogę poradzić? To w końcu mój dzień, prawda?

Ale gdy mama patrzy na mnie, nie krzywi się. Przygląda mi się z ciekawością, jakby myślała: „Z tym już coś można zrobić”.

Nie płaczemy. Nie ściskamy się po wykonaniu tego wiekopomnego zadania. Przepelnia mnie radość, gdy sklepowa wkłada mi na głowę welon... a mama wstrzymuje oddech.

Później wrzucam wpis na Facebooka: „Powiedziałam tak sukience!”.

Zakup sukni nie łagodzi napięcia w domu. Nadal jesteśmy z Samem sobie bliscy, ale wyczuwa się też chłód. Staram się ignorować to napięcie, bo mam tendencję do wyolbrzymiania. Mijają tygodnie, kiedy próbuję przyjąć radosną, słoneczną postawę żony. Jednak każde z nas nadal zajmuje się własnymi sprawami. Od ślubu dzieli nas kilka miesięcy, a niewykluczone, że rozpada się nasz związek. Sam nie ośmieliłby się mnie zostawić, prawda? Doszłabym do siebie, choć tak diametralnie zmienił moje życie w ciągu zaledwie kilku miesięcy. Chcę nadal bawić się tak dobrze, jak pokazał mi na początku.

Gdy rozglądam się po kawalerce, tej niewielkiej przestrzeni, która jest moim domem od siedmiu lat i w której – tak sobie obiecałam – umrę, próbuję sobie wyobrazić, jak tu będzie bez niego, mojego romantycznego bohatera. I nie potrafię. To efekt napotkania na drodze Księcia z Bajki. Jeśli

on zniknie, nic już nigdy nie będzie takie samo.

Gdy Sam jest ze mną, poświęcam mu całą uwagę (chyba że odciąga mnie praca lub telewizja). Chcę z nim chodzić na spacerów brzegiem rzeki i podróżować. Teraz nasze relacje są chwiejne. Wieczorem gadamy, ale rzadko rozmawiamy o szybko nadchodzącym ważnym wydarzeniu w naszym życiu. Kilka tygodni mija jak we mgle, moje nerwy są napięte jak postronki. Doświadczamy chyba tego, co pary nazywają poszerzającą się przepaścią w małżeństwie. W każdej chwili spodziewam się telefonu, który uwolni mnie z tego związku.

Z drugiej strony z jakiegoś nieokreślonego powodu czuję, że wszystko będzie w porządku. Miłość do Sama daje mi szczęście i odwagę. Sprawia, że chcę dla siebie, dla nas czegoś więcej. Z jego śmiechem i żartami życie wydaje się łatwiejsze. Jego odejście zostawiłoby po sobie wielką pustkę, do czego z trudem się przyznaję. W przeszłości pogratulowałabym sobie, gdyby odszedł ktoś, przez kogo płacze. Gdyby odszedł Sam, mogłabym popaść w otępienie. Sam jest odpowiednią osobą i bardzo bym chciała, aby powiedział mi, dlaczego tak ciężko mu na sercu. Znowu byłibyśmy blisko, jak na początku.

Uciekam od problemów przed telewizor, aż którejs nocy, gdy już dłużej nie mogę tego wytrzymać, pytam go znowu:

– Co się dzieje?

– No cóż, może pamiętasz, że już kiedyś przez to przechodziłem – odpowiada Sam.

A więc o to chodzi. Była żona zawsze stanowi kłopot. Moja mama jest byłą żoną i do tej pory jest duchem, który straszy w drugim małżeństwie ojca. W powieściach byłą żonę jest na ogół groźny lub martwy. Od czasu do czasu Jake Hunter przyjaźni się z byłą i zgodnie dzielą się wychowaniem dziecka. Ekszona Jake'a Huntera odeszła, bo była dziwką, ale w ogóle to jest miła.

Przypadek Sama nie jest dla mnie do końca zrozumiały, choć dostrzegam tu masochizm i potrzebę zachowania honoru. Jego pierwsze małżeństwo zaczęło się dobrze, ale z czasem się popsuło. Związek zakończył się serią niemiłych zdarzeń, po których Sam uciekł.

Przez kilka lat po rozwodzie Sam nie ujawniał adresu zamieszkania ani numeru telefonu, cały czas żyjąc z wysuniętym peryskopem. Nikt nie mógł go znaleźć. Niejasno opowiadał, gdzie był i co robił, choć przecież pracował, a nawet wykazał się w swojej dziedzinie. Zapytania dotyczące Sama kierowano do jego ojca i brata. Sam starał się pozostać niewidzialny. Gdy

jego eks pisała do niego, ignorował ją.

Rozumiem, że gdy ożeni się ze mną, jego nomadyczne życie się zmieni. Stanie się panem Bloomem, mieszkańcem Manhattanu. To oznacza, że jego zmora może go odnaleźć. Na szczęście nie jest w tym osamotniony, ja również oglądam się przez ramię. Dwoje ludzi, którzy pilnują się nawzajem, to lepiej niż jedno, prawda?

Przynajmniej raz uważnie słucham, co Sam ma do powiedzenia, i po zebraniu różnych strzępów informacji widzę zagubioną duszę, faceta, który czasem wzdryga się pod wpływem dotknięcia, który ma koszmary nocne kilka razy w tygodniu. Wątpię, aby był wzorowym mężem (kto jest?), ale jestem pewna, że na dłuższą metę robił, co mógł. Wiem, że temat jest bolesny. Sam nie jest osobą skłoną do głębokich zwierzeń, ale ma pełną świadomość, dlaczego jest taki, jaki jest.

Oferuję mu tyle wsparcia, ile jest w stanie zaakceptować, a potem skupiam się na własnej neurozie. Jeśli będę go dręczyć przez te ostatnie dwa miesiące, to na pewno się wymelduje.

Odwracam więc swoją uwagę od ślubu, robiąc jeden z najbardziej przerażających kroków: zapisuję się do konkursu National Novel Writing Month (www.nanowrimo.org), w ramach którego trzeba napisać książkę w ciągu miesiąca, w listopadzie. Tak jak nie rozgłaszam początkowo swojej znajomości z Samem, tak teraz też nie trąbię o tym naokoło, poza jedną osobą.

„Droga Najukochańsza Redaktorko, jesteś szalona – pisze do mnie Marie Ferrarella. – Chyba nie chcesz potęgować presji, która nad Tobą ciąży. Za chwilę wychodzisz za mąż”.

Wiem, Marie. To szalony pomysł, ale nie wiesz, jak popaprany jest w tej chwili mój mózg. Potrzebuję ujścia dla swojej obsesji. Muszę napisać ważną książkę, w której pożegnani się z duchami i zaproszę przystojnego, troskliwego mężczyznę do swojego życia.

– Nie przyjedzie na wesele – powiedział Sam po zjeździe rodzinnym Smithów. – Boi się kosztów.

Wiem, że ma rację, i dlatego napisałam do ojca po tym, kiedy marudził nad otrzymaną kartką z przypomnieniem daty ślubu: „Cokolwiek postanowisz, zrozumieć”.

Odpowiada bardzo formalnie, że ani on, ani jego żona nie przyjadą na mój ślub. „Kocham Cię, tata”.

E-mail w sumie byłby odpowiedni, gdyby nie to „Kocham Cię, tata”. Ten „oczyszczający” list mnie szokuje. Tak, oczyszczający jak tonik, który oczyszcza skórę twarzy z wyprysków. Ojciec mnie nie kocha. Po czterdziestu dwóch latach poznałam prawdę.

Biore głęboki oddech. I kolejny. Nie jest tak źle. Po kilku minutach nie czuję już ciężaru na piersiach. To chyba dobrze? Ojciec właśnie przysłał mi okropną wiadomość. Dlaczego nie płaczę? Dlaczego z piersi nie wystaje mi wielki nóż?

Ponieważ już nigdy, przenigdy nie muszę z nim rozmawiać. Już nie muszę podejmować prób. Mam wrażenie, że już kiedyś przez to wszystko przechodziłam. Uwolnienie się z kajdan – tak jakby.

Ojciec nie przyjedzie. Nie poprowadzi swojej córki, pozornie szczęśliwy, nawą do ołtarza. Nie będę musiała udawać, że cieszę się z jego przybycia, skoro i tak byłby zakłopotany i zażenowany. Dokonał wyboru. Na wszelki wypadek jeszcze raz czytam jego e-mail, szukając drugiego dna. Jutro prawdopodobnie pojawi się złość. Teraz, wreszcie, mam doskonały powód, by przestać lubić swojego ojca. Jemu i tak nie zależy.

– Twój ojciec to dupek – mówi Sam po przeczytaniu e-maila.

Zgadza się. Niektórzy stają się draniami z biegiem czasu. Na razie ten problem jest odfajkowany. Piętrzą się inne sprawy, które nadszarpną mi nerwy. Na przykład ta, że listopad leci jak z procy. Pobierzemy się w styczniu, po świętach. Zostały dwa miesiące, a w zasadzie tylko jeden.

Atmosfera się zagęszcza.

Na liście gości dwieście osób, z których wielu w ogóle nie znam. Moja prosta suknia została wysłana do Włoch do poprawki. Zaproszenia rozesłane. Od tej chwili przechodzę na głodówkę. W głowie mi się kręci. Czy pojedziemy na miesiąc miodowy? Boże, kolejny lot samolotem w jakieś niezwykle miejsce.

Muszę czerpać więcej radości z planowania ślubu i w tym duchu zamawiam T-shirt z napisem wyszytym cekinami „The Bride”⁴⁴. Suknia jest, goście są, zaproszenia też i tak dalej. Ślubu udzieli nam moja droga przyjaciółka Lou z Nowego Meksyku. Teraz muszę jakoś wkomponować do naszej ceremonii Duran Duran.

Wiem: do ołtarza pójde przy dźwiękach ich muzyki.

Natychmiast kontaktuję się pisemnie z Duran Duran Mission Control, a przynajmniej z tą osobą, która – podejrzewam – może mi odpowiedzieć, Katy Krassner, menedżerem tego zespołu i wielu innych. Nie tylko dostarcza treści na stronę zespołu, odpowiada na pytania fanów, ale także wie

wszystko na temat Duran Duran i jest dostępna. Wysłuchuję podcastów z Oscarów, które przygotowuje wraz z Nicki Rhodes. Przez dwadzieścia osiem lat niemal codziennie wyszukuję informacje na temat Duran Duran i wielbię ich z daleka, a nazwisko Katy pojawia się w ich kontekście najdłużej, zbieram się więc na odwagę i piszę do niej, wykładając swoją prośbę. „Która z piosenek DD najbardziej pasuje do ceremonii ślubnej?”.

Odpowiada szybko, że nie może się wypowiadać na temat tak ważnej decyzji życiowej. Wstydzę się, że dygoczę z podniecenia jak dziewczyna w pierwszym rzędzie na koncercie. Nigdy wcześniej tak bardzo nie zbliżyłam się do Duran Duran (jeśli nie liczyć tych trzydziestu sekund, w ciągu których John Taylor usłyszał moje imię).

„Nie ma sprawy” – odpisuję, uradowana z otrzymanej odpowiedzi. Sama do tego dojdę. Albo Duran Duran, albo nic. Robię to, co zrobiłaby moja mama, czyli podpytuję znajomych, niby mimochodem wspominam, że chcę na ślub coś z repertuaru Duran Duran. Jak się okazuje, mój brat ma kumpla, który gra na gitarze. Sam ma kuzyna, który gra na flecie. Razem, na odległość, pracują nad *Rio*.

I tak nadchodzi grudzień – za chwilę koniec.

Chwytam płaszcz i torebkę i lecimy na zaplanowaną degustację do Yale Club. Godzinę później patrzymy z Samem na stół pełen babeczek krabowych, trzech rodzajów sałatek, ciasta francuskiego nadziewanego szpinakiem, łososia z ziołami. Połędwica à la Mignon pojawia się, gdy dochodzę do wniosku, że naprawdę nie zmieszczę się w suknię ślubną.

Po raz pierwszy od miesiąca zauważam, że Sam znowu jest sobą: szczęśliwym, hałaśliwym facetem. Chyba ma to związek z jedzeniem albo ze zbliżającą się datą wesela lub wreszcie uwierzył, że nic tego wydarzenia nie zatrzyma – nawet duch z przeszłości.

– Jak dotąd to najlepsza część przygotowań. – Głos Sama trzeszczy mi w uchu. – I jest za darmo.

– Pewnie, że za darmo, Sam.

Przewracam oczami i leniwie przełykam łyk wina. Jestem lekko wstawiona po jednej lampce. Światło rozjaśnia restaurację zlokalizowaną na dwudziestym drugim piętrze. Tylko przy trzech stolikach siedzą członkowie klubu.

Koordynatorka naszego ślubu Dari wychodzi z kuchni i siada z nami.

– Zdecydowaliście, które dwie przekąski podamy?

– Babeczki krabowe i to coś z bakłazana – mówi Sam.

Potakuję, bo kwestia jedzenia zasadniczo mnie nie interesuje. Przechodzimy do dania głównego, wybierając filet mignon i łososa, choć Dari poleca chilijskiego okonia morskiego. Sam bardzo się stara, aby wyczyścić wszystkie talerze i półmiski. Jest totalnie objedzony i szczęśliwy.

– Dla mnie najważniejszy jest deser... – To cały mój wkład w tę dyskusję.

– Oczywiście. Zaraz przyniesiemy.

Po pięciu minutach Dari wraca z tacą, na której niesie mus czekoladowy, elegancki torcik z musem czekoladowym i kanapeczki s'mores z masą czekoladowo-karmelową. Pan młody popija wino, a ja rzucam się na desery. Wybieram wszystkie... i tort weselny.

Późnym popołudniem ociężali wychodzimy z Yale Club i lawirujemy w kierunku domu, bełkocząc i śmiejąc się.

– Ten ślub będzie wspaniały! – wrzeszczy Sam, zawieszając na mnie swoje ramię.

– Najlepszy!

Całujemy się na środku ulicy, na przejściu, samochody trąbią na nas, zupełnie jak na początku naszego związku. Zaczynam się czuć jak prawdziwa panna młoda, adorowana przez swojego pana młodego.

– Taksówki powodują wiele śmiertelnych wypadków. Na przejściu dla pieszych – mówi głośno Sam. – Nie chcę umierać w ten sposób.

– Ja również.

Obejmujemy się dramatycznie i zwijamy się stamtąd. Nasze ręce są splecione, gdy wolnym krokiem zmierzamy do Penn Station. Może zbyt pochopnie założyłam, że mamy przedmażeńskie problemy. Oboje kochamy dobrą zabawę i przez większość czasu jesteśmy razem szczęśliwi.

– Potrzebuję jeszcze ze dwóch godzin na wystawienie ocen, a potem przyjdę do domu. Może znowu coś zjemy – mówi Sam, zanim całuje mnie na pożegnanie.

Wzdycham, gdy odchodzi. Nie mogę się doczekać, aż zostanę panią Bloom. Mała księżniczka zrzuca nazwisko tatusia i przybiera nowe. Ponadto „Patience Bloom” brzmi jak bohaterka hipisowskiej powieści, prawda?

Rozdział piętnasty

Szczęśliwie poślubieni na zawsze (ale ktoś to odchoruje)

Jedną z moich licznych obaw jest możliwość omdlenia w czasie składania przysięgi. Przykłady takich zejść można znaleźć na YouTube i są przerażające. Nawet normalni ludzie padają w tym wielkim dniu. Ja mogę z łatwością poddać się tej pokusie. Jako osoba ze skłonnością do agorafobii staję się bardzo podenerwowana, gdy zbyt długo przebywam w tłumie. Ziemia się kręci, tracę oparcie dla nóg i zataczam się dużymi kołami. Płytko oddycham i na gwałt szukam wyjścia. W czasie koktajli w wydawnictwie często ustawiam się blisko krzesła lub ściany, abym mogła złapać się czegoś w razie upadku.

Ta reakcja na ogół, ale nie zawsze, towarzyszy mi w czasie wydarzeń dramatycznych, szczęśliwych i zwyczajnych. Więc jakim cudem w najszcześniejszym momencie swojego życia ustoję bez oparcia, jednocześnie trzymając bukiet i patrząc na Sama? Toż to recepta na katastrofę.

Aby zrównoważyć przyływ negatywnych myśli, przywołuję moje ulubione wesele z powieści: *The Sheik's Arranged Marriage* Susan Mallery, bestsellerowej autorki według „New York Timesa”. Już po pierwszej stronie zostałam Malleryholiczką. Cały weekend tracę na czytanie.

W tej opowieści Heidi McKinley wraca do fikcyjnego królestwa bliskowschodniego El Bahar, gdzie jest adoptowaną córką króla – adoptowaną ze względu na śmierć rodziców w strasznym wypadku. Jej największym pragnieniem jest tłumaczenie starożytnych tekstów z El Bahar (studiowała ten kierunek, ale później zaliczyła również szkołę dobrych manier), a nie poślubienie wstrętnego mężczyzny. Szesnaście miesięcy temu byłam w tej samej sytuacji co Heidi. Król El Bahar wywołuje w niej poczucie winy i w ten sposób zmusza do poślubienia swojego syna, superprzystojniaka, tajemniczego księcia Jamala. Jamal ma uraz do małżeństwa, gdyż jego pierwsza żona była królową lodu, niezainteresowaną seksem z nim (wyobraź sobie), teraz nie ma dla niego znaczenia, kogo poślubi. Dlatego godzi się poślubić Heidi. Uważa jej dziwactwa za zabawne, a ona nosi okulary i włosy spięte w koczek (jak ja). Aby ożywić swoje

libido, Heidi udaje Honey, gorącą kochankę księcia, z którą on uprawia namiętny seks. Jak każda osoba bez wady wzroku Jamal widzi, że Honey to jego niezdarna żona. Peruka i szkła kontaktowe nie mogą całkowicie zmienić tożsamości. Heidi wścieka się, że Jamal nie przyznał się, iż ją rozpoznał. Poza tym dziewczyna jest osobą zamkniętą w sobie. Podobnie jak ja potrzebuje ustawicznych zapewnień, że Jamal ją kocha, że to nie jest małżeństwo jedynie z rozsądku. Wreszcie – i tu zaczynam ryczeć – księżę Jamal, aby udowodnić swoją miłość, przygotowuje tradycyjną ceremonię zaślubin, w czasie której ogłasza, że Heidi jest jego „prawdziwą” żoną, co w praktyce oznacza, że tylko z nią się ożeni i tylko ją będzie kochał – na zawsze. Księżę Jamal ma oczy obwiedzione czarną kredką, co u facetów uważam za niezwykle seksowne.

Całkowicie dzielam uczucia Jamala. Jeżeli Sam miałby zniknąć z powierzchni ziemi, to i tak jest jedynym, którego chcę poślubić. Nie mogłabym przechodzić przez to wszystko ponownie. Mam szczęście, że tak się dobrze nam układa. Najpierw jednak muszę zebrać się na odwagę, aby przejść przez tę ceremonię.

Dzwonię do mojej mentorki we wszystkich sprawach, Lou z Nowego Meksyku, która poprowadzi ceremonię. Opowiadam jej o swoich obawach, o tym, że stałam się nerwową Nelly, o czym ona doskonale wie od dwudziestu lat.

– Będzie dobrze – mówi z lekkim południowym akcentem. – Ceremonia jest krótka. Postaram się, abyś nie upadła. Sam podtrzyma cię, gdy zaczniesz padać. Wszystko w porządku, Patience.

Nawet jej głos przynosi mi ulgę. To opoka, na której zawsze mogę się oprzeć. Każdy potrzebuje jakiejś Lou, a ta panna młoda wymaga dodatkowej troski. Przekazuję swoje obawy o utrzymanie pozycji pionowej Samowi i innym. Potakują, sądzą, że oszalałam, jak każda nerwowa panna młoda. A może zaprowadzicie mnie do lekarza, aby zaaplikował mi końską dawkę tabletek na zachowanie równowagi?

Utrzymanie się na nogach to dla mnie poważna sprawa, więc bez informowania kogokolwiek wprowadzam w życie plan holistyczny. Przez sześć tygodni pozostałych do ceremonii wykonuję ćwiczenie parajogi, stojąc na czubkach palców z rozpostartymi ramionami przez dziesięć minut. Potem staję na jednej nodze i sprawdzam, jak dużo czasu potrzebuję, aby upaść (około dwóch minut). Plan działa, a ponadto przypominam sobie, jak mama prowadziła wykłady z czterdziestostopniową gorączką i zapaleniem płuc. Jeżeli ona mogła to zrobić, to ja mogę ustać przez dziesięć minut bez

mdlenia.

Jestem przekonana, że Heidi McKinley z romansu Susan Mallery jest równie neurotyczna jak ja, a może nawet bardziej, skoro wykonuje taniec siedmiu welonów, aby uwieść swojego męża. Daleko mi do takiej determinacji.

Kolejna obsesja, która mnie dręczy, ma związek z tym, czy powinnam coś zjeść przed ślubem. Jeśli zjem, zachoruję przed ceremonią, a potem zwymiotuję na pana młodego i wszystko ukaże się na YouTube. Jeśli nie zjem, to czy przypadkiem nie zemdleję? Boże, które piekło wybrać? W czasie świątecznego grudniowego przyjęcia w Harlequinie, gdzie powinnam się zrelaksować, jak opętana biegam za kolegami i proszę o pomoc w rozwiązaniu tych problemów.

Przyjęcie odbywa się w wielkiej rozświetlonej słońcem restauracji położonej na południowym krańcu Manhattanu, tuż koło South Ferry. Właściwie nad samą wodą. Firma organizuje wielką balangę, aby uczcić koniec roku. Dyrektor zarządzająca (też ruda) i kilku innych przedstawicieli z Toronto przylecieli, aby wręczyć nagrody i z nami pogadać. Czy mnie to w ogóle obchodzi? Nie, ponieważ w żaden sposób nie mogę się rozluźnić. W niemal świątecznym stroju składającym się z oliwkowego żakietu i czarnej spódniczki biegam jak kot z pęcherzem, pytając zameżne koleżanki, co robiły przed ślubem. Czy jadły? Co jadły? Jak czuły się po jedzeniu?

Kim jest ta dziwna biegająca przyszła panna młoda?

Modłę się, aby moja szefowa, jej szefowa i dyrektor zarządzająca nie dostrzegły tego czerwono opierzonego kurczaka bez głowy, biegającego od stołu do stołu i zadającego idiotyczne pytania. Mimo to muszę wiedzieć: jak panny młode radzą sobie z jedzeniem przed ślubem?

Jedna z koleżanek podpowiada, że muszę zjeść porządny posiłek przed ceremonią. W ten sposób zyskam energię niezbędną, aby przetrwać ten wielki dzień. Na przykład naleśniki i jajka, trochę soku pomarańczowego. Przewraca mi się żołądek, gdy słyszę tę odpowiedź. Twierdzi, że zemdleję, jeśli czegoś nie zjem. Racjonalna część mojego mózgu przypomina mi te niezliczone przypadki, gdy w czasie dużego stresu jadłam bardzo niewiele, mimo to zachowywałam się normalnie. W tej sytuacji znajduję inną osobę, którą mogę pomęczyć – Glendę.

– Czy zjadłaś coś przed ślubem?

Glenda, która zarządza Kimani Press, czyli wspaniałymi romansami z wątkiem afroamerykańskim, uśmiecha się i odpowiada uspokajająco:

– Może powinnaś coś zjeść, odrobinę.

Odpowiedź jest rozsądna, ale Glenda z pewnością jest bardziej zrównoważona psychicznie niż ja. Nie mówi mi, że *muszę* coś zjeść, ale że *powinnam*. Przyjmuję to do wiadomości. Jednak nadal nie jestem usatysfakcjonowana, więc wybieram kolejną pannę młodą, tym razem mocno stąpającą po ziemi i bezpośrednią koordynatorkę redakcyjną Kristin. Wiem, że odpowie bez owijania w bawełnę.

– Czy zjadłaś coś przed ślubem? – pytam.

Daje odpowiedź najlepszą z możliwych:

– Próbujesz, ale nie jesz.

Wzdycham z ulgą. Ta kobieta brała ślub wieczorem, więc czekała cały dzień. Spróbuję zjeść coś, co zwyczajowo wcinam, gdy czuję nadchodzącą panikę: batonik miódowo-jogurtowo-orzechowy Balance Bar, który kojarzę co prawda z paniką, ale i tak dobrze na mnie działa. Tak właśnie zrobię.

Mam wiele rzeczy do zrobienia. Chwila, to nieprawda. Szczegóły związane z weselem są już załatwione. Teraz powinnam skupić się na sobie i tak też czynię. Sam wydaje się pogodny, gotowy do małżeństwa. Staram się więc czerpać jak najwięcej radości z okresu przedślubnego mimo prześladowającego mnie niepokoju.

Wszystkie chore myśli przekierowuję na to, co sprawia mi – poza czytaniem – największą przyjemność: oglądanie filmów i telewizji. To może być najprzyjemniejsza droga prowadząca mnie do wielkiego finału. Każdego dnia wybieram film lub program o tematyce ślubnej, pomijając – z wiadomych przyczyn – *Ojca panny młodej*. Oto moja lista:

1. *Partner niedoskonały* (Jestem pewna, że gwiazda tego filmu Ellen DeGeneres zgodzi się ze mną, że to jeden z najgorszych filmów)

2. *Mamma Mia!*

3. *Jak poślubić milionera*

4. *Seks w wielkim mieście* (pawie pióra nadal uważam za idiotyczne)

5. *Słoneczny patrol: Ślub na Hawajach*

6. *Nothing Hill* (ślub jest na końcu)

7. *Mickey Niebieskie Oko*

8. *Seks w wielkim mieście 2*

9. *Najlepsi przyjaciele*

10. *Przybywa narzeczony*

11. *Tylko Ty*

12. *Say Yes to the Dress*, seria pierwsza

13. *Przodem do tyłu*
14. *Rozważna i romantyczna* (ponownie)
15. *Wedding Slashers* (horror)
16. *Rozmowy z innymi kobietami*
17. *Narzeczony mimo woli*
18. *Miłość ma dwie twarze*
19. *Żądza śmierci* (Steven Seagal idzie na wesele swojej córki)
20. *Teściowie* (wersja z Michaelem Douglasem i Albertem Brooksem)
21. *To właśnie miłość*
22. *Powiedz tak*
23. *Ślubne wojny*
24. *Tydzień kawalerski*
25. *Dzień weselny* (w reżyserii Roberta Altmana)
26. *Monsunowe wesele*
27. *Moje wielkie greckie wesele*
28. Każdy odcinek z wątkiem ślubnym serialu *Will & Grace*
29. *Duma i uprzedzenie* (wersja z Donaldem Sutherlandem, gdyż wtedy mogę udawać, że jest moim prawdziwym ojcem)
30. *Mój chłopak się żeni* (Julia, oczywiście!)

Nieźła ta lista, prawda? Każdy z tych filmów sprawia, że moje wesele staje się realnym, jedynym w życiu wydarzeniem, ukoronowaniem marzeń, które się spełniły, marzeń, które nawet przerosły te, które kiedyś miałam. Nigdy nie myślałam, że będę tak blisko zawarcia małżeństwa. Nawet pierścionek zaręczynowy nie wywarł na mnie takiego wrażenia. Teraz to wszystko dzieje się naprawdę. Nieoczekiwanie pojawiają się ludzie, którzy życzą nam szczęścia. Sam jest wymarzonym panem młodym i myśl, że spędzę z nim życie, podnieca mnie, ponieważ *on* jest podniecający każdego dnia.

Tuż przed sylwestrem budzę się w środku nocy, aby pójść do toalety. Czuję, że zaraz upadnę. Do tego stopnia, że muszę usiąść na krawędzi łóżka. Sam śpi. Scena jak z książki *Głupcy umierają* Mario Puzo, gdzie kobieta niespodziewanie umiera z powodu tętniaka. Kręci mi się w głowie. Oczywiście umrę tuż przed weselem i wszystko obróci się w piękną tragedię. Sam opowie o tej smutnej historii w programach telewizyjnych. Zrobią o nas dokument, może nawet nakręcą *Love Story 2*.

Idę do łazienki, a potem kładę się na wznak na łóżku. Od czasu do czasu,

gdy jest zimno, mam zawroty głowy. Zastanawiam się, czy to ma związek ze zdenerwowaniem. Jestem pewna, że rano poczuje się lepiej.

Jednak nie czuję się lepiej. Nadal kręci mi się w głowie, gdy się poruszam. Zbieram się w sobie i idę do pracy, próbuję czytać, ale nawet ruszanie oczami wywołuje zawroty. Gdy pozostaję w bezruchu, nie jest tak źle. Ale gdy wstaję, odwracam głowę, chodzę, świat zaczyna wirować. Nie chcę nikogo straszyć, lecz czuję dyskomfort. Jak panna młoda w takim stanie przejdzie nawą?

Cztery dni zawrotów głowy. Opowiadam o tym Samowi, ale on zapisuje to na rachunek jednego z moich dziwacznych psychosomatycznych ataków. Na pewno przesadzam. Jakbym to ja była hipochondrykiem, który wydaje trzy tysiące dolarów na lot do Izraela do kliniki snu (okazało się, że cierpi na lekki przypadek bezdechu sennego, ale w żaden sposób nie wykorzystał tej informacji).

Wreszcie zdaję sobie sprawę, że muszę odwiedzić lekarza. Jeżeli mam guza mózgu, to będę cieszyć się życiem na maksa przez kolejne dwa tygodnie, a potem będę usychać w wygodnym fotelu, robiąc na drutach. Biedny Sam jakoś to zniesie.

Dzień później jestem u lekarza. Miła asystentka podchodzi do mnie z jakimś prętem do grzebania w nosie. Wygląda jak Natalie Wood, ale nie mówię tego głośno. Wszyscy wiemy, co się jej przytrafiło. Recytuję jej objawy, myśląc jednocześnie, że pewnie poślą mnie na oddział ratunkowy, aby zrobić skan mózgu.

– Pozwól, że zajrzę ci do nosa – mówi, wsuwając do moich nozdrzy ten pręt.

Czekam. Można by pomyśleć, że chociaż moje wesele przebiegnie spokojnie, ale gdzie tam. Nie jest mi pisane zostać bohaterką romantyczną. Cassie McBride przejdzie całą nawę bez upadku, bo wie, że stąpa po płaskiej podłodze. Przedtem Cassie zjadłaby śniadanie.

– Masz zapalenie zatok.

– A nie guza mózgu?

– Prawdopodobnie nie – mówi doktor Natalie.

W oczach zbierają mi się łzy. Wiem, że to głupia reakcja. Och, może nie powinnam płakać. Zawroty głowy sprawiają, że kołyszę się na krześle.

– Za dwa tygodnie wychodzę za mąż i właśnie ocaliłaś mój ślub.

Z trudem powstrzymuję się, aby jej nie objąć. Pewnie nie ma pojęcia, że chodzi o tak wysoką stawkę. Po dwudziestu pięciu latach randek i wielu miłosnych niepowodzeniach spotkałam mężczyznę swoich marzeń i mogłam

przegapić ten jeden jedyny moment, aby zostać jego żoną.

Ocaliła ślub.

– Proszę. – Wręcza mi receptę.

W ciągu kilku dni znowu pewnie stoję na nogach.

Wszyscy oczekują załamania nerwowego z mojej strony, ale radzę sobie *wspaniale* przed weselem. To mama traci panowanie około tygodnia przed ślubem. Co kilka minut dzwoni do mnie.

– Co z listą gości? – pyta, praktycznie wrzeszcząc.

– Załatwione.

– Czy Bill Bloom ma gdzie przenocować? O mój Boże, co możemy dla nich zrobić?

Nie jestem pewna, co ma na myśli. Co *możemy* dla nich zrobić? Nakarmić piersią?

– Zatrzyma się w Klubie Lotos.

– Czy zamówiłaś taksówkę z lotniska dla Lou?

– Zrobione, mamo.

– A co z sukienką, o Boże, trzeba pamiętać o tylu szczegółach!

– Nie ma nic do roboty.

Ha, ha, ha! Czy to źle, że naśmiewam się z jej zdenerwowania? Musi kupić nowy żakiet, nowy garnitur dla Dona, no i jak jej rodzeństwo dojedzie do Yale Club, czy zrobiono rezerwację dla kogoś tam w hotelu? I czy powinniśmy zorganizować kolejny duży obiad?

Wszystkie sprawy są załatwione, ponieważ szczytę się doskonałą organizacją. Ktoś powinien mnie zatrudnić, abym go zorganizowała. Planowanie ślubu to pestka. Teraz możemy usiąść wygodnie i cieszyć się.

Z wyjątkiem...

Tydzień przed weselem dowiadujemy się, że pokażą nas w „New York Timesie” i zrobią o nas film. Jasne, pewnie, nie ma sprawy. Upiększamy się z Samem i spacerujemy po Chelsea w towarzystwie imponującej kamerzystki, odpowiadamy na jej pytania i modlimy się, aby nie wypaść jak idioci. Wiem, że wszyscy usłyszą mój głos brzmiący jak głos Marge Simpson. Mimo to ekscytacja związana z weselem rośnie. Nie mogę się doczekać, gdy się to wszystko rozpocznie.

I wtedy nadchodzi wigilia ślubu.

Odfajkowałam wszystkie rzeczy do zrobienia. Ostatnią noc jako singielka spędzę w Yale Club, podczas gdy Sam zostanie w domu. Postępujemy zgodnie z tradycją, aby ostatnią noc spędzić osobno.

Starościna wesela Nici przybywa pełna entuzjazmu, opowiadając o swojej

sukni i pytając, czy już wszystko spakowałam? Nici i mój aktor/komik/pielęgniarka i przyjaciel w jednej osobie – Langdon z Kalifornii – przykleili się do siebie jak makaron z serem w mojej kawalerce. Miło się na nich razem patrzy, bo są tak do siebie podobni. Nici znam od czasów szkoły średniej. Langdona poznałam po obejrzeniu go w jednej okropnej sztuce w Nowym Jorku. Był wspaniały i od tej pory pilnie śledziłam jego karierę. Teraz te dwa ładunki wybuchowe są w jednym pokoju.

Po drugiej stronie mieszkania na kanapie siedzi Sam w czapce baseballowej z napisem „Pan Młody”. Śmiejemy się, rozmawiamy i miło spędzamy czas. Próbną kolacją zacznie się za kilka godzin. Brałam udział w tylu weselach – w powieściach i w prawdziwym życiu. Teraz przyszła moja kolej. Czuję ten rodzaj szczęścia, o którym czytałam w książkach – i okazuje się, że ono istnieje.

Wreszcie spełniło się moje życzenie. Jest ze mną mój pan młody.

Stoję w przedsionku kawalerki, obserwuję zamieszanie wywołane przez moich przyjaciół, ich dziką gestykulację związaną z ciekawostką, którą ktoś opowiedział. Kiedy głosy cichną, nagle czuję falę strachu, że ziemia kręci się zbyt szybko, że moja głowa może pęknąć na dwie części.

Sam spogląda w moją stronę, jego oczy rejestrują atak paniki i uśmiecha się.

– Co słychać, Ruda? – pyta żartobliwie, wstając z kanapy, i podchodzi do mnie.

Robię krok w kierunku jego objęć, jestem wdzięczna, że zawsze poprawia mi samopoczucie. Małżeństwo być może wymaga dopasowania się, ale i tak chcę Sama na zawsze w swoim życiu.

– Może powinnaś się stąd wynieść – szepcze mi Sam do ucha.

Potakuję i wtulam głowę w jego szyję.

– Pójdę do hotelu. – Stojąc w jego ramionach, pamiętam ten pierwszy raz, gdy go ujrzałam (znowu), ten sweter w paski, to oszołomienie, przemierzającego korytarz JFK. To znajome już spojrzenie. To on jest moim jedynym „prawdziwym” mężem.

Czułam wtedy potrzebę zbliżenia się do niego w każdy możliwy sposób. I nadal to czuję. Wchodzi do pokoju, podchodzę do niego. Jeżeli jest w kuchni, również idę do kuchni. (Ale nie do łazienki, a przynajmniej nie za każdym razem). Pracujemy w tej samej przestrzeni. I jest idealnym towarzyszem na przyjęcia. Każdy chce z nim pogadać, a ja lubię się temu przyglądać. To gra o największą stawkę w moim życiu, choć grałam już

kilka razy z dobrym rezultatem – przeprowadzki do Nowego Meksyku i Nowego Jorku zaliczam do najlepszych rozgrywek. Tym razem pozwalałam obcemu mężczyźnie zmienić kurs swojego życia.

Nie mogę uwierzyć, że wreszcie go znalazłam.

Sam to nie Devlin czy Jake Hunter lub brytyjski książe, który odziedziczy olbrzymią posiadłość, gdy ożeni się z dziewczyną z ludu z innego kraju. Z tych wszystkich romansów, które przeczytałam, spośród tych uroczych bohaterów, którzy poruszyli moją wyobraźnię, Sam jest najlepszy, lepszy niż wszyscy inni razem wzięci. Trudno w to uwierzyć, ale tak jest. Ukształtowałam sobie obraz doskonałego romantycznego bohatera – trochę z Jamesa Bonda, trochę z Darcy’ego i trochę z Shane’a MacKade’a. Sam bije ich na głowę.

Moi przyjaciele ciągną ożywioną dyskusję o każdym szczególe wesela, jak wspaniałe będą sukienki i kwiaty, jaką mam świetną mamę i – o Boże – Patrick jest zdumiewający, ale czekaj, aż poznasz jego seksownego chłopaka.

Co, do diabła, robiłabym teraz, gdybym jutro nie wychodziła za mąż?

Leżała na kanapie i oglądała filmy, które już widziałam. Rozmyślała o swoich byłych. Znowu. Dziergała w nieskończoność niemowlęce kocyki dla przyjaciółek w ciąży. Stawiała komputerowego pasjansa i płakała. Może byłabym do pewnego stopnia szczęśliwa, ale na pewno nie tym rodzajem szczęścia, które odczuwam teraz.

– Och, jesteście tacy uroczy! – krzyczy Nici, a Langdon dołącza do niej w tym gruchaniu nad nami.

Widzą nas, gdy się obejmujemy, wkrótce sobie zaślubieni, a ich uśmiechy od ucha do ucha prawie przekonują mnie, że całe to weselisko będzie bułką z masłem. Kolejny krok to przemieścić się stąd do hotelu i ponownie nie stracić głowy.

Ciężar szczęścia buzuje mi w piersi. Kocham Sama i chcę iść z nim przez życie. Odeszło życie w pojedynkę. Pożegnanie z przeszłością nie sprawia mi kłopotu. A jednak tam, w kawalerce, gdzie torby są spakowane na ostatnią noc singielki, z ambieniem i ativanem, kosmetykami, wsuwkami, butami, podarunkami z podziękowaniem, listami, licencjami, świecami, biżuterią, aparatami i wszystkimi „cosiami” (coś starego, nowego, pożyczonego, niebieskiego), mam wrażenie, że jednak nie uniknę załamania nerwowego, które zakończy wszystkie załamania nerwowe, ataku paniki, który powinien nadejść.

Nogi mi się trzęsą, włosy drżą, muszę dostać się do hotelu i pobyć sama.

Zanim ktoś zauważy, że dzieje się ze mną coś okropnie złego.

„Zamierzam inaczej podchodzić do życia” – powtarzam w myślach znowu i znowu. Nie ulegnę atakowi paniki, nie będę stronić od świateł rampy, unikać wielkich wydarzeń i poddawać się obawom. Zamierzam cieszyć się tymi rytuałami związanymi z poślubieniem Sama. Dzięki tym myślom dzielnie znoszę długi spacer do Yale Club z dwiema walizkami wypełnionymi po brzegi ślubnymi insygniami. Jestem silna jak wół – choć delikatna psychicznie.

Mój przyjaciel Langdon, z blond włosami postawionymi na sztorc i krzykliwą osobowością, towarzyszy mi. Najlepsze w nim jest to, że w zależności od potrzeby gada bez końca lub milczy. Wszystko, czego pragnę, to towarzystwo w chwilach, gdy w pięknym stylu stracę zmysły. Jego obecność uspokaja mnie i stanowi doskonały prezent weselny.

Gdy już znajduję się w apartamencie panny młodej, oddycham z ulgą. Jestem sama. Zostało mi kilka cennych godzin, zanim tak naprawdę rozpocznie się to szaleństwo. Ludzie myślą, że załatwiam sprawy, więc dają mi spokój. Komórka milczy. Do dyspozycji mam wielkie łóżko, dużo magazynów i telewizję.

Dzisiaj wieczorem muszę zebrać siły, aby wziąć udział w kolacji próbnej. Włączam automatycznego pilota, który mną pokieruje. Dla pokrzepienia zjadam baton Balance Bar o smaku jogurtowo-miodowo-orzechowym i pozwalam sobie na gapienie się na ściany.

Cztery godziny później po tym, jak biesiadowałam, śmiałam się i spłakałam makijaż – łzami radości – moszczę się w łóżku, tym razem na całą noc. Spoglądam na butelkę ambienu na nocnym stoliku i zdaję sobie sprawę, że niektóre duchy nigdy mnie nie opuszczą. Przeżywanie zmor nocnych ma jedną korzyść: sprawdzają twoją wytrzymałość, a drobne problemy stawiają w odpowiedniej perspektywie.

Nie mogę zapomnieć, jaką przebyłam drogę, zanim się tu znalazłam.

Prawda o miłości jest taka, że od razu wiadomo, kto będzie właściwym współmałżonkiem. Wiem z całą pewnością, że Sam jest moim Księciem z Bajki. W potrzebie wyciągnie do mnie rękę. Jako nastolatek zadał sobie trud oczarowania panienki podpierającej ścianę po drugiej stronie sali

gimnastycznej. Ostatnie kilka godzin spędziłam, przesiewając wspomnienia o Samie, o tym, jak się spotkaliśmy i jak już wtedy rzucił na mnie urok.

Wkrótce rozmyślałam o dobrych rzeczach w swoim życiu; nawet niektóre rzeczy złe okazały się dobre. Stamtąd do dzisiaj prowadzi długa, wyboista droga, więc jestem wdzięczna za to, co mam.

O dziewiątej rano słyszę pukanie do drzwi. Fryzjer. Już wzięłam prysznic i jestem gotowa. Otwieram drzwi i przygotowuję się na bluźnierstwa.

John, wybitnie przystojny, pyskаты stylistą, susami wpada do pokoju z walizkami lokówek.

– Trzeba być pindą, aby organizować wesele w południe. To oznacza, że musiałem wstać o pieprzonym świcie.

Wiesz, że gdy ktoś nazywa cię słowem na „P”, to masz przed sobą udany dzień.

Usadza mnie i rozpoczyna pracę nad moimi włosami. Mam niesforną czuprynę i wiem, że miną ze dwie godziny, aby ją ujarzmić we fryzurę ślubną. Podczas gdy on działa, przychodzą inni: moja uroczą kuzynka Claire, starościna wesela Nici; Patrick i Carlos; weselni fotografowie – Natasha z Nowego Meksyku z chłopakiem. Jak mogłam zaniedbać kontakt z tak barwną postacią jak Natasha? Przez te wszystkie lata zawsze była bliską koleżanką, zostawiając mi często głośnie, ordynarne wiadomości. Teraz jest mi potrzebny jej entuzjazm i szalone zdolności fotograficzne.

Myślami błędzę po drugiej stronie miasta, gdzie Sam budzi się i przygotowuje, spotyka z moją mamą i Donem, ponieważ przyjadą jednym samochodem.

Sam wysyła mi ostatniego kawalerskiego SMS-a: „Mark Harmon wrócił na scenę!”.

Tak, panie i panowie, to będzie mój małżonek, który – jak się wydaje – właśnie odkrył ostatniej nocy serial *Agenci NCIS*. To kolejna kropla w morzu uroczystych zdarzeń, które prowadzą do tej wielkiej chwili.

Ze spokojem brat nakłada mi makijaż, tak jak zwykł to robić, gdy wystawialiśmy przedstawienia dla sąsiadów. Wyczuwam w nim radosną energię, intymność zbudowaną na wspólnej przeszłości, jego troskę o mnie oraz chęć do przejęcia roli tego, który poprowadzi mnie do ołtarza i odda mężowi. Zapina zamek mojej sukni, poprawia narzutkę i mocuje ją broszką ze słoniem (kolekcjonuję wszystko ze słoniami). Carlos, który przybył z nim, krytykuje, chwali i dopinguje.

Trzy godziny później jestem gotowa.

Dari wchodzi do pokoju.

– Już pora.

Ludzie w pokoju rozchodzą się, zajmujemy stanowiska. Przechodząc przez korytarze Yale Club, czuję wyjątkowy spokój. Goście zgromadzili się w bibliotece, czekają na mnie – pannę młodą. To jest to, ta cisza.

Idę korytarzem i ustawiamy się, Nici przede mną, a Patrick złączony ze mną ramieniem.

Muzyka zaczyna grać: Duran Duran tak, jak chciałam. Gdy rozbrzmiewają pierwsze dźwięki *Rio*, wygrywane na flecie i gitarze, zaczynam się rozklejać. Niewielu ludzi wie, co to za piosenka. Mama bez wątplenia jest zrozpaczona. Jak gwiazda idę nawą w takt muzyki mojej ulubionej piosenki – panny młode mogą sobie na to pozwolić!

Chichoczymy z Patrickiem i rozpoczynam nasz marsz. Goście wstają i przyglądają się nam. Oto nadchodzi panna młoda, która ma na imię Rio i tańczy pomiędzy stosami książek w bibliotece Yale Club.

Tak jak obiecała Lou, ceremonia jest bardzo krótka. Mało z niej pamiętam, tyle że Sam wyglądał na szczęśliwego, pewnie stałam na nogach (żadnej wirującej podłogi i chwiejących się ścian), że nasza uroczystość zmieniła się w pogańską libację, że wyczułam badawcze spojrzenie matki, pomyliłam pierścionki i aplauz na końcu. A także Sama i siebie kroczących nawą jako mąż i żona.

To najszczęśliwszy dzień mojego życia. Pamiętam wiele fragmentów przyjęcia:

Jak wspaniale czułam się przez cały dzień.

Chusteczkę, którą panny młode w mojej rodzinie nosiły w bukietach od prawie wieku.

Kwiaty i jedzenie, które były doskonałe.

Radość przy stole znajomych z Taft School, gdy z Samem po raz pierwszy tańczymy do piosenki *My Eyes Adored You* odśpiewanej przez Frankiego Valli i Four Seasons, piosenki, którą przypadkiem Sam zaśpiewał któregoś dnia, nie wiedząc, że jestem wielką fanką tego zespołu.

Ludzi z pracy, którzy zdominowali parkiet taneczny. Pracownicy Harlequina tańczą do utraty tchu.

Przekazanie bukietu Melissie, mojej najlepszej przyjaciółce z pracy.

Mamę brylującą jak szalona w towarzystwie, noszącą dzieci, obejmującą nieznanym, spoufalającą się jak lichy.

Jak przybrałam nowe nazwisko i pozyskałam nowego ojca w osobie Billa Blooma.

Ojczyzna w radosnym nastroju, ale ze skłonnością do przesady (nie

powiem, co się stało).

Didżeja grającego mnóstwo przebojów Duran Duran.

Poruszające spotkanie z rodziną ojca i mamę płaczącą ze szczęścia, że ich widzi po trzydziestu latach. Nawet pod nieobecność mojego ojca dzięki temu weselu kilka rodzin ponownie nawiązało kontakt.

Podczas planowania zastanawiałam się, jak przebrnę przez to sześciogodzinne wydarzenie. Teraz, gdy zegar wybija szóstą, jestem zaskoczona, że to już koniec. Żegnamy z Samem gości, uciekamy do apartamentu nowożeńców... i oglądamy rozdanie Złotych Globów.

Przez całą noc i przez większość czasu (z wyjątkiem chwil, gdy mnie wnerwia) spoglądam w oczy Sama i pamiętam, jaką miałam pewność – i nadal mam – że to ten jedyny. Zdaję sobie sprawę, że ten mól książkowy, który ledwo uciekł kostusze w wieku lat dwudziestu kilku, randkował jak szalony, a potem wybrał spokojne życie, dostał w podarunku najprawdziwszy książkowy romans.

Mam wspaniałego bohatera, do którego czuję romantyczny pociąg w dziewięćdziesięciu pięciu procentach (w pozostałych pięciu doprowadza mnie do szaleństwa), istnieje soczysty konflikt (co sprawia, że życie jest interesujące, bo konflikt nigdy nie zostanie całkowicie rozstrzygnięty, w końcu jesteśmy tylko ludźmi), są wspomnienia weselne i ktoś, kto chce dzielić ze mną tę przejażdżkę życia. Moje „i żyli długo i szczęśliwie” jest lepsze, niż sobie wyobrażałam.

I wiesz, te książki miały rację – we wszystkim.



Podziękowania

Wielu wspaniałych ludzi wspierało mnie w tym niezapomnianym przedsięwzięciu.

Dziękuję mojej mamie, która zachęcała mnie do pisania, gdy po raz pierwszy wykazałam zainteresowanie snuciem opowieści. Mam nadzieję, że ta książka zwolni mnie z obowiązku zamawiania przekąski przed kolacją – na zawsze. Ale zawsze będzie mi sprawiać przyjemność, gdy recytujesz menu. Jesteś najlepsza, mammo!

Dziękuję, Patricku, mój cudowny bracie, za nieustanne przekonywanie mnie, abym nie zadowalała się okruchami i nigdy nie traciła nadziei. Po długim czasie wreszcie to do mnie dotarło.

Wielkie dzięki dla mojego agenta Jeffa Kleinmana, który odkrył moją opowieść przypadkiem i uwierzył w jej powodzenie. Jego zachęty i dociekliwość sprawiły, że pracowałam ciężiej (i prawie zwymiotowałam, ale w pozytywnym znaczeniu tego słowa). Każdy potrzebuje kogoś, kto zmusza nas do lepszej pracy i jednocześnie oferuje wsparcie.

Jestem głęboko wdzięczna zespołowi Dutton, który sprawił, że proces pisania stał się przyjemny. Specjalne podziękowanie dla redaktor Jill Schwartzman za udzielenie błyskotliwych wskazówek redaktorskich i nieustającego wsparcia. Gdy jako gwiazda odczuwałam chwile zwątpienia, Jill podzieliła się ze mną swoją pewnością co do tego projektu i pomogła skoncentrować się na celu. Dziękuję Stephanie Hitchcock za cenne uwagi, które pozwoliły ukształtować tę historię. Benowi Sevierowi dziękuję, że był tak pozytywnie nastawiony do tej książki. Od początku sprawił, że czułam się mile przyjęta w Dutton. Dziękuję Brianie Tart za podjęcie ryzyka wobec wielkiej niewiadomej. Christine Ball, wydawco nadzwyczajny, dziękuję za wskazówki poruszania się po nieznanym mi obszarze, który okazał się tak ekscytujący. Dyrektor marketingu Carrie Swetonic przygotowała mapę miejsc, do których książkę można było skierować. Jestem wdzięczna Monice Benalcazar za artystyczną wykładnię mojej opowieści, która przełożyła się na zachwycającą okładkę. LeaAnn Pemberton, dziękuję za wszystko, co zrobiłaś dla tej książki w procesie produkcji.

Podziękowania dla Brandy Rivers z Gersh Agency, która dostrzegła potencjał filmowy książki *Romans to moja praca*.

Specjalne podziękowania dla Sama Warrena, pierwszego supertajnego

czytelnika (i dobrego przyjaciela).

Mam szczęście, że los obdarzył mnie fantastyczną rodziną i przyjaciółmi, z których nie wszyscy pojawili się w tej książce, ale zawsze stanowią część szerszej opowieści. Dziękuję Marcuriosom, Nestersom, Sullivanom, Smithom, Gallantom, Bloomom, Kellym, Carlosowi Cano, Lou Liberty, Rachel Astarte Piccione, Nici Derosier, Natashy Chornesky, Langdonowi Bosarge'owi, Josephowi Weyersowi, Leslie Aaron, Johnowi Haracoposowi, Diane Echlin, Jenny Bent, Louise Fury i mojemu Facebookowi, Oberlinowi, Sandii Prep i rodzinom z Tafta (*hic haec hoc*, Panie Cobb).

Gdyby nie Harlequin, napisałabym mniej stron. Szczególny dług wdzięczności mam wobec Melissy Endlich, Gail Chasan, Ann Leslie Tuttle, Sarah Pelz, Allison Carroll, Dany Hamilton, Rachel Burkot, Mary-Theresy Hussey, Allison Lyons, Natashy Wilson, Glendy Howard, Shany Smith, Susan Litman, Margaret Marbury, Theresy Linton, Margo Lipschultz, Reki Rubin, Kristin Errico, MRF, moim niezwykłym autorkom Dianne Moggy, Lorianie Sacilotto, Donnie Hayes i Tracy Farrell, która wiele lat temu zatrudniła absolwentkę łaciny i francuskiego.

Podziękowania dla wszystkich pisarzy romansów. Inspirujecie mnie.

I oczywiście, największe dzięki dla Sama W. Blooma, który codziennie czyni mnie szczęśliwą.

¹ Jane Austen, *Duma i uprzedzenie*, przeł. Anna Przedpeńska-Trzeciakowska, Prószyński i S-ka, Warszawa 1993.

² Kultowa książka o zdrowiu i seksualności kobiet po raz pierwszy wydana w 1971 r. w Stanach Zjednoczonych przez organizację non profit Our Bodies Ourselves; wielokrotnie wznawiana (przyp. tłum.).

³ Album brytyjskiej grupy Duran Duran wydany po raz pierwszy w 1982 r.

⁴ Krewetki, w Stanach Zjednoczonych określa się tak każdy rodzaj dużych krewetek.

⁵ Master of Business Administration – stopień akademicki przyznawany po ukończeniu studiów podyplomowych.

⁶ Popularna piosenka zespołu B-52.

⁷ Amerykański wokalista, aktor, kompozytor znany z występów w grupie Van Halen.

⁸ Książka autorstwa australijskiej pisarki Colleen McCullough; popularny serial z Richardem Chamberlainem i Rachel Ward w rolach głównych.

⁹ Oberlin – małe miasto w stanie Ohio, siedziba znanego Oberlin College.

¹⁰ Wokalista i gitarzysta glamrockowego zespołu Poison.

¹¹ Siły specjalne amerykańskiej marynarki wojennej.

¹² Amerykański film z 1983 r.

¹³ SUNY – skrót od State University of New York; tutaj: jego gałąź w Brockport.

¹⁴ Marionetka z amerykańskiego programu dla dzieci o tej samej nazwie, piegowata i rudowłosa.

¹⁵ *Au jambon* (franc.) – z szynką.

¹⁶ Główna bohaterka filmu *Pracująca dziewczyna*.

¹⁷ N – pierwsza litera słowa *niger*, czyli czarnuch.

¹⁸ Sztuka wystawiana w latach 80. w teatrach na Broadwayu, później stała się światowym hitem.

¹⁹ Znana marka ciastek w Stanach Zjednoczonych założona w latach 70. przez Debbie Fields i jej męża.

²⁰ Powieść Toma Wolfe'a.

²¹ I-69 (slang) oznacza ofertę uprawiania seksu oralnego.

²² Pogańska, magiczna, inicjacyjna religia misteryjna, której praktyki objęte są tajemnicą.

²³ Jedna z bohaterek powieści *Rozważna i romantyczna* Jane Austen.

²⁴ Sieć sklepów z damską bielizną.

²⁵ Bohaterka amerykańskiego filmu fabularnego i serialu telewizyjnego z lat 70.

²⁶ *Seks w wielkim mieście*, serial telewizyjny na podstawie powieści Candace Bushnell *Seks w wielkim mieście*.

²⁷ „Cierpliwość Bonnie jest na wyczerpaniu”, gra słów, nawiązanie do imienia Patience, *patience* to po angielsku „cierpliwość”.

²⁸ Wydawnictwo należące do CBS Corporation, założone w Nowym Jorku w 1924 r.

²⁹ Amerykański serial emitowany w latach 1998 – 2006.

³⁰ Amerykańska kanapka zrobiona z dwóch herbatników z czekoladą i pianką, opieczona nad ogniem.

³¹ 11 września 2001 roku – dzień ataku na wieże World Trade Center w Nowym Jorku.

³² Postaci ze sztuki Tennessee Williamsa *Tramwaj zwany pożądaniem*.

[33](#) Amerykański film z 1977 r. z Richardem Gere'em i Diane Keaton.

[34](#) Sadomasochizm.

[35](#) Sexually Transmitted Disease – choroba przenoszona drogą płciową.

[36](#) Nowojorski producent filmowy pochodzenia żydowskiego.

[37](#) Sieć sklepów z odzieżą, akcesoriami, artykułami wystroju wnętrz.

[38](#) Amerykański kaskader – motocyklista, najbardziej znany w latach 70.

[39](#) Amerykański film z 2004 r. z Jennifer Aniston w roli głównej.

[40](#) Dzwonić po ang. *to call* oznacza również nazywać kogoś imieniem lub przydomkiem, stąd pytanie autorki.

[41](#) WASP, ang. White Anglo-Saxon Protestant – biały anglosaski protestant.

[42](#) Amerykański aktor, muzyk, gwiazda telewizji; prowadzi nocny program w NBC.

[43](#) Bergdorf Goodman – luksusowy sklep z odzieżą i akcesoriami w Nowym Jorku.

[44](#) Z ang. panna młoda.

Przekład: Marzenna Reyher
Redakcja: Anna Jagiełło
Korekta: Hanna Szamalin, Ilona Siwak

Ilustracja na okładce: Cover illustration © Anna Parini
Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-372 Warszawa, ul. Foksal 17
Tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-1645-3

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow